

34 476 [1-2]

JAROSŁAW AGAŁO
OD BIEGUNA DO BIEGUNA
DWA OCEANY.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY, OBRAZY I SZKICE ŻEGLARSKIE.

TŁUMACZENIE Z FRANCUSKIEGO

MICHAŁA BOHUSZA SZYSZKA

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY.

W. M. S.
TOM PIERWSZY

WARSZAWA 1955

nr 275/55



W45155241

WIELKA

WYDAWALNIA MARYNARSKA

1955

WESTMINSTER & STRAND

JAKOBA ARAGO
OD BIEGUNA DO BIEGUNA
i
DWA OCEANY.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY, OBRAZY I SZKICE ŻEGLARSKIE.

TLÓMACZENIE Z FRANCUZKIEGO

MICHAŁA BOHUSZA SZYSZKI.



TOM PIERWSZY.

CBGIOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773



Wa5155241

WILNO.

NAKŁADEM MAURycego ORGELBRANDA

1856.

4yd. do 1860

JR

JARORA ARAGO

OD BIEGUNA DO BIEGUNA

DWA OCEANY.

WSPOMNIENIA Z PODROZY, OBRAZY I SKRICE ŻEGERSKIE

TYMOCZKOWIE Z PRANCUSKIEGO

MICHAŁA BOHUSZA SZYSZKI

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury
prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno 28 Września i 15 Grudnia 1855 r.

Cenzor *Paweł Kukolnik.*



34.476 [1-2]

WILNO

34476

Czcionkami A. Marciniowskiego.

MARCEJ MARCINIOWSKI

44-49154 (T.2)
NH-49156 (T.1)

PAN ghe. u. 88/65

KILKA SŁÓW

O ŻYCIU I PISMACH JAKÓBA ARAGO.

Jakób Stefan Wiktor Arago, słynny podróżnik i ulubiony pisarz francuzki, brat młodszy znakomitego Astronoma i Ministra wojny za Rzeczypospolitej Francuzkiej, Franciszka Arago, urodził się w Marcu 1790 r. w południowej Francji, niedaleko *Perpignan*, gdzie Ojciec jego był Kassjerem. Młody Jakób, po skończeniu nauk i przebyciu pierwszych zapędów burzliwej młodości, w dwudziestym roku życia udał się w podróż. Z tómczkiem na plecach i ołówkiem w rękę, zwiedził on Korsykę, Sardinję, Włochy, Syceylją, zrobił wybieczkę na Wschód i na brzegi Afryki. W tych podróżach zebrał znaczny zapas wiadomości ciekawych i pożytecznych. W r. 1817 otrzymał od Rządu pozwolenie odbycia podróży na około świata, jako rysownik, na okręcie *Uranja*, zostającym pod dowództwem Kapitana Freycinnet. Chciwy wrażeń i nauki, Arago uszczęśliwionym był, że się mu otwierało pole odpowiednie jego chęciom i zdolnościom. W tej podróży, za świadectwem Kapitana Freycinnet, okazał wiele wytrwałości, odwagi i pojętności. Niestety, okręt *Uranja* rozbił się na wyspach Maluińskich, i Jakób Arago, zwiedziwszy wiele obcych krajów, powrócił do Francji w r. 1821.

Po swoim powrocie, Arago mieszkał w Bordeaux do r. 1828, później w Tulonie, gdzie zajmował się literaturą i wydawał kilka pism

perjodycznych. W roku 1835 powierzoną mu została dyrekcja teatrów w Rouen, lecz we dwa lata później, postradanie prawie zupełne wzroku, w skutku ciężkiej choroby, zmusiło go do zrzeczenia się tej posady. Odtąd Arago, jakkolwiek ociemniały, nie przestał zajmować się literaturą i podróżowaniem w świecie wyobraźni.

Z pism jego, oprócz wielu sztuk dramatycznych, z których kilka w swoim czasie miało wielkie powodzenie, na szczególną uwagę zasługują: 1) *Wędrowka* około świata w latach 1817—20 na korwettach Królewskich *l'Uranie* i *la Phisicienne* odbyta, pod dowództwem Kapitana Freycinnet, 2 tomy z atlasem. 2) *Wędrowki* historyczne, filozoficzne i malownicze po Departamencie Żyrondy, 1 tom z atlasem. 3) *Podróż* na około świata, z przypisami naukowými Franciszka Arago, 2 tomy, wydana w przekładzie polskim przez Wojciecha Szymanowskiego: w Warszawie w r. 1848. 4) *Od bieguny do bieguny*, dzieło obecnie wychodzące w przekładzie polskim i 5), *Dwa Oceany*, które takżo niebawem wyjdzie na widok publiczny w języku polskim.

We wszystkich tych dziełach Jakóba Arago znajdujemy styl związły, jędrny, malowniczy, który nam daje dokładne wyobrażenie fizjonomji kraju, obyczajów i charakteru mieszkańców. Sceny dramatyczne i zajmujące djalogi, któremi umie przeplatać swe opowiadania, czynią opisy jego dziwnie powabnemi. Bystry rzut oka na rzeczy i ludzi, oraz świetna wyobraźnia stawiają go w rzędzie cenniejszych pisarzy naszego wieku, a odwaga, energja i miłość prawdy są wybitnemi cechami jego charakteru.

M. B. Sz.

OD BIEGUNA DO BIEGUNA.

CZEŚĆ PIÉRSZA.

I.

KROK NIEROZWAŻNY.

Bądź ostrożnym, mój młody, śmiały przyjacielu, morze umie się gniewać; burze, gdy niém poczną miotać, otwierają statki, rzucają je na brzegi bez litości i nie wypowiada tak potęgi i wielkości Boga, jak te wichry niszczące, co porywają najsilniejsze okręty i igrają niemi jak igra puchem swawolny wietrzyk poranku.

Widzieć, jesto mieć, rzekł znakomity poeta ludu. Ale, jeśli myślisz że przebieżysz i zbadasz świat bez trudów i niebezpieczeństw, mylisz się bardzo; każda nauka kosztuje wiele, i ciało często upada w tój walce.

Jednak jeśli, jak sądzę, namiętność podróŜowania ogarnęła cię, nie lękaj się moich pogrózek: rozum ma także swe przywileje, i jeżeli są łyzy przy odjeźdném, jest też niemało radości za powrotem.... Widzieliśmy, styszeliśmy duŜo, mamy co opowiadać i w starości z błogiém uczuciem zastanawiamy się nad temi zajmującemi stronnicami naszego Ŝycia.

Ŝądasz poznać niektóre z najsilniejszych wzruszeń moich awanturnicznych wycieczek; cheć cię w tój mierze zadowolić, mój biedny przyjacielu, gdyż szukasz w tэм razem i nauki i przyjemności. Wszystko co pochodzi z mojego dziecinnego lub starego wieku jest dla mnie

świętém i czcigodném: witam z miłością i uszanowaniem te dwie bramy życia.

Jednak nie opowiem ci, mój dobry mały Aniołku, różnych ustępów z mojej ostatniej podróży około świata, należą one do mojego wydawcy, i dziękuję ci żeś mię uwiadomił, że one ci już znane. Ale bądź spokojnym, tyłem już przeżył od mojej młodości, i tak dobrze widzę swą przeszłość, odtąd jak Bóg pograżył mię w ciemnościach, że niepodobna mi zapomnieć którejkolwiek z tych chwil pełnych udręczeń, co odznaczyły mój zawód pieszego wędrowca lub majtka.

Co przedewszystkiém znajdziesz w tém opowiadaniu, to prawdę: kłamstwo poniża tego co się go dopuszcza, zwłaszcza kiedy nadaje fałszywy kierunek rozumowi tego, co go słuca. Wierz mi więc, mój luby przyjacielu, i gotuj się towarzyszyć mi. Poprowadzę cię daleko, bardzo daleko; dam ci poznać obyczaje dzikie, ludy gościnne, kraje barbarzyńskie, ziemie woniejące; poprowadzę cię za rękę w pośród scen rzezi, żałoby i zniszczenia: ale kiedy znajdę na mej drodze świeżą i uśmiechającą się oazę, rozepnę tam mój namiot i poproszę żebyś usiadł obok mnie; błękit nieba jest tak czystym po burzy! Owoż słucaj, mój luby przyjacielu, i użal się nieco nad tym, który zwiedziwszy wszystkie archipelagi, poprzerzynał wszystkie morza, przebiegłszy wszystkie stolice, splądrował wszystkie pustynie, zbratałszy się z wszystkiemi ludami, nie widzi teraz uśmiechu, ni słońca! Nie pojmuję jak można się znużyć przebiegając z widnokregu na widnokrąg; co do mnie, ja się nużę spoczynkiem, sen mię osłabia, a głos dźwięczny katarakty ożywia mię i elektryzuje. Dla tego to uważałem zmianę miejsca za potrzebę i szczęście.

Byłem pewnego dnia w Biaritz, blisko Bajonny, i zagłębiałem mój wzrok sokoli w niezmierną przestrzeń Atlantyku, którego ostatnie fale konały u nóg moich z żalostnem jęczeniem. Wszystko tu okazało, wspaniałe, szczytne. Cisza przybija cię nieruchomego, jakby na skale podwodnej, i kiedy tam, w górze, wszystko się podnosi, wstępuje i zstępuje, ty jeden stoisz na miejscu, uwięziony pośród ogromnego koła. A też huragany!... to przesilenie gwałtowne natury, kiedy wiatr pędzi aż pod obłoki bałwany szumiące; kiedy piorun igra

rażącemi gzygzaki pośród złamanych masztów i żagli podartych; kiedy okręt stęka i rozdziera się; kiedy bałwan pieniaący się otwiera swą paszczę dla pożarcia cię; kiedy głos burzy tłumi głos Kapitana; kiedy natura cała zdaje się pogrązać w chaos... Oto prawdziwie piękne widoki, które podnoszą duszę i wykazują człowieka w całej jego potędze.

On tam, stoi ucepiiony do liny, śledzący okiem falę co go bezustannie zalewa, unikający skały co go w kawały poszarpie, i wprowadzający do portu, pośród skał podwodnych, swoją tułaczą łupinę orzecha. Trzeba więc było dla mojej gorącej ciekawości spróbować trochę morza, powiem więcej, trzeba mi było tego bardzo, i w téjże chwili zdecydowałem się. Nająłem mieszkanie u jakiegoś dzielnego człowieka, zowiącego się, jak sądzę, Berton, czy Breton, czy Delacroix, czy Champagne, mniejsza oto, nazwisko nie stanowi rzeczy. Powiedziałem mu kto jestem; przywitał mię jakby swojego Króla, albo raczej jakby swojego Cesarza; potem zaprosił mię uprzejmie do swojego stołu, i wezwał żebym używał do woli..... Przyjąłem.

Po wieczery, gdyż przybyłem do niego już późnym wieczorem, zapytałem, czy nie można byłoby, nazajutrz, odprawić przejażdżki po morzu.

— I owszem! odpowiedział mój gospodarz, odprawię ją z Panem jak chcesz daleką. Mam tam na brzegu w pogotowiu moję zwinną szalupe, na której mogę śmiało ruszać aż do Rochefort, nie lękając się wiatrów od lądu. Mój syn tylko mi towarzyszy, dzielny chłopak, lat dziewięciu i pół, który wywija ci już stérem, jak Pan wywija swą szpadę; dzieciak nieustraszony wśród wiatrów przeciwnych, i który się wciska tak zręcznie do wąskiej przystani Aduru, jak gdyby już świat opłynął. A więc, jeśli Pan chceś ruszać z nami, będzie nas trzech.

— Cóż Pan za to żądasz odemnie?

— Ręki Pańskiej, jeśli mi ją podać raczysz.

— Dobrze, ale pod warunkiem.

— Pod jakim?

— Oto, że ją ci podam zamkniętą, a cofnę otwartą.

— A więc nie masz zgody, ja pieniędzy nie chcę; dosyć mi twój przyjaźni, Panie Arago; chcę Panu dowieść, że nazwisko, które nosisz, jest paszportem w oczach bogatego, szlacheńca i chłopca.

— No, niech będzie i *gratis*!

Nazajutrz, przededniem, wsiedliśmy w szalupę i odbiliśmy od brzegu; z łatwością, przy pomocy odpływu, wyszła ona na otwarte morze. Tęgi dzieciuch był u steru, ojciec przy linie żaglowej, a ja z rozkoszą spoglądałem na nikuącą ziemię. Wiatr nam sprzyjał, lekko przebywaliśmy w dzień po siedm węzłów i na trzeci dzień spodziewaliśmy się stanąć w Rochefort. Ale jednym razem wiatr uciechł, żagiel zwiśł na maszcie; musieliśmy rzucić się do wiosł, żeby przyspieszyć biegu. Oto już jedna z licznych przyjemności podróży na morzu. Kilka mil tylko oddziela cię od miejsca wypoczynku, lekki powiew wiatru w godzinę mógłby cię tam zanieść, ale dzięki dziwactwu atmosfery, musisz czekać dni, miesiące, nim się podoba Niebu otworzyć ci drogę. Ale tego szczęścia nam brakło; wiatr wkrótce gwałtowny zerwał się od lądu, i mały dzieciuch pojętny jak stary majtek, odważny jak poławiacz wielorybów, rzekł z uśmiechem do ojca:

— Ja myślę, że powinniśmy bardzo oszczędzać żywność, bo burza jeszcze da się nam we znaki; wicher dmie szalony, i jeśli to potrwa dłużej, podobno że pójdziemy łowić dorsze na wydmach Nowej Ziemi.

Malec miał rację. Szalupa niesiona w górę jak kawałek piany, ślizgała się, leciała i kręciła bezustannie, gotowa lada moment pograżyć się w rozdąsane fale. Choćbyś, mój młody przyjacielu, miał mię obwinić o junakierję, wyznam jednak szczerze, że wolałem to wzburzenie fal rozigranych, niżeli usypiającą jednostajność naszych wielkich miast.

Jednak niebezpieczeństwo stawało się coraz groźniejszym, i przyszłość otwierała się dla nas z całą okropnością, towarzyszącą biednym opuszczonym majtkom, pośród Oceanu, na łódce pozostałej z rozbitcia okrętu. Wiatr tak często zmieniał kierunek, że nie wiedzieliśmy już czy płyniemy na otwarte morze, czy w stronę lądu, gdy w tém ukazał się okręt dążący, z rozpiętymi żaglami, na nasze spot-

kanie. Spozrzegł on nasze znaki wzywające ratunku, przyspieszył biegu i wkrótce nas doznał. Rzucono nam liny; każdy z nas chwycił się jednej, i uniknąwszy, jakby cudem, śmierci ze wszech stron nas otaczającej, wstąpiliśmy przeziębli, znużeni, na pokład *Błyskawicy*, gdzie nas przyjęto z ludzkością.

Pierwsza lekcja była porządna, walka uporeczywa, niebezpieczeństwo groźne. Dla innych byłby to powód do zniechęcenia, dla mnie było podniecią do wytrwałości. Waleczyć przeciwko ludziom i rzeczom było dla mnie życiem, i nie chciałem się wyrzec moich pierwszych przywyknień.

Błyskawica był to bryk korsarski, dobrze uzbrojony, dobrze opatrzone, przebywający swe jedenaście węzłów przy silnym wietrze, na otwartym morzu. Dwadzieścia pięć ludzi, licząc w to Kapitana, i pewien rodzaj konowala, mianującego się Chirurgiem, stanowiło osadę. Bryk przez dziesięć lub jedenaście miesięcy był tylko na morzu; zdobył swą uprowadzał do Rochefort, Brest lub Nantes, i przedawszy ją puszczał się znowu na morze.

Język tych rabusiów był oddzielnym dialektem, nawet dla ludzi ich rzemiosła. Żaden wyrzeczony frazes, żaden wykonany manewr nie obszedł się bez tych energicznych przekleństw, złożonych z piętnastu lub ośmnastu sylab, które pobudziłyby do uśmiechu warzących się w piekle potępieniów. A potem, jakież to bijatyki pomiędzy nimi, jakie szarpaniny! Po każdej biesiadzie, po każdym śnie krew płynęła strumieniem z niejednej rany; i łatwo można było przypuścić, że życie tych istot, u których smoła płynęła potokiem, byłoby dla nich pełne niesmaku, wśród milczenia i spoczynku. Pozbierano ich na ulicach, przy wyjściu z więzień lub zakopcanych szynków, zkad się zwykle wydalali dla tego tylko, żeby upaść gdzie bez zmysłów w środku rynsztoku lub pod bramą jakiego domu.

Co do samego Kapitana, rzekłbyś na pierwszy rzut oka, że Tomasz Bavastro, jest to niezupełny człowiek, płód nie donoszony, myśl niedokończona. Chodził on powoli, palił tytuń powoli. Pan Tomasz chciałby zatrzymać czas co biegł zanadto szybko, dym swego cygara co niknął w powietrzu za nadto prędko, bryk swój co le-

ciał po falach za nadto śmiało, doradę lub delfina przeslizgujących się po watach za nadto bystro, i wiatr dmący w jego żagle za nadto silnie.

Pan Tomasz miał jednak stronę, zadającą fałsz tak wielkiej powolności. Była to jego prawa strona. Ręka jego miała szybkość błyskawicy, i kiedy wywijał na ramionach uporeczywego majtka, kara następowała tak szybko po groźbie, że nie podobna było uniknąć pierwszój, skoro ta ostatnia wyrzeczoną została. Każde z jego napomnień było uderzeniem pletni, a uderzenie pletni szramą. Jeśli mu zdarzało się karać surowiej, było to zawsze z taką flegmą, z takim pozorem dobrodusznosci, że sądziłbyś iż żałuje swojej surowości. Tomasz jedném słowem, był dobrym tygrysem.

Powiedziałem ci już, że przyjęto nas na *Błyskawicy* z wielką ludzkością, a gdy trudno było brykowi dostawić nas na miejsce, i gdy zresztą czatował on na przejście, blisko wysp Azorskich, jednego z okrętów Kompanji :

— Nie rad jestem ze względu na was, ale rad jestem ze względu na siebie, rzekł do nas Tomasz Bavastro, swoim ciekim głosem ; lecz będziecie mi towarzyszyć. Malec, żwawy jak młode zrzebiątko, będzie przy kuchni; a wy dwaj, którzy macie minę tęgich chłopów, będziecie się bić dla wspólnej naszej korzyści... Im więcej będzie ran, tém więcej piastrów. A ponieważ wy musicie lubić piastry, to się przygotujecie do ran.

— Ja nie umiem ani włązić na maszty, ani się wspinać po rejach, rzekłem do Kapitana.

— Doprawdy ?

— Doprawdy.

— I nie próbowałeś nigdy ?

— Nigdy.

— No, to co innego.... Zaprobusz teraz.

Postrzegłem że należało być posłusznym, albo wrzucić do morza przeklętego Kapitana. Przechyliłem się na stronę łaskawości; gdyż jego żartoki w jednej chwili by mię rozszarpali, przeto wspi-

nając się jak mogłem po linach, wdrapałem się na miejsce naznaczone bez zawrótu głowy.

— Jak na początek, to nieźle, rzekł do mnie Kapitan; zrobimy coś z ciebie, ręczę za to, przy pomocy twój dobrej woli i mojego kańczuga.

Noc była przepyszna.

Sam jeden, na pokładzie, Kapitan badawczym okiem śledził po widnokregu; przystąpiłem do niego.

— Czego chcesz?

— Pomówić z Panem.

— O czym?

— O wszystkim.

— O kim?

— O sobie.

— Zobaczmy. Mów.

Opowiedziałem me życie Kapitanowi Bavastro; nie przepomniałem ani moich wybryków, ani moich czynów pożytecznych, i kiedy skończyłem opowiadanie, niewymieniwszy swojego nazwiska:

— Sądziś więc, że nie poznałem cię, Panie Arago? rzekł do mnie Kapitan. Widziałem cię w Bordeaux, jakeś bił, tłukł wszystko, jak narzucał prawa miastu i grzmotał policją. Skoro wyrzucony zostałeś na mój pokład, przypomniałem cię od razu, i gdybyś nie przyszedł, dzisiaj jeszcze, zwierzyć się przedemną, obchodziłbym się z tobą jak z memi urwisami, ni mniej ni więcej.

— A ja, gdybyś mi uchybił, posłałbym cię na pastwę jesiotrom.

— Bez żartu?

— Żartem.

— No, to odtąd, Panie Arago, bądźmy dobrymi przyjaciółmi, żyjmy z sobą w zgodzie.

Byłem drugim po Kapitanie, wyczyłem się w dni kilka główniejszych manewrów, i osada była zmuszoną słuchać mię. Jeden z tych paniczów odznaczał się szczególnie gorliwością stania się mi przyjemnym lub użytecznym. Jak tylko wydałem rozkaz, nikt go nie wykonał pierwiej od niego; zawsze na swém miejscu, zawsze na no-

gach, gotów do odgadnienia mej woli. Gdybym mu kazał, jak sądzę, rzucić się w paszczę rekina, wypełniłby rozkaz bez wahania. Zkąd takie poświęcenie? Zgoła tego pojąć nie mogłem, gdyż pierwszego dnia mojego wyniesienia, gdy się mi przypatrywał badawczém okiem, tak go pchnąłem nogą, że podskoczył jak piłka.

Nazajutrz, ujrzałem go na pokładzie, skurezonego, z łokciami opartými na kolanach, podpierającego rękoma swą głowę, którą gdy podniósł, zobaczyłem oczy jego czerwone i łez pełne. Przeszedłem koło niego, spójżenia nasze się spotkały: wyczytał on w mojem ty-le żalu i współczucia, że ręce jego opadły i uśmiech na ustach zda-wał się mówić: «Ukarz mię tak jak wczora, ale nagroźdź mię tak jak dzisiaj.»

— Jestto dziarski chłopak, rzekł do mnie Kapitan, któremu wspominałem wieczorem o Juljuszu. Wziąłem go na pokład w Hawrze, gdzie w porcie wiódł bójkę z hultajami równego sobie wieku, i odtąd, a już temu będzie lat dwa, bardzo z niego rad jestem: w pracy jest niez-mordowany, w walce nieustraszony jak ja; zawsze przy spotkaniu widziałem go pomiędzy pierwszymi. Jestto lew i wiewiórka razem. Zobaczysz jaka przyszłość go czeka.

Przyszłość nie dała na się długo czekać: zaraz nazajutrz po tej rozmowie, szyldwach dał znać że się ukazał okręt trzymasztowy. Skie-rowaliśmy ku niemu, i w godzinę potém, wydano rozkaz do boju. Uzbroi-łem się w puginał, parę pistoletów i ogromny topór.

— Patrz, poruczniku, rzekł mi Juljusz, który kręcił się koło mnie, oto masz topór, który ci lepij przypadnie do ręki, weź go. Jestem pewny że dobry z niego zrobisz użytek.

— A ty?

— Ja wezmę Pański.

— Jest on za ciężki.

— Mam silne ramię, a z resztą mam ten bosak na pasie zwieszony.

— To dobrze, ale się nie narażaj bardzo: mamy do czynienia z nie-lada przeciwnikiem, a strata tak walecznych jak ty, bywa opłakiwaną.

— To właśnie będzie przyczyną że zginę.

— Jakto?

— Tak, żebyś mię Pan opłakiwał.

Juljusz na gwizdnienie dowódczy, pośpieszył na swe stanowisko; pierwszą kulę wysłano dla oznajmienia flagi.

Oddano nam wystrzał; ale z ilości żagłów, które okręt nieprzyjacielski rozwinął, poznaliśmy wkrótce, że chce od nas umknąć; przeto rozwinęliśmy i my żagle wyższe i niższe, podnieśliśmy małe, i wkrótce dognaliśmy okręt; *bo Błyskawica*, z powodu swój szybkości, zasługiwała na to nazwanie. Był to okręt kupiecki, którego działa były po części drewniane, ale nie chciał się on jednak poddać bez walki. Dano z obu stron wystrzały, głośne hurra! się rozległo, reje się z sobą splątały, i walka bronią zimną rozpoczęła się. Byłem gotów. Wmgnieniu oka Kapitan wskoczył na pokład *Kumberlanda*, tuąc, płatając, przesywając każdego kto mu się nawinął. Tomasz, raniony w głowę uderzeniem bosaka, w chwili gdy miałem wskoczyć na pokład, krzyknął do mnie:

— Jakóbie, staraj się ją utrzymać swą reputację.

I starałem się ją utrzymać z pistoletem w jednej, z toporem w drugiej ręce.

Przy moim boku, Juljusz dokazywał także cudów waleczności; pomimo zranionego ramienia, walczył dzielnie przeciwko napadającym na niego lub na mnie, i tak był czynnym w odwracaniu wymierzanych na mnie ciosów, że często nie uderzałem w nieprzyjaciela, z bojaźni żeby go nie ranić. Flaga z *lampartem* wreszcie została spuszczoną, okręt osadzony naszymi ludźmi, osada w niewolę wzięta. W tydzień potem przedaliśmy ten trzymasztowy okręt i jego bogate kolonjalne towary osadnikowi portugalskiemu w Praya na wyspach Azorskich.

Moja część zdobyczy była znaczną. Miałem tysiąc dziewięćset piastrow: a gdy Kapitan chciał podwoić tę sumę:

— Nie, nie, Kapitanie, rzekłem, jestem dosyć wynagrodzony, ale jeśli chcesz zawdzięczyć gorliwość i odwagę, obdarz Juljusza, który się popisywał jak Cezar, i jest dość ciężko ranionym.

— Gdzież on?

— A tam.

— Zawołać mi Juljusza.

— Kapitanie, rzekł konował, to uparty dzieciuch: nie z nim nie zrobisz. Leży tam cały we krwi, a nie daje się opatrzyć, powiadając że otrzymał lekkie tylko draśnięcie.

— Wrzucić mi go tutaj, wrzasnął Kapitan.

— Zaczekaj, Kapitanie, rzekłem; może Juljusz ma ważny powód nie być posłusznym; pójdę się go rozpytać.

Biędny chłopiec, oparty na armatce, tamował garstką paczesi krew ciekącą z rany.

— Cóż to ma znaczyć, Juljusz? Wszak mężtwo nie wyłącza karności. Dla czego się nie stawieś na rozkaz Kapitana?

— Bo tak mi się podobało.

— Możesz uleść karze, a i tak jesteś już ranny; trzeba koniecznie żeby ci ranę opatrzone; i jeśli mię choć trochę kochasz, pozwolisz swego ramienia chirurgowi.

— Nie pozwolę.

— A to dla czego?

— Bo się dowie że jestem kobietą, o czém tu nikt nie wie prócz Kapitana.

II.

JULJA.

Po sprzedaniu okrętu i rozdzieleniu łupów, niektórzy z osady nas opuścili. Dwaj mieszkańcy Biaritzu otrzymali pozwolenie pozostania na lądzie, dla oczekiwania tam na zręczność wrócenia do kraju; ale Juljusz został wiernym swojemu Kapitanowi, a jednak myślę że gdybym nie chciał dalej krążyć z tym korsarzem, waleczny majtek rzuciłby się w morze dla połączenia się ze mną. Była to młoda dziewczyna, cery śniadój, wzroku komety, wyrażen krótkich a dobitnych; nigdy nie widział profilu bardziej greckiego, ust foremniejszych, czoła gładszego, nigdy na kształtniejszych ramionach nie wznosiła się poetyczniejsza głowa. Włosy jej były kruczo błękitne, których odcięcia żaden malarz nie zdołałby oddać; jej zęby dziwniej białości błyszcząły tém bardziej, że nigdy prawie nie były całkiem osłonięte przez dwoje ust koralowych, których tytuń i gorące napoje nie skaziły nigdy świeżej barwy. Nie podobna było widzieć chodu swobodniejszego, obejścia się bardziej nieprzymuszonego; nogę miała tak marynarską, że zdaje się przewidywała mocne kołysanie się lub nagłe wstrząśnienie okrętu; i kiedy każdy chwycił się liny, żeby nie być obalonym w podskokach *Błyskawicy*, Juljusz, albo raczej Julja, sama stała niewzruszona na pokładzie, jakby kawałek stali na magnesie.

Dla czegoż zmieniała ubiór i puściła się na życie tak awanturnicze? Kapitan sam, który ją przyjął na okręt, nie wiedział o tém. Sądziłem że będę od niego szczęśliwszym, i dla tego dniem przed od-

biciem od brzegu, znalazłszy ją samą, zamysloną, na wybrzeżu Praya, podszedłem zwolna do niej, i wziąłem ją pod rękę, jak czynimy z przyjacielem, od którego oczekujemy poufnego zwierzenia się.

Oboje zachowywaliśmy uporne milczenie; ja, dla tego że liczyłem tylko na przyjaźń Julji; ona, dla tego że chciała bez wątpienia nie inaczej zrobić swe wyznanie, jak po wyraźném oświadczeniu przezemnie takowego żądania.

Nie mogąc zdobyć pozycji szturmem, zaszedłem z boku.

— Wiész co, Juljo, nasze rzemiosło jest przykre.

— Przykre dzisiaj, dogodne jutro, jak morze, jak namiętność.

— Ty znasz morze; czy znasz także i namiętności?

— Jakie?

— Ależ te, co jedynie mogą zająć młode dziewczęta tak pięknie i tak dzielnie jak ty.

— To zapewne grzeczności chcesz mi prawić, bo przecież nie znajdowałeś mię pięknym, kiedy byłem majtkiem; a teraz kiedy wiész że jestem kobietą, powiadasz mi że jestem piękna.

— To dla tego że nie chwalimy nigdy powierzchowności mężczyzny, gdy do niego mówimy; ale bądź spokojną, wpadłaś mi w oko od razu.

— Tém lepić, to już coś znaczy.

— To nie, jeśli ma być to tylko.

— Nigdy też niczém więcej nie będzie.

— Któż może zaręczyć za przyszłość?

— Ja ręczę za swoją.

— Ty mię odczarowywasz, Juljo, gdyż miałem nadzieję.

— Jakąż, Panie?

— Jeśli chcesz żebym dalej mówił, zrób mi jedną przyjemność; nazywaj mię po imieniu. Czy zgoda?

— Zgoda, Jakóbie; ale cóż ci z tego przybędzie?

— Choćby i nie; równość jest już wielką i szlachetną rzeczą, a teraz kiedy jesteśmy brat za brat, kiedy Porucznik zniknął przed przyjacielem, zobaczymy, dla czegoś się stała korsarzem?

— Nigdy całkiem nie zwierzę się przed tym, który jest tylko mým przyjacielem.

— A więc przed kim się zwierzysz ?

— Przed moim mężem.

— Zaczekajmy.....

— A tyż, nie masz z czém zwierzyć się przedemną? Czy to jaka namiętność nieszczęśliwa rzuciła cię pomiędzy nas?

— Nie. A więc !... Wtedy...

— Wtedy nie na tém nie wskórasz, gdyż to wyznanie co wyszło razem z ust i serca mego, dowodzi czego innego niżeli się tobie zdaje. Myślisz może że kocham ciebie, dla tego że jesteś mężnym, ale zostajesz w błędzie. Miłość moja, Jakóbie, zrodziła się z jednej myśli... Wyobraziłam sobie że się powierzyłeś falom, dla tego tylko żeby się zemścić na niewiernej, i od téj chwili żałowałam ciebie. W dniu walki, postrzegłam że jest coś we mnie podobnego do czułości, a dzisiaj, kiedy myślałam że chcesz nas porzucić, oczy moje napełniły się łzami..... Powiedziałam ei wszystko, Jakóbie; wypowiedziałam ei wszystkie moje uczucia; czyż odgadłaś twoje, i czyż miłość nieszczęśliwa jest przyczyną twojego wygnania?

— Nie, Juljo, ty mię nie odgadłaś. Zapęd młodości, kłótnie, pojedynki zmusiły mię oddalić się z méj ojczyzny. Chciałem...

— Znam historję twojego życia, to jest, tę którą opowiadałeś Kapitanowi Bavastro; ale poznałam od razu że nie wszystko mu wyznałeś.

— Nie ukrywam nigdy tego co myślę, nie ukrywam nic z mego życia, ani błędów, ani szaleństw, ani wykroczeń, ani szlachetnych poświęceń. I tak, powiadam ci, Juljo, że moje serce nie biło dotąd inną miłością prócz synowskiej lub braterskiej, która by mię uszczęśliwiała przez całe życie, gdybym był cokolwiek rozsądniejszym.

III.

MIŁOŚĆ SYNOWSKA.

— A tak to co innego ! rzekła mi ta osobliwsza dziewczyna, tak energiczna we wszystkich swych postanowieniach. Tak to co innego ! a dopiero kiedy się znamy lepiej, wiesz co, schroimy się pod ten pyszny banan, który swoim gęstym liściem zastłoni nas od doskwierających promieni słońca.

— Ale już późno.

— To prawda.

— Dalej więc w drogę.

Julja wzięła mię poufale pod rękę ; udaliśmy się ku okrętowi, gdzie już wyglądano zapewne naszego powrotu, i wkrótce wystrzał armatni, którego dym postrzegliśmy ulatający ze strzelnic, dał nam znak odbicia.

— Gdy nie śmiesz ze wszystkiemi mi się zwierzyć, Juljo, odpowiedz przynajmniej otwarcie na jedno moje pytanie.

— I jakież to pytanie?

— Czy kochasz kogo w swoim kraju?

— O tak ! kocham kogoś w moim kraju, i to z całej siły mojej duszy.

— O jak on szczęśliwy ! zawołałem z pewnym rodzajem złości, której nie zdołałem poskromić.

— Panie Arago, ty mię nie rozumiesz ; powinienbyś powiedzieć : Jak *ona* jest szczęśliwą !

— A więc to siostra?

— Milez, Jakóbie; i pośpieszajmy.

Noc nadchodziła. Cień góry i jej ognistego wierzchołka rozścielał się do końca widnokregu; fala pędzona lekkim wiatrem od morza rozbijała się u stóp naszych z łagodnym szmérem; małe chmurki okrągławe biegly jedna za drugą jak trzoda kóz wędrownych, ślizgały się ponad naszymi głowami i ginęły tam, tam daleko ku brzegom Amerykańskim. Tymczasem ptaki wędrowne, znużone swemi dalekimi podróżami, chyżym lotem śpieszyły, jak gołębie do swego gniazda, szukać w rozpadlinach skalnych i na najwyższych szczytach gór spokojnej uchrony, z kądby nazajutrz mogły znowu o wschodzie słońca puścić się na nowe wycieczki. Julja i ja spoglądaliśmy z zachwyceniem na ten wspaniały obraz, gdy jednym razem szmer głuchy, podobny do huku grzmotu, dał się nam słyszeć; i w téjże chwili ziemia zdrząła pod naszymi nogami.... Ledwo żeśmy nie upadli.... W kilka minut potém nowe wstrząśnienie, mocniejsze niż pierwsze, zmusiło nas oprzeć się o potężne drzewo, które chwiało swym wierzchołkiem, i zdawało się chcieć wyrwać z gruntu, na którym rośło od wieków. Za trzeciém wstrząśnieniem, gwałtowniejszém niż uprzednie, byliśmy powaleni o ziemię, razem z naszą podporą, która się już więcéj nie podniosła, i kiedy rzuciliśmy wzrokiem na morze, widzieliśmy je zdala od brzegu, szumiące i pieniaące się, jak gdyby ogień podwodny w ukrop je zamienił.

— Jest to Wulkan, co się zapala, rzekła Julja z uśmiechem, poprawiając swą odzież w nieładzie. Oto obraz życia.... Przed chwilą oddychaliśmy ciszą pod liściem pełnym woni; a teraz wszystko jest w zamieszaniu.

Drugi wystrzał armatni dał nam znać żebyśmy pośpieszali. Szliśmy po urwistej ścieżce prowadzącej prosto do okrętu, i w godzinę wstępowaliśmy już na pokład jego. Kapitan zbliżył się do mnie i prowadząc mię na tył okrętu rzekł po cichu:

— Czy ona ci opowiedziała wszystko, Panie Arago?

— Nie, Kapitanie.

— Jest to stworzenie tajemnicze, jak miłosierdzie.

— Oto już dwa lata jak trudni się rzemiosłem korsarskiem; komuż ona posyła swą część zdobyczy?

— Jest to tajemnica, której odkryć nigdy nie mogłem, której nigdy u niej wydobyć nie zdołałem.

Noc spędziłem bezsenną. Obraz téj młodej dziewczyny, tak rozważnej i tak energicznej na przemiany, jój wespół zwierzenie się, jój życie majtka, tak trudne, tak niebezpieczne; poezja tój mowy tak czysta, tak barwna, wszystko mię skłaniało do wierzenia, że jakie nieszczęście lub bohaterkie postanowienie oderwało ją od jój przywyknień dziecinnych. Można się było domyślić że zachodziła zacięta walka pomiędzy jój pierwiastkowym wychowaniem a nowym zawodem; i rozum więcej niżeli wzrok mówił ci, że jój życie dzisiejsze było zmyśleniem; jój postępowanie zmyśleniem; jój gruba powierzchowność zmyśleniem. Ale czemuż więc ona była? Gwizdzenie dowódcy odpowiedziało na to zapytanie, które sam sobie w głos zadałem. Wstałem, wyszedłem na pokład, zwijano linę kotwiczną, ruszaliśmy z miejsca..... Po chwili płynęliśmy z rozwiniętymi żaglami.

Cały ranek krążyliśmy wzdłuż wyspy, nie wychodząc na otwarte morze; i gdy Kapitan wlepił swój wzrok kroguleczy w brzegi, wnośliem że miał jakieś nieprzyjazne zamiary przeciwko niektórym białym domkom, co się ukazywały śród rozkosznych plantacji i bogatych winnic..... Myliłem się tylko w połowie. Była blisko jedénasta godzina; Tomasz kazał zwolnić bieg okrętu i wystać szalupę do brzegu.

— Dwunastu ludzi odważnych! rzekł, i wypełnić me rozkazy.

— Mogeż być z ich liczby? zawołałem obracając się do Kapitana.

— Ma się rozumieć.

— A więc i ja będę pomiędzy nimi, powiedziała Julja, którą nazywać będziemy ciagle Juljuszem.

— Bądźcie sobie i obaj, rzekł Tomasz; zdobycz będzie porządna. Pamiętajcie: potrzeba mi sześciu, ni mniej ni więcej. Miałem sześciu dezertarów, potrzeba żeby mi ich zastąpiono nowymi ludźmi. Tam oto koło tego ozdobnego wiejskiego domu, liczne grono mężczyzn i kobiet gra i tańczy. Zanadto tam tancerzy; przyprowadzić mi

sześciu najmłodszych i najlepší wyglądających. Ruszajcie, dzieci-
niech wiatr wam służy pomysły!...

Wysiedliśmy na brzeg dobrze uzbrojeni, dobrze usposobieni; powierzyliśmy łódź jednemu z majtków, który zarzucił kotwicę o sześćdziesiąt sążni od brzegu; reszta ruszyła w drogę. Przyjęto nas jak przyjaciół, jak ludzi, których chcieliby ugościć. Ale, po kilku pełnych szklenicach tego wina Teneryffu i Madery, co ci od razu w mózgu zaszumi, zaproponowaliśmy sześciu najtęższym chłopakom, których po cichu sobie wymieniliśmy, udać się dla rozrywki na połów ryb siatkami..... Przyjęto propozycję. — Skoro wsiedliśmy w szalupę, skierowaliśmy prosto ku okrętowi, pomimo płaczu i prośb naszych sześciu chłopaków; pomimo krzyków rozpaczliwych rozlegających się na brzegu.

Jeden szczególnie między pojmanymi załamywał ręce, wyrwał włosy, szarpał na sobie odzienie.

— Czy straciłeś swoją narzeczoną? zapytał Juljusz, który go pilnował.

— Więcej niż narzeczoną.

— Brata? siostrę?

— Więcej niż brata lub siostrę: moją matkę, moją starą matkę, której byłem jedynym dzieckiem, jedyną podporą.

— A! jeśli tak, zawołał Juljusz, podnosząc się jak pantera, której chcą wyrzucić dzieci; ruszaj sobie, i bądź pociechą w jej ostatniej godzinie. Czy umiesz pływać?

— Jak delfin.

— Patrzcie! jeden skoczył w morze! zawołano na łodzi.

Juljusz chwycił był za szyję i barki zrozpaczonego wypiarza, i cisnął go o dwa sążnie od szalupy, a wtém stérnik zawołał zwracając stérem:

— Oto dezertér! zwracajcie nazad.

— Płyn swoją drogą, rzekł doń Juljusz, albo ci w łeb wypalę. On chce połączyć się z swą matką; niech mu Bóg dopomaga! Jeśli Kaptan zapyta nas, dla czego braknie jednego więźnia do liczby, powiem mu, że na mnie jednego spada cała wina, a jeśli będzie za to choć

trochę urażony, wysiadę tego jeszcze wieczora na brzeg i przyprowadzę mu dwóch za tego jednego.

Ścigaliśmy okiem oswobodzonego więźnia: dopłynął on z łatwością do brzegu. Widzieliśmy jak uściskał z rozczuleniem swych współziomków i wstępował później na niewielki wzgórek; na szczycie jego wznosił się ozdobny domek, którego pokrycie z dachówki czerwonej i zielonej tworzyło gzygzaki dziwaczne i pełne wdzięku razem. Tam to, bez wątpienia, żyła spokojnie stara matka; tam trzeba było, żeby i syn się znajdował!

Chciałem pozostać obojętnym widzem sceny tak dziwnej, a jednak serce moje brało czynny w nią udział. Na każde szlachetne słowo wyrzeczone przez Juljusza, moje serce żywiej biło; chciałem żeby ta młoda dziewczyna była moją siostrą, kiedy nie mogła być moją żoną, ona, tak piękna i tak odważna, dwa przymioty, które mieszczą w rzędzie cnót, chociaż one zdają się wzajemnie jedna drugą wyłączać. Podszedłem z wolna do Juljusza i ściskając go mocno za rękę:

— To pięknie z twojej strony, rzekłem z cicha i z widocznym wzruszeniem, to bardzo pięknie. Wiedziałem że masz duszę; ale myliłem się, masz ich dwie.

— Twoje ścisnienie ręki, odpowiedział majtek, więcej mię cieszy, niż twe słowa: tamto może pochodzić z współczucia więcej niż z przyjaźni; te zaś raczej wyrażają podziwienie. Ale czyż możesz być zdziwionym tym czynem szlachetnym z mojej strony? czyż dla pocieszenia matki nie warto się narazić na uderzenia surowcowej pletni rozdąsanego Kapitana?

— On się ciebie nie dotknie, przysięgam.

— Kto wie? On taki gwałtowny! tak pilnujący ścisłego wykonania swych rozkazów.

— Jeśli podniesie na ciebie rękę, Juljuszu, ręka i ciało upadną na pokład okrętu, i będą służyć, po chwilach niewielu, za pastwę rekinom.

— Dzięki ci, Jakobie; oto jakim cię chciałam widzieć. Twe słowa sprawiają mi tyle przyjemności, ile twe ścisnienie ręki.

— Dziękuję, Juljuszu..... A teraz, godna podziwu dziewczico, nie mo-

żesz że mi powiedziéć, co cię rzuciło pośród tego świata majtków i rabusiów, którzy cię tak mało pojmują?

— Są pewne przypadki, Panie Arago, w których możemy się tylko zwierzyć braću, matce, mężowi.

— Nie będęż więc nigdy nicém dla ciebie?

— Jakóbie, jesteś zarozumiiałym.

Temu ostatniemu słowu towarzyszył uśmiech, który dziwnym sposobem złagodził jego ostrość. Nie okazałem zań najmniejszej niechęci, i przybyliśmy na okręt, Juljusz i ja, najlepszymi przyjaciółmi w świecie. Kapitan policzył pojmaniców, a znajdując pięciu tylko więźniów, zamiast sześciu, których dostawić rozkazał, wziął do rąk pletnię, i pytał tonem spokojnym i obojętnym, komu przedewszystkiém obowiązany za niespełnienie swych rozkazów.

— Mnie, odezwał się Juljusz, zakładając na krzyż ręce i stając o dwa kroki od Bavastra.

W téjże chwili stanąłem tuż obok Kapitana, z piersią zadyszana, zębami ściśnionemi, z pięścią na rękojeści sztyletu.

— Nie bij mię! zawołał Juljusz, nie bij, Kapitanie; w jednéj chwili padniesz trupem! —

IV.

SPOTKANIE.

Korsarz wlepił swój wzrok we mnie, i oczy moje zabłysnęły nowym ogniem.

— Do diabła, do diabła! rzekł z krwią zimną, zdaje się że o mało com nie narobił sobie kłopotu. Ale możemy tę sprawę załatwić. Ty, Juljusz, będziesz odtąd naczelnikiem robotników, boś mię przed chwilą wybawił od śmierci; a ty, Jakóbie, będziesz odtąd moim przyjacielem, boś nie dopuścił mi popełnić niekzennego czynu.

Nie mieliśmy już czego lękać się tego szczególniejszego człowieka, korsarza i rabusia razem, którego dane słowo było nieodwołalnym wyrokiem; byliśmy więc bez bojaźni na przyszłość. Juljusz i ja, tego dnia, obiadowaliśmy u jego stołu; i szczęśliwi z dnia tym sposobem spędzonego, zasnęliśmy spokojnie, pozwalając płynąć *Błyszawicy* ku Teneryffie, dokąd popychał ją wietrzyk świeży i łagodny.

Było nieroztropnością dążyć ku tej wyspie z lawy, wracając nad ogniskiem, którego otwór ciskał ciągle ku niebu ogniste smugi i buchał falami smoły. Ale, powiedziałem ci już, że Kapitan Bavastro, skoro tylko zważał zdobycz, nie cofnąłby się przed całą eskadrą. Lis ten, wiedziony swoim instynktem łupu, nigdy nie mylił się w swych rachubach. Lawirował on przez trzy dni pomiędzy wyspami Azorskimi a Kanaryjskimi; potem rozwinąwszy wszystkie żagle, skierował przedni maszt ku Świętemu Krzyżowi na Teneryffie, stolicy całego Archipelagu.

O kilkaset sążni od brzegu, zwinął połowę żagli, i badał swoim daleko sięgającym wzrokiem przystań otwartą, bronioną przez półtuzina baterij. Piękna korweta Angielska stała blisko tamy; Tomasz przewidział spotkanie. Dla tego, jak tylko był ujrzał ziemię, wywiesił banderę Wielkiej Brytanji, podstęp wojenny, dozwolony, jak wiadomo, przed rozpoczęciem boju.

Za nadejściem nocy, Bavastro przywołał Juljusza i mnie do swojej izdebki.

— Dzieci! rzekł do nas, nie wiem czy wy lubicie bardzo złoto; ale, co do mnie, lubię je prawie tyle co życie, więcej trochę jak honor, a wy?

— Co do mnie, odpowiedziałem, lubię złoto daleko mniej niż życie; a życie daleko mniej niż honor.

— Toż samo i ja miałem powiedzieć, rzekł Julusz.

— Wolno wam, moi głupcy; z honorem nie będziecie mieli grosza przy duszy, a z piasrami i pistolami będziecie mieli honoru po uszy. Ponieważ zaś jesteśmy na drodze moralizowania i ponieważ zwierzenie się, które mam wam udzielić, będzie zawarte w krótkich słowach, chcę z wami zabawić się cokolwiek rozprawianiem, żebyście wiedzieli dobrze jaki to jest człowiek, którego los narzucił wam za dowódcę. Mógłżebyś mnie powiedzieć, Panie Jakóbie filozofie, gdzie się poczynają i gdzie kończą namiętności występne i cnoty człowieka? Wskaż mi, jeśli możesz, punkt wyjścia, oznacz granice. Rodzaj ludzki złożony jest z ludzi uczciwych i oszustów, z dnia na dzień; dziś ja, jutro ty. Interes, mniejsza oto jaki, sprawił i enotę, i odjął do niej ochotę; przebaczenie mi rym, bo w niem jest sens, mówił dalej śmiejąc się. Bankier pożyczka na sześć od sta; powiedzcie prawu, żeby zamilkło, a zobaczycie czy bankier przestanie na tej małej korzyści? Nie idźcie o zakład że przestanie, bo przegracie.

— Kapitanie! o czem inném, jeśli łaska; twoja religja jest istną bezbożnością.

Pełne wyrazu i pobożne spojrzenie Juljusza podziękowało mi, i byłem szczęśliwy.

— Niech i tak będzie, rzekł Tomasz; przystąpmy teraz do tego o czém wam miałem mówić, to jest, o sobie. Wszak mię prawie znacie. Wicież co robię, co mogę, co umiem robić? Powiedzcie, czémże jestem?

— Korsarzem; pod tym warunkiem korweta będzie twoją.

— Pod tym także warunkiem Francja uzna mię za korsarza, a nie za rozbojnika.... Idźcie spać.

Przededniem jeszcze, Kapitan Tomasz, siedząc konno na parapecie, palił swe cygare i spoglądał chciwém okiem na korwetę angielską, gotową zdjąć się z kotwicy i rozwinąć żagle. Niecierpliwa, czy ciekawa, chciała ona dnia uprzedniego zapewnić się, że jesteśmy okrętem przyjacielskim, i dla tego wysłała była jedną z swych łodzi ku nam; ale później zmieniła zamiar, zapewne z bojaźni, i wiatr od wyspy dał słyszeć aż na *Błyskawicy* znak, którym odwołało łódź.

Ale otoż i dzień.... słońce nie ukazało się jeszcze na widnokreśgu, a już cypel, którego nie można widzieć z portu Świętego Krzyża, złoci swój śnieżny wierzchołek; z niego wznoszą się, szybkimi kłęby, czerwonawe słupy dymu, idące kręto w górę i rozpraszające się potém od powiewu rannego wietrzyka. Powoli niższe szczyty stają się coraz jaśniejsze; wały wulkaniczne, grożące stolicy i zasłaniające ją razem, odbijają się w ukośnych promieniach słońca; wieża Św. Krzyża traci swoją barwę ciemną; domy odkrywają wyraźniej swoje fronty białe z ciemnymi obwódkami; cień rzucany przez wyspę coraz się zmniejsza, i ze szczytów skał spiczastych, z dachów klasztornych, z drzew figowych, które panują nad bujnemi winnicami, z palm, których pływające kity rozwiewają się w powietrzu, wylatuje nieskończona liczbą ptasząt, cheiwych rozwinięcia lotu, i pozdrawiających radośnym szczebiotaniem powracające światło.

Na korwecie takż angielskiej, osada cała w ruchu: nie może ona bez wątpienia spoczywać dłużej u brzegu: podnosi swój wielki żagiel; a Kapitan Tomasz, bacznym na wszystkie jęj ruchy, podskakuje na pokładzie, porywa za trąbkę, i głos jego znajomy rozlega się groźnie od przedniego do tylnego masztu *Błyskawicy*.

— Baczność, dzieci ! oto zdobycz : złoto, Anglicy, bronz i chwała!

Żaden z majtków nie pozostaje w tyle : wszyscy w pogotowiu, cheiwi na łup, jak zajadła gromada wilków żarłocznych, z siekierą w rękę, z pistoletem i pugiuałem za pasem.

— Słyszeliście, dzieci ! bez wielkiego huku, oszczędzajmy proch, i dalej do dzieła ! Pierwszemu co wskoczy na okręt nieprzyjacielski cztery części łupu; drugiemu trzy ; trzeciemu podwójna część; ostatniemu pletnia. Żaden z was nie będzie ostatnim, jestem tego pewien, gdyż żaden z was nie był ostatnim na swe stanowisko. Baczność! baczność ! podnieście flagę narodową; niech żyje Francja !

Korweta angielska zobaczyła trójkolorową flagę, i stanęła gotowa do boju.

Kapitan Bavastro poraz pierwszy może w życiu cisnął straszne przekleństwo, mające oznaczać że walka będzie uporeczywa; a później głosem spokojnym kazał płynąć na otwarte morze, jak gdyby unikał nieprzyjaciela.

— Hurra ! wrzasnęli potrzykroć Anglicy, sądząc że unikamy bitwy.

— Pokażę ja wam hurra, rzekł Tomasz, żując swoją małą cygaretkę; pokażę ja wam wasze hurra, pyszałki! ręczę wam, mości Pano wie czerwone mundury, że drogo mi za to zapłacicie.

Korweta Angielska i *Błyskawica* płynęły czas niejaki obok siebie, nim nie zarzuciły rejów. Mijając nas nieprzyjaciel dał ognia z dział.

— Nie odpowiadać! wrzasnął Kapitan Tomasz, trzeba im wyplunąć nasze kule łańcuchowe trochę bliżej.

I kazał zwrócić okręt na bok, co téż uczyniła korweta Angielska.

Juljusz, którego widziałem dotąd nieustraszonym pośród największych niebezpieczeństw; Juljusz, co był tak spokojnym i odważnym w chwili, kiedy będąc z nim sam na sam, mogłem korzystać z méj przewagi nad nim ; Juljusz zdawał mi się być tą razą bojaźliwym i drżącym : usta jego były blade, chód niepewny, wzrok bez życia... Żal mi się go zrobiło : zbliżyłem się do niego.

— Juljuszu, ty się lękasz?

— Tak, Jakóbie, lękam się.

— Mów ciszej, błagam cię; będziesz zgubiony gdy cię posłyszają.

— O! ta bojaźń nie hańbi mię, i zaraz zobaczysz czy pełnię mam powinność jak przystało na kobietę odważną i dzielnego korsarza.

— Zkądże więc pochodzi, że tak bledniejesz?...

— Tak ją kocham, tak kocham.....

Potem dodała:

— Jakóbie, kiedy zginę, przetrząsniesz moję pościel, znajdziesz tam w głowach puszkę blaszaną, a w skrzynce papiery i złoto: złoto i papiery przeschesz pod adresem listu zawartego w puszcze. Czy przyrzekasz mi to?

— Juljusz, przyrzekam ci i przysięgam że jeśli zginiesz a ja żyć będę, nikt inny nie spełni tego poruczenia, prócz mnie.

— Dziękuję ci, Jakóbie.

Juljusz ścisnął mię mocno za rękę, i walka się rozpoczęła żwa-
wa i uporeczywa.

V.

TAJEMNICA.

Nie chcę, mój młody przyjacielu, zapuszczać się tutaj w niepotrzebne opisywanie walki morskiej. Z małemi wyjątkami, wszystkie one są do siebie podobne, wszystkie; lub się różnią tylko w niektórych szczegółach. Tutaj straszliwy dramat rozwinął się w całej okazałości. Kapitan Tomasz nadewszystko okazał całą swą dzielność i zimną krew godne Jana Bart'a, Duquesn'a i Duguay-Trouin'a. Majtek angielski tylko co miał rozplatać łeb Juljuszowi, ranionemu już w ramię; gdy tym czasem głowa Brytańczyka potoczyła się, zmieciona siekierą Bavastra. Ja sam, raniony lekko w lewą rękę, winienem był swe ocalenie Kapitanowi, który był wszędzie, nie dla ożywienia odwagi swoich, ale dla ich niecierpliwości i zajadłości.

Po uporeczywój walce, która trwała więcej czterech godzin, w obec całej ludności Świętego Krzyża, skupionej na brzegu, Korweta angielska spuściła swoją flagę. Żeby nie przypisywać sobie za nadto wiele chwały, przyznać należy, że osada Angielska była bardzo osłabioną, i dwie walki uprzednie, które *Marlborough* stoczył, nie dozwalały mu wiele liczyć na zwycięstwo. Ale honor jego flagi nakazywał mu sięgać samemu *Błyskawicę*, a Kapitan *King*, który zginął w bitwie, zasłużył się dobrze krajowi.

Marlborough poczynił był piękne zdobycze: przetrzęśliśmy kufry, zasieki, izdebki i wszystkie zakątki, gdzie mogły być skryte bogactwa. Potem, gdy uznaliśmy za użyteczne pozostawić resztę mo-

rzu, przenieśliśmy ranionych i zdrowych na szalupy; a dla zniszczenia okrętu, puściliśmy go z rozwiniętymi żaglami na skaliste wybrzeże, o które się rozbił. Co do nas, po zamieszczeniu więźniami straconych ludzi, wyszliśmy na pełne morze i skierowaliśmy ku Przylądkowi Białemu, zbaczając niekiedy z drogi, z powodu przeciwnych wiatrów.

Jak marynarz, nie dbający o swą przyszłość, Kapitan Bavastro, zachowując sobie małą cząstkę zdobyczy, obdarzył każdego z nas hojnie, co mogło pobudzić naszą odwagę, gdyby ona potrzebowała bodźca; ale chytry lis zapewnił sobie naszą wdzięczność, i mógł odtąd liczyć na nas w życiu i przy śmierci.

W kilkanaście dni po tej walce, chlubnej dla naszego oręża, zarzuciliśmy kotwicę na dziesięciosążniowej głębokości, o ćwierć mili od brzegu urwistego i wapiennego, w przystani mało osłoniętej od wiatrów z morza, i w niewielkiej odległości od pięknego trzymasztowego okrętu portugalskiego, któremu wiatr przeciwny nie dozwolił ujsć przed nami.

— Ten okręt należy do mnie, rzekł mi po cichu Kapitan Tomasz, zbliżając się do nas: zobaczymy jutro o wschodzie, czy moje przewidzenia się spełnią.

— Wypowiedziałeś więc wojnę wszystkiemu co tylko żegluje?

— Wypowiedziałem wojnę wszystkiemu, co mi się podoba pojmać. Może się mylę, ale zdaje mi się, że ten trójmaszt jest hipokryta, i założyłbym się tej chwili, że nosi w swém brudném łonie sześć razy więcej ludzi niżli *Błyskawica*.

— W takim razie może być nierostropnością napadać nań.

— Dziwi mię, że ta uwaga pochodzi od ciebie, Panie Arago, bo zdaje mi się, że nie rachujesz bardziej odemnie liczby nieprzyjaciół; ale pomówimy, jak sądzę, z tymi ludźmi, o których ci mówię, nie tak jak z nieprzyjaciółmi.

— Taką rzeczą nie rozumiem cię.

— Zrozumiesz mię jutro. Powiedz Julji, żeby była gotową.

— Natychmiast powiem to Juljuszowi.

— Niech tam będzie Juljusz, czy Julja, mało mię to obchodzi, żeby tylko on czy ona działała tak jak dotąd.

Kapitan Tomasz omylił się. Nie nazajutrz, ale téjże nocy, i to w godzinę po rozmowie, którą przytoczyłem, mieliśmy utarczkę z okrętem portugalskim, który się nazywał wtedy *Santa-Maria-Dolorès*, a o świcie dnia następnego nie nosił już żadnego nazwiska. Powiedziałem ci już, że Tomasz był jednym z tych ludzi tak czynnych, tak przewidujących, że nie zamykał nigdy obu oczu razem. Nie sędzę żeby ten wilk morski szczególniejszego gatunku, spał kiedy bez przebudzenia dłużej nad godzinę, a przebudzenie jego było to wstrząśnienie elektryczne.

— Wstawajcie, dzieci! jeśli dobrze widział, pośród tych głębokich ciemności i tych krętych brzegów Afrykańskich, jest tam lis portugalski czy brazylijski, co się stara nam wysliznąć; napadnijmy nań! Myślę że nie wiele zużyjem prochu przeciw podobnym bandytom.

Santa-Maria-Dolorès mileżkiem podjęła kotwicę i korzystając z przyjaznego wiatru wychodziła na otwarte morze. Kapitan Bavastro, który widział często to nawet czego nie było, skoro interes jego kazał mu to widzieć, podjął także kotwicę i korzystał z tegoż samego wiatru, żeby się zbliżyć do okrętu portugalskiego. Wiész już, że *Błyskawica* winna zapewne swe nazwanie szybkości swych ruchów.

Po dwódnastu minutach dognaliśmy zbiega, i mijając go ledwośmy nie uderzyli bokiem o róg jego. Uderzenie sztabami z obu okrętów zapobiegło starciu się; ale, widząc nasz manewr, Kapitan portugalski dość złą francuzczyzną zapytał nas o przyczynę tego. Bavastro odpowiedział mu poprawniejszą i energiczniejszą francuzczyzną, że powinien zwinąć żagle i dozwolić rewizji okrętu.

— Zresztą, dodał, oto masz dowód że moje działa są lane, i moje kule kalibrowe.... Pal!...

I szeroki otwór zrobiony został w boku *Santy-Marji-Dolorès*. Czternastu naszych ludzi gotowych było wskoczyć na pokład okrętu portugalskiego.

Pomiędzy nimi znajdował się Juljusz; a kiedy chciałem mu towarzyszyć, Kapitan rozkazał mi pozostać na miejscu. Wyciągnąłem tylko rękę do mojego młodego towarzysza, i w chwili kiedy on wskakiwał na *Santa-Maria-Dolorès*, puszczałka blaszana wypadła z jego kieszeni czy z za pasa, prawie u nóg moich. Zaleciłem odważnej dziewczynie, żeby była ostrożną, choć wiedziałem że to nadaremnie, bo zwykła była działać na nie nieoglądając się, i powiedziałem jej że moje niespokojne serce odgadnie kiedy obecność moja będzie jej potrzebna. Jak tylko tych czternastu opuściło nas, podjąłem upuszczoną puszkę; potem, udawszy się do mej izdebki otworzyłem ją, nie myśląc o wyrzutach, na jakie się przez to narażę.

Puszka zawierała w sobie tylko list i posyłkę. Oto list, który tu dosłownie umieszczam :

„Dobra i czuła matko! Niech cię to nie dziwi, że odbierasz ode mnie tyle pieniędzy. Jestem zawsze dziewczyną młodą i pracowitą, jaką ty mię znasz, którą kochasz, którą błogosławisz, i rodzina zaena, co mię przyjęła w Hawrze z taką dobrocią, osypuje mię ciągle dobrodziejstwami. Czy uwierzysz, że za małą usługę, którą wyświadczyłam dziecku Pani C...., ta nieoszacowana kobieta, tak bogata zresztą, zmusiła mię do przyjęcia czterech tysięcy franków, które tobie posyłam.

„O moja matko! Módlmy się za tę szlachetną rodzinę! Ty wiesz równie, za kogo ja modłę się codziennie; i jeśli moje prośby będą wysłuchane, wkrótce będzie mi wolno uściśnąć cię w mych objęciach. Odwaga! nadzieja!... Wojna się skończy kiedyś, a wtedy, o! wtedy twoja ulubiona córka nie będzie miała więcej o co prosić Boga. †

Emma de M....»

Adres był następujący :

«P. F.... bankierowi w Hawrze, dla przesłania Pani Hrabini Marji Ludwice de M.... w Manchester.»

Tak więc ta szlachetna córka skrywała przed swą matką, będącą na wygnaniu, swoje wycieczki i swe niebezpieczeństwa! Jest to jeden z tysiąca rysów czułości i poświęcenia okazanych rodzicom i przyjaciółom oddalonym, podczas tej długiej kolei dni nieszczęśliwych,

które trapiły naszą ojczyznę i pożarły tak wielką liczbę jej dzieci. Powracam do mego opowiadania.

Okręt *Santa-Maria-Dolorès* prowadził handel Murzynami: rzemiosło haniebne, nieludzkie, świętokradzkie. Kapitan jego, zowiący się Joachim Lisbao, trzymał na dnie okrętu w łańcuchach sto ośmdziesiąt jeden Murzynów, pozbawionych powietrza, wody, światła. Osada jego cała była wrzuconą z rozkazu Bavastra do morza; sam Lisbao, powieszony na drągu masztowym; i jak tylko naszych czterestu zuchów uwolniło będący na dnie okrętu towar, otrzymał on żywności podostatkim, czystej wody, dobrego wina, i był odwieziony na ląd przez naszych majtków. Co do okrętu, w jednej chwili stał się on pastwą płomieni, i widzieliśmy go jak się pogrążył w falach w tój samėj przystani, gdzie dokonał swego bezecnego kupna.

Juljusz zbliżył się chcąc uścisnąć mi rękę.... cofnąłem moję, i zdejmując z uszanowaniem kapelusz, rzekłem zcicha podając puszkę :

— Powiniennem odtąd nieinaczėj, jak z najgłębszém uszanowaniem mówić do Panny de M....

— Wiész teraz wszystko, Panie Arago, odpowiedziało mi szlachetne dziecię. Przyrzec mi, że zachowasz to w sekrecie aż do naszego powrotu do Francji.

— Przyrzekam.

— O przykro było na to patrzée! powiedział mi rozczulonym głosem Juljusz, który starał się być blisko mnie; to rozdzierało serce, to dreszczem przejmowało! Na spodzie okrętu, w izdebce brudnej, bez powietrza, bez światła, przykuci za nogę, leżeli oni na kłodzie; za poduszkę, sztaba żelazna; za napój, woda błotnista; za pokarm trochę bobu twardego; na usmierzenie krzyków boleści, pletnia węzłowata okładająca boki, sztenfel od fuzji robiący pręgi na skórze.... i rozkaz śpiewania, kiedy przebrzydły Kapitan zstępował w głąb tego grobowca, toczącego się śród fal. Po smutku i łzach nastąpiły rozpacz i zemsta. Czarni stali się białymi, biali czarnymi; majtkowie nasi bili portugalskich oficerów; ja także uderzyłem Kapitana Lisboa; dałem mu uczuć twarde razy pletni. Po zdję-

ciu łańcuchów z nieszczęśliwych ofiar, które nie chciały wierzyć, że to było na jawie; które płakały, modliły się i błogosławiły, kazałem im wszystkim wystąpić na pokład. Tam Kapitan Joachim musiał uklęknąć, a ja podawszy pletnię najsilniejszemu z niewolników, kazałem go bić bez litości. Powiadam ci, Arago, że krew płynęła z niego strumieniem..... Murzyn stał się białym.

Peten wzruszeń całodziennych każdy z nas udał się do swęj izdebki.

VI.

DWA HURAGANY.

Przed porzuceniem tej nieszczęsnej zatoki, chcieliśmy wiedzieć, jak towarzysze, bracia, rodziny oswobodzonych Murzynów przyjmą nas, oni, tak okrótni, jak powiadają, tak tępego pojęcia, tak łakomi w swych stosunkach handlowych z Europejczykami; i dla ujżenia tego ciekawego widoku, wielu z naszych kazało się przewieść na ląd. Pojmujesz że Juljusz,— przebac szlachetna i wspaniała dziewico, że ci daję jeszcze to imię— Juljusz i ja nieomieszkaliśmy wziąć udziału w tej wyprawie. Nasza wielka łódź poprzedzała te, co przewoziły niewolników na ląd; i wtedy kiedy innych przewożono, mieszkańcy nadbrzeżni, drżąc o swoje bezpieczeństwo osobiste, trzymali się w niejakięj odległości od pewnego rodzaju obozu, który na brzegu założyliśmy, i zbliżyli się nie pierwiej jak na znak jednego z więźniów, który się odłączył od gromady.

O! wtedy, z nielicznemi tylko wyjątkami, była to radość, upojenie, szal, uniesienie nie do opisania. Tańczono, wrzeszczano, drep-tano, klaskano rękoma, taczano się po ziemi gorącej, a nawet uderzano się, kąsano; i krew płynęła z niejednej twarzy, z niejednego ramienia po tych piérwszych uniesieniach czułości, której słowa moje nie mogą dać dokładnego wyobrażenia. Z brzegu widziano pożar okrętu *Santa-Maria-Dolorès*; i ci ludzie, mający tyle powodów do wierzenia w nieludzkość białych, wyobrazili sobie, że zrobiono okropną ucztę z ich nieszczęśliwych współziomków. Dla tego to cześć

tęj koczowniczej gromady podniosła się aż do uwielbienia, w oświadczeniu swęj wdzięczności wybawcom.

Każdy z nich przynosił nam podarunek już to w owocach, już w materjach, już w broniach, już w kości słoniowej lub proszku złotym; Juljusz nadewszystko, co się okazał tak skwapliwym, tak pełnym ludzkości, w oswobodzeniu niewolników, był szczególniej przedmiotem pewnego rodzaju bałwochwalstwa. Od niego wtedy zależało być okrzyknionym Królem tych hebanowych ludzi. Lecz waleczna dziewica miała całkiem inną ambicję w duszy, i lubo mocno wzruszona temi gorliwemi oznakami przyehylności, ona piérwsza dała znak do powrotu. Im żywszą była przedtém radość, tém smutek był większy między Murzynami, gdyśmy się z nimi żegnali. Ci, co byli lepszymi pływaczami, rzucili się za nami do morza, towarzysząc nam pomimo naszych prośb i rozkazów, i jakimś cudem żaden z nich nie został ofiarą żarłocznego rekina, tak pospolitego w tęg przystani i na wybrzeżach tęg ziemi optakanęj.

Już niektórzy z krajowców płynęli napowrót dla połączenia się z swoimi braćmi, kiedy ze stepów dały się słyszcć głośne wrzaski. Kazałem wióslarzom zatrzymać się, i ujrzełiśmy wnet tych nieboraków, których zostawiłiśmy byli na brzegu, biegaćyeh ku nam z podniesionemi w górę rękoma i dajaćyeh najoczewistsze oznaki wielkiego przestachu. Lękałem się napadu; zgodnie więc z Juljuszem, kazaliśmy zwrócić łódź ku lądowi, obejrzełiśmy panewki naszych pistoletów, i przygotowaliśmy się do dzielnego spotkania z tymi, którzy według naszego domysłu, przybywali z sąsiedniej przystani, żeby nam odjąć korzyści naszej wspaniałomyślności. Z okrętu Kapitan wysłał jeszcze nam trzecią łódź z sześciu odważnymi zuchami, i skoro ujrzełiśmy przybywające te nowe posiłki, odetchnęliśmy swobodniej, pewni że napastnicy drogo optacą niewczesne swe nawiedziny.

Wylądowaliśmy więc, zostawując łódzie pod strażą jednego tylko człowieka. Murzyni nie mogli się uspokoić. Napróžno ich pytałiśmy: niepodobna było ich zrozumieć. Łatwo tylko można było dostrzedz, że będąc pod wpływem wielkiego przerażenia, polecali się naszemu męztwu i naszej łaskawości.

— Co myślisz o tém wszystkiém, Juljuszu? zapytałem go w pół głośno. Żeby to nie był tylko podstęp?

— Być może; ale czegoż się mamy lękać? Sześciu nas uzbrojonych jak jesteśmy, dałoby sobie radę z tysiącem tych biednych istot. Zresztą, jeśli wierzę w ich głupotę, mam również wiarę w ich wdzięczność.

— Masz rację.

— A potem, czy nie widzisz jak się kryją drżący i na pół martwi za nami, jak gdyby pojmovali że my jedni tylko możemy ich ratować! Zobaczysz, jeśli jest jakie niebezpieczeństwo, to pewno nie od nich.

Zaledwo skończyliśmy udzielać sobie wzajemnie tych uwag, gdy wielu innych krajowców przybyło od strony lądu, wydając podobnie jak pierwsi, ogłuszające wrzaski.

— Do broni! krzyknąłem na moich majtków.

— Do broni! powtórzył Juljusz, tworząc plóton ze swoich, i stając mężnie na jego czele. Oto nieprzyjaciel! Nie są to Portugalczycy, cheiwi nabycia niewolników na sprzedaż, nie jest to współzawodnicząca osada, co przychodzi wyrzucić u drugiej jej niepłodną ziemię, nie jest to Król potężny, co przybywa szukać poddanych, żeby ich potem oddać w zamian za kilka łokei sukna czerwonego, lub kilka baryłek wódki; jest to Monarcha potężniejszy, straszliwszy, bardziej nieuskromiony, bardziej okrutny; jest to wspaniały lew, jest to pyszna lwica, jego towarzyszka.

— Brakowało tego ustępu do mojego życia awanturniczego, rzekłem do Juljusza.

— O jakbym się chciała teraz z nią widzieć, rzekła odważna dziewczyna; miałabym dopiero coś więcej jej do opowiedzenia.

— Ona! zawsze ona!

— Zawsze, Panie Arago, bo *ona*, jest to matka!

Dwoje straszliwych zwierząt tym czasem się zatrzymało.

W obec tylu nieprzyjaciół ich odwaga nie zmniejszyła się zapewne, ale musiała obudzić w nich większą ostrożność. Byliśmy zresztą ludźmi, których życie musiało być drogo okupioném. Juljusz

pałał niecierpliwością; chciał on biedz na spotkanie tych przeciwników, ale usłuchał moich rad roztropniejszych; czekaliśmy więc, gdy tymczasem w uszach naszych brzmiał ciągle jednostajny i posepny odgłos grobowej pieśni, którą nucili o dwadzieścia kroków od nas drżący Murzyni, na klęczkach lub twarzą na ziemi leżący.

Noc nadchodziła. Lew i jego królewska połowica nie ruszały z miejsca; i od nich także dochodził nas ryk głuchy i chrapliwy, nie mający w sobie nic bojaźliwego, ale raczej pefen wściekłości.

— Co będzie to będzie, rzekł do mnie Juljusz, ale nie możemy się ztąd oddalić bez stoczenia walki. Zwierzęta te, według mnie, mają więcej niżeli instykt, mają dar rozumowania. Pojęły one że my, waleczni, uzbrojeni, co nie uciekamy za ich zbliżeniem, jesteśmy dzielną osłoną przeciw ich żarłoczności; spodziewają się, że im zostawimy pole bitwy, czego my wcale nie chcemy, pomimo ich ryków. Ale noc się zbliża; w ciemnościach stracimy nieco z naszej wyższości, ciosy nasze będą mniej trafne. Lew zgaduje to, i oto dla czego, bez wątpienia, rozmyśla. Nie postąpimyż naprzód?

— Postąpmy, ale tylko kilka kroków.

— Więcej też nie potrzeba dla obudzenia niecierpliwości tych gości nieproszonych.— Towarzysze! nie rozłączajcie się, zostawajcie w ściśnionym szeregu. Czytałem o zwyczajach tych Panów pustoszycieli, dziesiątkujących karawany; walczmy w kupie, albo nie jeden z nas padnie ofiarą.

Rozkaz postąpienia naprzód był dany głośno przez Juljusza, który chciał tém podwójnie zaimponować nieprzyjacielowi.

Dziwnie trafne było to wyrachowanie. Za pierwszym naszym poruszeniem lew i lwica stanęły na tylnych łapach, z groźną postawą. Był to wspaniały widok.

Samiec, z głową otoczoną gęstą grzywą, grzmotał sobie po bokach swoim silnym ogonem. Oczy jego były dwie błyskawice; szybkie drgania jego piersi okazywały pragnienie łupu, pazury jego zapuszczały się w ziemię, a język bezustannie w ruchu, zziajany,

czzerwony, błyszczący, chropowaty, był pewnym że się wkrótce skąpie we krwi.

Obok niego, spokojna na pozór lwica więcej nam jeszcze sprawiała bojaźni. Można było widzieć na jej wyrazistych mięśniach drganie okazujące wściekłość; zdawało się, jakby nas owiewał jej oddech cuchnący, lubo odległość nas przedzielająca wynosiła przynajmniej sześćdziesiąt do osmdziesięciu kroków. Czémże jest podobna przestrzeń dla tych śmiałych wędrowców pustyni, co robią susy jak rysie, i co podobni do piorunu, łamią wszystko w swym locie?— Czego najbardziej lękaliśmy się, to pierwszego zapędu, pierwszego uderzenia. Za rozpoczęciem walki, rachowaliśmy że liczba weźmie w końcu przewagę, gdyż kula robi głębokie otwory, a topór puszczony silną ręką, przebija skórę nawet bawolą; ale to pierwsze natarcie tych dwóch szermierzy tak zwinnych i tak odważnych na wszystko, było straszném dla nas. Drżałem o śmiałą dziewczę, która na przedzie swego plutonu, na wpół schylona, żeby mogła lepiej widzieć i lepiej się bronić, musiała przedewszystkiém zwracać na siebie baczność tych dwóch zapaśników. Co do mnie, miałem mocne postanowienie porzucić swoje stanowisko, skoro by cień niebezpieczeństwa zagrażał Juljuszowi, i dowiedziałem się po walce, że takie było względem mnie postanowienie szlachetnej dziewczey.

Za nami Murzyni mruzcili zawsze w oczekiwaniu mordy i fuzje naszych ludzi stojących na kotwicy o kilka sążni od brzegu, wstrzymywały ich jedynie, że się nie puścili wplaw ku łodziom.— Podobnie jak my, lwica i lew chciały położyć temu koniec. Zbliżają się, ale nie w linii prostej; pełzną gzygzakiem, lawirują, starają się, że tak rzekę, uderzyć na nas z flanków; a my, baczni na ich wszystkie ruchy, stajemy zawsze frontem do ich zębów, do ich pazurów. Mój dobry przyjacielu, nie dodaje tyle pojętności człowiekowi odważnemu jak niebezpieczeństwo. W obec niebezpieczeństwa, tchórz drętwieje; uderzysz go, jeśli zechcesz, nogą, i umiera z bojaźni śmierci. Człowiek, zaś śmiały, energiczny, przeciwnie, czuje wzrastające wszystkie swe władze w miarę grożącej napaści.

Nigdy plan walki nie był lepiej obmyślony, jak ten co naprędee i w mgnieniu oka usnutym został przez Juljusza i mnie.

Bo też ci dwaj zwlekacze, ci dwaj Montekukullowie Afrykańscy, byli to nie lada przeciwnicy; ci dwaj generałowie mieli barki silne, źrenicę gorejącą, wściekłość i pazury potężne, poruszane przez nerwy sprężyste i niezłomne.

— Strzelaj, Jakóbie! zawołał Juljusz, widząc skierowane na mnie płowe oko lwa.

— Strzelaj, Juljuszu! zawołałem także; gdyż widziałem lwicę gotową rzucić się na niego.

— Strzelajmy oboje, Arago!

— Strzelajmy, Hrabianko M.....!

VII.

POTYCZKA.

Jak dwie trąby pędzone huraganem, lwica i lew rzuciły się na nas jednocześnie. Powstał chaos: wszyscy prawie obaleni zostaliśmy na ziemię....; ale w téjże chwili powstawszy, stanęliśmy w szyku bojowym. Czterech naszych było ranionych od silnego uderzenia: zasłoniliśmy ich sobą wspaniałomyślnie. Po pierwszym wystrzale naszym, którego nie mieliśmy czasu dobrze wycelować, nastąpił drugi, również daremny, gdyż wściekłe zwierzęta, przeskoczyły daleko za nas, potem lękaliśmy się zabić którego z naszych, skulonych po za nami.

Czy to wiedzione uczuciem godności, czy instynktem własnej obrony, lwy zwróciły się ku nam, i widoczném było, że z nami odtąd chciały mieć do czynienia. Odgadły one, że po za nami była gromada ofiar, których członki pogruchootałyby według woli, gdyby się nie miały czego lękać naszej broni, i dla tego to, jak my przeciwko nim, stanęły przeciwko nam i stawiły nam czoło. Wystrzał pistoletu rozległ się.... Julusz dobrze wycelował. Lwica ugodzona w lewe oko, wydała ryk straszliwy, któremu odpowiedział groźniejszy jeszcze chrapliwy ryk lwa; a ponieważ widziałem życie Julusza w wielkiem niebezpieczeństwie, stanąłem natychmiast obok niego.

— Dziękuję, rzekł do mnie, liczyłem na to.

— Czy masz pistolet?

- Oto jest.
- A topór?
- Niémam.
- Weź od którego z majtków.

Posłyszano nas. Rivals, tęgi wisus, który umknął pięć czy sześć razy od szubienicy, i skórę miał całkiem wygarbowaną od pletni Bavastra, skoczył ku nam i wrócił bez broni do swoich towarzyszków. Ci z naszego rozkazu zbliżyli się do nas, i znowu w ściśnionych szeregach czekaliśmy groźnego napadu. Nastąpił on zapalczywszy, silniejszy niż przedtém. Juljusz został obalony.

Topór przeciął łopatkę lwa, lecz ten łamie rękęjęs i powraca do nas. Strzelam z pistoletu o parę kroków; kula w głębi przenika i wydobywa jęk szalony.... Rivals broni się przeciwko lwicy. Dwaj jego towarzysze, co przynoszą mu pomoc, ranieni prawie jednocześnie. Drugi pistolet podano Juljuszowi, którego krew płynie obficie. Ja z kolei, otrzymuję ranę w udo szarpnięciem szponami, gdy tymczasem kula moja robi swoje i ryje głęboko lwie cielsko.

Majtkowie nasi ożywiają się w tój zaciętój walce; tną, kłują, przebijają; potyczka staje się już tylko rzezią, godną podziwu w swych nagłych zmianach. Każdy myśli o swoim bezpieczeństwie osobistém, a każdy jednak zdaje się działać w interesie wszystkich. Lwica już obalona; lew chwieje się na nogach. Sądzimy że walka stoczona; była ona nią w istocie, ale rzeź się jeszcze nie skończyła. Wściekłe zwierzęta nie chcą żeby ich trupy poszpecone leżały same na wybrzeżu. Rzucają się na gromady Murzynów skupionych nad brzegiem; rwą, depcą; pobudzone odorem krwi, nurzają się zajadle w posoce ofiar bezbronnych. Taczają się po ciałach martwych; padają, powstają, znowu padają.... Głuchy jęk rozlega się, ostatnie westchnienie, chrapanie konającego słysząc się daje: jest to jeszcze jedna ofiara, którą lwie pazury rozdarły.

Już ściemniało. Ranni, kulejący, zdrowi i pokaleczeni, wracamy wszyscy do łodzi.

Sześciu z naszych zginęło.

— I cóż, Juljuszu, dużo cierpisz?

— Prawie nie; pamięć walki umarza boleść. A ty Jakóbie?

— Zdaje mi się że marzę; arterje moje tak mocno biją, że zdają się pękać pod skórą.

— Cóż ty myślisz o tém wszystkiém?

— Myślę, że huragan i trąba morska są niczém.

— Albo czém małym.

— Lew, to jak śsymun, jak burza pustyni.

VIII.

POWRÓT.—REKINY.

Cóż zrobić z tymi niewolnikami nagimi, pokaleczonymi, których nam niepodobna zabrać na okręt? Zostawić ich znów na wybrzeżu, na pastwę lwom, tygrysom i głodowi, które niechybnie ich nawiedzą, zdawało się nam czynem niesłychanego okrucieństwa; a jednak był to jedyny środek, którego musieliśmy się chwycić. Okręt był szczupły, Kapitan Bavastro surowy w swych groźnych nakazach, i nie wątpię, że wrzuciłby bez litości tych ludzi do morza, idąc za popędem jakiego dziwactwa, lub jednej z tych myśli dziko zwierzęcych, które wrzały w jego duszy.

Co do mnie, co do Juljusza, porozumieliśmy się wybornie, i za pierwszą zręcznością postanowiliśmy uciec z *Błyskawicy*, razem lub oddzielnie. Razem, byłoby to szczęście; oddzielnie, byłaby to boleść. Piękne dziecię zachwycało mię swoją odwagą, swoim przywiązaniem do matki, swoją energią w postępowaniu, swoją szlachetnością duszy, przyjmującej wszystkie męczarnie; nie pojmoowało ono ani hańby, ani spodlenia, i całe życie jego podobne było do świętego męczeństwa. Czysta i nieskalana pośród tego świata potępieńców, była to wielka postać dla oka badacza. Była to jedna z tych organizacji pierwotnych, na których serce spoczywa z miłością; trzeba było ją podziwiać i kochać razem.

— Czyż to nie okrutnie, rzekła do mnie, ścisnąc z uczuciem mą rękę, kiedyśmy opuszczali brzeg, czyż to nie okrutnie pozostawiać na

tym spiekłym piasku tyle istot biednych, bezbronnych? Cóż się z niemi stanie? Bóg to raczy wiedzieć. Ale, ponieważ jest Bóg, równie dla nich jak dla nas, miejmy nadzieję w Jego dobroci, wsiadajmy na łódź i powracajmy do okrętu.

— Ale gdzież jest Jan-Jan? zapytałem z niespokojnością; gdyż nie widziałem mojego mężnego majtka, o którym ci muszę rozpowiedzieć, nim dalej postąpimy.

Gdzie się on urodził? tam czy ówdzie? wiedział on tyle ile ty lub ja.

Nie znał on swojego ojca; nie pamiętał czy otrzymał kiedy pocałunek matki: przypominał sobie tylko, że będąc jeszcze dzieckiem, był surowo karany za występki, o których nie miał pojęcia, i kiedy wyciągał rękę, otrzymywał często w zamian policzki, któreby go zmusiły przeklinać życie, gdyby ten walny chłopiec mógł przeklinać cokolwiek lub kogokolwiek.

Jan-Jan uciekając przed wisusami pijanemi, którzy go tropili w Hawrze, na wybrzeżu, rzucił się jednego dnia do morza i przybył wpław na *Błyskawicę*, gdzie przyjmowano wszystko co miało za sobą młodość lub ramię silne. Ramię Jan-Jana przemawiało na jego korzyść: szybko i zwinnie ściągał on liny, i biedne dziecko uważało się za szczęśliwe, gdy mu raczono dać spleśniałego suchara, bobu w połowie zjedzonego od robaków, i razów pletni, w zamian za jego noce bezsenne i dni bez odpoczynku.

Ci z towarzyszków jego, którzy go bliżej znali, powiadali, nie śmiejąc ręczyć za to, że widzieli go raz uśmiechającego się..... Niestety! marzył on może wtedy o chlebie białym i pieśczętach macierzynskich.

Przywiązałem się do niego, najprzód dla tego, że czytałem na wynędzniałej twarzy jego charakter bohaterskiego cierpienia i ewangelicznej rezygnacji, które mi go kazały uważać za męczennika; a potem Jan-Jan bił się bez gniewu ze swymi towarzyszami, dla tego tylko że był bitym; wreszcie, podczas burzy, gdy wiatr dał straszliwie, czepiał się on śmiało drabiny okrętowej, i spełniał swój obowiązek marynarski, jak majtek pierwszego rzędu.

Pewnego dnia podałem mu rękę, schował on swoją, i Julusz, który był blisko mnie, rzucił się mu na szyję dla ośmielenia go. Wieczorem, Jan-Jan płakał, towarzysze jego prawie litowali się nad nim, wtedy gdy on był najszcześliwszym z ludzi.

Będę miał często zręczność mówienia ci o Jan-Janie i o jego mitologicznej szpetocie; ale ponieważ teraz tknąłem się tego przedmiotu, skonczy my jego portret.

Przy nim, Jeremjasz płacziwej pamięci, byłby najweselszym z ludzi, i dalekim byłby od zazdrośczenia gwoździłowi i lilji, które płaczą tylko rankiem łzami rosy.

Lękałem się pewnego dnia, czym nie obraził mojego biednego majtka, pytając się, czy on płakał mocniej i z większą przyjemnością, gdy widział innych śmiejących się..... Są żytki w człowieku, których nie należy dotykać się inaczej, jak z największą ostrożnością.

Udawałem pewnego dnia że płaczę, z powodu niby jakiego nieszczęścia. Jan-Jan wyznał mi później że płakał wtedy z radości..... Widzisz więc, że są niekiedy wesole chwile, pośród goryczy majtka, gdyż dobre twoje słowo, spadło na jego serce, czyni go przystępnym radości, a radość Jan-Jana nie inaczej się objawiała jak łzami.

Tak, Jan-Jan wylewał łzy bezustannie, nie kroplami, ale rzęsyście deszczem; rzekłbyś że w tym kościstém naczyniu mieści się jezioro słonej wody.

Gwiazdy widnokregu łzy mu wyciskają; płacze on widząc fale opłókujące boki miotanego wiatrami okrętu; płacze śledząc ruchy pniącego się bałwana; płacze biorąc swój suchar, okraczając drąg masztowy; płacze gdy widzi płaczących swych towarzyszy; płacze mocniej, gdy ich widzi śmiejących się; nie połknął on nigdy kawałka słoniny solonej, żeby jój nie zrosił swemi łzami, i postrzegasz jeszcze łzę płynącą po jego jagodach, gdy zamyka powieki i bliskim jest snu.

Ten Jan-Jan, którego ci opisuję i którego przedstawię w przyszłości jako przyjaciela pełnego poświęcenia, musiał się urodzić po-

między dwoma westchnieniami, pomiędzy dwiema łzami, zimą, na tarczanie.....

Niebo ma swe tajemnice.

Tak, bez wątpienia, on jest szpetny, ale nie odrażający : oczy jego są z sobą w niezgodzie, barwa jego włosów niejednostajna, nie do opisania; usta jego zdają się zawsze powierzać tajemnicę dwojga uszom jego bez obrębka; chód jego ociężały, wzrok jego często tępy, mowa przewlekła, nie płynna; a pomimo to wszystko, ledwo rzuciłeś na tę biędną istotę okiem, już ją pieścisz przychylną myślą, już jesteś gotów uścisnąć jej rękę. Nie rób jednak tego, jeśli lękasz się o jej zdrowie.

Jesteś blondynem, czy brunetem; masz włosy gładkie, czy kędzierzawe; wyglądasz jak szkielet, czy jak baryłka: wszystko to są wybryki natury.

Otóż więc, Jan-Jan płacze nie wiedząc że płacze, nie chcąc tego, jestem pewny; płacze jak chodzi, jak oddycha: jest to choroba, jest to obłąkanie, jest to wszystko co chcesz jest to Jan-Jan.

Pierwszy raz, gdy go ujrzał, płakał on wsparty łokciami na parapecie okrętu; ulitowałem się nad nim, podszedłem do niego i pytałem o przyczynę smutku.

— Niemam żadnego smutku, odpowiedział mi z głębokim westchnieniem.

— A jednak płaczesz, mój przyjacielu.

— Ja nie wierzę we łzy: jest to boleść, a ja jestem szczęśliwy.

— Z czegoż jesteś tak szczęśliwy, mój chłopcze?

— Bo widzę, że inni nie płaczą.

— U mnie radość objawia się nie inaczej jak śmiechem.

— Nie rozumiem cię, Poruczniku.

Niestety! biędak nie znał nigdy radości; spodziewajmy się, że przyszłość będzie dla niego znośniejszą.

— Gdzie on? zapytałem Juljusza.

— Oto masz, patrzaj, odpowiedział mi, on tam przy Murzynce ra-

nionej, rozdarty swoją koszulę, obwija nią ranę tej biedaczki i tamuje krew obficie płynącą.

— Jeżeli pły są balsamem, rzekłem, Murzynka pewno się wyleczy. Patrz jak ten biedny chłopiec podziela boleści innych.

Zawołaliśmy go, przyszedł. — Powierzywszy Murzynów opiece Niebios, wypłynęliśmy na morze dla powrócenia na *Błyskawicę*, której częste wystrzały dawały nam znać, żebyśmy wracali.

Juljusz i ja, jeden obok drugiego, zamienialiśmy spojrzeniem niektóre z tych myśli uroczych, które zasmucając obecność, przybierają w weselsze barwy przyszłość. Było wiele przyjemności i goryczy razem w tej mowie pojętnej dla nas tylko; a chcąc dodać więcej jeszcze wzruszeń do niej, przywołaliśmy Jan-Jana. Zbliżył się do nas z wyrazem czułości nie do opisania. Noga jego stanęła już była na tylnym pomoście, gdzieśmy się znajdowali, gdy w tém kołysaniu się szalupy zmusiło go do oparcia się na jednym ze swoich towarzyszy, którego kapelusz z tej przyczyny wpadł do morza. Jan-Jan nachyla się dla pochwycenia go; lecz straciwszy równowagę, wpada do morza... Wszyscyśmy się w głos rozśmieli, bo wiedzieliśmy że majtek doskonale pływa. Wtém :

— Rekin! krzyknął człowiek u stępu, rekin tuż za Jan-Janem!

— Prędzej! topora! zawołała Julja.

— A mnie wiosła! zawołałem także.

I Jan-Jan, widząc niebezpieczeństwo, płynie z całym wysiłkiem swych ramion żylastych. Rivals rzuca się w morze z pistoletem w rękę, i znajduje się wnet tuż obok Jan-Jana. Straszliwy żarłok waha się, niewiedząc sam którego z dwóch majtków ma porwać, i kiedy się namyśla, Juljusz z toporem w rękę, wypatruje oka straszdyła, żeby mu zadać cios stanowczy. Rzuciłby się on pewno, gdybym go nie zatrzymał, do morza, dla ratowania obu majtków, ale energiczne wyrazy, któremi do niego przemówiłem, wstrzymały go w jego szlachetnym zapędzie. Pojął nieużyteczność swjej ofiary i został przy mnie.

Nasi dwaj ludzie chwycili się już szalupy. Jan-Jan dzielniejszy pływacz od Rivalisa, pomagał swemu towarzyszowi, któ-

rego schwyciliśmy za włosy i odzienie, i wciągnęliśmy prędko do łodzi.

Rekin wtedy, pewniejszy swój zdobyczy, potrząsa płetwami i ogonem, obraca się bokiem, żeby uchwycić z większą pewnością, otwiera swoją szeroką paszczę, uzbrojoną w cztery rzędy ostrych zębów, i w chwili kiedy już ma oderwać nogę majtkowi, topór Juljusza, ciśniony pewną ręką, przebija cielsko straszydła i zmusza go do zwinienia się na bok, co daje czas Jan-Janowi dostania się na łódź.

— Dobrego apetytu, mój milutki! rzecze do żarłoka, który unosił z sobą zabójcze żelazo, dobrego apetytu! Jestem bardzo chudy, miałbyś niegodziwą ucztę, a teraz pośnadasz lepiej z tym żelaznym hakiem, co ci Julja postąpiła jakby dębaczkę do zębów.

— Julja! zawołali razem wszyscy majtkowie, zwracając ku młodej dziewczynie wzrok ciekawy i zuchwały.

— Tam do licha! rzecze Jan-Jan, — ale już powiedział i nie odwołam tego. Tak, moi przyjaciele, ten majtek jest majtką, i niech mi kto z was dowiedzie, że ma serce mężniejsze i ramię dzielniejsze.

— I głowę piękniejszą, rzecze Kanal, jeden z najzuchwalszych łotrów *Błyskawicy*. Dla tego chcę ją uściskać i ochrzcić majtkiem pierwszego rzędu.

— Stój! zawołałem wtedy, stając z pugią w rękę pomiędzy Juljuszem i Kanalem...; jeżeli krok dalej postąpisz, zginąłeś.

— Nie przeszkadzaj mu, rzecze tonem spokojnym młode dziewczę. Rekin jeszcze płynie za nami, i jeśli Kanal krokiem się zbliży, rekin będzie miał śniadanie.

Krwawa scena nastąpiłaby bez wątpienia na szalupie, gdyby w tém trąbka Kapitana, wydająca rozkazy, nie dała się słyszeć, i nie uciszyła wzburzenia bandytów. W kilka minut potem byliśmy wszyscy na *Błyskawicy*, i opowiadaliśmy rozmaite wypadki naszej wycieczki na ląd i naszego powrotu.

Pobył Juljusza na pokładzie *Błyskawicy*, stawał się odtąd niepodobnym. Bavastro pojął to, i kazał skierować po raz drugi ku

Teneryffie, gdzie chciał wysadzić na ląd szlachetne dziewczę. Nazajutrz, zarzuciliśmy znowu kotwicę przed Świętym Krzyżem, i rozkaz był dany łodzi wysadzenia na brzeg tej odważnej dziewczyny, o której może jeszcze będzie mowa w ciągu naszego opowiadania. Długo trzymaliśmy się za ręce; długo spojrzenia nasze nie mogły się od siebie oderwać; serca nasze były jedném i tém samym uczuciem; pożegnanie nie mogło być wieczném.

— Szczęśliwy przypadek umieścił nas jeden obok drugiego, rzekła do mnie głosem wzruszonym; zobaczymy się jeszcze, Jakobie; jak myślisz?

— Myślę, że my się rozstajemy, odpowiedziałem, i pewność nieszczęścia obecnego, nie dozwala mi nawet pocięchy na przyszłość.

— Zle robisz; są rzeczy, które się koniecznie stać muszą; domyślamy się ich nie pojmując jakim sposobem się staną. Ziemia jest wielka, to prawda; a przecież myśl wędrowna przebiega ją w jednej sekundzie; niepodobna, gdyśmy się raz spotkali, żebyśmy się nie spotkali jeszcze tam lub ówdzie; nie jesteśmy popychani przez tę potęgę niewidomą, niezmienną, wieczną, kierującą światem? A więc, Jakobie, nie mówię do ciebie: *Żegnaj cię*, ale *Do zobaczenia!* Gdybym nie miała wiary w te słowa, nie opuściłabym cię.

Walka stawała się coraz trudniejszą. Gdybym był jeszcze dłużej pozostał przy Julji, z pewnością zbiegłbym z okrętu. Pojmowałem z resztą że moja obecność przy tej młodej dziewczynie będzie może przeszkodą w jej zamiarach, których mi nie powierzyła; złożywszy więc na bladém jej czole moje braterskie pocałowanie, opuściłem ją opartą na ramieniu Jan-Jana zalewającego się łzami. Juljusz poszedł do bankiera, którego mu wskazano; ja zaś poszedłem wyszukać sobie domu zajezdnego, gdziebym przepędził noc i zkądbym nazajutrz mógł udać się na wycieczkę po wyspie i dostać się na sławny cypel, którego wybuchy dają się uczuć niekiedy aż na wyspach Azorskich i Zielonego Przylądku.

Nazajutrz zrana pukałem do drzwi bankiera Julji.

— Ten majtek oddalił się przed chwilą na statku Angielskim, żeglującym do Brezylji, powiedział mi naczelnik domu.

— Dobrzeż on noc przepędził? czy zdawał się być szczęśliwym przy odjeździe? zapytałem bojaźliwie bankiera.

— Gdzie tam! biedny chłopiec nie zasnął ani na moment; pisał on do samego rana, i oto dwa listy: jeden do Londynu, drugi do jakiegoś Senjora Arago, któremu mi trudno będzie go przesłać, bo nie ma adresu.

— Jestem tym Arago, rzekłem chwytając list, w którym przeczytałem następującą wyrazy:

«Przyjacielu! Jestem pewną, że przyjdiesz jutro. Piszę do ciebie, nie dla tego, iżby ci powiedzieć, że myślę o tobie, ale, iżby się utwierdzić w tej myśli, że zobaczymy się kiedyś. Nadzieja, jest to szczęście; bądźmy szczęśliwi, Jakóbie!»

Rezygnacja jest także enotą. Przyjąłem mężnie to osamotnienie, i we dwa dni potem, poczyniłem przygotowania do wycieczki na wyspę. Nauka jest zawsze pociechą.



IX.

ŻUANITA— WSTĄPIENIE NA CYPEL—HURAGAN.

— Czy nie zrobimy wielkiego głupstwa tak bardzo zbliżając się do słońca? zapytał mię Jan-Jan z głębokim westchnieniem, kiedyśmy minęli ostatnie domy Św. Krzyża.

— Dla czego głupstwa? odrzekłem mu z dobrocią.

— Do licha! tutaj nam już dość gorąco, a cóż dopiero jak wstąpimy wyżej, będziemy wyglądać jak raki pieczone.

— Oho! mój biedny chłopcze, jak wstąpisz na górę, to będziesz chuchać w palce.

— Wyznaję, Panie Arago, że nie jestem uczonym, ale nigdy nie uchodziłem za głupca, i nie dobrze z Pańskiej strony, żartować tak z dzielnego majtka, który wprawdzie nie wynalazł prochu, ale radby w każdym razie użyć go w potrzebie na obronę twoję.

— Ja nie żartuję, mój Jan-Janie. Na cyplu będzie nam zimno, i im więcej zbliżymy się do słońca, tém bardziej będziemy dzwonić zębami.

— Masz go! rzekł mój majtek nieco zdetonowany, czyż im więcej zbliżam się do zapalonego drewna, tém większy chłód czuję? A słońce nie jestże okrągłym drewnem, które pali się ze wszystkich stron?

— Tak jest, mój chłopcze, ale słońce jest oddalone o trzydzieści ośm milionów mil od ziemi. Jedna lub dwie mile nic nie stanowią. Tam wysoko powietrze jest rzadsze niżeli tutaj; cypel nie zatrzymu-



je ciepła, jak grunt, po którym chodzimy; tam na górze nie znajdziesz ani kwiatów ani krzaków, które u nóg naszych rosną, i przekonasz się, mój dobry przyjacielu, że w rzeczach poważniejszych nieżartuję nigdy z ciebie.

Jan-Jan zachlipał na znak wdzięczności. Wzrok jego zalany łzami zwrócił się ku mnie z pełną uszanowania tkliwością; powoli wstępowałam dalej na górę.

Szedłem tak z ośm czy dziesięć minut, kiedy postrzegłem że mój wierny majtek pozostał w tyle. Zawołałem nań, żadnej odpowiedzi; wróciłem więc nazad dla zobaczenia eo go zatrzymało. Na łące obok drogi, ogrodzonej pięknym płotem z granatów kwitnących, które wydawały rozkoszną woń, ujrzałem go siedzącego nad strumieniem, w którym młoda wieśniaczka połała dwie kozy. Jan-Jan wdał się z nią w rozmowę.

— Jestem pasterką kóz, rzecz piękne dziewczę.

— Patrzno! to śmiesznie, myślałem że jesteś ich właścicielką, odrzekł Jan-Jan, zmiękczając głos swój o ile zdołał.

— To nie dziw! bo zkądżebyś o tém wiedział? nie każdy zgaduje eo chce, a pozory mogą nas mylić.

— A zatém, rano, prowadzisz twoje ładne kozeczki do pojenia; i wieczorem toż samo czynisz?

— I nazajutrz toż samo rozpoczynam, a koniec roku przybywa tak dla mnie jak dla ciebie.

— Ale wichrów, cisz, burz, trąb morskich, ciosów siekiery i wystrzału pistoletów, tych miłych zabawek mojego stanu marynarskiego, nie znaszże wcale?

— Nie znam, odpowiedziała młoda wyspiarka, która się ożywiła stopniami. My mamy wybuchy wulkanu, trzęsienia ziemi, pogórki zniżające się i kryjące czoło, doliny podnoszące się i stające się górami, drzewa nachylające się do samej ziemi i podnoszące się, jakby na rozkaz Przedwiecznego..... potem słońce z nowym blaskiem świecące, roślinność bujniej zieleniejącą, domy odnawiające się, mieszkańców nie żegnających się już z taką pobożnością, mnichów nie błogosławiających już z taką gorliwością....; wszystko to, Senjorze, ma swą wspa-

niałość i wielkość, wszystko to pełne okazałości jak wasze burze i trąby morskie.

Byłem w upojeniu. Mowa tak czysta, tak barwna, tak czucia pełna w ustach wieśniaczki, pastérki kóz, zdawała mi się być kłamstwem, sprzecznością, prawie niepodobieństwem. Słuchałem wszystkimi zmysłami, byłem olśniony, nie chciałem nie stracić z tej rozmowy, obiecującej mi wzniosłą naukę.

Postać młodej Hiszpanki zapowiadała wczesnie rozwiniętą pojętność. Czytałeś w jej orlém oku potęgę i mężkość w zupełnej zgodności z dzikimi skałami krajobrazu nas otaczającego.....; czoło szerokie, warkocz czarny, połyskujący, w lekkie kędziory zwiniony, i wabnie powiewający na jej ramionach nagich i opalonych. Nigdy nie widział kształtniejszych i wydatniejszych rysów nosa; nigdy zębów bielszych, ocienionych bardziej różanemi usty. Nie mogłeś wstrzymać krzyku uwielbienia na widok jej malutkich rączek, których cieniutkim paluszkom bardziejby przystał bogaty wachlarz, niżli sęgowata pałeczka, przy której ubożuchno wyglądały.

Jej kibić szesnastoletnia była tak giętką, że wpadała w oko od razu, i gorset jej obejmujący popiersie, równie jak różnokolorowe spódniczki, co jej spadały po za kolana, zdawały się wykazywać tylko bogactwo kształtów tej dziewczyny pierwotnej, na którą słońce ciskało nadaremnie swe najgorętsze pociski. Jan-Jan patrzył na nią bez uwielbienia; od czasu do czasu tylko głębokie westchnienie wyrывało się z jego piersi; ocierał oczy swą marynarską koszulą, i po kilku chwilach milczenia, podczas których Żuanita (wabiła się bowiem Żuanita) przedrzeźniała małego świerszczka; zawołał:

— O gdyby P. Arago był tutaj!

— Któż to jest ten Senjor Arago? zapytała pastérka tonem obojętnym.

— O! nie jest to żaden Senjor; jest to sobie człowiek, który ze wszystkimi władzi, na wszystkim przestaje, ale który nie lubi ani wina ani wódki. Jest to uczony, co czyta w najgrubszych książkach bez syllabizowania, i samemi tylko oczyma.

— I gdzież on teraz?

— Tu blisko ciebie, młoda dziewczyno, odpowiedziałem zbliżając się do pięknej Hiszpanki; a skoro cię zobaczyłem, nie mam siły strofowania mojego towarzysza podróży. Powiedz mi, mówiłem dalej, obracając się do majtka, czy nie znajdujesz, że Żuanita podobna do kogoś z naszego okrętu?

— Tak, przepraszam, za pozwoleniem Pańskim, do Juljusza, na przykład; ale Julusz jest piękniejszą, a wieśniaczka piękniejszym; on, rzekłbyś że to ona; a ona, rzekłbyś że to on.

— Wytłómacz się jaśniej.

— Chcę powiedzieć, że chłopiec ma minę pięknej dziewczyny, a dziewczyna ma minę pięknego chłopca. Ale, ale, mówiłem dalej tonem zarozumiiałym, obracając się do pastérki, czy nie włąziłaś nigdy na cypel, z którego się podnosi wielki maszt dymu?

— Więcej niż dwadzieścia razy; służę często za przewodnika podróznikom.

— Było ci tam gorąco, nieprawdaż?

— Przepraszam; tam na górze wieczne śniegi, i ręczę ci, że przybywszy do Kanadów, poprosisz mię czém się okryć. Droga zima wstępuje razem z tobą i nie opuszcza cię za powrotem aż tam, gdzie latają motyle i kanarki, tak bojaźliwe, które uciekają od siatek i morderczego prochu.

Co raz więcej zdziwiony, odważyłem się na zapytanie, na które chciałem stanowczej odpowiedzi:

— Czy nie mogłabyś mi wyświadczyć jednej przysługi, Senjoro? zapytałem bojaźliwie Żuanity.

— Jakiéjże to JW Panie? odpowiedziała mi, spuszczać swé wielkie oczy czarne i pełne wyrazu.

— Idzie o to, żeby nam służyć za przewodnika dla dostania się aż do téj kolumny dymu, co się tam wznosi, wznosi wysoko....

— Czarna jak dusza potępionych, dokończyła Hiszpanka, w swéj mowie poetycznej.

— Jakże to, odpowiedziałem, nadajesz kształt duszy?

— Potrzebaż sobie wyobrazić coś pod pewnemi kształtami, żeby o tém mówić.

— A jakże tedy wyobrażasz sobie Boga?

— O! On, jestto On, odpowiedziała mi przeżegnawszy się. On, jestto wiatr co szumi; jestto morze, co huczy; jestto Wulkan, co grzmi; jestto słońce, co czyni dojrziałemi winną jagodę i owoce; jestto niezliczona moc gwiazd wiszących nad naszemi głowami; On, jestto świat, jestto On. My wielbimy Go we wszystkiém, ale nieśmiemy nadawać Mu kształtu.

— Czy to zakonnik z Św. Krzyża nauczył cię tych wielkich rzeczy?

— O nie, zakonnicy z miasta są nadto uczeni. Kiedy przychodzą kazać po wsiach, my ich nie rozumiemy. My tu jesteśmy prawie zawsze samotni; myślimy, myślimy dużo, a co wiemy, wstępuje z serca do głowy.

— Twój ojciec i twa matka niczegoż cię nie nauczyli?

— Owszem, nauczyli umierać. Straciłam ojca, a we dwa dni matkę, już temu cztery lata. Za całą rodzinę, mam teraz tylko te dwie kozy, co je Pan tam widzisz, poddające się swemu losowi tak jak ich pastérka.

Żuanita rzuciła się pobożnie na kolana, i po krótkiej modlitwie powstała uśmiechając się.

— Czy to modliłaś się za ojca i matkę? rzekłem do niej.

— O nie! modliłam się, żeby się mną opiekowali, mną, co przebiegam jeszcze drogę życia.

— Czy się nie modlisz za umarłych?

— Owszem; ale umarli modlą się więcej za nas; rzecz naturalna, że bogaci dają ubogim, a ci w górze są bogaci niebem i Bogiem.

Młoda dziewczyna nie opowiadała, ale wypowiadała. Ta słodka i tkliwa mądrość, przed którą ugiął się mój rozum, byłaż wyłącznie własnością téj młodej Hiszpanki, czy wspólném mieniem wszystkich dziewcząt Teneryffy? Dla czegożby to miało być wyjątkiem? Nie mogłem tego logicznie przypuścić i pojmowałem bardziej niż kiedy, że

wielkie zjawiska natury muszą podnosić duszę i odkrywać przed nią Boga świata. Żądając zbadać głębiej organizację tak szczęśliwą, powtórzyłem Żuanicie zapytanie, które już byłem jej uczynił, a które zostało bez odpowiedzi.

— Chceszże, rzekłem do niej z dobrocią, towarzyszyć nam aż do podnóża cyplu?

— Dla czegożby nie na sam szczyt? odpowiedziała mi tonem pewnością, zakrawającym na wyrzut.

— Dla tego, że się lękam, żeby twe siły nie zawiodły twojej odwagi.

— Nie jest to wymówka, Senjorze, ale nowa obelga. Rumienię się prawie, że muszę podnieść głowę dla zmierzenia wysokości tej góry z lawy, co utworzyła naszą wyspę, i co kiedyś, jutro może, straci ją w otchłań.

— Prowadź nas, Żuanito, rzekłem, wyciągając do niej rękę.

— Cóż mi Pan dasz za to?

— A cóż chcesz?

— U nas, córek starożytnych Guanszów, nie ma tego we zwyczaju, żeby odpowiadano pytaniem na pytanie.

— Dam ci dziesięć piastrow więcej, niżeli będziesz żądała, odpowiedziałem, zasmucony myślą jaką przypisywałem Żuanicie.

— O! przyjmuję, odpowiedziała mi, wydając krótkie gwizdnienie, pojęte od razu przez posłuszne kozy. Przyjmuję, Senjorze, i jeśli widzisz mię tak radą, to dla tego, że teraz będę miała czém opłacić dwa piękne kamienie i dwa wielkie krzyże, które chcę umieścić na grobach mojego ojca i mojej matki.

Towarzyszyliśmy Żuanicie aż do drzwi jej chatki, której gromada drzew figowych nie dozwalała nam pierwój dostrzedz. Pozdrowiła staruszkę swą sąsiadkę, poleciła jej pieczy swe kozy ulubione, i w pięć minut wybrała się z nami w głąb wyspy. Ofiarowałem Żuanicie miejsce przy mnie na mule: podziękowała mi za to skinieniem głowy, i delikatną swą nóżką stąpała dalej o kilka kroków przed naszymi mułami.

— Cóż myślisz o tej dziewczynie? zapytałem Jan-Jana, który cierpiał dużo, bez wątpienia, z powodu przymuszonego milczenia, w jakim dotąd zostawał.

— Niech mię Bóg zachowa myśleć o niej cokolwiek, odpowiedział mi mruczając pod nosem. Męczyłbym siebie niepotrzebnie, gdybym chciał to sobie wytłómaczyć, a nie chcę chwytąć się rzemiosła Kapitana Bavastra; wolę pozostawić rzeczy takimi, jakimi są, i kobiety, jakimi chcą być.

Nie mam potrzeby mówić ci o drodze pełnej kamieni, kręto wijącej się już to pośród olbrzymich kasztanów, już pod splotami winnej maciecy, której grona mógłbyś ręką dostać. Wstępowaliśmy po znacznej pochyłości i wkrótce stanęliśmy w krainie obłoków. Pogoda była piękna, a chociaż upał dochodził dwudziestu ósmiu stopni Réaumur'a, Żuanita nie zdawała się nic cierpieć ani od upału, ani od niewygód drogi. Co do Jan-Jana, zdawało mi się że westchnienia jego były rzadsze i że przebiegał krajobraz cheiwem okiem: postęp był widoczny: cieszyłem się z tego bardzo. Prawie co chwila Żuanita pokazywała nam z pewnym rodzajem dumy bujną roślinność nas otaczającą, i od czasu do czasu przeskakiwała wądoł, brzegiem drogi idący, dla zerwania rośliny z grubemi liśćmi, pewnego rodzaju kaktusu, który dochodzi tu ogromnych rozmiarów. Podzielaliśmy jej skromną uczcę, i przybyliśmy niebawem do Orotawy, gdzie jest piękny ogród botaniczny, dziwnie okazały. Wspaniale wznoszący się cypel przyciągał ku sobie bezustannie olśnione oczy nasze. Byliśmy milezący, i ja sam stawałem się powolnym i rozważnym na widok tej ogromnej massy lawy, którą tysiące wstrząśnień wyrzuciło w powietrze, i którą jeden wybuch może pochłonąć na wieki.

W południe, po przykrém wstępowaniu, panowaliśmy nad równiną zwaną *las Canadas*, smutną, pustą, gdzie niegdzie licho usiana krzakami janowcu, krzewu kolezatego, którego wierzchołek wznosząc się o pięć lub sześć stóp od ziemi, szarzeje na gruncie żółtawym, złożonym z drobnego pumeksu i obsydjanu.

Jesteś tu w *las Canadas*, daleko już od tej bogatej roślinności zwrotnikowej, której pamięć tak miło się przechowuje, a jed-

nak przyjaźnie witasz tutaj tysiące motylów o świetnych kolorach, krążących swawolnie w około ciebie. Należy przypuszczać, że dla pokarmu, wąż te owady w pewnych godzinach spuszcza się gromadami na dół, i podnoszą się potem znowu dla zmiany klimatu, nie stałe i wędrownie jak ludzie.

Oto już ośm godzin jak jesteśmy w drodze, a przebyliśmy za ledwo trzy mile. Żuanita szła ciągle. Nie odwracała ona już głowy, z bojaźni zapewne, żebyśmy nie pomyślili, że już ustaje na siłach. Okazałem się wspaniałomyślnym: zawołałem ją po imieniu tonem uprzejmym, i powiedziałem, że chciałem zatrzymać się dla odpoczynku na płaszczyźnie, do której właśnie przybywaliśmy, zwaną od krajowców *Stanza de los Ingleses*.

— Pojmuję te wyrazy, rzekł do mnie Jan-Jan. Mają one oznaczać miejsce odpoczynku czerwonych mundurów; ale pewny jestem, że nie są oni czerwieniami od mojego czoła, co się potem oblewa, i od rąk, których skóra zaczyna się łupać. Wszakże, Panie Arago, mówił dalej, możesz mieć rację; gorąco dojmuję tu mniej niżeli tam na dole, i wyznaję, że mogłem pobłądzić rozumiejąc, że można się upiec bliżej słońca.

Wiatr się zmienił, i w pięć minut potem, zimno tak dojmujące nas przejęło, że musieliśmy rozpalić wielki ogień. Spojrzałem na mój ciepłomierz: wskazywał on jeden stopień niżej zera, i Jan-Jan nie zaniechał zrobić uwagi, że to było rzeczą dość ciekawą, iż żywe srebro zniżało się w miarę tego, jak my wstępowaliśmy na górę. Żuanita zapytywała nas wzrokiem i zdawała się być szczęśliwą, widząc jak się cieszymy widokiem okazałym, rozwijającym się przed nami.

— Czy często byłaś świadkiem tak nagłej zmiany temperatury? zapytałem Hiszpanki z ciekawością.

— Och! Senjorze, odpowiedziała mi, zdarzało mi się często drżać od zimna i piec się kolejno dwa lub trzy razy na godzinę, i nie dla mnie dziwnego nie będzie, jeśli przed upływem dwóch minut, będziemy zmuszeni wyrzec się dalszego wstępowania.

— Natychmiast chcę cię przekonać, że się mylisz, odpowiedziałem; gdyż oto cypel, którego dosięgliśmy podnóża, i wnet się wdrapię na niego.

— Nie rób tego, Senjorze; źle będzie, kiedy noc cię zaskoczy tam na górze. Oto słońce już zachodzi nawet dla nas, a potrzeba ci dwóch godzin jeszcze, żeby się wdrzec na tę piramidę ruchomych popiołów, gdzie ugrązniesz często po kolana.

— Pasterka ma słuszność, rzekł mi Jan-Jan. Przepędzimy noc tutaj, Panie Arago. Przy tym ogniu, pod tém pokryciem nabierzemy sił na jutro rano: robota będzie ciężka, ale cieszę się wcześniej, że nie usłyszę świszczącej pletni Kapitana.

Na przekor, począłem wstępować na cypel. Żuanita ścisnęła ramionami, będąc pewną, że wkrótce zaniecham mego przedsięwzięcia, i zwracając się do mnie, rzekła:

— Idź Pan, idź, zobaczysz że rychło zstąpisz. Są tam rozpadliny i ostre boki utajonych skał, których trudne i niebezpieczne przebycie znane jest małej liczbie tutejszych przewodników. Krok w lewo, jesteś zbawiony; krok w prawo, zgubiony.

— A więc w takim razie, rzekł Jan-Jan z komiczną naiwnością, nie ma innej rady jak zostać po środku.

— I cóż z tego za korzyść? odrzekła Hiszpanka, w takiem położeniu nie jesteś ani zgubiony, ani zbawiony.

— To prawda. Co też za cieleć ze mnie, rzekł majtek przez zęby. Gdyby Kapitan mię posłyszał, jużbym poczuł jego pletnię na plecach.

— Aha! sądziłeś Pan, rzekła do mnie Żuanita szyderezym głosem, po mojej bezskutecznej próbie, że się przychodzi tutaj dla przechadzki?

— A właśnie dla tego tu jesteśmy, odpowiedziałem tonem na wpół żartobliwym, żeby ukryć zły humor z powodu niepomyślnego wypadku moich usiłowań.

— Jeśli to ma być przechadzka, odpowiedziała dziewczyna, gdzież ten grunt twardy, po którymby noga stąpać mogła? gdzież drzewa, coby cię osłaniały? gdzież droga wydeptana? gdzież młoda panienka,

którą śledzisz okiem? Przechadzka przynosi rozrywkę, orzeźwia, rozwesela, a zdaje mi się, Senjorze, że z mordowanie daje się postrzegać na tobie.

— No, po części to robimy i dla nauki.

— Czegoż się tu nauczysz? że ten kraj jest dziki? każdy to wie.

— A więc i my chcemy wiedziéć jak i każdy.

— A potem, pomyśl Pan, że potrzeba iść cztery godziny, nim się dostanie na wierzchołek.

Zdawało mi się, że posłyszałem szum wiatru północnego. Była to pierś Jan-Jana, co się rozszerzała i ścieśniała na tę groźbę młodej Hiszpanki.

Dwie szczupłe płaszczyzny z lawy były naszą posiadłością: jedna, na którą puściliśmy nasze muły; druga służyła dla nas. Wzywaliśmy słońca, ale zimno nie dozwoliło mu wysłuchać nas, a straszliwe pomocniki surowej temperatury, miliony pcheł nie dawały nam pokoju. Jakaż to wążsająca się i nieszczęsna karawana obdartych cyganów, posiadała na tej wysokości te nieubłagane owady, których zimno nie zdoła wytepić?... O moi mili czytelnicy, co będziecie zwiedzać kiedy Cypel, nie zatrzymujecie się w *Stanza de los Ingleses*, jeśli czas wam pozwoli; gdyż po godzinie pobytu, nogi wasze będą nosić ślady tysięcznych żądań tych niedostrzeżonych wrogów, co tak często napastują wędrowca w gorących miastach Hiszpanji.

Pomimo to jednak byłem zadrzémał. Około północy, zimno i pcheły przebudziły mię: ujrzałem widok prześliczny. Wszystko było milezącem wokoło mnie. Tam, tam daleko Ocean; u nóg moich miasta zbudowane z lawy; nad głową, cypel z swemi fantastycznemi wstęgami dymu, rzucający od czasu do czasu światelko niepewne, blade; a wyżej jeszcze, sklepienie Niebios, usiane błyszczącemi gwiazdami, iskrzącemi się blaskiem wzrok rażącym. Był to obraz czarujący i religijny razem, pobudzający do skupienia ducha. Byłem tam, można powiedzieć, sam jeden, bo sen nieopuszczał moich przyjaciół. Zwróciłem się mimowolnie myślą ku tej ojczyźnie nieobecnej, której seree nie porzuca nigdy. W mojej żywej wyobraźni, zdawało mi się,

że widzę ją wznoszącą się z pośród fal; witałem ją ręką, i modliłem się, żeby mi była kiedy wróconą ze wszystkimi swemi bogactwy i całą swą chwałą.

Przebudźmy się jednak, odpędźmy daleko od siebie te myśli, które mogą ostudzić zapał do dalekich wędrówek.

Oto jesteśmy już na nogach, i gotowi wdrzec się na ten szczyt panujący, który Montblanc, Chimborazo i Himalaya zdetronizowały, kiedy nauka zbadała te najwyższe szczyty świata.

Depezymy nogą płaszczyznę *Alta Vista*, rodzaj podwórka, od dziesięciu do dwunastu metrów (1) powierzchni, zamkniętego stosami głazów obsydjanu i bazaltu.... Teraz, niemasz drogi, niemasz ścieżki, i chociaż zaledwo dzień jeszcze świta, Żuanita wskazuje nam drogę głosem i giestem z dziwną zręcznością i śmiałością dzikiej kozy.

Dalój śmiało! Żuanita nas zachęca, pobudza, i oto już jesteśmy w *Cuera de las Nieves*. Wyśmienicie! miano Hiszpańskie! Anglik nie zdołał ochrzcić po swojemu tego pysznego stanowiska, gdzie zatrzymujemy się na chwilę.

Oto część pieczary, gdzie można zstąpić na ośm metrów w głąb?

Żuanita pierwsza w nią wskoczyła za pomocą sznura, który z sobą przyniosła. Poszedłem za jej przykładem i kazałem Jan-Janowi, żeby nam towarzyszył.

— Na cypel, bardzo chętnie, rzekł do mnie tonem stanowczym, ale w cypel, dziękuję za łaskę; na wieloryba, gotów jestem, ale w wieloryba, nie głupim, nie polazę.

— Tehóru! krzyknąłem nań groźnie.

Na to słowo, Jan-Jan rzucił się ku otworowi, i o mało co nie wpadł do niego, żeby nie sznur opiekuńczy: są wyrazy, które uderzają ludzi odważnych jak pchnięcie szpady.

Jaskinia ta jest izbą nieregularną, mającą dziesięć stóp średnicy. Nie przedstawia ona nic ciekawego oku badacza: mnóstwo na-

(1) *Metr*, miara francuzka, téj samój prawie długości, co arszyn.

zwisk francuzkich, hiszpańskich, angielskich nadewszystko, okrywa ściany. Niewolniczy naśladowca tych płochych turystów, odrysowałem na odłamku gładkiego bazaltu portret Cesarza, pod którym położyłem następny czterowiersz:

Podbił on świata połowę

Przez cnoty swoje,

Ma on serce, jak głowę,

Ala Titus oboje.

Byłem wtedy młody jeszcze, a już czułem w sobie chętkę do tych igraszek słów, od których potem tak trudno mi było odwyknąć. Dodaję, jako wspomnienie podróżnika z lat późniejszych, że w piętnaście lat później, znalazłem w jaskini portret i czterowiersz w całości zachowane, i jakiś nieprzyjaciel mojej reputacji człowieka poważnego, zdradziecko skreślił moje nazwisko pod rymami i rysunkiem..... Może się on teraz dać poznać; nigdy nie miałem zwyczaju zachować długu urazy.

Bujaliśmy nad niezmierną przestrzenią: a w tém krąg jasny odbija się u wierzchu ściany skalnej; zieloność żywsze przybiera barwy; gwiazdy nikną, i tarcza słońca wznosi się po nad światem. Wschód słońca w krajach zwrotnikowych, zwłaszcza kiedy panujesz nad widnokregiem z wysokości czterech tysięcy metrów, jest jednym z najwspanialszych, jaki spotkać może podróżnego. Ukazał się on nam w całej swój świetności: niebo coraz czystsze, przyroda jakby swobodniej oddychająca, morze rozścielające swe mgły przezroczyste, i olbrzymia gwiazda wstępująca coraz wyżej, obejmująca przestrzeń i wracająca światu jego odwieczną ozdobę. Gromadny chaos lawy wyrzuconej tutaj, w przystępie poetycznego humoru, zastąpił nam widok Cyplu. Wkrótce wdzieramy się z trudnością po stromiej pochyłości, i dostajemy się nakoniec na *Vista del Piton*, płaszczyznę kołistą otaczającą podnóże Cyplu, który zupełnie jak głowa cukru wznosi się prostopadle nad nią.

Tu napotkaliśmy trudności niezmierne: byliśmy znużeni drogą długą i przykrą, a tu spostrzegliśmy, że grunt, po którym mieliśmy stapać, był całkiem sypkim, gdyż się składał z popiołów, szczątków

żwirowatych, pumeksu pomieszanego z skalistemi odłamkami. Za radą Żuanity, nie szliśmy jeden za drugim, gdyż spadanie kamieni, spowodowane włożeniem na przedzie będącego, mogłoby się stać zgubniem dla zostających z tyłu; wstępowaliśmy przeto na ostatni wierzchołek góry Olbrzyna, jeden obok drugiego, w téjże samej linii, jak żołnierze do boju, zapadając często w popiół prawie po kolana, i unikając o ile możności, gorących wyziewów dymu, który się wydobywał z licznych szpar tego wulkanicznego komina. Często bryły skalne obrywały się pod naszymi nogami, toczyły się aż do płaszczyzny *Vista del Pi-ton*, i my winszowaliśmy sobie, żeśmy przedsięwzięli środki dla uniknięcia uderzeń tych zabójczych pocisków.

Jan-Jan i ja doznaliśmy tu szczególniejszego symptomatu: krew nam z nosa płynęła obficie. Żuanita uśmiechając się, powiedziała nam, że prawie zawsze była świadkiem podobnych skutków u podróżników wszelkich narodów. Fakt ten stwierdziłem własnem doświadczeniem. Dodam jeszcze że nasze flaszki skórzane doznały nadzwyczajnego rozszerzenia..... Jeszcze jedno wysilenie i panujemy na pokrésowanym szczycie Wulkanu. Otóż na nim jesteśmy! Przed nami obraz uderzający wspaniałością; dumni jesteśmy ze swojego zwyczajtwa. Wczoraj, podczas naszego wstępowania, widzieliśmy już obłoki pod naszymi stopami, jak biegały pędzone swawolnym powiewem wiatru; jak igrały w powietrzu, i przedstawiały zdziwionemu oku, jakby ogromne stada błakające się, których przerwy wypełniało błękitne morze, niknące aż u kresu wątpliwego horyzontu..... Dzisiaj przestrzeń powietrzna zmieniła swą postać: jestto niezmierne pole śniegu bez żadnej prawie odmiany, zachowujące nieruchomość martwej natury.

Ale inne przedmioty ważniejsze, dotykalniejsze, zwracały na siebie moje oczy i uwagę. Piękna bo to rzecz do widzenia to wspaniałe panorama, po którym stąpaliśmy w téj chwili; dla tego każdy z nas oglądał ją z jak najpilniejszą uwagą: Jan-Jan zapatrywał się oczyma; ja, głową; Żuanita sercem.

Co niżej obłoków, zupełnie niewidome naszemu oku. Zapatrujemy się na szczyty jakby wiszące w powietrzu: ku wschodowi rozciąga się obszerny amfiteatr; ku zachodowi wznoszą się liczne kra-

tery, z których jeden szczególnie zdaje się panować nad swemi sąsiadami i grozić przewagą temu, który ciągle ściąga na siebie uwagę podróżnika.

Obwód tego ostatniego, zwanego *Teyol* od krajowców, może mieć dwieście pięćdziesiąt do trzystu metrów obszerności. Jest on podniesiony ku północy, wykrojony i wydrążony ku południowi. Wklęsłość jego jest półkole próżne, głębokie na jakie pięćdziesiąt metrów z jednej strony, a na dwadzieścia pięć do trzydziestu z drugiej. Wstąpiłem w nią i przebiegłem w rozmaitych kierunkach; stanąłem nawet u samego otworu krateru. W około mnie wznosiły się kłęby dymu przesiąkniętego siarką. Czułem mocne gorąco, podobne do tego, jakiego doznajemy zbliżając się do palącego się pieca. Wulkan zdaje się być uspionym, ale okazuje się zawsze groźnym. Co chwila daje się słyszeć przeciągły huk, i pomimo woli, przyszedł mi na pamięć Plinusz u stóp Wezuwjusza. Miałem istotnie ważne przyczyny do obawy. Wyziewy siarczane tamowały niekiedy mój oddech; w końcu nie byłem pewny trwałości pokładu popiołu zalegającego otwór ogniorzutny.... Może dzień niedaleki, w którym gniew wulkanu, rozciągając swe ramiona na wyspę, usprawiedliwi nieszczęściem moje smutne przeczucie.

Tupiąc nogą po tym gruncie płonącym, wydobywaliśmy z niego gorące wyziewy, i o cal od powierzchni ogień był tak silnie działający, że można było zapalić cygaro. A jednak na wieleż to tysięcy metrów u spodu wre lava, która wyrzuca tak wysoko swą gorejącą parę! Usiedliśmy na części najwznioślejszej i najskalistszej brzegu krateru, i kiedy przez nasze odzienie na wpół spalone doznawaliśmy przykrego gorąca, inne części ciała, wystawione na działanie rozrzedzonego powietrza, doznawały dojmującego zimna. Jakby wyzywając Wulkan, zasiedliśmy do śniadania. Postawiliśmy pasztet na łożku skały *Piton*, otoczyliśmy go jakby żołnierze przystępujący do szturm, i w kilka minut potem nie zostało ani śladu zniesionej ze szczętem fortecy. Wychyliliśmy toast za powodzenie naszego przedsięwzięcia: obietnice i modlitwa miały wkrótce nastąpić po radości i wyzwaniach.

Wszystko było obejrzaném , wszystko zrozumianém. Żaden ze szczegółów godnych pamięci nie uniknął moich śledzeń; a jednak nie myślałem jeszcze o powrocie, tak był szczytnym ten widok , którym oczy moje upajały się z trudną do uwierzenia chciwością, gdy w tém Żuanita, stojąc na ogromnym odłamie czerwonawej lawy, zawołała głosem przenikliwym:

— Uchodźmy ! towarzysze , uchodźmy prędko ! inaczej zgubieni jesteśmy ! Zstępujmy co najprędzej, szukajmy, znajźmy jakie schronienie , bo inaczej uniesieni będziemy jak szmatki piany.... Uciekajmy ! albo żaden z was nie ujrzy grobu swojej matki, ani ja grobu mojej !

— Oszalałaś, rzekłem z płaszczyzny, na której stałem , oszalałaś Żuanito. Tu można łatwo dostać zawrotu głowy, przeto pojmuję twe niedorzeczne gadanie; ale niebezpieczeństwo, gdzież ono jest? nigdzie, to pewno.

— Wszędzie, Senjorze Arago: nad naszemi głowami, pod naszemi stopami! Ręka Boga tylko może nas wyrwać od śmierci, co nam wsząd grozi.

Wsunąłem natychmiast ostrze mego puginału w powłokę krateru i wyjąłem go po chwili dymiący się i gorący.

— Mylisz się, rzekła do mnie Hiszpanka, zważając na wszystkie me ruchy: niebezpieczeństwo nie ztąd naprzód pochodzi. Czy widzisz tam daleko, na widnokręgu, plamkę białą, prawie niedostrzeżoną, co wznosi się powoli, powoli, jakby się wydobywała z trudnością z łona wód? Otóż więc, ten obłoczek ma ramiona silne, którym najtęższe drzewa zaledwo oprzeć się zdołają; ma głos donośny i potężny, przed którym drżą wierzchołki gór: i to dobrodziejstwo Nieba, kiedy człowiek opowiedzieć jeszcze może klęski, jakie on zadał.... Patrz, jak się rozszerza, jak ciemnieje; gniew jego będzie straszliwy!.... Uchodźmy ztąd , albo nie powiecie już nikomu, że wdarliście się na Cypel tej wyspy z lawy, i przechadzaliście się po jej milczącym kraterze!

Posłuchaliśmy słów, albo raczej rozkazu Żuanity, i w kilka minut potem ujrzelśmy się u stóp tej głowy cukru z popiołu, na którą

z takim trudem wdrapaliśmy się. Żadnego obłoku na niebie, prócz tego, którym Hiszpanka nam zagroziła. Słońce błyszczało na widnokręgu, ale promienie jego dochodziły blade i zimne z mieniającej się jego twarzy. Z zadziwieniem i przestraczeniem ujrzałem pręgi czerwone i fioletowe krzyżujące się w rozmaitym kierunku na jego powierzchni.

Jan-Jan, który nie ominął żadnej zręczności umieszczenia swego dowcipnego słówka, rzekł do mnie swoim żartobliwym tonem:

— To śmiesznie, to zabawnie! Słońce wygląda coś jak w tłusty wtorek. Przebrało się ono za księżyc, i zdaje mi się, że zieloność wygląda błękitnawo, a morze coś żółtawo: co by to miało znaczyć?

— To ma znaczyć, odpowiedziała Żuanita, która przyspieszała kroku, że huragan zbliża się szybko. Ma on tyle grzeczności, że chce nas ostrzedz, nim uderzy na nas z całą wściekłością.

— A więc on grzeczniejszy od Kapitana Bavastro, zamruczał pod nosem Jan-Jan, który w połowie tylko pojął słowa Hiszpanki, i leniwym krokiem ciągnął się za nami.

— Zatrzymajmy się tutaj, rzekła nam Żuanita, skoro dosięgliśmy podnoża ogromnej bryły bazaltu, pod którą dwanaście do piętnastu osób mogłoby się schronić. Czy słyszycie huk? Przyciśnijmy się jeden do drugiego, bo inaczej huragan nas porwie. Nigdy nie widziałam nieba bardziej rozdąsanego na ziemię: będzie to pięknie, będzie to szczytnie, jak zniszczenie, jak chaos. Słuchajcie! słuchajcie!

Prorocze słowa Żuanity spełniły się. Był to najprzód przeciągły szum, huk ponury, odgłos chrapliwy, przerywany, którego przyezyny trudno było odgadnąć. Krzaki trzęsły się, owady szybowwały po ziemi, skały wydawały lekkie drżenie od pierwszego natarcia huraganu, co jeszcze zachowywał miłczenie; wierzchołki gór majaczały i wydawały się zdala jak fantastyczne cienie, już to szarawe, już blade, podobne do płomieni okrytych ciemną zasłoną. Cała atmosfera iskrzyła się elektrycznością: szerokie wstęgi różnobarwnych odcieni przebiegały w rozmaitym kierunku. Nauka nie wyjaśniła jeszcze tych szcze-

gólnych dziwactw, tych zastanawiających usterek od normalnego porządku rzeczy na świecie.

Fizjonomia Jan-Jana przybrała charakter głupoty tak wyraźnej, że dawała wyobrażenie idjotyzmu w jego najsmutniejszym i najohydniejszym stopniu. Ja spozierałem w około badawczym okiem, żeby opisać później, gdyż wierzyłem w powrót. Wystawiałem sobie już huragan składający swój gniew u podnóża twierdzy, co nas osłaniała: tak zawsze myślałem w chwilach najkrytyczniejszych mojego życia, pełnego niebezpieczeństw. Co do Żuanity, była ona godną podziwu, tak jej twarz była spokojna i pogodna. W milczeniu patrzyła na przerywające widnokrąg błyskawice; niekiedy tylko można było dostrzedz ruchu jej czarnych gęstych rzęs, ocieniających jej wielkie oczy, przypatrujące się uważnie pierwszym pojawom burzy. Rzekłbyś, że to jeden z tych pięknych posągów rozmyślenia i swobody, spoglądających bez bojaźni na grożące niebezpieczeństwo, i zdających się wyzywać go. W kąciку ust swych trzymała małą cygaretkę, której nie paliła, ale którą się bawiła jakby kwiatkiem, gdy tymczasem ręka jej prawa, silnie oparta na zgięciu skały opiekuńczej, służyła jej za podporę przeciwko niespodzianym napadom wichru. Roztropność i odwaga chodzą z sobą często w parze.

A teraz cicho! Słuchajmy głosu burzy, co huczy i spada jak piorun, z tą różnicą, że piorun uderza w jeden punkt, gdy tamta zalega i ogarnia całą przestrzeń. Wulkan bierze udział w walce i nie chce pozostać z tyłu w tej powszechnej kłótni, gdzie woda, ogień, wiatr, są kolejną zwycięzcami i zwyciężonymi. Dészcz śnieżny, zimny, gęsty pada z przerażającą szybkością; rzekłbyś, że chce zgasić słup ognia, co się wydobywa z skalistej powłoki krateru. Ale wichur w swym olbrzymim pędzie porwa i płomień i dészcz nawalny; miesza je, rozprasza, znowu skupia, i w końcu pędzi pogrążyć się razem w falach Oceanu, co skacze jak tygrys rozjadły. Ogromne bałwany pyłu i żwiru, wstęgi ognia palące i siarczyste wiążą się koło nas, nad naszemi głowami. Dotąd trzymaliśmy się mocno jeden drugiego, podobni do trzech posągów bazaltowych, przytwierdzo-

nych do ziemi; ale ta drży, chwieje się i gwałtowne uderzenie wicheru rzuca nas w nieładzie na kupy piasku.

— Nie traćcie odwagi! zawołała Żuanita głosem przerywanym. Być zwyciężonym przez namiętności, to rzecz naturalna; ale pozwolić się zwyciężyć huraganowi, to niekzemnie, a każda niekzemność jest hańbą.

Posłyszałem te słowa i tylko co ścisnąłem za rękę odważną Hiszpankę, gdy w tém strumień wrzącej lawy, spływając po pochyłości góry, wije się wężykiem koło nas i spada kaskadą w jedną z rozpadlin wulkanu.

— Widzisz ten ogień, co płynie? rzekła mi Żuanita, wskazując ręką i spojrzeniem.

— Tak, widzę, zdaje mi się że strumień wzbiera co chwila.

— Mylisz się, Senjorze. To nie strumień, ale cała rzeka lawy wyleje się na nas, i wnet zapewne pójdę się połączyć z moim ojcem i matką.

Wściekłość burzy trwała ciągle. Widzieliśmy, jak kręciły się w powietrzu drzewa wyrwane i pogruchotane, odłamy skał wyrzucone przez dyszącego ogniem olbrzyma, których odbicie się wydawało łoskot, jakby grzmienie dział stu baterij. Jednym razem huk straszliwszy niżeli uprzednie zstępuje, zwiększając się od czasu do czasu, zbliża się, zdaje się nas pochwycić i z sobą unosić! Ziemia drży pod naszymi nogami! Widzimy z przestachem, a razem z podziwem ogromny odłam skały, padający o kilka kroków od nas i wydrążający swoim uderzeniem głęboką rozpadlinę.

— Bóg jest Bogiem! zawołała Żuanita, składając pobożnie ręce. Ocaleni jesteśmy przez to, co nas miało zgubić. Ta bryła rozpalona, co zagrażała naszym głowom, i co sobie wyrwała łożysko o kilka kroków od nas, jest naszą jedyną deską ocalenia. Nadała ona inszy kierunek potokowi lawy, i będzie nam teraz służyć za most, dla przebycia téj, co przecięła nam drogę..... Powiedziałam ci, Senjorze, Bóg jest Bogiem. Wyciąga On zawsze rękę pomocną temu, co prosi u Niego o uchronę dla świętych szczątków ojca i matki.

Te słowa wyrzeczone usty i sercem młodej dziewczyny, zaledwo dostyszane były od nas, tak ogłuszający był huk burzy! Snop ognia ciskany w powietrze przez Wulkan, wyrzucał z sobą ogromne bryły, które się tłukły z szalonym łoskotem; i kiedy lawa na chwilę uwięziona jakim podziemnym ciągiem, buchała znowu nowemi ogniami, zdawało się, że grób niezmierny roztwiera się pod twemi stopami. Zamykałeś oczy, żeby nie widzieć straszliwego chaosu, co cię lada chwila pochłonie.

Od trzech godzin trwał wybuch; od trzech godzin wiatr najgwałtowniejszy rozszerzał swe spustoszenia. Gdyby zmienił kierunek, już byłoby po nas; ale zgodny z lawą w niszczeniu, zgodny był z nią także w dozwoleniu nam opowiedzenia później tego zjawiska. Żuanita dobrze powiedziała: Bóg jest Bogiem. — W końcu wszakże natarczywość wichru zaczęła się zmniejszać; huk krateru coraz wolnieć. Zapytywałem samego siebie: jaki stosunek może zachodzić pomiędzy wstrząśnieniem atmosferycznym a tém wzburzeniem podziemnym, tak odległemi jedno od drugiego. Nauka milczy jeszcze w tym względzie. Wielu śmiałych dostrzegaczy, od czasów Plinjusza, przypłaciło życiem swe pełne niebezpieczeństw usiłowania. Clapperton, Boutin, Colomarde! Witam was! Kości wasze znalazły grób w płomieniach Hekli, Cotopaxi, i straszliwego Mowna-Kah, którego każdy wybuch wstrząsa Archipelagiem wysp Sandwich.

A Jan-Jan, cóż on robił, podczas gdy Żuanita i ja wypowiadaliśmy sobie wzajemnie nasze bojaźnie i nasze nadzieje?... Biedny chłopiec, oparty o kawał wystającej skały, deptał bezustannie około siebie popiół, gęsto spadający na nas w wężkowatych strugach. Oto wszystko: z resztą nie go nie zajmowało; nie płakał już tylko; usta jego wysuszone mogły zaledwo wyrzec słów kilka.

— Jak to było pięknie! powiedziałem doń z uśmiechem.

— To dziwna! odpowiedział mi tonem szyderyczym, którego dotąd u niego nie dostrzegłem. Powiadasz Pan, że to pięknie, kiedy zastana już spuszczone, i kiedy się niema czego lękać; ale nie znajdowałeś tego tak pięknem, kiedy kamienie i płomienie latały jak kule po

nad naszymi schylonemi czołami, i widziałem jak spuszczałeś Pan nieraz głowę, nawet wtedy, kiedy niebezpieczeństwo minęło.

— To jednak przypatrywałeś się z boku?

— Ja nie z boku, ale wprost na Pana patrzałem; ale to pewna, że Pan nie pięknie wyglądałeś, okryty mąką jak młynarz.

— Dziękuję, chłopcze, że nie spuszczałeś mię z oka. Ale oto dumna Żuanita wzywa nas, żebyśmy szli za nią. Biedna dziewczyna za-służyła aż nadto przez te dwa dni na swoją nagrodę.

— O co to, to prawda, rzekł Jan-Jan. W głos oświadczam, że ona jest człowiekiem odważnym, majtkiem pierwszej klasy. Trzydziestu zuchów takich jak on, albo raczej jak ona, mogliby pojmać siedm-dziesięcio-cztero-działowy okręt za pomocą tylko jednej szalupy ka-nonierskiej.

Wszystko było w nieładzie u podnóża Cyplu; ale dalej krajobraz nie stracił nic na swojej świetności, gdyż lawa wzięta kierunek ku morzu, płynąc szeroką doliną, nietkniętą przedtém. Pożegnania nasze z piękną Hiszpanką nie obeszły się bez łez. Opuściliśmy ją u tegoż samego źródła, gdzie ją najprzód zobaczyliśmy; i ujrzeliśmy ją, wnet po otrzymaniu odemnie dowodów wdzięczności, idącą śpiesznym krokiem ku palmom, pod któremi spoczywały popioły jęj ojca i matki, którzy się modlą za nią w Niebie.

X.

INDJE WSCHODNIE.—WOJNA Z MAŁPAMI.

W podróżach, czy znacie, moi mili przyjaciele, cokolwiek smutniejszego, nudniejszego, jak linja prosta na równej płaszczyźnie? Nie, bez wątpienia. Gdzie regularność, tam niemasz zajęcia. Za pierwszym rzutem oka widziałeś, poznałeś, zbadałeś wszystko: drzewa i rośliny; wody, gmachy i plony. Droga w gzygzak idąca, oto co lubi dostrzegacz; oto, czego powinien szukać przedewszystkiem; gdyż tu rozmaitość, zajęcie, są na każdym kroku; regularność sama nawet zadziwia. Co do mnie, mam zawsze chętkę nie pójść drogą, którą mi palcem ukazują. Chciałbym wędrować swobodnie, jak liść, co lata; jak ptak, co się w powietrzu unosi; jak wiatr dziwaczny, co zmienia od czasu do czasu swój kierunek.... Nie zachodzimy nigdy tak daleko, jak kiedy nie wiemy gdzie idziemy; i ani razu w moich długich wędrowkach nie uczułem przykrości, kiedy mi przyszło udać się na Wschód lub Południe, wtedy kiedy moja karta podróżna wskazywała mi Zachód lub Północ. Niepodległość towarzyszy wszystkim moim ruchom. Nie można podróżować z łańcuchem na nogach. Członki, równie jak myśl, powinny mieć swobodę działania; inaczej usypiam jak świerszcz na gang zegaru.

Teraz, kiedy mię znacie trochę, wy, moje kochane dziatki, do których mowę moję obracam, nie dziwcie się, że prowadzę was z sobą z jednego końca kuli ziemskiej na drugi: już to do téj Afryki dzikiej, świadka tyłu nieszczęść; już to do tych wysp z lawy, które

zmieniają swój kształt i naturę przy każdym wybuchu; już to do tej Azji, bogatej i biednej razem, której wewnątrz jest tak mało znane, i której chcę teraz przed wami rozwinąć najczęściej spotykane obrazy.

Opowiadać wam tylko to, co sam widziałem, opisywać wam wypadki te tylko, w których sam grałem główną rolę, byłoby to uszczuplać bogactwo waszej pamięci. Rozum, co podróżuje, nie bada jedynie tego, co widzi u stóp swoich, około siebie; potrzeba jeszcze żeby sięgał dziejów przeszłości, terażniejszości, a nawet przyszłości, dobadywając się położen, odmiennych własności gruntu, grobów, świątyń wznoszących się, plemion znikających. Bez tego plan zakreślony nie będzie całkowicie dopełnionym, podróżnik nie pojmie swego surowego powołania.

Przeto na jakiś czas chcę usunąć się z przed oczu waszych. Ani Jan-Jan, ani ja nie będziemy figurowali w tém opowiadaniu. Może coś na tém zyskacie, a to jest główny cel, jaki sobie założyłem przystępując do moich opowiadań. A więc zaczynam.

Szczegóły morskiej podróży znudziłyby was. Przebadzmy tedy Atlantyk; okrążmy przylądek Dobrej Nadziei, dawniej zwany Przylądkiem Burz; i żeglujmy wprost ku czarownemu Indostanowi, bogatemu w swą bujną roślinność, w swoje kopalnie złota, swoje perły, swoje tkaniny, ale ubożego swojemi huraganami, swojemi tyfusami, swoją cholera pustoszącą.

Murzyni prawie wszystkich części świata, gdzie handel nimi istnieje, wierzą i dowodzą, że małpy nie mówią dla tego tylko, iż się lękają, żeby ich nie zrobiono niewolnikami. Zapewne, że pojętność, zwinność, lekkość, chytrość, a nawet odwaga mandryllów, żokosów i orangutanów przechodzą o tyle tego gatunku przymioty, jakie posiadają Malgaszowie, Mozambikanie i Hottentoci; że porównywać je z nimi byłoby to krzywdzić rodzaj małpi. W ogólności, gdyby mi dano do wyboru, wolałbym daleko lepiej być człowiekiem leśnym, tropionym przez strzelca, skaczącym wesoło z gałęzi na gałąź, pustoszącym pola ryżem i trzcina cukrową zasiane, wdzierającym się w piękne ogrody, otoczone wysokimi murami, niżeli być zaledwo przy

życiu utrzymywaném szczyptym i niegodziwym pokarmem ; oraz zostawać dzień cały zgarbionym nad ciężką pracą , pod węzłowatą pletnią właściciela plantacji. Małpa ma sklepienie lasów dla ochrony przeciwko nawałnicom i palącym promieniom zwrotnikowego słońca; murzynowi na nagie i pocięte pletnią barki spada dészcz , co mu resztę sił zabiera, i doskwierający blask słońca, pod strefą bez wiatru i świeżości ; a potem wolne powietrze dla pierwszej, zadymiona chałupa dla drugiego ; dla tamtej woda źródłana , lub orzeźwiające wyziewy wodospadu , dla tego woda często przegniła ; dla małpy wolna przestrzeń , dla człowieka łańcuchy ! Wybieraj!

Badając obyczaje i zwyczaje tych istot tak odpowiednie ukształconych do awanturnicznych wycieczek, najbardziej nas zadziwia ta doskonała zgoda, ta przedziwna harmonja, która panuje pomiędzy nimi, skoro się zgromadzą w celu łupieży i zniszczenia. Rzekłbyś, że to posiedzenie starych wojowników , wywiczonych w niebezpieczeństwach walk, w podejściu nieprzyjaciół; siedzących w obszernym amfiteatrze, i po dojrzałej rozwadze, oddających główne dowództwo najmężniejszemu, najboglejszemu, najdoświadczeńszemu.

Jak tylko idzie małpiemu plemieniu o zdobycie plantacji zaledwo dojrzałej, możesz, ale zdaleka tylko, postrzedz, jak ten ród skaczący i wrzeszczący zbliża się, rzuca się, tu i ówdzie, wykręca się, podskakuje, wybiera próżne lub gęsto zarosłe miejsce w lesie, zatrzymuje się tam , powoli się ukrywa, potem staje nieporuszony, i udaje, że słucha rad jednej z pomiędzy siebie, która umieszczona we środku, przybiera na siebie powagę urzędnika lub wodza, w chwili stanowczego wyroku, lub bitwy mającej stanowić o losie państwa.

Co one robią pośród tego długiego milczenia, wśród tego religijnego oczekiwania, którego żaden wrzask przerwać nie śmie, żadne swawolne susy nie mieszają uroczystej ciszy? Nie wiadomo ; ale to pewna że po jednej lub kilku godzinach tych narad niepojętych dla nas, pięć czy sześć małp oddziela się od głównej armji i staje na zasadzce o pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kroków stamtąd; siedm

lub ośm zwraca się nazad i umieszcza się jako straż tylna; wówczas kiedy trzeci oddział udaje się na flanki i zdaje się czuwać nad wyprawą.

Po wykonaniu tych manewrów z dziwną dokładnością, naczelnny dowódca daje znak do ataku suscem i przenikliwym krzykiem; rzuce się, podskakuje, leci, i biada plantacji, na której zamierzył rozpocząć teatr wojny! W kilka godzin, niemasz już liści na drzewach, niemasz owoców na gałęziach, niemasz gniazd ukrytych, niemasz słodkich i soczystych kawonów, niemasz orzeźwiających gojów, nie masz pachnących pomarańcz, niemasz oleistych bananów, niemasz kwaskowatych jam - rozów, niemasz wysmienitych ananasów, niemasz kwiatów, niemasz zieloności: wszystko zniszczone; wszystko na ziemi rozproszone, poszarpane, pomięte; wszystko w ruinach; rzekłbyś, że huragan tędy przeszedł; sądziłbyś, że słup ognia pożarł wszystko swym oddechem; nie nie brakuje do zniszczenia. Ale właściciel plantacji przebudza się na te szalone wrzaski, podejmuje sztory swoich okien, i widzi siedzące na sąsiednich swęj plantacji drzewach, małpy niszczytelki, wrzeszczące, natrzęsające się z jego gniewu, z jego rozpacz, żartujące z jego wściekłości i z jego groźb. Bez szyderstwa, nie byłoby zupełnej zemsty: szatani natrzęsają się z łez.

Mówią wiele o pso tliwości, o figlarności małp; to nie prawda. Te dwa wyrazy nie zawierają w sobie znaczenia ani dobroci, ani złości; i to pewna, że chcąc być dokładnym, do małpiego plemienia nie można ich zastosować.

Małpa jest złośliwą, okrutną, srogą, a co większa, w ogólności jest zdradziecką i podłą. Kiedy szkodzi, to dla przyjemności szkodzenia; kiedy szarpie i łąsa, to dla tego, że czuje radość na krzyki bóleści i na widok krwi. Jeszcze gdyby korzystała z swych łupieztw, swych zdzierstw, swych rozbojów, możnaby jęj było niejako przebaczyć, ze względu na jęj instynkt, naturę. Ale nie: małpa psuje i nieweczy wiedząc dobrze, że jęj czynność jest złą i niegodziwą; i im mniej będzie niebezpieczeństwa w jęj popełnieniu, tęp z większym zapałem jęj się odda.

Nie przytaczaj mi, proszę, na zabicie mojego dowodzenia, tych małpeczek lwiątek, tak grzecznych, tak zalotnych, tak zręcznych, tak zabawnych, które nosisz na swych ramionach; którym pozwalasz przechadzać się po twoim stole, kosztować wszystkich twoich potraw, i jeść razem z tobą też samą porcję chleba lub też samo gro-
no. Nie przytaczaj mi także tego rozkosznego *uistiti*, tak żywego, tak zgrabnego, tak swawolnego, tak maleńkiego, tak czystego, tak dowcipnego w całym swym układzie, tak wyrazistego w swoim spój-
rzeniu, tak bojaźliwego, tak błagającego w swym głosie: są to wiel-
kie wyjątki, które potwierdzają prawidło ogólne. A potem, nie po-
wiadam ci, że wszystkie rodzaje małp posiadają też samą chytryść, zdradliwość, okrutność. Jednakże, przypatrując się uważnie obyca-
jom tych istot uprzywilejowanych, których Brezylja jedna, jak sędzę, posiada gatunki, widzisz w nich zawsze jakąś dążność do robienia na złość; pewien rodzaj uderzającej chętki do buntu, i których waha-
nia się inaczej wytłómaczyć sobie nie możesz, jak przez ciągłe wzru-
szenia bojaźni i gorączkowego drżenia, co ich zmuszają do posłu-
szeństwa, jak skoro podniesiesz na nich palec, albo pałeczkę dla
poskromienia ich samowolności, lub tylko zagroziysz im swoim spój-
rzeniem.

Jak tylko radość z niecnego postępuku dostatecznie okazaną zo-
stała przez zbojecką bandę, nie czeka ona nim strzelcy zdołają ich
wytropić i otoczyć. Bieży pędem, śpieszy z lasu do lasu, prze-
bywa obszerne pola z szybkością potoku, i stawia pomiędzy sobą i swe-
mi nieprzyjaciółmi góry i rzeki.

Dla przebycia tych ostatnich, małpy, które w ogólności nie
umieją pływać, używają sposobu tak mądrze obmyślanego, że tru-
dno byłoby temu dać wiarę, gdyby to nie było zaświadczone przez
opowiadania podróżników najrzetelniejszych. Wybrawszy miejsce rze-
ki, gdzie drzewa obu brzegów zbliżają się wierzchołkami do siebie,
małpy wskakują na drzewo, które jest najwięcej pochyłe nad wodą.
Jedna z nich wtedy, wybrawszy gałąź, która się jej zdaje być naj-
mocniejszą a razem najgiętszą, czepia się u jej końca rękoma i ogo-
nem, tym sposobem że tworzy jakby półkole. Jedna z jej towa-

rzyszek postępuje za nią, przesuwa się z gałęzi na grzbiet pierwszej, przyczepia się do niej silnie i tworzy tym sposobem drugie ogniwo wielkiego łańcucha, który chcą utworzyć. Trzecia z kolei przychodzi formując dalszy łańcuch; następnie czwarta, piąta i tak dalej, dopóki cała gromada nie będzie tak powiązana jedna z drugą.

Po utworzeniu takowego łańcucha, i nim małpa, tworząca pierwsze jego ogniwo da znać, że jej siły się wyczerpują, będąca na samym ostatku wskakuje na drzewo, dając ogromnego susa i wahaając się sama, nadaje ruch wahadłowy całemu łańcuchowi, jakowy każda z nich pomnaża, jak to zwykliśmy czynić w chuśawkach, a to dla tego, żeby ta ostatnia mogła prędko dosięgnąć gałęzi przeciwnego brzegu. Skoro się tam uczepi, staje się z kolei głową kolumny: pierwsza opuszcza swój punkt oparcia, i łańcuch małp, przybierając ruch wahadłowy w odwrotnym kierunku, stawia pomiędzy sobą i swymi nieprzyjaciółmi przegrodę, którą ci uważali za nieprzebytą.

A teraz jak gonić i doścignąć to plemię złośliwe, tak cheiwe niszczenia, tak skore w ucieczce, tak przebiegłe w swych środkach obrony? Kula ubije może jedną lub dwie z tych istot, rani może kilka innych; ale lasy ich pełne. Potrzebują one pokarmu, stają się więc śmiałymi z konieczności; a Murzyni, którym polecona jest straż plantacji, nie mogą się obejść w nocy bez spoczynku, którego zażyć im nie wolno podczas upałów dziennych.

Chytróść jednak przybywa na pomoc właścicielowi plantacji. Stara się on przyciągnąć do jednego lasu co najwięcej małp ofiarą części swojego zbioru; i skoro widzi je łapczywie zajęte zdobyczą, wysyła część swoich niewolników na drzewa otaczające miejsce uczty; drugą część pomieszcza na gruncie z rozkazem, żeby robili wielki hałas bębniami i innymi narzędziami muzycznymi: sam oczekuje, nim gromada przestraszona nie będzie szukała schronienia od swych przeciwników. Obsaczone na drzewach, ścigane na ziemi, małpy szukają kryjówek pośród drzew, których Murzyni jeszcze nie obsiedli.

To właśnie przewidział właściciel plantacji, tego on żądał. Drzewa te powleczone zostały gummą klejową, jedną z tych gumm gęstych, które cię zatrzymują pomimo woli na tém miejscu, gdzie noga twoja stała, i przeciw której mała walczy teraz na próżno. Jest ona pochwycona, przytrzymana i jakby przykuta. Im więcej się szarpie dla wydobywania się z lepu, tém on ją tężej przytrzymuje; wrzeszczy, rzuca się, przewraca, a myśliwy tymczasem z drzew sąsiednich zabija je uderzeniem drąga lub bronią ognistą.

Mieszkańcy niektórych wysp Malajskich, Sumatry i Jawy, wychowują małpy dla gubienia przez nie ich towarzyszek. To polowanie, wymagające tylko cierpliwości, nie naraża na żadne niebezpieczeństwo i przynosi najpomysłniejsze skutki. Małpy niewolnice rzucają się pędem do lasów; nadają sobie ruchy pełne swobody i niepodległości, zdolne zupełnie do zwiedzenia tych, co mądre i bojaźliwe, unikają sąsiedztwa miast i kantorów.

Jak tylko pierwszym udało się zgromadzić około siebie znaczną liczbę małp, stawają one na czele wyprawy, mającej być niby zgubną dla jakiej plantacji osobnej. Jedna z nich oddziela się potajemnie od orszaku, żeby uwiadomić swojego pana, stojącego na zasadzce, i skoro plemię żarłoczne przybywa w pośrodek trzciny cukrowej, bananów i pól ryżem zasianych, myśliwi ukryci rzucają na nie ogromne i mocne siatki, pod którymi później zabijają je kijami, zachowując tylko przy życiu te, co zdradzieckim postępowaniem sprowadziły innych do zasadzki, a które rozpoznają po czerwonej przepasce, związanej im pierwiej na szyi. Nie można jednak dawać zupełnej wiary przesadzonym opisom niektórych podróżników, którzy przedstawiają lasy Malajskie naprzykład, jako przepełnione ogromną ilością małp niszczycielek, zawsze gotowych do wypowiedzenia wojny niebezpiecznej ludziom.

W ogólności, małpy wtedy tylko mają odwagę i mężstwo, kiedy są w znacznej liczbie, albo kiedy głód im dokucza w ich kryjówkach. Wtedy to wypowiadają one zawziętą wojnę zasiewom, i niemasz roku

żeby nie przyprowadziły, swemi napadami, jakiego właściciela plantacji do ubóstwa.

Ty, co dotąd towarzyszyłeś mi w przypatrywaniu się łupieztwom i grabieżom tego plemienia wrzaskliwego i żarłocznego, wstąp teraz razem ze mną do tych lasów odwiecznych wyspy Borneo i niektórych wysp Malajskich, gdzie Król małp założył swą stolicę. Tam panuje, silny i potężny, straszliwy Orang-utan, ten człowiek leśny, który chodzi jak ty, myśli może takż jak ty i ja, wciska się ukradkiem w zagrody bliskie mieszkań, żeby je zniszczyć, zdaje się przewidywać wzburzenia żywiołów; szuka schronienia przeciw chmurom ukazującym się na widnokręgu; znajduje je, kryje się tam, i oczekuje nim niebo się nie wyjaśni, żeby znowu rozpocząć swe tajemnicze wycieczki.

Dajmy jednak, że ty niezmordowany badacz, za puściłeś się awanturniczo w te niezmierzone pustynie, i w pośród swych rozmyślań, znajdujesz się nagle w obec orangutana, którego nie postrzegasz jeszcze, gdyż obdarzony on większą złośliwością i przezornością niżeli ty. U twego boku wisi pałasz ostry lub szpada; za twym pasem są dwa pistolety; na twoim ramieniu fuzja: orangutan za całą obronę ma tylko pień drzewa, za którym się kryje jak za wałem; płoty samorodne i krzaki gęste, co go ukrywają przed oczyma i ochraniają od kul; zęby ostre co rozdzierają, i gałąź obciętą, co mu służy za podporę w chodzeniu i obronę razem. Bądź sobie uzbrojonym od stóp do głowy, to darmo, zawsze cię czeka wielkie niebezpieczeństwo w tém spotkaniu. Potrzeba, żeby twoja kula trafiła nieprzyjaciela w sam łeb; potrzeba, żeby twoja szpada przeszła mu serce, albo żeby twoja szabla odcięła mu ramię.

Orangutan daje susa, skacze, ukazuje się, znika. Jest on tuż koło ciebie, to znów zdala; to zwiększa się, to maleje. Jego szybkie obroty zasłaniają go od twych ciosów, które napróżno wymierzasz. Naciera na ciebie, jak człowiek wyćwiczony w zapasach; uderza cię jakby się uczył walczenia na pięści; kręci młynkiem swój kij sękowaty; zdaje się zagrażać twoim nogom, a przecież głowa twoja odnosi ranę. Swojami silnemi rękoma i swojami ostremi zębami przyczepia

się do twojego odzienia, do twojego ciała; jesteś zmordowany, poszarpany, a u zawziętego zwierza zaledwo krew płynie z lekkiej rany. Cheesz uciec, wtedy on staje na twój drodze i przeciwi się śmiało twojej ucieczce, gdyż przewiduje, że nie powrócisz sam jeden, i chce ci odjąć możność sprowadzenia innych myśliwych. Jego tryumf nie będzie zupełny, aż nim nie ujrzy cię rozciągniętego na suchych liściach lasu, aż nim nie będzie już słyszeć bicia twego serca, aż nim w oczach twoich nie będzie już iskry życia.

Jestto, upewniam cię, bardzo niebezpieczny nieprzyjaciel, ów orangutan napadnięty w swych lasach.

Widziano ich, uzbrojonych samemi tylko kijami, broniących się walecznie przeciwko dwunastu wybranym strzelcom, i nie rzadko dają się słyszeć szybkie kroki słonia lub bawołu, rozlegające się po lasach, z których te małpy, tak zwinne i tak silne, potrafiły wypędzić te ogromne i straszliwe zwierzęta.

Podobne fakta muszą być często opisywane, żeby mogły pokonać niewiarę, a na szczęście wszyscy podróżnicy zgadzają się na to com wyżej powiedział, tak dalece, że niemasz żadnego prawa niedowierzać mi w tym względzie.

Co się tycze mandrylla, jest on za nadto głupim, żeby mógł znaleźć pewną ochronę przeciwko broni Malajczyków i zwiedzaczy Europejskich. Jego chód ociężały i niezręczny czyni go łatwą ofiarą myśliwych, którzy nań nacierają bronią palną, kamieniami i kijami, i łowią go często w sieci rozciągnięte po ścieżkach, któremi przechodzi. Mandryll jest zręcznym tylko w chwili swój śmierci, i jego myśl ostatnia (daruj mi to wyrażenie) jest zemsta.

Raniony śmiertelnie przez myśliwego, i sądząc że nie może uniknąć ostatniego ciosu, pada na ziemię, zostaje nieporuszony, dozwala przewracać siebie na jedną i drugą stronę, a kiedy po raz ostatni uderzasz go kolbą, w chwili kiedy się najmniej tego spodziewasz, rzuca się na ciebie i kąsa z zajadłością. Zadowolony tym tryumfem przedgonnym, pada i kona bez wydania najmniejszego głosu.

Polowanie na mandrylla jest raczej igraszką niżeli wojną, raczej zabawą niżeli nużącym zajęciem.

Orangutan i mandryll pochodzą pierwiastkowo z tychże samych stron, żyją temż samemi owocami i tym samym przemysłem: ale jeden jest zwinny, czynny, przedsiębiorczy, pełen odwagi, drugi ociężały, niezgrabny. Potrzeba widzié tego ostatniego, obsaczonego w swém ustroniu przez orangutana, który się z nim drażni, zaczepia go, i rzekłbyś, że chce go zrobić nieco żywyszym. Na wrzaski radości kata, na odgłosy boleści ofiary, myśliwi przybiegają i wypuszczają swe kule lub zatrute strzały na obie małpy, a zwycięzca i zwyciężony oddają razem ostatnie technienie.

Mandryll łowi się takż siecią, Jak tylko się ujrzy uwięzionym, kładzie się, ale w kilka minut potem myśli o odzyskaniu straconej wolności; z taką powolnością jednak zaczyna gryźć ogniwa siatki, więżącej go, że myśliwi mają czas przybyć i zabić go na miejscu kolbami fuzij lub kamieniami.

W przysłowie weszło: że zwinny jak małpa; dla czegoż mandrylla nie mieszczą raczej w klassie świerszczów lub cieląt morskich? Mandryll przynosi hańbę rodowi małpiemu.

Ze wszystkich małp, które przebiegają Archipelagi Oceanu, obszerne pustynie Brezyljskie, i ogromne lasy przez nikogo nie zwiedzane, zalegające ziemię téj wspaniałej części Nowegoświata, Żoko jest bezwątpienia najzwinniejszym, najbardziej przedsiębiorczym, najśmielszym. Wprawdzie wychodzi tylko w nocy i unika światła słonecznego; ale kiedy wszystko śpi w mieszkaniach ludzkich, kiedy martwa cisza panuje w chałupach murzynów, włazi on ukradkiem, jak zręczny złodziej, w śpichlerze, gdzie złożone snopy, ziarna i owoce; zabrawszy i złożywszy swą zdobycz w jakim ustroniu, powraca na powrót; rozpoczyna swe łupieztwa, zwiedza najtajniejsze kryjówki, otwiera, łamie składy najbardziej zamczyste, i uchodzi niecierpiw, jak za nadejściem dnia. Ale, skoro jest zdybanym w mieszkaniu lub ogrodzie, nietylko że nie stara się uciec, lecz uzbiera się w odwagę; rzuca się po desperacku na napastników; skacze jak żaguar; rwie,

szarpie, kasa i niepierwiej pospolicie legnie, aż położy na miejscu dużo ofiar.

Strzały Butikudów, Pajkinów, Mondraków, Tupinambów i fuzje Europejczyków mogą jedynie wstrzymać Żoków w ich wycieczkach. Ujęte jednak za młodu, łatwo się oswajają, i stają się najmiłą rozrywką próżniaków Brezyljskich.

Uistiti, małpa lew i małpa latająca Nowej Holandji, tak podobna do nietoperza, łowią się za pomocą fuzji nabitę otrębami lub piaskiem bardzo ciekim. Wystrzał ich ogłusza, padają i nim przyjdą do siebie, już je trzymają zamknięte w klatce.

Jakkolwiek one są zgrabne, nadskakujące, zabawne, zobaczysz je, w nieobecności swych panów, przegryzające cienkie dróty, tnące zębami drzewo, firanki, materję, wszystko, na co popadną, i zajęte jedynie niszczeniem.

Zawsze jest coś małpiego w małpie, i uistiti nie zadaje kłamstwa swęj naturze.

Niepodobna wyobrazić sobie gwałtowności, albo raczej wściekłości, z jaką napadają na siebie dwie małpy, wielkie czy małe, młode czy stare, z jakiegokolwiek bądź gatunku, dla posiadania owocu, lub zdobycia legowiska. Jestto zapalczywość, szat nie do opisanania; są to wrzaski, hałasy, wycia rozdzierające uszy; są to głębokie ukąszenia, szarpaniny odrywające wielkie kawały mięsa. Niepierwiej przestają walczyć, aż nim sił lub zębów im zabraknie.

Okolo dwóch zapaśników ujrzyz gałęzie krzaków połamane, liście pogniccione, ziemię zoraną, i możesz w tej chwili zbliżyć się do nich, chłostać obu przeciwników, kłóć ich szpadą, łamać im członki, strzelać nawet do nich srotem; żadna drugiej z rąk niewypuści, żadna nie skona, nim pierwiej nie ściśnie mocno w swych objęciach nieprzyjaciela.

Gdyby małpa miała tyle siły co złośliwości, tyle środków szkodenia co nienawiści, byłby to jeden z najniebezpieczniejszych nieprzyjaciół człowieka.

Małpa niezmiernie się lęka gadów. Skoro ujrzy węża, członki jej zaczynają drżeć lub drętwieć ; zęby jej jedno o drugie się uderzają ; miota się , zostaje w ciągłym ruchu , czepia się swoim ogonem gałęzi , którą ręce i nogi opuszczają ; zwiesza głowę , zamyka oczy , i upada w końcu na ziemię , gdzie staje się wkrótce ofiarą swego przestרחu.

Podróżnicy godni wiary zapewniają , że dostrzegli małpy zawieszane tym sposobem po całych godzinach końcem ogona , na najwyższych gałęziach drzew ; i dodają , że te odurzenia małp odkrywały im zawsze pomiędzy krzakami obecność węża czatującego , czyhającego na zdobycz. Jestto jedna z tych wiadomości użytecznych i ciekawych , których sprawdzenie należy do pilnych badaczy.

Nie można bowiem dosyć przedsiębrać ostrożności przeciwko niebezpiecznym mieszkańcom , zapewniającym odwieczne lasy Brazylii , pustynie Afrykańskie , albo Archipelagi Indyjskie , przerywane w różnych kierunkach przez straszliwego *boa* , o którego przerażających wycieczkach pierwsi ci wspomniałem.

Wiele mówiono o zręczności małp w unikanu różnego rodzaju sideł , zastawionych na nich przez myśliwych : wiele także mówiono o ich roztropności w dostaniu sobie pokarmów potrzebnych do życia ; ale nie wielu wspomniało o tém , że większa część gatunków zwierzęcia , którego tu opisujemy obyczaje , buduje sobie mieszkania wygodne za pomocą gałęzi , kory i liści , gdzie znajduje schronienie w czasie niepogody. Pod tym względem , orangutan szczególnie się odznacza.

Domy , które on buduje i które znajdują się rozproszone wewnątrz lasów , gdzie on panuje , przedstawiają gruntowność , znajomość architektury , zadziwiający rozum. Ale co jest prawie cudowném , to zapał , a raczej wściekłość , która go ożywia , gdy mu przychodzi bronić swęj posiadłości. Bitwy , które mu wydajesz w otwartém polu lub w głębi lasów , są trudne i niebezpieczne ; ale te , co się toczą w pobliżu jego mieszkania , są walkami , w których zwycięstwo prawie zawsze zostaje na stronie małp.

Dumnie stojąc na straży, o kilka kroków od swojej budowli, zdaje ci się mówić, że nikt niema prawa tam wstąpić; że to należy do niego, do niego jednego, i że on postanowił umrzeć raczej niżeli ustąpić. Nigdy żołnierz nie okazał tyle wytrwałości, tyle odwagi, w obronie stanowiska, powierzonego jego honorowi.

Teraz, jeśli spróbujesz przejść jemu na przekor; jeśli nie chcesz zaczekać, nim orangutan oddali się od swego pysznego pałacu, staraj się, żeby twoje kule trafiły celnie, bo gniew jego zapalczywy, a ma za sprzymierzeniec siłę i zręczność. Jestto siła natarcia bawołu, zręczność obrotów węża, zajadłość tygrysa, umiejętność gladjatora. Szarpie on cię ostremi zębami, silnemi swemi nogami; policzkuje cię rękami szybkimi jak myśl; słyszysz spadające na twój kark jakby klepacze dwudziestu praczek, śpieszących kończyć swoją robotę.

Wtedy zaczynasz żałować. Nieroztropna bójka, w którą się wdałeś, odejmuje ci niekiedy wszelką myśl obrony, tak wielkie przeciwnik twój obudził w tobie podziwienie! Wtedy zaledwo, gdy krew zaczyna płynąć z niejednej rany; gdy ból przypomina ci, w jakim niebezpieczeństwie zostajesz, rzucasz się do twojej włóczni, do szpady, do puginału, które ci często bywają odjęte przez twego nieprzyjaciela.

Wtedy nawet kiedy orangutan jest śmiertelnie raniony, nie tylko że nie ucieka, ale staje jeszcze w groźnej postawie przed swym domem; zdaje się cieszyć widokiem ciosów, jakie zadał swoim przeciwnikom, uśmiechać się do ostatniego z myśliwych rozciągniętych na ziemi, i wchodzi do siebie, żeby skonać we własnym mieszkaniu.

Niektóre plemiona dzikie środkowej Brazylii oddają się z zapalem polowaniu na wielkie małpy, zaludniające pustynie tego państwa, tak obszernego prawie jak Europa; ale nadewszystko prowadzą wojnę ustawiczną z wątym gatunkiem tego rodu, którego mięso wysoko szacują.

Przeciwno Żokom i niektórym innym gatunkom olbrzymim, Butikudy szczególnie używają swych łuków i swych proc, które są ich

jedyną bronią w walkach staczanych z współzawodniczącymi plemionami.

Te proce składają się z bambusu, przeciętego wzdłuż na dwoje. W tych połówkach są wywiercone dziury, dla przeprowadzenia sznura zawiązanego na węzeł zewnątrz; z tym sznurem splata się drugi sznur, który oddziela się od pierwszego ku środkowi, tym sposobem, że dwa kijaszki lub dwie kości umieszczone prostopadle do tych sznurów, nie pozwalają im zbliżyć się. W tym otworze umieszczona siateczka bardzo gęsta, na trzy cale długa, i na nią to dziki kładzie kamień, przytrzymywany palcami wielkim i wskazującym, tak jak się to zwykle czyni ze strzałą.

Rozumie się, iż gdyby ciskał kamień w linii prostej, uderzyłby on o drzewce rękości, gdyż ono znajduje się w tymże kierunku co sznury i siatka. Ale srogi Indjanin, który według mnie, jest najzręczniejszym, najzwinniejszym i najprzemysłniejszym z krajowców, napina swój sznur z ukosa, tak, że kamień, któryby powinien był zatrzymać się przy wylocie, dosięga celu przechodząc wzdłuż bambusu.

Widziałem dziecko lat dwunastu, dane w podarunku Panu Landsdorff, sprawującemu interesa rossyjskie przy Janie VI, i którego ojciec przysłał temu uczoneму naturaliście dla podania mu sposobności zbadania jego głowy; widziałem, powiadam, to dziecko, zdziwione że je jeszcze dotychczas pozostawiono przy życiu, trafiające prawie zawsze z takiej procy, o dwadzieścia pięć kroków odległości, w rybę, zawieszoną przezemnie na tylnej części okrętu.

Przy pomocy takowych proc, mających sześć stóp długości, oraz strzał bez piór, na ośm stop długich, Butikudo nie lęka się napaści Jaguara; sądz więc, czy małpa niema się czego lękać podobnego myśliwego?

Co do zgrabnych uistitów, małpek lwów i licznych innych gatunków, tak małych, tak lekkich, tak łapczywych, któremi dzicy karmią się z wielkiem upodobaniem, nie używają oni przeciw nim kamieni i strzał, ale łowią je za pomocą wielkiej pólapki na

mysz (że je tak nazwę), umieszczonej na wstępie pola zasianego kukurydzą lub trzcina cukrową, albo u podnóża bananu. Wlazłszy na drzewo, przebiegłszy plantację, uistiti mógłby zaspokoić swój głód; ale przywykły uważać za swoją, własność innych, nie chce się ich dotykać. Półapka zamyka w swoich ścianach gotowe już ziarno, owoce, leguminy, złożone tam przez Butikuda. Tutaj to zręczność do łupieży, do wyplatania figla, do złośliwości; tutaj to więc rzuca się z wielkim zadowoleniem ten ród zbójceki, a zasuwka półapki zapadając z trzaskiem uczy zapóźno łupieżne zwierzątko, że kradzież nie zawsze przynosi korzyść temu, co ją popełnia.

Pierwsi badacze, którzy robili postrzeżenia nad mandryllami, orangutanami, żokami w ich lasach, ogłosili wiele ciekawych szczegółów o obyczajach i zwyczajach tych istot szczególniejszych, tak podobnych pod wielu względami do dzikich mieszkańców krain podrównikowych, przechowujących w sobie tyle tworów rozmaitych, natury tak sprzecznej z sobą. Rozgłosili oni też wiele jedne niedorzeczniejszych od drugich baśni, których filozofja i badania późniejsze okazały całą nicosć. Według podróżopisarzy piętnastego i szesnastego wieku, epok tak płodnych w cuda, i w których wierzono jeszcze w Eldorado, małpy wiedzione żądzą niepowsięciągnioną ku kobietom, wpadały do mieszkań dzikich, walczyły z zawziętością przeciwko zazdrości mężczyzn, wybierały sobie towarzyszkę, unosiły ją w głąb lasów, i żyły z nią w bardzo dobrém porozumieniu. Z tych dziwacznych i potwornych związków zrodziły się, według nich, makaki, pawjauny, mustaki, talapueny, malbruki, monosy i koezkodany, tworzące liczną rodzinę małp pustoszycelek, zaludniających dotąd jeszcze ogromne obszary lasów Indji, Afryki, Ameryki północnej i większej części Archipelagów Oceanu. My od trzech wieków postąpiliśmy znacznie; przesady ustąpiły miejsca logice; za pomocą sztuki żeglarskiej dziedzina wiadomości ludzkich rozszerzyła się; rozklassyfikowano gatunki, zbadano naturę ze zdrowszém pojęciem, i przeko-

nano się, że mały najprzemysłniejszy, najzwinniejszy, najbystrzejsze, daleko jeszcze pozostają od Hottentotów, Mozambikanów, dzikich krajowców półwyspu Perus, i bezmyślnych mieszkańców Nowej Galji południowej, którzy, według mnie, zajmują najniższy szczebel w drabinie społecznej. A to ztąd pochodzi, że ro-
rum jest tylko udziałem człowieka; on tylko jeden bada cuda przy-
rodzenia i jeden tylko pojmuje wielkość i wspaniałość Boga.

XI.

POLOWANIE NA TYGRYSA KRÓLEWSKIEGO, RYSIA AZJATYCKIEGO I JAGUARA AMERYKAŃSKIEGO.

W kraju takim jak ten, co go teraz opisać zamierzamy, malować obyczaje dzikich zwierząt, które go w różnym kierunku przetrzynają, jestto malować obyczaje ludzi, co ich ścigają i waleczą z nimi. Tygrys, lew, ryś są mieszkańcami Indostanu. Napadają oni tak często na mieszkania najlepiej opatrzone, że rodziny błakające się pustoszyieli i rodziny rolników są prawie zawsze w obec siebie, i zdają się żyć témże samém życiem. Wzruszenia następują w Indji z taką szybkością, że zdawałoby się, iż sen tam nigdy nie może być spokojnym. Nowi przybysze nadewszystko są tam na nogach przededniem. Uważają oni za stracone godziny spoczynku, i widzisz ich, niedbających na znużenie, przebiegających ciągle pola i przeglądających się, że tak rzec można, każdej chwili w tych przezroczystych wodach i w téj bujnej roślinności, okrywającej tę ziemię i ozdabiającej ją jakby w dzień uroczysty.

Cheiałem koniecznie zwiedzić Kalkuttę, miasto pałaców. Nadarzyła się pomyslna zręczność, i udałem się z moim wiernym Jan-Janem ku temu czarownemu Gangesowi, zwyktemu miejscu spotkania większej części okrętów Europejskich, które szukają bogactw pośród trudów żeglugi powolnej i niebezpiecznej. Miałem z sobą kilka listów polecających, z których postanowiłem zrobić użytek prędko i korzystny, mając krótki tylko czas zabawić w tém miejscu odpoczyn-

ku, gdyż czułem, że mi prawie niepodobna będzie opuścić ten kraj piękny, skoro w nim dłużej zamieszkać. Jeden bogaty osadnik przyjął mię z taką uprzejmością, że nie miałem potrzeby pukać do innych drzwi, i zaraz nazajutrz po mojem przybyciu gospodarz mój raczył mi udzielić jednej z tych rozrywek, z tych przyjemnych zabaw, których ludzie odważni i pojętni szukają zawsze w swych wędrownkach. Powiedziałem Panu Peters, że wątpię bardzo o dzielności lwa, tygrysa i pantery; uśmiechnął się on na to żartobliwie, i w kilka godzin potem uwiadomił mię, że wszystko było przygotowanem do wielkiej obławy w okolicach Kalkuty. Tego właśnie było mi potrzeba.

Było nas sześciu Europejczyków: trzech Anglików, jeden Irlandczyk, Jan-Jan i ja; nadto czterech Malajczyków, dwóch spahów (żołnierzy angielskich) i ośm psów, o których mi cuda opowiadano. Upał był nadzwyczajny, bez najmniejszego wiatru. Lekko ubrani, byliśmy wystawieni na prostopadłe promienie słońca. Był to ciekawy dla nas widok, jak ptaki zatrzymywały ociążały lot swój, kryjąc się w gęstym cieniu tamaryndów i palm, gdzie znajdowały schronienie przed znużeniem i strzałami myśliwego.

W Indji, skoro raz zrobisz przygotowania do niebezpiecznej wyprawy, niemasz się czego zajmować drobnemi szczegółami wycieczki. Tęgie kule, ostre trójzęby, szable i włócznie z doskonałem żelazcem, na mało ci się przydadzą przeciwko ziębom bengalskim, oraz ómom wesołych i ślicznych różnobarwnych ptasząt, w różnym kierunku przerzynających powietrze; pozostawiasz ich przy swobodzie, szanujesz nawet sen ich, i dla tego to, bez wątpienia, są one tak poufałe i tak śmiałe w swych bezustannych krążeniach po nad głową wędrowca.

Przelatują one, dotykają cię prawie swojemi skrzydłami; zaszumią i ulatują żeby powrócić znowu z większą szybkością i zwinnością; dla tego to siatką więcéjbyś przeciw nim dokazał niżeli fuzją. Ważna z resztą pobudka zmusza cię do ocalania ich, nadewszystko jeżeli jesteś niedaleko od jakiego miasta lub mieszkania, gdyż odgłos twojego strzału nietylko by obudził same echa tych obszernych

i przerażających pustyń, gdzie niedaleko, w zaroślach, blisko błot grzązkich, spoczywa lew, drżmie tygrys, a przeciw tym napastnikom broń twoja powinna być w pogotowiu. Jak my, mają one instynkt niebezpieczeństwa; więcej jak my, mają instynkt mordy. Kiedy kula świsnęła, odgadują że mogą bezpieczniej wtedy rzucić się na zdobycz, i spoczynek ich naówczas ma miejsce wśród krwi i kości zgruchotanych: pieszcoty lwa i tygrysa pozostawiają rozproszone szczątki na ziemi; milczenie panuje tam gdzie przed chwilą słyszałeś wrzaski psiarni, szcęk broni i ryczenia wściekłego zwierza.

Z temi widowiskami rzezi i zniszczenia dzieje się tak samo jak z burzami Oceanu. Chciałbyś je poznać; kiedy wiatr gwałtowny powstanie, zwijasz twe żagle, idziesz strwożony za pędem wiatru, jeśli morza dostaje; a kiedy fale się uspokoją, jesteś w uniesieniu przywołując na pamięć minioną burzę. Podobnie dzieje się z tobą w Indji, kiedy idziesz polować na tygrysa, lwa, lub nosorożca. Odprawiając się jesteś wesoły, o nic niedbający, niewierząc w niebezpieczeństwo; ale skoro drżenie ziemi, skoro huk rozlegający się po stepach, zapowiedzą ci zbliżenie się twego przeciwnika, o! wtedy zaczynasz wątpić o powrocie, chciałbyś być jeszcze w domu.

W południe, zatrzymaliśmy się w przesłicznym mieszkaniu doktora Macquarie, którego znaleźliśmy bardzo smutnego, ale który przyjął nas, pomimo to, nader uprzejmie. Dniem przedtem pantera przeskoczyła mur opasujący jego ogród i pożarła syna Malajczyka, jego sługi, śpiącego w chatce. Mur tego ogrodzenia miał trzynaście stóp angielskich wysokości, a przestrzeń, którą wściekłe zwierzę miało do rozpędzenia się, była bardzo szczupłą i na gruncie nierównym. P. Macquarie usilnie zapraszał nas zostać na noc w jego mieszkaniu, a kiedyśmy mu powiedzieli, że mamy przeznaczonych tylko dwa dni na polowanie, ukazał nam na widnokręgu zebrane gęste chmury, podnoszące się w górę jak widziadła, rozszerzające ramiona i obejmujące przestrzeń.

— Burza będzie straszliwa, rzekł do nas; barometr spada, psy

moje wyją przeraźliwie, i jeśli chcecie być świadkami przerażającego widoku, chodźcie ze mną o kilka stąd kroków.

Poszliśmy z ciekawością za nim piękną aleą z bananów, i usiedliśmy na brzegu strumienia, płynącego z szybkością najmniej trzech mil na godzinę. Woda iskrzyła się z lekkim szumem, jak gdyby się gotowała. Doktor powiedział nam, że był to znak przepowiedni huraganu.

— Wracajmy, wracajmy, mówił dalej głosem zmienionym; burza szybko nadchodzi. Zdaje mi się, że już słyszę jak huczy; a drzewa najmocniejsze nie mogą często ustać przed ulewą, którą z sobą przynosi.

W istocie, skorośmy weszli i zatarasowali się w domu mieszkalnym, burza się rozpoczęła. Grzmotu, błyskawic nie było, tylko huk daleki, jak gdyby odgłos fal pędzonych trąbą nadpowietrzną. Dészcz padał tak gęstymi kroplami, że zdawało się, iż to jest masa wód nierozdzielna, spadająca razem dla zniszczenia tej świetnej i bujnej roślinności, pokrywającej ziemię. Z za ścian murowanych słyszeliśmy dachówki spadające z łoskotem, i kiedy ze strony przeciwniej tej, z której rozpoczęła się nawałnica, spojrzeliśmy na okolicę spustoszoną, widzieliśmy jak drzewa całe kręciły się w powietrzu, pędzone trąbą niszczącą; jak podnosiły się, leciały, spadały, wznosiły się znowu i waliły nakoniec z straszliwym trzaskiem na inne ogromne drzewa, które druzgotały swym upadkiem.

W godzinę potem, niebo odzyskało swój błękit pogodny; liście przestały szumić, i patrzałeś z osłupieniem, jak ta natura martwa podnosiła śmiało głowę przeciwko grożącemu przed chwilą zniszczeniem Niebu.

— Byłem przygotowany do czego innego, rzekł do nas P. Macquarie z uśmiechem; strumień zawiódł mię po raz pierwszy: obiecał mi huragan, a dał tylko nawałnicę. Na przyszłość będę mniej wierzył jego słowu.

Nazajutrz, przededniem jeszcze, udaliśmy się w drogę. Towarzystwo nasze powiększonym zostało bratem i siostrą poźartego Malajczyka, którzy się chcieli zemścić na panterze czy tygrysie. Psy

szły przodem, my w ściśnionym szeregu, żeby móżdż stawić czoło grożącemu niebezpieczeństwu, postępowaliśmy brzegiem lasu, w który, za poradą naszych przewodników, wkrótce wstąpiliśmy. Przybyszy na jedno próżne miejsce w lesie, zasiedliśmy do śniadania..... Tygrys nie dał nam na to czasu. Na pierwszy i ponury ryk, psy, które nam wychwalano jako bardzo odważne, pochowały się za nas, z przytulonymi ogonami, rzucając tu i owdzie spojrzenia nacechowane okropną bojaźnią. Ani batóg, ani uderzenia kolbą, ani groźby, ani pieszczoty, nie nie mogło jój przewyciężyć; postanowiliśmy więc obejść się bez nich. Drugi ryk, krótszy, wyraźniejszy, dał nam znać zbliżenie się tygrysa. Obejrzelśmy nasze panewki, i czekaliśmy w szyku bojowym. Malajczyk był o trzy kroki na przędzie, siostra obok niego, uzbrojeni oboje w pistolety i w trójzęby z rękojeścią żelazną. Otóż on!...,

Wężykowato pręgowany, zadyszany, zdziwiony raczej niżeli przestraszony naszą obecnością, zastanowił się on najprzód, wydając z głębi piersi jęki głucho i przewracając płową żrenicą, oblizując swoje wargi w pół otwarte językiem czerwonym i chropowatym..... Cudnym był wtedy do widzenia ten tygrys królewski. Postąpiliśmy kilka kroków ku niemu; on postąpił ku nam, gdy jednym razem, jak gdyby się wstydziły swojej tchórzliwości, psy, bez niczyjego pobudzania, wybiegły naprzód, w ściśnionym szeregu, niecierpliwie, mileżące.

Na ich widok, tygrys podskakuje, wyciąga się jak wąż, bije ogonem po bokach, połyka otwartą paszczką wiatr obwiewający jego rozczochraną głowę.....

Zapomniał on wtedy o nas. Jego pierwszemi ofiarami musiały być psy, które ośmieliły się oczekiwać nań, i stawić mu czoło. Postępują one naprzód w porządku, potem rozdzielają się dla zaatakowania wściekłego zwierza z przodu, z tyłu, z boków. Tygrys wlepia oczy w najśmielszego z pomiędzy nich; rzuca się; ma już jednym mniej nieprzyjaciół do zwalczania: pierś psa rozdarta jedném dotknięciem paszczęki. Chcieliśmy podać pomoc pozostałym, które się cofnęły o kilka kroków, ale Malajczyk dał nam znak ręką, żebyśmy się

jeszcze wstrzymali: chciał on zmordować zjadłę zwierzę, i żądał, żebyśmy powrócili wszyscy do P. Macquarie. Siostra jego była godną podziwu swoją krwią zimną i śmiałością. Silnemi rękoma trzywała wyciągniony naprzód ostry trójzęb, i postrzegłem, że barwa żółtawa jój czoła i lica przybierała potrochę odcień czerwony, prawie miedziany. Ta młoda dziewczyna była rzeczą ciekawą do widzenia.

Tymczasem pole bitwy miało najwięcej kiedy pięćdziesiąt kroków obszerności. Nieprzyjaciel był tam jeden, w pośród dwudziestu przeciwników. Schyla się on, kureczy, skupia w sobie, żeby dać mniej miejsca kulom mającym zaświsnąć, a może też żeby się rzucić z większą gwałtownością. Na okrzyk Malajczyka, na giest rozkazującej jego siostry, psy rzucają się razem, chwytają za biodra, za szyję, za uda żylaste straszliwego zwierza. Powstaje pisk głuchy; kawały mięs rozdierane z wściekłością, zwijania się jak gdyby węża boa; tygrys otwiera jedną pierś, obraca się i zapuszcza swe szpony we wnętrze drugiego zjadłego przeciwnika..... Krew płynie z tysiąca ran; tygrys jeszcze na nogach, nieposkromiony, wściekły, groźny. Wszystkie psy już niezdolne do walki, troje żyjących jeszcze zdaje się błagać naszej pomocy. Malajczyk postępuje naprzód, my za nim. Kula świsnęła, tygrys zaryczał, podskoczył, i spada jak aerolit. Każde dzikie zwierzę jest natury pełnej życia, i my nie jesteśmy jeszcze u końca walki.

Tygrys cofa się, ale można się łatwo domyślić, że to nie jest ucieczka. Młoda dziewczyna postępuje naprzód, wyprzedza swojego brata, i wyzywa jedną nieprzyjaciela. Ten rzuca się, dostaje w piersi trójzębem, ale siłą uderzenia odrzuca daleko dziewczynę; żelazo jednak zabójcze pozostaje w zadanej ranie, i tygrys miota się tu i owdzie nie mogąc się pozbyć tego narzędzia śmierci.

Pozostawiamy go czas jakiś w tych miotaniach się, szaleństwie, wściekłości. Im więcej się miotał, tém żelazo głębiej puła mu wewnątrz. Było to konanie groźne jeszcze, i Malajczyk, który nabił znówu swą fuzję, żeby dobić go strzałem, otrzymuje w udo ranę, któ-

ra go zmusza do cofnięcia się. Co do jego siostry, ta jeszcze leżała na ziemi.

Przecież trzeba było z tém skończyć. Wycelowaliśmy wszyscy jednocześnie, i ogólny wystrzał rozciągnął tygrysa bez życia na ziemi głęboko pooranęj.

Powrót aż do połowy drogi odbył się bez najmniejszego przypadku; ale po przybyciu nad brzeg strumienia wijącego się wzdłuż przepysznój indychtowej plantacji, usłyszeliśmy dwoje Malajczyków nas poprzedzających, wydających głośnie krzyki. Podwoiliśmy kroku, i znaleźliśmy tych dwóch nieszczęśliwych leżących na ziemi i całujących z uniesieniem szczątki ludzkie.....

Była to część czerepu młodego ich brata, którego poznali po małej bliźnie na czole. Rozpacz ich wzruszyła mię do łez. Całowali oni z miłością te szczątki krwawe; przemawiali do nich słowami najtkliwszemi; przysięgali, że wywrą zemstę za ten mord okropny, i gdy nie chcieli towarzyszyć nam tegoż dnia aż do P. Macquarie, postanowiliśmy przepędzić noc razem z nimi pod gołym niebem. Pantera jest niedaleko, powiedziała nam siostra, podsypując prochu na panewkę swego pistoletu; potrzeba mi wydrzeć ję życie; potrzeba mi dostać ję skóry; będę je miała. Oto ślady jeszcze świeże ję krwawego przejścia; idźmy niemi, albo raczej pozwólcie, ja sama niemi pójdę.

Wziąłem ją pod rękę. Skierowaliśmy się ku pagórkowi lasem okrytemu, na którego szczycie wznosił się minaret z czałmą złotoną, błyszczącą w promieniach słońca. Zatrzymaliśmy się tam dla zjedzenia wieszaki, blisko obszernej kotliny, której brzegi całkiem wydeptane kazały nam wnosić, że zwierzęta dzikie tych okolic przychodziły tam często gasić swe pragnienie.

— Nie odejdę stąd bez skóry tygrysa lub pantery, powiedziała młoda Malajka do swego brata, tonem stanowczym.

— Siostrze, odrzekł brat, który trzymał ciągle w ręku kawał oszpeconej głowy, ja także mojej przysięgi dopełnić pragnę.

— A więc, rzekł jeden z ich przyjaciół, jeśli mi chcecie powie-

rzyć tę głowę, przysięgam wam z mojej strony, że ona nam wkrótce sprowadzi ofiarę.

— Bierz ją! zawołała siostra, i jeśli dotrzymasz słowa, pójde za ciebie za mąż, bo wiem że ty mię kochasz.

— Tamach, rzekł jej tamten, ty będziesz miała twą panterę, choć potem wolno ci będzie cofnąć twe słowo.

W kilka minut wyciął on i schylił w kabłak drzewko bambusowe, w pośród którego umieścił węzeł ścisnąjący; w ten węzeł włożył głowę Malajczyka. To zrobiwszy, wdrapał się na drzewo, przywiązał mocno jeden koniec sznura do grubej gałęzi; zlął, przywiązał drugi koniec do drzewa, blisko od tamtego stojącego, i wyciągnął sznur, tak że kabłak, węzeł i głowa zostały podniesione na dwanaście do piętnastu stóp od ziemi. Zrobiwszy taki przyrząd, przyszedł do nas i rzekł tonem pewnym:

— Albo niemasz tu tygrysa ani pantery, albo wkrótce jedno z tych zwierząt dostaniemy; trzymajmy się tylko na uboczu i zachowajmy milczenie.

Rozciągnęliśmy się na murawie. Niektórzy z myśliwych czuwali, drudzy zasnęli, ja od czasu do czasu zwracałem oczy na sidło zastawione srogiemu zwierzęciu. Noc była spokojna; w pewnych przerwach tylko słyszeliśmy skowyczenie hjeny, szukającej zdradziecko swojej zdobyczy, i przeraźliwy krzyk bengalskiej zięby, ukrytej pod wysokimi kitami kokosu, którego wierzchołek zdaje się bardziej należeć do nieba niż do ziemi. Dzień zaczął świtać.

— Cicho! eicho! rzekł do nas strzelec doświadczony, który nastawił sidło: oto tygrys, albo pantera; posłyszałem ponure chrapanie.

— Baczność!

Brat i siostra chcieli biedz na spotkanie dzikiego zwierza. Towarzysze zatrzymali ich obiecując im zemstę. Blisko godziny już czekaliśmy niecierpliwie ujżenia ciekawego widoku nam przyobiecanego, kiedy pantera zbliżyła się istotnie szybkimi skoki pod sam zgubny przyrząd.

Zatrzymała się zdziwiona. Dwa razy stanęła na tylnych łapach naprzeciw kuszącego sidła i skurczyła się jakby rozmyślając. Jednym razem dała susa, wskoczyła na jedno z drzew, do których przywiązany był sznur, starając się dosięgnąć obręcza na sznurze w połowie napiętym; ale spadła i po chwili stanęła znowu na nogach. Cała wściekła, grzebała głęboko ziemię, rzucała się na pień drzewa, gryzła jego twardą korę i wydawała głośno ponure ryki. Nareszcie oddalała się od sidła, nie tracąc go z oczu, tyłem, powoli, powoli.....

— Ona nasza, ręczę wam za to, rzekł do nas po cichu strzelec, zacierając ręce. Cofa się, żeby się rozpędzić; zaraz się rzuci i zawisnie w powietrzu. Patrzcie!

Pantera się rzuciła..... Tak leci kamień puszczoney z procy Balearskiej. Wąż ściskający nie chwycił, dziki zwierz go ominął, przeskoczywszy między głową i kablukiem.

— Nie traćcie cierpliwości, rzekł do nas Malajczyk; pantera chce mieć swą zdobycz: będzie ją miała, ale drogo ją opłaci!

Pantera powtarza swój manewr, i tą razą trafnie zmierza.....

Głowa jest w jej paszczęce, ale wąż ściskający robi swoje: zajądły zwierz chwycony za szyję wisi na kilka stóp od ziemi. Byłem w zachwyceniu.

— Będziesz moim mężem, rzekła młoda Malajka do strzelca, a teraz muszę sobie sprawić radość, która niestety! za prędko się skończy, żeby miała nasycić całą mą nienawiść.

Przybyliśmy pod szubienicę tak szczególnego rodzaju. Pantera miotła się w strasznych konwulsjach. Pazury jej szukały ziemi, której dosięgnąć nie mogły, jej paszczęka otwarta chciała schwytać powietrza, co się nie dostawało do jej płuc; w swoim konaniu nawet, zachowywała pozór srogości, który usprawiedliwiał męki, jakie jej miano zadać. Dziewczyna w milczeniu, febrycznie drżąca, kłóła swoim trójzębem boki uwięzionego zwierza; przesywała puginałem jego cielsko; wrywała potroszę jego wnętrzości, okazując w tych okrutnych igraszkach radość tak żywą, iż rzekłbyś, patrząc na jej powierchowność, że to są pieszczoty siostry z bratem, pocałunki

matki z synem. Wiatr wkrótce poruszał tylko trup pantery. Ucięto sznur, i z trudnością wyrwano głowę Malajczyka z otwartej paszeczki, w której uwięzła.

Orszak cały udał się w drogę, Indianie i Malajczycy z właściwą sobie niedbałością, ja cały zajęty walką tak krwawą i obrazem tak urozmaiconym. Jan-Jan prawie już nie płakał. Zapytałem go o coś, nie odpowiedział mi; pozostawiłem go jego rozmyślaniom.

Teraz, gdy ci opisałem tego krwawego mieszkańca Azji, rozsiewającego wszędzie zniszczenie i śmierć, niech mi wolno będzie zapoznać cię z jaguarem, tygrysem Amerykańskim, zwinniejszym jak tamten, ale mniej straszny. Na tamtego trzeba liczyć psiarni, dwudziestu strzelców, włóczni, trójzębów, szabel, pugińców dobrze naostrzonych, kul ołowianych; na tego, jednego człowieka, sztyletu za każdym butem, konia i arkanu.....

Goszo (*) jest prawdziwym Centaurem. Siada on na koniu, i jest już u końca widnokregu. Krzyk jaguara daje się słyszeć; oto Goszo pełen radości, jakby go zaproszono na ucztę. Kapelusz pilśniany z szerokimi skrzydłami, podwiązany wstążką pod brodę, okrywa mu głowę. Wykroił on otwór w pośród okrągłego kawała materji: jest to jego płaszcz, zwany *poncho* od krajowców, którym osłania swe barki. Skóra przewrócona golenia końskiego służy mu za bót i okrywa nogę, prócz wielkiego palca, który się wsuwa w małe krójkątne strzemię; potem, majtki skórzane, i w prawej ręce bardzo długi ramię, mocno z obu stron przyczepiony sprzążkami do pewnego rodzaju siodła, dobrze ściśniętego poprzęgiem pod brzuchem jego towarzysza niebezpieczeństw. Ztém Goszo przenika w głąb najniebezpieczniejszych pustyń; stawia mężnie czoło gwałtownemu wiatrowi, zwanemu od krajowców *pamperos*, temu straszliwemu równaczowi stepów Ameryki Południowej, i powraca do Montevideo ze zdobyczą, szlachetnie, upewniam cię, nabytą.

(*) *Goszo*, (*Gaicho*), mieszkaniec rodowity Brazylii, pochodzenia Hiszpańskiego.

Arkan, czyli jak oni nazywają, *lasso* Goszy, może mieć ośmnaście do dwudziestu sążni długości. Bierze on go w rękę takim sposobem, że gdy go ściśnie, tworzy skręcając się dwa węzły ściskające, które powinny schwycić zwierzę, przeciw któremu są wymierzone. Idź ze mną śladami Goszy, i przypatrz się tej straszliwej igraszce, na którą się on tak odważnie naraża.

Jaguar jest tam, jaguar tak szybki i skaczący jak pantera, zwinny jak wąż, zajadły jak tygrys Azjatycki, zwiedzający tak jak on ementarze, których otwiera mogiły. Oto są w obec siebie. Koń Goszy wie, że gdy się tyłem obróci, nie będzie miał obrońcy; dla tego stawia czoło nieprzyjacielowi. Pan jego przemawia doń krótkimi urywanemi słowy, a jednak doskonale od niego jest pojęty; gdyż pojętność jego jest wielką. Kolana jego drżą febrycznie; nozdrza rozszerzają się i ściskają, wydając na około gorącą parę; uszy jego i grzywa w górę się podnoszą i oczy wlepiają się we wzrok tygrysa na czatach.

Goszo wtedy przemawia sam do siebie:

— Baczość! oto twój nieprzyjaciel, który chce ci wydrzec te niezmierzone płaszczyzny; nie daj się zwyciężyć, albo towarzysze twoi będą o tobie mówić nieinaczej, jak z pogardą.

— Baczość! Józiu! Ty dostawisz tę piękną skórę do Montevideo, lub do Buenos - Ayres; przedasz ją za pięć czy sześć piastrow. Bądź szczerym utrzymując, że ty ją zdobyłeś za pierwszym rzutem arkanu.

— Baczość! Józiu!

Dwadzieścia pięć kroków zaledwo oddziela między sobą dwóch zapaśników; zbliżają się jeszcze bardziej, i straszliwy arkan związa się ciągle w powietrzu, a Józiu Goszo nie już nie mówi. Józiu ściska boki konia swoją ogromną trójgraniastą ostrogą. Jaguar daje susa, żeby się ucześcić za piersi; ale arkan, szybczejszy od niego, chwytając go, ściska jak wąż boa, i Józiu ciągnie za sobą uwięzione srogie zwierzę.

Kiedy ono od gwałtownego pędu dostało zawrotu głowy, Józiu zatrzymuje się, złazi z konia, bierze w obie ręce pugnały,

przystępuje i otwiera serec tygrysa, nakrapianego jak lampart. Skóra nie będzie miała innego otworu, i dobre imię Józi nie poniesie żadnego szwanku. Ale jeżeli arkan był źle rzucony; jeżeli jaguar chwycił za piersi lub bok konia, Goszo wyjmując wtedy z pochew dwa puginały, i nie złażąc z konia, uderza zajadłe zwierzę, ryje jego cielsko i zmusza go do opuszczenia łupu. Parę minut odpoczynku są dostateczne: arkan znowu pochwycony, i mało jest przykładów, żeby Goszo dwa razy chybił swą ofiarę. Ale, zawstydzony swą niezręcznością, zostawia zdobycz, powraca do miasta bez żadnego łupu, i powiada swym przyjaciółom, że nie spotkał jaguara w swych wycieczkach, które trwają niekiedy po kilka miesięcy.

Widzicie, moi młodzi przyjaciele, że Ameryka i Azja mają swoich morderczych napastników, i że ich pustynie nie są bezpieczne dla podróżników, odbywających drogę późną nocą, zdala od wszelkich mieszkań. Bądźcie roztroprnymi i ostrożnymi, gdy zwiedzać kiedy będziecie, jak ja, te dzikie strony. Roztropność jest matką bezpieczeństwa. Często rozwaga jest odwagą, i każdy człowiek narażający bezpotrzebnie swe życie, z lekkomyślną śmiałością, jest winnym względem siebie, względem przyjaciół, względem ojczyzny. Kto żąda widzieć, chce też bez wątpienia mieć coś do opowiadania. Umarli opowiadać nie mogą.

— No cóż, Panie Arago, rzekł do mnie Jan-Jan, tonem zostającym w zupełnej zgodności z jego powołaniem płaczka, czy Panu się nie naprzykrzyło jeszcze przestawać od tak dawna z małpami, lampartami, tygrysami, lwami i innymi grzeczными kolegami tego gatunku? Jeśli cię to bawi, powiedz mi tylko, a ja gotów nawet jestem chodzić na czterech łapach, żeby Pana rozzerwać, proszę tylko mię uprzedzić; gdyż znajdować się, tak zniecka, oko w oko, z panterą, jaguarem lub żoko, zawsze gotowym do wytrzepania cię lub pożarcia, nie jest rzeczą zbyt bawiącą..... Doprawdy, Panie Arago, ten rodzaj życia cale mi nie służy, i tak mi psuje humor, że od tygodnia nie wylałem ani jednej łzy. Niszczęję, ginę widocznie.

— Bądź spokojny, mój dzielny chłopcze, rzekłem do niego, ścisnąc go z uczuciem za rękę. Udamy się wkrótce do krajów, gdzie niema ani tygrysów, ani lwów, i gdzie będziesz mógł płakać do woli, gdyż będziemy mieli do czynienia z ludźmi.

— Oto wybornie! to mi się podoba! to lubię! i znowu mam dla Pana szacunek jak dawniej.

XII.

WODA i OGIEŃ. — LUDOŻERCY.

Wsiadłem na statek angielski, który miał płynąć do Madagaskar, i nie zdołałem ci opisać jak wielką była boleść Jan - Jana, zmuszonego żeglować razem z majtkami brytańskimi. Zkąd pochodziła ta antypatja? On sam nie wiedział; ale tak nienawidział tych raków pieczonych, jak ich nazywał, że musiał przypomnieć sobie tę żarliwą przyjaźń, jaką mu okazywałem, żeby mię nie opuścić.

— Są to, mówił mi towarzysząc mnie do okrętu, przekupnie, pyszałki, chińczyki.

— Są to Anglicy, mój chłopeze.

— Są to chińczyki, powiadam Panu; brzydale, koczkodany, którzy ci osypują boki razami pletni, jak Pan mię osypujesz słowami przyjaznemi. Nie chcą, żeby inne narody prowadziły handel Murzynami, a sami prowadzą ten handel we wszystkich częściach świata. Przedają truciźnę jednym, proch drugim, i powiadam Panu, że świat skończy się nie inaczej jak przez nich.

— Sądzisz więc, mój biedny przyjacielu, że świat się skończy?

— Bezwątpienia, ponieważ miał początek.

— Ale wtedy cóż się stanie z ziemią, morzami, gwiazdami?

— To do mnie nie należy, to nie moja rzecz, nie ja ich stworzyłem; ale co wiem ze wszelką pewnością, to że ten ogólny przewrót nastąpi od tych psów Anglików, których chciałbym wszyst-

kich pojeść, choćbym przez to miał się narażić na okropną niestrawność.

Z ludźmi tej natury, co Jan-Jan, wszelka sprzeczką byłaby daremną i niebezpieczną. Starać się zwalczyć jego wiarę, byłoby to ją wzmocnić; udało mi się więc, że podzielałem jego gniew przeciw Anglikom, i powiedziałem mu, że aby zbadać świat wszechstronnie, potrzeba także nieco pożyć ze swymi nieprzyjaciółmi.

— No, mniejsza o tych raków pieczonych, odpowiedział mi uradowany z mojej powolności. Niech mi tylko dadzą pokój na pokładzie, bo będę ich tłuc jak w móżdżerzu. Te niegodziwcy, mówił dalej tonem pogardy, podobni są do dorszów (1): nie można im nachylić głowy; jednak poprobuję, niech tylko się śmieją z moich łez, których źródło zdaje się wyschło od czasu, gdy opuściliśmy ludzi dla dzikich zwierząt.

— Widzisz więc że podróże przynoszą pewną korzyść.

— Powiedz Pan raczej, że przynoszą ubóstwo. Miałem łyż dla wszystkich, teraz ich nimam prawie dla nikogo. Cóż mi z tego, żem tyle świata przebiegł?

Przybyliśmy na pokład w chwili, kiedy podejmowano kotwicę, i w kilka minut potem płynęliśmy w dół wspaniałego Gangesu, którego brzegi są tak powabne, którego fale są przerywane tyłu wędrownymi statkami. Oko, myśl i serce nie mają chwili odpoczynku podczas tej wesołej żeglugi, i wtedy, kiedy twój wzrok zatrzymuje się na pięknej pagodzie; kiedy się przemykasz pomiędzy roślinnością całkiem nową dla ciebie, okrywającą nieobjęte okiem płaszczyzny, spotykasz w tymże samym czasie, pod schylonemi kitami palm, tę Europę oddaloną, przedmiot najgorętszych twoich życzeń. Tam się wznoszą ozdobne budowle, które zajęły dzisiaj miejsce architektury wschodniej, bardziej malowniczej, to prawda, ale której widok przez przywyknienie staje się nam obojętnym.

Noc była piękna i woniejąca. Krocie ptasząt różnobarwnych uno-

(*) *Dorsz*, ryba morska (*gadus callarius*). Łowi się i w morzu Bałtyckiem. W Prusiech nazywana *Pomuchlą*.

siło się nad okrętem, wydawało krótkie krzyki i opuszczało nas po chwili, jak gdyby nam robiąc wyrzuty, że się oddalamy. I zaiste, nie było to niewdzięcznością?

Byliśmy jeszcze zaledwo o dwadzieścia mil od brzegu, kiedy wiatr, który dotąd był dla nas wielce przyjaznym, jednym razem ucichł. Nie była to cisza, ale otrętwienie; nie był to spoczynek, ale nużąca przerwa. Doznawaliśmy jakiegoś przykrości, nie wiedząc jej przyczyny: lekkie drżenia przebiegały od czasu do czasu po naszych ocieżających członkach, i rzekłbyś, że jakiś ciężar niewidomy uciskał pierś naszą gorączkowie oddychającą. W kłatkach, kury, kaczkę rzucały się jak gdyby za zbliżeniem się węża; swojemi dziobami i szponami starały się rozsunąć pręty, co je więziły, i niektóre z tych ptaków, zwyczajnie tak spokojnych, wiły się jak gdyby w bolesnych konwulsjach..... Wkrótce mieliśmy poznać przyczynę tych dziwnych pojawów. Nic nie mogło być czystsze nad błękit nieba, co się rozciągał nad naszemi głowami; nic nie było przezroczystsze i powabniejsze nad kryształ wodny, na którym statek zaledwo się kołysał, a jednak słyszeliśmy jak z końca widnokregu przychodził do nas odgłos głuchy, pewien rodzaj chłostania, którego nie mogliśmy odgadnąć przyczyny, kiedy w końcu przypatrując się z większą uwagą atmosferze, postrzegliśmy mały obłok, biały, po brzegach, ciemniejszy we środku, który leciał po niebie z taką szybkością, że go trudno było doścignąć oczyma. Tam to krył się piorun; tam wrzała burza; tam kręciła się trąba morska!

O! jak Kapitan był roztroptym, że kazał ściągnąć wszystkie żagle!.... Z tego pęcherza, którego obwód nie był większym od tarczy pozorniej słońca, wymykał się, szybki jak błyskawica, wiatr gwałtowny, od którego fale ponury odgłos wydawały. Wkrótce zaczęły się one piętrzyć coraz wyżej i wyżej i przybierać na siebie barwę żółtawą; a kiedy burza wybuchnęła z całą gwałtownością, mieliśmy siebie za zgubionych, jeśli ręka Boga nie ochroni nas od zagłady. Maszty trzeszczały i padały zdruzgotane; żagle skrócone porwane były na szmaty; bałwany spiętrzone okrywały nas bezustannie z jednego w drugi koniec okrętu. Płynęliśmy ciągle pomiędzy dwoma rzędami pie-

niących się bałwanów. Wiatr najgwałtowniejszy przebiegał w rozmaitych kierunkach, i niekiedy trzy bałwany pędzone z przeciwnych stron huraganem, uderzały o siebie po nad naszymi głowami, a wtedy zdawało się nam, że Ocean opuścił swą siedzibę, żeby się wędzić do Niebios.

Statek był całkiem ogołcony. Ani jedna łódź nie utrzymała się na linie. Co chwila, otwarta paszcza bałwana unosiła nam jakiegoś majtka, i gdyby trąba morska dłużej się była nad nami pastwiła, zginęlibyśmy niezawodnie; Ocean stałby się naszym grobowcem. Ale przesilenie, co przybywa szybko jak piorun, oddała się z większą powolnością, i wtedy nawet kiedy wściekłość burzy się uśmierzy, ślady jej potęgi zachowują się długo na rozigranych falach. To wyginają się one, podobne do obszernych dolin; to się piętrzą w olbrzymie góry, tak, że za każdym kołysnięciem Oceanu, lękasz się pójść na dno i zniknąć na zawsze w otchłani.

Jednak statek nasz wytrzymał dzielnie wszystkie wymierzone nań ciosy nieba i ziemi, zgodnych tą razą w niszczeniu, i chociaż boki jego były podziurawione, jak gdyby strzelano doń kartaczami; chociaż odłamki masztów sterczały tylko na pokładzie bez lin, i chociaż trzecią część osady uniósł nam wieher szalony, mogliśmy przedłużać naszą podróż ku Wschodowi, nie zatrzymując się już na Madagaskarze, gdziebyśmy nie znaleźli żadnej pomocy skutecznej w tylu poniesionych stratach. Igła magnesowa, uniesiona razem z puszką, była znowu przytwierdzoną. Rozwiesiliśmy jako tako szmaty żagłów na wiosłach od szalupy, i skierowaliśmy ku Batawji, spodziewając się spotkać na drodze okręt, któryby nam przyniósł pomoc.

Dzielny Jan-Jan okazał przez cały ciąg burzy odwagę prawdziwie bohaterką; Kapitan chciał go za to nagrodzić; lecz on, wierny swoim uczuciom wstrętu ku Anglikom, odrzucił upornie hojne dary Sir Hamiltona, którego z resztą podziwiał, równie jak ja, męstwo i krew zimną.

— Czy widziałeś Pan kiedy podobnego koezkodana? rzekł do mnie z pogardliwym uśmiechem. Jego gwineje, suwereny!... Oneby mi piekły ręce!... Gdyby mi jeszcze ofiarował sztuki sześciofrankowe ober-

znięte, luźdory lub piastry, to nie mówię; ale złoto angielskie, fi, precz!... Małoby mi było później tysiąca talarów na mydło dla oczyszczenia siebie.

Nie głębiej nie wraża się w nas jak myśl jedna, stała. Jest to éwiek, który wchodzi w ranę i drażni ją, skoro go poruszysz; dla tego strzegłem się dowodzić mojemu biednemu majtkowi, że on nie miał słuszności w swej nienawiści. Zostawiłem lekarstwo czasowi, silniej działającemu od filozofji, i opuściłem go, żeby przelać na papier rozmaite wrażenia, jakie sprawił na mnie straszliwy fenomen meteorologiczny, który był nas spotkał. Jan-Jan przechadzał się ciągle w poprzek okrętu, wtedy gdy majtkowie angielscy przechadzali się wzdłuż jego, i trzeba było wiele cierpliwości tym ostatnim, żeby się nie wdać w kłótnię z krnąbrnym towarzyszem, którego im dałem.

— To darmo, rzekł do mnie mój dzielny majtek, skoro mię ujrzał ku wieczorowi, opartego o resztki parapetu, co pozostały jedynie w całości. Napróżno Pan zbierasz objaśnienia i gromadzisz piękne frazesa; nie opiszesz nigdy dokładnie tego cośmy widzieli. Co za hałas! co za ogień! Śmierć pod wszelkimi kształtami, za każdym uderzeniem wichru, za każdym podskokiem fali; śmierć bez modlitwy, bez przyjaciela, bez łzy brata lub siostry; śmierć od wiatru, od wody, od ognia; a w kilka dni potem, rekin za grób! Przetłómacz to, jeśli możesz.

— Napiszę to, co teraz powiedziałeś, odrzekłem mu, i nie będzie to, upewniam cię, jedno z najgorszych miejsc mojego opowiadania.

— Jakto! pomieścisz mię Pan w książce?

— A tak, istotnie.

— Moje imię, moje prawdziwe imię co do litery?

— Nie inaczej!

— O! otóż mię Pan prawdziwie uszczęśliwiasz, i tém zapobieżysz, że nie będę płakać na przyszłość.

— Bacność! Bacność! zawołał szyldwach z rogu okrętu. Przed nami kula ognista.

— Czyż to się morze zapaliło w tém zamieszaniu? zapytał mię na serjo Jan-Jan, którego wprawne oko śledziło już widnokrąg,

— Jestto jeden zapewne z tych świecących meteorów, które wybuchają najczęściej w strefach gorących świata, odpowiedziałem mu. Są też mięczaki fosforyczne, które wydają z siebie światło, i nie tracą go pierwiej, aż nim będą wyjęte z swego żywiołu.

— To nie to, mój kochany Panie! Widziałem to często, o czém mi Pan powiadasz. Tu kocięł większy i więcj ma dREW pod spodem. Poszedłbym o największy zakład, że jestto okręt, co się piecze ze swymi majtkami.

Byłto w istocie okręt w płomieniach, leący za wolą wiatrów i dający ku nam w ostatniej godzinie swego skonu.... Byliśmy wkrótce blisko jeden drugiego.

Co za straszliwy obraz! Co za przerażający ustęp życia marynarskiego! Jak okropny koniec istnienia nędznego i pełnego niebezpieczeństw!...

Tam w górze niebo miedziane, które pręgi płomieni i dymu osłaniają siecią nieprzenikliwą oku; u stóp twoich fale tajemnicze, które strzegą dobrze tego, co im powierzono; około ciebie ogniste języki, wymykające się z poczerńniętych boków okrętu i z lin w węgiel zmienionych!... Ogromny stos pod tobą, który ruch coraz więcj rozżarza, i którego ostatni błysk będzie twojém ostatniém tehniem. To cię przeraża jak chaos, to cię zniewala wierzyć w piekło!

Korweta w ogniu była oddaloną od nas na jakie trzydzieści od trzydziestu pięciu sążni. Mogliśmy wszystko widzieć, co się działo na pokładzie, gdzie ludzie tupali i kręcili się w boleści.... Wielu Murzynów, pośród kilku białych, skupionych było koło wielkiego masztu, który już zaczął być iskry wyrzucać. Jakiś człowiek przeskakuje zagrodę płomieni, co go więzi, wpada do morza, przerzyna fale:— podają mu linę, chwyta się jej rękami i zębami, wciągają go.... wymawia słów kilka i kona.... Okręt prowadził handel Murzynami i niebo ukarało go za to świętokradztwo. Fala powoli się podnosiła. Widzieliśmy stojącego na pomoście masztu, z włosami najeżonemi, z groźbą w ustach, niskiego człowieka, którego wzrok szatański zdawał się naigrawać z płomieni, i którego słowa głośno brzmiące by-

ły jeszcze z poszanowaniem słuchane od otaczających go niewolników.... Okręt pogrążał się coraz więcej. Miał już zniknąć, kiedy ten wódz tyłu nieszczęśliwych otwiera sobie przejście pośród ich ciał poranionych; daje nam znak, żebyśmy szli mu na pomoc i rzuca się w morze z parapetu. Jan-Jan i drugi jeszcze majtek, nie zważając na niebezpieczeństwo, spieszą mu na pomoc, płyną silnemi ramionami, podchwytyją nieszczęśliwego, ciągną go, podnoszą i wrzucają wreszcie do okrętu przez strzelnicę.... Był to Kapitan Bavastro, trzymający jeszcze w jednem ręku pletnię, którą garbował plecy swoich majtków i swoich niewolników.... Tak on stanął u stóp Przedwiecznego.

Dwaj tylko Murzyni uniknęli zguby. Wciągnięni na pokład, gdzie otrzymali wszelką pomoc, jaką nam ludzkość wskazała, powiedzieli nam, że Kapitan, do którego należeli, kupił ich w Zanzibar; że gdy rzemiosło rozbojnika morskiego za mało ciążyło na jego sumieniu, postanowił chwycić się innego, odpowiedniego pierwszemu; że chciał się wzbogacić sposobem mniej prawym, niżeli ten którego dotąd używał; że stan handlarza niewolników zdawał się odpowiadać jego celowi, i że miał zamiar wysadzić na ląd swój towar na Wyspie Francuzkiej, kiedy huragan zmusił go wyjść na otwarte morze. Co do pożaru, nikt nie wiedział, jakim sposobem wybuchnął na pokładzie; ale dwaj Murzyni sądzili, że jeden z ich towarzyszków był winnym. Dodali wreszcie, że Bavastro chłostał ich niemiłosiernie co ranek; że nie dawał im nigdy więcej jak połowę zwykłej porcji, i że nie czekał, nim nieszczęśliwy całkiem skona, żeby go wrzucić na pożarcie rekinom.

Bóg ma swe tajemnice; ale kiedy sprawiedliwość Jego przemówi, biada winowajcom! Piorun dosięga zawsze tego, którego gniew Wszechmocnego wskazał.

Trąba morska i prądy popchnęły nas ku Wschodowi. Zmieniać kierunek drogi w opłakanym stanie okrętu, byłoby czynem szaleństwa.... Gdyśmy uważali, że powinniśmy być niedaleko od Archipelagu Malezyjskiego, płynęliśmy w tę stronę, spodziewając się naprawić nasz okręt na jednej z tych wysp, prawie niepodległych,

gdziebyśmy znaleźli, bez żadnego kosztu, potrzebne drzewo i żywność do dalszej podróży.

— Czy nie ostrzegałem Pana? rzekł do mnie Jan-Jan, widząc mię pogrążonego, wieczorem, w posępne dumania. Żeglować z temi ezerwonemi koszulami i temi żółtymi włosami, jestto narażać siebie na wszelkie nieprzyjemności; sądę, że mię Pan drugi raz posłuchasz.

— Odpowiem ci drugi raz to, co ci już odpowiedziałem: trąba morska nie tylko nam dała się we znaki; uszkodziła ona i inne okręty, a z resztą, widzisz, że dla nas jeszcze była względna.

— Ach! Pan to nazywasz jeszcze względnością! Dziękuję za łaskę. To się znaczy być względnym na człowieka, obedrzeć go z pięknej odzieży, i okryć go starami łachmanami! To wybornie! doskonale! Zdaje mi się, że od wody i ognia przewróciło się Panu w głowie. Patrz, jak biedny statek ledwo z trudnością nas dźwiga; rzekłbyś, że to żebrak biegnący po morzu dla wyproszenia sobie jałmużną jakiego masztu, liny, lub kawałka płótna. To litość bierze prawdziwie; to wysusza moje łzy.

— Powiedz raczój, że to powinno napełnić niemi twoje oczy.

— Tak, twoje Panie, ale nie moje!.... Wiiesz dobrze, Panie Arago, że one płaczą i uśmiechają się w okolicznościach zupełnie innych jak u drugich. Bo widzisz Pan, mówił dalej z głębokiem uczuciem goryczy, widok okrętu w tym stanie, zadaje mi cios śmiertelny w serce. Dałbym mu chętnie koszulę, kurtkę i majtki, żeby mu zrobić choć jeden żagiel.

— No, no, mój przyjacielu; przybędziemy na miejsce bez twój miłosiernej pomocy, i za powrotem będziemy mieli co opowiadać naszym przyjaciołom.

— To pewna, że jeżeli tak dalej pociągnie, poznamy się z ludźmi wszystkich w świecie kolorów.

— Ziemia przed nami! zawołał szyldwach.

Wszystkie bogaetwa krajów podrównikowych ukazały się przed naszymi olśnionemi oczyma. Wszędzie potężna roślinność; wszędzie bogata rodzina palm, rozwiewająca w powietrzu swe wiszące war-

koeze; a tam, na równém wybrzeżu, wakua, drzewo chlebowe, ry-
ma, banan, z pośród którego szerokich liści spadają grona tak buj-
ne i tak wyśmienite.... Byliśmy prawie pocieszeni.

Bez wątpienia, byliśmy blisko jednej z tych powabnych wysp
Sondy (1), z których wymyka się, jak gromada wędrownych pta-
ków, tysiące łódek, osadzonych odważnymi i dzikimi Malajczykami,
których los i życie stanowi nietylę handel, ile łupieztwo i mord.
Ale na każdej prawie z tych wysp znajdują się kantory angielskie,
hollenderskie, lub portugalskie, i my liczyliśmy na ich pomoc, w razie
niebezpieczeństwa, mogącego się zdarzyć w czasie wylądowania, do
którego nas zmuszało nasze nieszczęście.

Na wszelki przypadek zarzuciliśmy kotwicę o kilkaset sążni od
brzegu, na gruncie koralowym, i czekaliśmy tam odwiedzin łódek,
które krajowcy puszczali na morze.

— Wyśmienicie! rzekł do mnie Jan-Jan. Otoż przynajmniej ludzie,
z którymi będziemy mogli poprowadzić gawędkę.

— Oto ludzie, odpowiedziałem mu, w obec których, mądrze zrobi-
my, jeżeli będziemy się trzymać w stanie obronnym. Historia zdoby-
cia tego Archipelagu jest krwią wypisana. Ludzie na nim zabijają dla
przyjemności zabijania, i cywilizacja, razem ze spiżem, nie mogła ich
poskromić jeszcze.

— Pan chcesz mię zastraszyć, odrzekł Jan-Jan otwierając swe
wielkie oczy przelęknione. Ludzie są zawsze ludźmi; nie szarpią się
oni, nie rwą zębami jak tygrys, bjena, lub lew, i nie uwierzę pier-
wiej w złośliwość tych wyspiarzy, aż nim mię nie zjedzą.

— Uwierzysz w nią może bardzo prędko, mój wierny przyjacielu, i
z ruchów tych ludzi, co się zbliżają, wnoszę, że dobrzebyśmy zrobili,
gdybyśmy niezwłocznie podjęli kotwicę.

— Myślę jak Pan, rzekł do mnie Sir Hamilton, uderzając mię poufa-
le po ramieniu; ale gdzie się obrócić z osadą już usposobioną do nie-
posłuszeństwa i statkiem do tyła nadwerżonym?

(1) Wyspy *Sondy*, (Iles de la Sonde) są to wyspy na Oceanie Indyjskim, do
których należą Jawa, Sumatra, Borneo i t. d.

— Masz słuszność, Kapitanie. Z dwóch rzeczy wątpliwych, należy obierać mniej niebezpieczną; nasze przypuszczenia mogą być błędne; czekajmy wypadków.

— Straciłem moich najodważniejszych majtków, mówił dalej Sir Hamilton tonem stanowczym. Co do mnie, pełniłbym moją powinność aż do końca.

— Przyrzekam Panu także pomoc mojego ramienia, odpowiedziałem mu; nie osłabnie ono wśród niebezpieczeństwa.

— Cóż to! zawołał Jan-Jan z twarzą zarumienioną od gniewu, a mnież to mają tu za nic? Czyż nie uderzam tego i trafnie, kiedy tego potrzeba? Rekiny, huragany, ludzie i lwy nie zmuszą mię do cofnięcia się na jeden cal, i gdy wśród niebezpieczeństwa powiesz mi: Stój tam! będę tam stał, choćby te łotry, co się do nas zbliżają, wzniesli już stos, na którym chcieliby mię upiec..... Rozkazuj Pan, jestem gotów!

Kapitan i ja scisnęliśmy przyjaźnie obie ręce gotowego do poświęceń majtka, i w pięć minut potem kilku wyspiarzy całkiem nagich i bez broni wstąpiło na nasz pokład.

— Oni są za nadto szpetni, żeby byli złośliwymi, rzekł do mnie Jan-Jan na ucho, jak gdyby się lękał, żeby go nieposłyszano. Tacy brzydale nie mogą jeść ludzi; oni chyba połykają jaja międko gotowane, i bardzobym się dziwił, żeby się ośmielili oskubać gołębia lub kurezę.

— Strzeż się, żebyś nie był ani gołębiem, ani kurczęciem, mój pocieszny Jan-Janie, i opatrz pokryjomu panewkę twoich pistoletów.

Jan-Jan okropnie się skrzywił, ale posłuchał mię, i pełen odwagi był gotów na wszelki wypadek. Dwaj krajowcy, którzy wstąpili na pokład, mówili dość dobrze po angielsku; ofiarowali swe usługi Kapitanowi; gotowi byli użyć mu pięćdziesięciu swoich towarzyszków dla dokonania robót niezbędnych około naprawy statku, i za całe wynagrodzenie żądali tylko dwóch baryłek wódki i prochu.

— Co się tycze piastrów i gwineów, dodał wyższy z nich, który zdawał się być wodzem, nie wymagamy ich od was, bo ta moneta niema kursu na naszej wyspie.

Umówiliśmy się o cenę. Kapitan i ja zamieniliśmy z sobą spojrzenia, będąc pewni, że wkrótce będziemy mieli do czynienia z rozbójnikami.

Od czasu odkrycia tego Archipelagu przez Portugalczyków, złoto i srebro były towarem najbardziej cenionym od wyspiarzy; byliśmy więc przekonani, że kłamstwo o niewiele poprzedzało rabunek.

A jednak cóż było robić? Musieliśmy tylko zachować wszelką ostrożność. Naleliśmy krajowcom kilka szklaunek wódki i rumu, które wychylili bez najmniejszego zmarszczenia się; a gdy noc zaczęła już zapadać, te zuchy, pod pozorem, że nie śmieją przebyć małej rogatki, broniącej ich wsi, prosili nas o pozwolenie przepędzenia nocy na pokładzie.

Niepodobna im było odmówić. Łotry rozciągnęli się już na pokładzie. My choć położyliśmy się, czuwaliliśmy jednak, i czekaliśmy dnia nie śmiejąc podjąć kotwicy; gdyż inne łodzie z swymi wioślarzami kręciły się ciągle koło nas, jak sępy drapieżne.

— Panie, panie, rzekł do mnie w godzinę później, wchodząc do mojej izdebki, mój majtek rozgniewany; miałeś pan rację: ci pożeracze ludzi przygotowują nam potrawę swojego gatunku, i chcą, żebyśmy sami do niej za przyprawę służyli.

— Zkąd to wiész, zabawny człowieku?

— Oto ztąd. Kiedy ci dwaj miedziani hultaje rzucili się na pokład niby dla zaśnięcia, przysunąłem się blisko do nich, i żeby zwieść ich, chrapałem, chrapałem tak mocno, jak wiatr zachodni. Owoż, spostrzegłem jak otwierali oczy, rzucali wzrokiem tu i owdzie, ściskali się za rękę, mówili do siebie po cichu, i gadali straszne rzeczy.....

— Ty nie rozumiesz ich mowy.

— To nie, Panie. Było tam w ich rozmowie wiele A i wiele R; a potem, kiedy się udaje, że śpi, żeby mówić z sobą na ucho, to nie inaczej jak dla tego, że rzecz się toczy o pieczeniu..... ludzi. Posłuchaj

mię Pan tylko: przytrzymajmy najprzód tych dwóch, później pozbędziemy się jakkolwiek innych.

— Zaraz uprzedzę o tém Kapitana, który bez wątpienia jest także na czatach. Bądź roztropnym, mój przyjacielu. Twoje uwagi są słuszne. My jesteśmy słabi i w małej liczbie; oni silni i liczni: przebiegłość tylko może nas zachować od wielkiego nieszczęścia.

— Mojem zdaniem, odrzekł mi Jan-Jan, roztropność kazałaby, żebyśmy z tych dwóch łotrów miedzianych zrobili siekaninę. Zawsze to będzie dwoma nieprzyjaciółmi mniej; a wyglądają coś tak, jakby mieli pięście jak u Bavastra, który wylęga się w tej chwili zapewne w brzuchu jakiego rekina swojego krewnego.

Kapitan także nie spał: oczy i uszy mając na czatach, śledził on pilnie, jako człowiek doświadczony, ruchy łódek, których zwroty szybkie zdawały się być igraszką wymyśloną dla odwrócenia naszej uwagi od rzeczy ważniejszych. Zdawało mu się też, że postrzegł znaki porozumienia pomiędzy wyspiarzami na brzegu zostającymi a tymi, którzy byli w przystani i dwoma znajdującymi się na pokładzie.

— Nie wiem jak się ztąd wywinie, rzekł on zbliżając się do mnie. Wolałbym już trąbę morską, niż odwiedzin tych łotrów. Co Pan o tém myśli?

— Myślę jak Pan, Sir Hamiltonie, że wielkie niebezpieczeństwo nam grozi, i że niemałe będzie szczęście, jeżeli później będziemy mogli opowiedzieć to naszym przyjaciołom.

— I cóż robić?

— Ufność może nas ratować.

— Tak jest; ale czy nie będą z niej korzystać, żeby nas poświęcić swemu pragnieniu łupów i krwi?

— Może za nadto źle o nich trzymamy?

— Dałby Bóg!

— Sprobujmy kupić u nich dwie lub trzy łódki. Posadź Pan na nie z sześciu najodważniejszych majtków; każ im zwiedzić inne części wyspy, a spodziewam się, że przyniosą nam pomoc jakiej osady Euro-

pejskiej. Kraj jest tak żyzny, że niepodobieństwem jest, żeby go całkiem zostawiono jego pierwotnym mieszkańcom.

— Czemże zapłacimy za te łódki?

— Gwinejami.

— Widok złota nie udzielił im pewności, że mamy skarby ukryte na naszym statku?

— Być może; ależ, wreszcie, trzeba się chwycić jakiegokolwiek środka.

— No, spróbujmy i tego.

Słońce uderzało prostopadle na nasze głowy, a wyspiarze, prawie nadzy, nie zdawali się bynajmniej czuć przykrości upału. Dozwoliliśmy około dwudziestu z nich wstąpić na pokład; dobiliśmy z nimi targu, i ci ludzie z wrzającej lawy nie zdawali się bynajmniej być olśnionymi na widok sztuk złota, które im wyliczyliśmy. Powiedzieliśmy im, że kilku naszych majtków ma się odprawić dla dostania kilku drzew obalonych niedaleko od wsi zwaną Bani-Banu, i że wynagrodzimy ich podarunkami za opiekę, którą w tym razie owym majtkom udzielić zechcą. Z drugiej strony, zaleciliśmy wielką ostrożność naszym ludziom, którzy odpłynęli dobrze uzbrojeni. Czekaliśmy ich powrotu z wielką niespokojnością.

Jedna rzecz nas zastanowiła i napełniła przerażeniem: to jest, że we dwie godziny po odpłynieniu naszych majtków, prawie wszystkie łódki krajowców powróciły do brzegu.

— Myślisz Pan, że wysłałeś tych ludzi na ląd dla dostania drzewa? rzekł do mnie Jan-Jan tonem rozgniewanym; nie, oni sami pójdą z dymem; widzę ich już na stosie.

— Tyż ich tak nienawidzisz!

— Nienawidzę ich, to prawda; ale nie wtedy, kiedy idą na śmierć, i doprawdy, Panie Arago, że chętnie zwiódłbym tęą bójkę z tymi urwisami w obronie czerwonych koszul, które ciągną tam jak owce do rzeźnicy.

— Ha! ha! mój dzielny chłopcze! Twoje serce jest zawsze toż same, i chociaż teraz nie płaczesz już tyle, niemniej przeto ciebie cenię, jak wtedy kiedy zacząłem cię kochać.

— Ot za to jedno dobre słowo, pozwoliłbym się chętnie przebić jedną z strzał tych łotrów o brunatnych skórach. Ale, ale, Panie Arago, jakże się nazywa ich wyspa?

— Oni ją nazywają Pulu-Suk.

— Otóż więc, powiadam Panu, że ci Pulu-Sukińczykowie są to ostatnie łotry, zbójcy, których chciałym wszystkich ponizać i powieszać na naszych rejach (*), jak wianki cebuli.... Ależ jaki ja głupi! mówił dalej Jan-Jan z głębokim westchnieniem; wszak to u nas niema już rejów, a bez tego jakże tu żeglować?

— Nasi ludzie przyciągną tu za sobą linami kilka pięknych sztuk drzewa.

— Panie Arago, czy nie będziesz łaskaw wyświadczyć mi jedną łaskę?

— Zobaczymy. Cóż takiego?

— Oto, nie gniewaj się Pan na mnie za to, co powiem, że Pan wzbudzasz we mnie politowanie. Nasi ludzie nie powrócą ani z drzewem, ani bez drzewa; nasi ludzie zgubieni; nasi ludzie upieczeni, powiadam Panu....

Jan-Jan zaledwo tych słów dokończył, gdy usłyszeliśmy wyraźny odgłos wystrzału. Natychmiast rzuciliśmy się do broni i skierowaliśmy ku Bani-Banu cztery nasze armatki z prawego boku okrętu.

Jednak, gdy powtórnego wystrzału nie było słychać, uspokoiliśmy się nieco, rozumiejąc, że jeden z naszych ludzi wystrzelił do ptaka.

O zdziwienie! o radości! Z zachodniej zatoki wyspy, wypływa szalupa; z kształtu znacznie że europejska; rozpoznajemy na niej wkrótce ludzi białych jak my, odzianych jak my.

Otóż oni. Jest ich dziewiętnastu dobrze uzbrojonych. Na ich twarzach wyczytać można szczęście, jakiego doznają, i wnoszą ze swo-

(*) *Reje*, drągi wiszące w poprzek masztów, służące do przytwierdzenia żagliów.

jéj strony, z jaką żarliwością dziękujemy niebu za to nieprzewidziane spotkanie.

Niestety! zbawcy byli smutnemi szczątkami okrętu rozbitego przed miesiącem; sami oni tylko uniknęli zguby. Chociaż dobrze uzbrojeni i dobrze bronieni w okopach, które wzniesli na prędcie, nie było dnia, żeby nie musieli wytrzymać napadu ze strony tuziemnych ludożerców Pulu-Suku. Jeden z ich towarzyszków, wzięty w niewolę, został zjedzony w ich oczach, i oni oczekiwali lada moment podobnego losu.

Jan-Jan gryzł sobie pięści z wściekłości.

— Sześciu naszych ludzi jest na lądzie, rzekł do nich Sir Hamilton: czy sądzicie, że mogą uleść jakiemu niebezpieczeństwu?

— Żaden z nich nie powróci, chyba jakim cudem..... odpowiedział nam Oficer dowodzący szalupą.

— Jeśli tak, do lądu! zawołał Kapitan, i w pień wycinajmy wszystkich..... Kula poleci szparczéj od nich. Pistolety za pas!

— Oto mi zuch! rzekł Jan-Jan, to mi prawdziwy Anglik, którego lubię jak szczerę koleżkę przy kielichu. Do lądu! i strzeżcie się panowie dzieci!

Łódki kupione służyły do przewiezienia nas. Cztórech ludzi tylko nie towarzyszyło nam, pozostali oni na okręcie dla wyrzucenia go w powietrze, w razie gdybyśmy byli zwyciężonymi.

Było nas trzydziestu siedmiu, wszystkich uzbrojonych od stóp do głowy w fuzje, szable, puginały, pistolety, wszystkich odważnych. Wyprawa była dowodzoną przez Sir Hamiltona, który prosił mię, żebym nieodstępował jego boku, a Jan-Jan zdawał się być zdecydowanym służyć mi za przedmurze w pierwszym niebezpiecznym spotkaniu. Postanowiliśmy nie udzielać przebaczenia nikomu, nawet rajahom, jeśli wpadną w nasze ręce, i trudno sobie wyobrazić z jakim zapętem każdy z nas gotował się do walki. Niepewność, nieszczęście dodawały śmiałości i energii najbojaźliwszym. Nowi nasi znajomi nadewszystko zaledwo pohamować mogli swoją niecierpliwość. Chcieli rzucić się od razu na wieś, i uważali wszelką ostrożność jako nikiżność.

Łódki płynęły z nadzwyczajną szybkością, popychane częstemi lubo lekkimi uderzeniami wiosła. Wkrótce z pomocą prądu stanęliśmy u brzegu, gdzie z brzaskiem dnia mieliśmy wysiąść, będąc pewni, że wypiarze nas nie postrzegli, którzy dla lepszego ukrycia swych zamiarów cofnęli się do pobliskiego lasu, leżącego wewnątrz wyspy.

Mieszkańce Pulu-Suku, jak prawie wszyscy Malajczykowie, śpią, jak sądzę, jednem tylko okiem. W ciągłej wojnie jedni z drugimi, wiecznie w zawziętej walce z swymi sąsiadami, o każdej porze mają ludzi na straży, i pomimo naszej ostrożności, wpadliśmy w zasadzkę.

Co jest szczególnego u tego ludu krwią dyszącego, wyrzuczonego przez Timor (*) dziki, to, że jak tylko pojawi się nieprzyjaciel obcy, wszyscy krajowcy bratają się, i ich nienawiść ustaje podczas całego trwania wyprawy. Po skończeniu uczty z ciała ludzkiego, te wilki powracają do swych łożysk, i gotowi są znowu rozpocząć swe piekielne zapasy. Dla czegoż okręty europejskie nie przybiją kiedy do brzegów Pulu-Suku dla wypędzenia stamtąd tych dzikich mieszkańców, albo raczej dla ich wytępienia? Ale cywilizacja nasza, zaprawdę, ma co innego do czynienia!

O czwartej godzinie rano wysiedliśmy na ląd, pozostawiając nasze łódki straży sześciu majtków, i w ściśnionym szeregu skierowaliśmy się ku Kormaleah, gdzie liczyliśmy na to, że znajdziemy wszystkich śpiących. Sir Hamilton był na czele oddziału. Zwrócił się on ku nam dla zalecenia najgłębszego milczenia, kiedy jednym razem padł trupem, mając szyję przeszytą strzałą.

— Oto już jeden! zawołał Jan-Jan, który skoczywszy stanął przedemną, jakby mi służyć miał za puklerz.

— Cicho! rzekłem do niego, hałas przyzywa niebezpieczeństwo.

— Ci pozeracze ludzi wiedzą, że jesteśmy tutaj. Słyszę obok w tej gęstej zarośli ciągły szmér. Czy nie chcesz Pan, żebyśmy się tam rzucili?

(*) *Timor*, jedna z wysp Malajskich, na której wulkan się znajduje.

— Nie, ale liście nie zatrzymują kul. Zróbmy ogólny wystrzał i celujmy po pas człowieka..... Czy Pan się na to zgadza? zapytałem Sir John Davis'a, który zastąpił miejsce Kapitana.

— Tak i ja myślę, odpowiedział tamten.

Wszystkie nasze wystrzały nastąpiły jednocześnie. Odgłos wrzaskliwy i przeciągły rozległ się w około..... Niestety! zabiliśmy jednego bawołu i ranili drugiego, który uciekał ze straszliwem ryczeniem. Jednak nabiliśmy naszą broń i postanowiliśmy opuścić miejsce zarosłe, do którego wstąpiliśmy, kiedy krzyk przeraźliwy rozległ się przed nami. W téjże samej chwili byliśmy osypani gradem strzał, i, od tego pierwszego ataku straciliśmy trzynastu ludzi. Wielu innych ranionych i cierpiących wołało: ratuj się kto może! i skierowało z wielkiem przerażeniem ku brzegowi. Wtedy rozumieliśmy, że nasza ostatnia chwila nadeszła. Napróżno Sir John Davis, Jan-Jan i ja staraliśmy się zatrzymać uciekających. Ucieczka stała się ogólną, i moi dwaj towarzysze, równie jak ja, byliśmy winni życie tylko naszej przytomności umysłu, bośmy się skryli pomiędzy zabitymi.

Nieprzyjaciel minął nas, pędząc się za uciekającymi i wydając głośnie okrzyki wściekłości. Wnosiliśmy, nie słysząc strzałów, że nasza strona miała więcej męczenników niż walczących. Cóż nam pozostało czynić w naszym okropnem położeniu? Probować walczyć przeciwko secinie ludożerców, było to biedz na śmierć nieuchronną. Co się tycze powrotu na pokład, to było prawie niepodobieństwem, gdyż należało przypuszczać, że drogi były strzeżone. Zagłębić się wewnątrz wyspy, i żyć tam owocami i korzonkami, których lasy mogą dostarczyć, taki był środek, którego chwyciliśmy się, ale którego nie podobna było wykonać inaczej jak za nadejściem dnia. Jednakże, wnosząc, że dzicy nie zadługo powrócą na miejsce ich pierwszego napadu dla zabrania zabitych i dobiecia ranionych, opuszciliśmy nasze stanowisko, i puściliśmy się na los szczęścia w głąb Pulu-Suku.

— Cicho! rzekł po cichu Jan-Jan, który poprzedzał Sir John Davis'a cicho! jest tu ktoś; wpadliśmy znowu w zasadzkę.

Położyliśmy się twarzą na ziemi. Czekaliśmy naszego losu, mocno postanowiwszy przedać drogo życie i pomścić się naszych nieszczęśliwych towarzyszków.

Niestety! Inne obrazy miały się nam przedstawić; obrazy szkaradne, zasmucające; sceny pełne okropności i żalu, w obec których nasza odwaga była bezsilną. Obiecałem prawdę ze wszystkimi szczegółami, powiedzmy ją więc na przekór tym, którzy śmieją utrzymywać, dzisiaj jeszcze, że oświata była mniej pożyteczną niżeli zgubną dla ludów Oceanu, które podbiliśmy w ciągu trzech wieków.

Powiedzieliśmy już, że posępne milczenie nastąpiło po okrzykach wściekłości napastników, i wkrótce, jak wilki zgłodniałe, krajowej zaczęły przebiegać pole bitwy. Ranieni i zabici przyciągnięni byli za nogi do małego pólka w lesie, w bliskości którego przyczailiśmy się, i tam to miała się spełnić ofiara. Widzieliśmy, jak ci okrutni ludożercy liczyli swe ofiary z piekielną radością, gdy tymczasem więźniowie, leżąc na ziemi, oczekiwali chwili męczarni.

Gromada gałęzi i liści suchych zniesioną została przez kobiety i dzieci, które niemniej jak mężczyźni okazywały niecierpliwosć do zagłębienia swych ostrych zębów w ciała krwią ociekłe. Wkrótce płomień błysnął, buchnął, i w pałające żarzewie, bezustannie podsycane, wrzucone zostały oszpecone trupy czterech majtków i jeden Murzyn, pełen jeszcze życia, który się zwijał wśród płomieni. Podczas tego strasznego dramatu, dzieci śpiewali swe pieśni tryumfu i tańczyli koło ogniska. W pół godziny, też same kobiety i też same dzieci, które przyniosły drzewo, poszły zaczerpnąć wody w strumieniu, ciekącym nieopodal stamtąd i zgasiły ogień. Po dokonaniu tego, wyjęto ciała czarne i zwapnione, i za pomocą nożów z prostym żelezcem, pocięto je na części. Wódz ich (rajah) oddzielił sobie największą część uczty. Prawda, że on także okazał największą odwagę w bitwie, i że wściekłość jego zwiększyła się otrzymaniem rany w ramię, z której krew ciekła jeszcze.

Pożerano, pożerano z wściekłością członki naszych nieszczęśliwych towarzyszków i ta okropna uczta była strasliwem przygotowaniem do śmierci dla tych, którzy oczekiwali, bez żadnej nadziei, podobnego losu. Skoro głód został zaspokojony, utworzono nowe koło, i rajah, zbliżywszy się do jednego z więźniów, kazał mu usiąść. Zaledwo ten wykonał rozkaz, gdy jednem uderzeniem noża, odciął mu głowę, która się potoczyła po piasku, przy głośnem wyciu ludożerców. Później zaczęto pić, i do tego użyto czaszki tylko co ściętego więźnia, którą rozcięto na dwoje, wypróżniono i trochę wytarto szmatami liści kokosu. Ta czaszka przechodziła od ust do ust, napełniana w miarę jak była wypróżnianą.

— Naprzód więc! zawołał Jan-Jan, który uważał ucieczkę naszą za czyn odwagi; naprzód. Nie chcę służyć za bifszyk tym żarłokom. Lasy te obfitują we wszystko: liście zeschłe postują nam za materac; pień drzewa za poduszkę, a co do firanek, zdaje się, że będziemy je mieli dosyć szerokie i gęste. Bo widzicie, rzekł dalej, z ledwo dostreżonym uśmiechem na ustach, jest nadzieja w głębi wszelkiego nieszczęścia; a jeśli Bóg nie dozwolił, żebyśmy byli upieczeni, jak nasi nieszczęśliwi towarzysze, to dla tego, że zachowuje nas na lepszą przyszłość, jeżeli tylko nie stracimy odwagi. Cóż u licha! Małpy żyją wybornie w tych lasach, my przecież, jak sądzę, jesteśmy coś lepszego od nich, i nie umrzemy z głodu ani pragnienia, dopóki mamy wodę u stóp naszych i owoce nad naszemi głowami.

Słodka filozofja Jan-Jana wlała nieco pociechy w nasze serca. Zapuściliśmy się odważnie w głąb wyspy, której obszerność nam była nieznaną, i nie mogę ci wypowiedzieć, ile zadowolenia znaleźliśmy w niebezpieczeństwach i trudnościach naszego przedsięwzięcia.

Wieprze białe, które krajowcy nazywają *babirusso*, kwiczały często blisko nas; ale nie mogliśmy ich zabić inaczey jak za pomocą naszych pistoletów, a roztropność wzbraniała nam ich użycia. Olbrzymie boa przesłizgały się takoy przed nami, nadewszystko blisko miejsce bagnistych; ale, w miejscu napadnięcia na nas, uciekały za naszym zbliżeniem, i bronić się nam tylko istotnie przychodzi-

ło przeciwko krociom małym, których wszystkie prawie wyspy Sondy są pełne.

Dziewięć już dni szliśmy tak przez lasy, przez wysokie wzgórza, przez łąki trudne do przebycia, kiedy jednym razem wstrzymaniu zostaliśmy przez szeroką rzekę, której przebycie niepodobna nam było. Jan-Jan chciał spróbować przepłynąć ją; ale przypomniawszy sobie, że ja nie umiałem pływać, uderzył się mocno w twarz, dla ukarania, jak mówił, tych, którzy zaniedbali mego wychowania.

— Dzięki tobie, Panie Arago, mówił dalej tonem zażalonym, zmuszeni jesteśmy zrobić wielki krąg i zmienić kierunek naszej drogi. Byłem pewnym, że tam, po drugiej stronie, znajdziemy ludzi mniej okrutnych jak ci Pulu-Sukińczykowie; ale ponieważ Pana niczego pożytecznego za młodu nie nauczono, musimy dążyć z biegiem rzeki, która powinna wpadać do morza, i rzeczą jest całkiem naturalną wnosić, że blisko jej ujścia są wsie, może nawet wielkie stolice jak Paryż lub Londyn. Bóg nie rozsiał tyle skarbów bezużytecznie na tej ziemi nieszczęsnej.

Tak tedy i w tym razie dzielny mój majątek dodał nową nam energji. Poszliśmy biegiem rzeki, której brzegi, prawie całkiem zarosłe olbrzymią i gęstą trawą, utrudniały bardzo nasz pochód. Rano, przed wschodem słońca, wieczorem, po jego zachodzie, grzbiety łuskowate mnóstwa krokodyli ukazywały się z wody i ostrzegały nas o niebezpieczeństwie odpoczywania blisko rzeki; a razem szybkie przesmykania się boa pod gęstymi pokładami suchych liści, wzbraniały nam również użycia snu w cieniu multipljanów (1) i drzew kokosowych.

Niebezpieczeństwo więc było wszędzie, chociaż jeden z nas był zawsze na straży, kiedy drudzy spali; a nieszczęściem, nie widzieliśmy kresu naszym trudom, chyba w jakiejś nową katastrofie.

Jednak rzeka, najeżona w wielu miejscach skałami polipowe-

(1) *Multipljan* (Multipliant) wielkie drzewo, którego gałęzie wrastają prostopadle w ziemię.

mi, dostarczała nam obficie muszel; owoców nam nie brakło, i wszelka nadzieja jeszcze w nas nie zagaśła.

— Rzeka podnosi się, rzekł do nas jednego poranku Jan-Jan, przebudziwszy nas ze snu; a ponieważ ona podchodzi aż do nas, to pokazuje się, że jesteśmy niedaleko morza. Naprzód, i niech Bóg nami się opiekuje!

Te wyrazy majtka podwoiły naszą wytrwałość. Uwierzyliśmy w pomyślny skutek naszej wyprawy; podziękowaliśmy Niebu za radość, którą napełniło nasze dusze, i jako nagrodę za naszą wdzięczność, usłyszeliśmy wieczorem szum fal Oceanu, których pocieszający odgłos przynosił nam świeży powiew wiatru.

Jan-Jan, niestety! tą razą się mylił. Ani jednej chałupy przy ujściu rzeki; nietylko osady Europejskiej, ale ani śladu kroków człowieka..... My może, pierwsi jeszcze deptaliśmy naszymi stopami tę ziemię niegościnną.

Biędny majtek był przerażony; nie śmiał przemówić do nas ani słowa. Bolesć jego powiększała się w miarę rozpaczliwego położenia, do którego nas przyprowadził nie będąc proszonym o radę.

— Tak, Panowie, mówił do nas zdejmując swój kapelusz, jestem do niczego, jestem mandryllem, koczko-danem, Pulu-Sukińczykiem. Bijcie, chłószczcie, zabijajcie, jédzcie mię; przysięgam, że nie będę miał za to do was urazy; bo i cóżto najlepszego zrobiłem? Cheiałem grać rolę uczonego, a jestem nic więcej jak kapuściana głowa. Raczcie mię posłuchać, i przybijcie mię tu na śmierć. To mię nauczy na przyszłość być posłusznym, a nie wyjeżdżać z swemi radami.

Staraliśmy się pocieszyć biédnego majtka; lecz postrzegliśmy wkrótce, że to nadaremnie. Stawał się on coraz smutniejszym, gdyż wszystko w około nas było posępném i uroczystém jak samotność w pustyni.

Nazajutrz uczuliśmy głód. Nie było już drzew owocowych, a ujście rzeki, czerniejące się ogromnemi krokodyłami, nie podawało nam żadnych środków do połowu ryb. We dwa dni potem spozie-

raliśmy na siebie wzrokiem przygasłym i szklistym; czuliśmy udręczenia głodu i nie inaczej jak z goryczą przemawialiśmy do siebie.

— Uprzedzam Panów, że nie będziemy ciągnęli losów, rzekł do nas Jan-Jan, lubo wiedział dobrze, że wieczorem przyjdzie do tego. Mój pistolet nabity, jeżeli włożycie moje nazwisko do kapelusza, palę sobie w łeb.

Sir John Davis i ja słuchaliśmy z bolem serca okropnych groźb naszego towarzysza i byliśmy opanowani jakimś odrętwieniem, podobnym do idjotyzmu. Nieraz kładliśmy się na brzegu z nogami w rzekę spuszczeni; lecz krokodyle nie dotykały się nas, jak gdyby chciały zachować nas na nowe udręczenia, na nowe męczarnie. Dawały się już nam uczuć wewnątrz straszliwe szarpania; twarze nasze posiniały, przybierały barwę trupią; oddech nasz stawał się przerywanym. Zaledwo mieliśmy dość siły przeciągnąć się kilka kroków; nasze członki wyęczone nie miały już elastyczności; krew prawie bez ruchu, lodem ścinała się w naszych żyłach. Wiedzieliśmy, nieszczęśliwi biédacy, że konanie zgłodniałego jest powolne, powolne, i że jego przedśmiertne chrapanie połączone z szaleństwem, wściekłością, rozpaczą!

Nie zamieniwszy z sobą ani spojrzenia, ani myśli, rzuciliśmy się na kolana, i przesłaliśmy ostatnią modlitwę do nieba.... a we cztery godziny później, Jan-Jan, Sir John Davis i ja, odbieraliśmy na pokładzie okrętu, pomoce najtroskliwszej litości. Powrót nasz do zdrowia był szybkim. Choroba prędko niknie, kiedy nadzieja wstępuje do serca.

Jak tylko mogłem mówić, opowiedziałem Kapitanowi *Kumberlandu*, który szczególném dobrodziejstwem Opatrzności zawinął był tam, smutne wypadki, jakie nas spotkały od czasu opuszczenia Bengalu. Rozkazał on natychmiast skierować okręt ku Bani-Banu; a gdy nie postrześliśmy żadnego śladu naszego statku, domyślaliśmy się że dziecypiarze zatopili go po wymordowaniu reszty osady.

Kapitan pozwolił nam spalić tę wieś, i w kilka minut potem płomienie ogarnęły domy, których mieszkańcy ratowali się ucieczką za naszym zbliżeniem. Dopełniwszy tego czynu sprawiedliwości, wy-

płynęliśmy na otwarte morze, kierując się ku Wschodowi, żeby nie być uniesionymi przez prądy.

A teraz, kiedy dokonałem z wami, moi dobrzy i drodzy przyjaciele, pochodu tak trudnego, zdaje mi się być rzeczą słuszną pozostawić wam kilka dni spoczynku..... Będzie to dla was czas wakacyjny.

Pamiętajcie tylko, że wkrótce odwiedzimy nowe kraje; poznamy nowe ludy; będziemy walczyć przeciwko nowym niebezpieczeństwom. Ocean spokojny ma swe bogactwa; Afryka środkowa swe klęski; Niagara swe wspaniałe widoki; biegun swój surowy klimat.

Gotujecie się do walki, żeby z niej wyjść zwycięzcami. Ile razy widzimy odmienne ludy, tyle razy stajemy się ludźmi..... Wy będziecie ludźmi kiedyś, i nie chcę, żebyście powiedzieli wtedy, że ten, co do was dzisiaj przemawia, pokazał wam tylko świat urojony.

Do widzenia więc, moi przyjaciele! Tak lubię pogadankę z wami, że wasz odpoczynek będzie dla mnie znużeniem i przykrością.

XIII.

B O R N E O .

Ach! mój Boże! Jakkolwiek czynnem byłoby życie człowieka, jak ono mało zajmuje miejsca na świecie, i jak przemija często obok rzeczy najciekawszych, nie postrzegając ich!

Obejrzałem niektóre części Borneo, téj wyspy tajemniczój, obszernój jak ląd, panującej, potężnej, nieujarzmionój do dziś dnia, i czułem się dumnym z moich pamiątek, które powierzałem papierowi, kiedy jeden z młodych pasażerów *Kumberlandu* zbliżył się do mnie po przyjacielsku, usiadł obok mnie na pokładzie i zaczął się chwalić z swych awanturnicznych wycieczek po Oceanach.

— Wiem, rzekł do mnie, że Pan się nazywasz Arago; że lubisz życie wędrowne, i że gonisz za wypadkami, które udzielają dramatyczności naszemu istnieniu.

— Wiész Pan to co jest, odpowiedziałem mu z grzecznością. Wolnoż mi zapytać o Pańskie imię?

— Nazywam się Jerzy Beckler.

— A! do milion kroćset! Witam cię tedy z całego serca, mój Panie. Czytałem już niektóre ustępy pańskich podróży. Ci którzy przebiegli okolice zwiedzane przez pana, zgadzają się na przyznanie jego opowiadaniom szczérości i naiwności, tych dwóch przymiotów tak wysoko cenionych w podróźopisarzu.

— Mają oni słuszność, odpowiedział Jerzy Beckler ściskając mię za rękę, zmyslenie nigdy nie jest tak dramatycznym, tak zajmującym jak prawda. Cała korzyść jest na stronie opowiadacza dobrej wiary, a kłamstwo przynosi tylko pogardę.

— Zgadzam się na to z Panem! Pojmuję tę filozofję, która jest także prawem dla mnie.

Przeczytałem mojemu współtowarzyszowi podróży opisy, które już znacie. Dla wywdzięczenia się za to, opowiedział mi swą wycieczkę do wspaniałych pustyń wyspy Borneo; pozwolił mi spisać je i ogłosić, w razie gdybym je znalazł zajmującemi.

Byłoby dla mnie szczęśliwe zdarzenie, z którego nie omieszkałem korzystać. Chcę tedy wzbogacić waszą pamięć ciekawem opowiadaniem Jerzego Beckler.

Jego charakter poczciwy i prawy nie przypuszcza żadnego wątpiewania. Jego opowiadanie jest prawdziwe jak cyfry, i wielu podróżników skłania głowę na samo imię Jerzego Beckler, nazywając go *Zwierciadłem krajów nieznanych*.

Jerzego więc wprowadzam tu mówiącego; ale pierwiej kilka słów przedwstępnych:

W każdym wieku i w każdym kraju byli ludzie odważni i przedsiębiorczy, którzy bez pewnego oznaczonego celu, niekiedy w zapędzie szалу, często téż wiedzeni silną pobudką stania się użytecznymi, rzucali się na oślep w przedsięwzięcia pełne niebezpieczeństw.

Wdzierano się na góry prawie nieprzystępne, dla tego tylko, że mało było takich, coby się na to odważyli; pustynie przebywano dla tego tylko, że nikt nie powrócił, co się w nie zapuścił. Lubię ludzi energicznych i wierzę ich opowiadaniom, jakkolwiek na piérwszy rzut oka bajecznemi się one wydają. Zazwyczaj, kłamcą jest ten, co widzi wszystko, wie wszystko, nie wychodząc z swojego spokojnego gabinetu, i który chce ciebie nauczyć, jak kręci się w powietrzu trąba morska; ciebie, który żeglowałeś pośród tych zjawisk, zgubnych dla tylu okrętów.

Nie wolno teraz podróżnikowi zabawiać czytających bajeczkami. Prawda z dnia na dzień coraz więcej staje się widoczną. Jeżeli kłamiesz w jednej rzeczy, jesteś podejrzanym we wszystkim; napisales romans, twoje imię umrze razem z nim na półkach opylonych jakiejś nieznaney biblijoteki.

Robert Hamilton zwiedził wszystkie stolice Europy, piechotą, nie zatrzymując się w żadnej porze roku, przed żadną ulewą, przed żadnym wichrem i gradem: książka jego jest utrudzeniem, kolana twoje drżą na opowiadanie niezmordowanego podróżnika; ale uczy cię on wielu rzeczy i przynosi ci miły odpoczynek po dokonaniu swęj wędrówki.

Fabrykant nożów z Rochefort wdrapał się piérwszy na Pitterboth, tę piramidę z lawy, umieszczoną na jednej z najwyższych gór wyspy Francuzkiej.

Rovira, hiszpan z Montevideo, wyruszył konno, z żywnością na sześć dni tylko. Zapúścił się w stepy rozlegające się na zachód od Buenos-Ayres; przebył Paraguay; wdrapał się na Kordylljery, i przybył zdrów i cało do San-Jago w Chili.

Dwaj bracia Landers'owie dokazali cudów odwagi w dwóch podróżach, które przedsięwzięli dla dostania się do Tombaktu. Caillé zwiedził *może* to tajemnicze miasto Afryki środkowej.

Banks, jak sądzę, przebył Afrykę z południa na północ. Nie nie zatrzymało wycieczek braei Verreaux, ludzi z nauką i zdolnościami, z których młodszy niedawno wyruszył znowu dla zapuszczenia się w pustynie Nowej Hollandji, zkąd zapewne przyniesie z sobą wielkie bogactwa botaniczne i zoologiczne.

Patrz, jak Belzoni, Claperton, Boutin, Mongo-Park, zagłębiają się odważnie w pustynię Sahary, ale nie powracają z niej.

Patrz jeszcze, jak Sydney rusza z Kalkutty; przechadza się w ciągu lat czterech po najwyższych wierzchołkach Himalai i dosięga prawie szczytu Davalackery.

Pod wszelkimi względami, Borneo zdolném było zaostrzyć ciekawość ludzi odważnych, którzy się poświęcają na niebezpieczne wę-

drówki; jakoż nie zbywało na nich. Najstawniejszym ze wszystkich jest major Muller.

Nikt nie powrócił uwiadomić nas o tajemnicach, które oni zbadali, tak dalece, że musimy przestawać na wiadomościach powierzchniowych o wybrzeżach tych wysp olbrzymich, których wewnątrz kryje w sobie bogactwa, pociągające ku sobie najwięcej chciwość wszystkich narodów, to jest, metale szlachetne i kamienie drogic.

Jednakże, opowiedziałem wam kiedyś postrzeżenia dokładne, uczynione przez doktora de Calonne o plemieniu pogranicznym w *Ben-żer-Massim*. Dzisiaj chcę wam udzielić opisu człowieka bez nauki, ale wielkiej bystrości rozumu, który mieszkał obok pokoju zajmowanego przezemnie w hotelu Samaryngu.

Mój sąsiad Jerzy był rodem z Szwajcjarji. Przybył on do Malezji jako żołnierz hollenderski i wystanym był do garnizonu w Sambas. Tam posłyszał mówiących o bogactwie kopalni w Montradoku, zostającej w posiadaniu osady Chińskiej, a znajdującej się w niewielkiej odległości od Sambas. Wyobraźnia jego rozpałała się; przypomniał sobie, że był jakim takim złotnikiem i zegarmistrzem w swjej młodości.... Porzucił służbę i udał się do Chińczyków, będąc pewnym, że z przemyśłem zrobi tam fortunę.

Ten człowiek nie znał owych ludzi.... Chińczykowie wzbogacają się we wszystkich krajach, ale żaden cudzoziemiec nie osiedlił się u nich. Z resztą, niech sam mój sąsiad mówi, jestem tylko jego Sekretarzem.

Przyjęto mię z początku w Montradok bardzo uprzejmie. Chińczycy sądząc że przybyłem dla robienia pokaupiek, dozwolili mi zwiedzić wszystkie magazyny, wszystkie fabryki. Miasto regularnie jest zbudowane i podzielone na bardzo piękne kwartały czyli bazy, przez długie pod linią wyprowadzone ulice. Zajmuje ono przestrzeń więcej niż sześć mil kwadratowych, na wspaniałej równinie, skropionej licznymi strumieniami i okrytej bujną roślinnością. Okolice miasta przedstawiają rozkoszne położenia, i w pewnych odległościach, oddzielne

warownie wskazują, że Chińczycy w razie napadu staraliby się tam utrzymać mocą oręża.

Skoro się dowiedziano, że przybyłem dla zarobku, żeby zostać górnikiem, Chińczycy zmienili swój sposób postępowania ze mną. Oświadczyli mi, że ustawy ich nie pozwalają pobytu żadnemu cudzoziemcowi pomiędzy nimi; że tolerują tylko Malajczyków, którzy się zajmują najprostszymi u nich robotami; że współziomkom nawet swoim nakładają ciężkie zobowiązania, nim nadadzą im prawo obywatelstwa. Nadto, że nikt nie może otrzymać upoważnienia do wydobywania kruszców inaczej, jak po długim pobycie w kraju; po odbyciu tam, przez pewny lat przeciąg, służby żołnierskiej, i po przestawianiu uprzednio na niewielkich korzyściach z handlu podrzędnego; wreszcie, rozkaz opuszczenia miasta we dwadzieścia cztery godziny udzielony mi został ze wszelką grzecznością, z jaką Chińczycy umieją usuwać współubiegających się.

— Wybornie! z tego jednego rysu poznają Chińczyków; poznają całkowicie zwolenników Konfucjusza; ale wyznają, że nie pojmują tego dobrze, co mi powiadasz o warowniach i wojskowości tego ludu tandeciarskiego.

— Zaraz ci to wytłómaczę. Oto, Chińczycy z natury nie lubią wojny, ale przyjmują ją, kiedy spodziewają się z niej wielkiej korzyści. Tam, gdzie istnieje cywilizacja, pozostawiają innym staranie obrony kraju; tym sposobem, w osadach hollenderskich nigdy nie biorą udziału w kłótniach; ale tam, gdzie widzieli, że ziemia sama była źródłem bogaetw, uważali sobie za powinność wyłącznie ją posiadać i bronić. Każdej chwili wystawieni są na napady krajowców, których obdarli; każdej chwili może się zamarzyć Hollendrom szukać z nimi zaczepki.....; dla tém lepszego więc zapewnienia swój zdobyczy, odrzucają każdego cudzoziemca i zaciągają do wojska tylko swoich.

Chińczycy mię odpychali..... Byłem zmuszony uleźć; jednak postanowiłem nie wracać natychmiast, ale zwiedzić wewnętrzne położenie kraju, gdzie spodziewałem się znaleźć jaką kopalnię bogatą, któraby mi wynagrodziła za wszystkie moje trudy.

Dostałem dobrą łódkę, małą, ale mocną, a nadewszystko lekką, tak że można było kierować nią łatwo, i przenieść na ramieniu w potrzebie, gdybym napotkał spady i przegrody trudne do przebycia.

Wziąłem z sobą żywności na jeden miesiąc. Przy oszczędności, mówiłem sobie, zapas mój może wystarczyć i na dłużej; nie bez tego, żebym kogo na mej drodze nie spotkał, i jeśli, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie powrócę z mojej wycieczki, to pewno nie umrę z głodu.

Naprzód więc! Moi przyjaciele kilkodniowi nie mogli mię odwieść od mego śmiałego przedsięwzięcia. Pożegnali mię ze łzami; ja wsiadłem do łódki i popłynąłem w górę rzeki.

Wieczorem wszystko było cichem i spokojnem na brzegu. Uderzenia tylko mego wiosła przerywały spokój téj wspaniałej samotni, wiecznej jak stworzenie; ale noc stała się gwarną i niebezpieczną w około mnie. Krokodyl pokazywał swój grzbiet zielonawy, a w lesie, przy którym przycumowałem mą łódkę, łoskot i ciężkie oddychanie zapowiadały mi przerażającą obecność boa. Głosu człowieka nie było słyhać; ani ryku słonia, ani krzyku małpy. Dusiciel wygnał zapewne wszelką istotę żyjącą z tych tajemniczycy stron. Co do mnie, spałem nie inaczej jak z pistoletem w rękę.

Dzieci lękają się kiedy niema nikogo przy nich; ja lękałem się spotkać kogo; lękałem się tego i żądałem razem, gdyż chciałem co najwięcej widzieć i poznać, a jednak błąkałem się jeden w tym świecie tak silnym, tak wspaniałym, tak ciemnym, tak spokojnym. Przysięgam ci, panie, mówił dalej wędrowiec, że pomimo woli, gotów byłem zapuścić się w tę niezmierną pustynię, tyle ona miała w sobie wielkości i szczytności.

Płynąłem powoli, a często z trudnością, według powolnego lub szybkiego biegu rzeki. Nic nie tamowało mojej wodnej podróży, kiedy piątego dnia po wyruszeniu z miejsca, odgłos podobny do galopu konia zwrócił na się moją uwagę..... Nie przestałem robić wiośłem, ale oddaliłem się od brzegu na kilka sążni..... Gdy odgłos ten wkrótce ustał, postanowiłem sam iść ku niemu, i przywiązawszy łódkę

do pnia drzewa kokosowego bez owocu, zapuściłem się w gęstwinę lasu.

Jakież było moje zadziwienie, kiedy ujrzałem wkrótce małą ścieżkę, wyraźnie wydeptaną, wijącą się pośród regularnych wzgórz, otoczonych czarnymi kamykami, i wznoszących się szczeblami jedne nad drugie.

«Otóż i ludzie!» zawołałem w głos pomimowoli.

Zaledwo wyrzekłem te słowa, kiedy się ujrzałem w pośród czterech zuchów, uzbrojonych w piękne włócznie i mających ramiona otoczone bogatymi obrączkami ze złota. Byli oni wysokiego wzrostu, cery brązowej, włosów nieco kędzierzawych, i oczu błyszczących jak komety.

Widząc mnie tam samego jednego, nieruchomego, z palcem na cynglu pistoletu, którego nie znali użytku, wydali razem okrzyk, po czém nastąpił głośny śmiech, który wytłómaczyłem sobie następnie: «Boże, jaki on brzydki!»

Pytam się Pana, czy te urwisy nie uwłóczyli mi? rzekł do mnie wesoło autor tej odyssey, przerywając swoje opowiadanie i głaszcząc swoje spłaszczoną brodę.

Ci ludzie, mówił dalej, którzy uważali się za tak pięknych, a których ja z mojej strony uważałem za tak szkaradnych, dali mi znak, żebym szedł za nimi, a gdy ja udałem, że ich nie rozumiem, wyrzekli kilka zgłosek gardłowych, chwycili mię pod ręce i wprowadzili biegnąc z sobą.

Po upływie pół godziny tego szybkiego pochodu, pod zastoną drzew dziwnie pięknej zieloności, postrzegłem półko, i wkrótce znalazłem się blisko wioski złożonej z seciny chałup, zbudowanych na palach około sześciu łokci wysokości. Przewodnicy moi wydali wielki okrzyk, i w tejsze chwili, otoczony zostałem całą ludnością wsi.

Kobiety nadewszystko i dziewczęta przypatrywały się mi z upokarzającą ciekawością. Obracały mię to w tę to w tę stronę; dotykały się mię; ciągnęły za włosy; targały za odzienie, i zdawały się wątpić,

że tam pod niemi jest człowiek, zbudowany jak ich mężowie, ich bracia.

Zdjęto ze mnie odzienie; stanąłem nagi pomiędzy nimi. Dzieci przypatrywali się mnie z coraz większym podziwieniem, a ponieważ chciałem zbadać ich naturę, ośmieliłem się dać im poznać, że czuję głód i pragnienie.

Jeden z nich włązi natychmiast na drzewo kokosowe, i powraca z owocem. Młoda dziewczyna wskakuje po drabinie sznurowej do chałupy i przynosi spory kawał pieczonego mięsa: było to mięso z boa. Posługiwano mi z nadskakiwaniem, w którym więcej było ciekawości, niż przychylności. Chciano się dowiedzieć bez wątpienia, czy jadłem i piłem jak inni ludzie.

Owoż, wiem że dziwne miny bawią zarówno moich współbraci czarnych, białych, czerwonych lub miedzianych, i że oni znajdują rozrywkę w sztukach kuglarskich.

Postąpiłem więc, jak gdybym był w kraju ucywilizowanym. Położyłem na ziemi kokos, który otwarto uderzeniem pewnego rodzaju noża (crish), oraz pieczyście z boa, które mi podano na liściu bananowym. Przeżegnałem się naprzód; potem odmówiłem *Pater noster*; określiłem się na piętach; podniosłem ramię; uderzyłem się w czoło; umoczyłem w soku kokosowym mój palec wskazujący, i zrobiłem ze dwadzieścia innych figlów, z których sam śmiałybym się szczerze w innem położeniu. W końcu, usiadłem skureczywszy się i zacząłem jeść i pić, nie dotykając się owocu ani węża inaczéj jak ustami.

Dzieci byli w osłupieniu. Załowali mię, że tak mało umiem; a jedna młoda dziewczyna, biorąc mię na stronę, i chcąc mi dać lekce ochędóstwa, plunęła naprzód na resztkę pozostałą węża, rozprowadziła ślinę na skórce gadu, dla starcia z nią pyłu, którym była powalana, i zjadła ją potem zwyczajnym sposobem.

Okazałem się uległym, poszedłem za przykładem mojej usłużnej nauczycielki, i cała wieś zabrzmiała okrzykami radości.

Jednak zacząłem się lękać, żeby mieszkańcy Nakihoi, znajdując mię bardzo ciekawym do widzenia i słyszenia, nie chcieli mię

zatrzymać, a nie myślałem weale przepędzać z nimi życia. Położenie moje było przykre; pojmo wałem całą okropność jego, kiedy wieczorem ujrzałem ze dwunastu moich nowych towarzyszków, niosących na swych barkach moją łódkę: sądziłem tedy, że chcieli ani wątpić zrobić ze mnie małpę lub pajaca, i przeklinałem moją lekko-myślność.

Położyliśmy się spać: kobiety w jeduém mieszkaniu, mężczyźni w drugiem, ja pomiędzy tymi ostatnimi. Pojmujesz łatwo, że pomimo znużenia, nie zasnąłem weale, témbardziej, że kiedy moi sąsiedzi chrapali w jak najlepsze, ogromny wąż dusiciel wsunął się do naszej izby, popęztał w niej, skręcił się potem jak wiązka tytoniu brazylijskiego i pozostał nieruchomym. Po przebudzeniu się dzikich, jeden z nich go obudził. Wąż ruszył sobie, i widziałem jak popęztał do bliższego lasu.

My mamy psy, z któremi nie inaczej postępujemy.

— Czy nie prawisz mi tylko bajek? powiedziałem do mojego opowiadacza.

— Jeśli wątpisz, przerywam me opowiadanie. Są rzeczy, których nie podobna wymyślić, a wreszcie, fakt, który ci cytuję, nie jest rzeczą tak nadzwyczajną: Sądzę, że w Europie nawet mogłeś widzieć węże dusiciele przyswojone.

— Mów dalej, wierzę ci.

— Ja nie nauczam, ale opowiadam.

— A ja, słucham.

Okolice Nakihoi są dobrze uprawne: są w nich obfite plantacje ryżu, taro, kokosów, bananów i melonów wodnych. Nie wątpię, że liczne strumyki, które skrapiają te plantacje, mają w sobie wiele cząstek złota, pochodzącego z gór sąsiednich; gdyż wszyscy bez wyjątku dzicy noszą ozdoby grubo wyrobione z tego kosztownego metalu.

Po tygodniowym pobycie w Nakihoi, dzicy sprzykrzyli mną, i w skutku narady, obrażającej moją godność fizyczną, gdyż przestałem im się podobać, ale zabezpieczającej moje życie, dozwolono mi oddalić się. Młoda jedna dziewczyna lat piętnastu do sze-

snastu najwięcej, wiele mówiła na mą korzyść; ale nie usłuchano jej. Oddano mi moje odzienie, mą łódkę, jeden z moich pistoletów, których użycia im nie odkryłem, i które uważano za ozdobę; z resztą obiecałem im powrócić napowrót po zwiedzeniu dalszych okolic. Otrzymałem w darze naszyjnik złoty, którego waga stanowiła całą wartość, i uszczęśliwiony z tych pierwszych odwiedzin, czułem podwojoną gorliwość do nowych odkryć.

Rzeka w tém miejscu rozdzielała się na dwa ramiona. Wybrałem, to, które zdawało mi się być szerszem i silnie robiłem wiosłem przed wschodem jeszcze słońca. Po jego wejściu, straszliwa burza z błyskawicą i grzmotem towarzyszyła mi przez dzień cały. Ku wieczorowi schroniłem się pod multipljan, dla uniknienia uderzeń gradu, spadającego z szybkością strzały.

Przed nocą jeszcze puściłem się w dalszą podróż. We dwa dni potem usłyszałem głosy ludzkie i zwierzęce po za lasem, w którym postrzegłem także wiele ścieżek. Powiedzmy jeszcze mimochodem, że pagórki, które zauważałem w Nakihoi, były grobami krajowców tej części wyspy.

Rozmyślałem co mam czynić: czy mam się cofnąć, czy dalej przedłużać mą podróż? gdy oszczep świsnął koło moich uszu, zadrasnął mi ramię i buchnął w wodę blisko mojej łódki.

Odkryto mię; ucieczka przeto była niepodobną; postanowiłem więc przystąpić śmiało i zdać się na łaskę ludzi, którzy za pierwszą oznakę przyjaźni ciskali tak silnie swojemi oszczepami.

Znalazłem jednak przeszkodę w gęstej zarośli ogromnych trzcin, zalegających rzekę i czyniących wszelki przystęp do brzegu bardzo trudnym. Po za tą gęstą przegrodą, znaczna liczba krajowców przypatrywała się moim obrotom, i niektórzy z nich, siedząc na drzewach kokosowych, wskazywali mi głową i palcem wolne przejście, nie wydając najmniejszego okrzyku, ani wymawiając żadnego słowa.

Zbliżyłem się do nich. Kobięta młoda i piękna wzięła mię w milczeniu za rękę, przycisnęła mocno swoje czoło do mojego, potem uderzyła trzy razy swojemi obiema rękoma po moich ramionach,

i poprowadziła mnie ku wielkiemu miastu, które się rozciągało nad rzeką, i którego pierwsze domy ukazywały się nieopodal od nas, z pomiędzy drzew.

Młoda kobieta i ja szliśmy przodem, reszta dzikich szła za nami, mrucząc pewien rodzaj żałobnej pieśni, która nie wróżyła mi nie dobrego. Wkrótce przybyliśmy na plac publiczny, gdzie zastaliśmy zgromadzonych około dwóch tysięcy mężczyzn po jednej, i prawie taką liczbę kobiet po drugiej stronie.

Na wszystkich dzikich, bez różnicy wieku i płci, postrzegłem znacznej objętości ozdoby ze złota. Nosili oni je na szyi, we włosach, w kształcie bransoletek, obrączek około goleni i ud. Były tam bogactwa wartości niezmiernej.

Jeden z główniejszych dowódców, sądząc po uszanowaniu, jakie inni jemu okazywali, i po jego wysokim wzroście, zbliżył się do mnie szybkim krokiem; dał mi znak żebym usiadł, i przemówił do mnie stojąc kilka krótkich wyrazów, których znaczenia nie zrozumiałem, ale w których po kilkakroć dały się słyszeć zgłoski: *ba-bi! babi!*

Wiedziałem, że w języku Malajskim te dwie zgłoski oznaczają wieprza; domyślałem się więc że zapytano mnie, czy jadam to nieczyste zwierzę. Na los szczęścia, dałem poznać znakami, że się niemi brzydę, na co powstał szmer ogólny, który mi się zdawał być dobrą wróżbą.

Kobieta, która mi naprzód służyła za przewodnika, zbliżyła się wtedy, podała mi tykwę napełnioną masą białą, lipką; umoczyła w nią dwa palce, które podniosła do ust i oblizowała, powiadając żebym to samo uczynił. Byłem posłuszny, zakosztowałem masy. Zdawała mi się być kwaśną; ale wziąłem jej po raz drugi, chcąc przekonać częstującą, że jej przysmak mi się podoba, i otrzymałem w nagrodę drugie potarcie czołami, mocniejsze niżeli pierwsze.

Po tej ceremonji, zaprowadzono mnie do pewnego rodzaju budki, wzniesionej na palach, i wskazano mi ją za mieszkanie, oraz wezwano, żebym próbował wleźć do niej po drabinie. Kiedy nie mogłem tego dokazać, jeden z dzikich podskoczył, porwał mnie na swe barki

i wrzucił do mojego domu, przy głośnym śmiechu całego zgromadzenia. Pozostawiono mię tam na cztery godziny, podczas których widziałem tworzące się i rozdzielające grona, a w tych gronach zdawało mi się, że kobiety grały najważniejszą rolę. Zrozumiałem, że rzecz szła o mnie; że naradzano się, czy miano mię zachować, czy odebrać życie, i spodziewałem się, że coś tragicznego ma nastąpić.

Po skończonej walce pomiędzy dwoma ludźmi uzbrojonymi w miecze tępe, spadające z gwałtownością na karki okryte kirysami, wykładanemi złotem, byłem zaprowadzony na wielki plac, gdzie już zastałem lud zgromadzony, i gdzie mię oddano w ręce pewnego rodzaju kata, który uczynił kilka skoków około mnie. Robił on już przygotowania, żeby mi ściąć głowę, kiedy kobieta, która się mną przedtem opiekowała, skoczyła szybka jak tygryca, i zdejmując pyszny naszyjnik złoty, który miała na sobie, włożyła go na moje szyję. Oprawca zaniechał swych przygotowań; lud rozszedł się z widocznemi oznakami zajęcia, i odtąd mogłem się uważać za ukochané dziecko Buruhuzoku, (tak się nazywało miasto, do którego ciekawość zaprowadziła mię dość nierozważnie).

Mieszkanie wygodne było mi dane, w którym żyłem nie jeden, ale w towarzystwie mojej wybawicielki... W kilka dni potem, zaproponowała mi, żeby się oddalić z tego miejsca, któreomal co nie stało się zgubném dla mnie. Zgodziłem się chętnie na jej propozycję. Zebrałiśmy tyle klejnotów ile mogliśmy; skryliśmy je pod jedném z siedzeń mojej łódki, zostawionej na brzegu, i nocy następnj, zaopatrzwszy się dostatecznie w żywność, skierowaliśmy się ku rzece, wsiedliśmy w łódkę i udaliśmy się w dalszą podróż.

Nie zdołam ci opisać odwagi, siły, zręczności i poświęcenia się mojej towarzyszki.

Krokodyle zaczęły się często o naszą łódkę, już to żeby ją przewrócić, już żeby nas z niej ściągnąć. Otóż moja towarzyszka, która nazywała się *Tama*, była zawsze gotową do odparcia siekierą lub włócznią strasliwego zwierza. Celowała ona w sztuce kierowania

statkiem, i wiosłując we dwojgu, płynęliśmy w górę rzeki z nadzwyczajną szybkością.

Wszystkie nadbrzeżne okolice, około których płynęliśmy były zamieszkałe, gdyż po brzegu widzieliśmy ciągnące się piękne plantacje z taro i bananów, równie też wspaniałe kłąby drzew kokosowych; wszędzie przyrodę silną i potężną, wszędzie bujne rośliny, kąpiące się w falach.

W tym miejscu, to jest, o sto pięćdziesiąt mil od swojego ujścia, rzeka była jeszcze więcej niż o milę szeroka, i głębokość jej zdawała się być znaczną. Płynęła ona pomiędzy dwoma rzędami słucznych pagórków, pierwszym szczeblem wspaniałego łańcucha, który ginął zdala w obłokach.

Od czasu do czasu słyszeliśmy odgłos kroków w lasach; ale moja towarzyszka dała mi do zrozumienia, że byłoby niebezpieczeństwem wysiadać na brzeg, i zachęcała mię, żebyśmy płynęli dalej, zapewniając że w dalszej podróży moja ciekawość całkiem zaspokojoną będzie.

Płynęliśmy tedy ciągle w górę rzeki, nie będąc od nikogo postrzeżonymi, i przebywszy prąd niezmiernie gwałtowny, ujrzelśmy przed sobą zamknięte wysokimi górami wspaniałe jezioro, nad którego brzegiem wznosiło się obszerne miasto, otoczone dokoła tu i owdzie rozszaniami drewnianymi domkami na palach i zamkniętymi wysokim ogrodzeniem. To jezioro było widocznie źródłem rzeki, którą płynęliśmy; to miasto, stolicą wielkiego królestwa. Chciałem wioskować dalej, kiedy moja towarzyszka dała mi poznać, że byłoby rzeczą roztropniejszą wstąpić nocną porą do miasta, które leżało przed nami. Posłuchałem tej mądrej rady. Wprowadziliśmy tedy łódkę naszą w małą zatokę, osłoniętą potrójną siecią bambusu, gdzie zostawiliśmy w zupełnym bezpieczeństwie.

Nie na to się naraziłem na tak długą podróż, żeby się zatrzymać w tyle przyjaznych okolicznościach. Chciałem koniecznie zwiedzić tajemnicze miasto, które zdaleka tylko byłem postrzegł, i przed wschodem słońca jeszcze wpłynąłem na jezioro.

Nie kryjąc się więcej, owszem postanowiwszy mocno stawić śmiało czoło niebezpieczeństwu dla dalszych poszukiwań, żeglowałem wprost do wybrzeża, na którym się wznosiły najobszerniejsze budowle. Byliśmy jeszcze o milę stamtąd, kiedy ujrzelśmy odbijających od brzegu ze dwadzieścia ozdobnych łódek, z których każda pędzona była przez ósmiu lub dziesięciu ludzi. Otoczyli oni nas, i czterdzieści lub pięćdziesiąt donośnych głosów pytało nas nie otrzymując odpowiedzi, gdyż nierozumieliśmy nic z zadawanych nam pytań.

Wkońcu dano nam znak ręką, żebyśmy dalej płynęli. Usłuchaliśmy tego rozkazującego giestu, a jedna z łódek poprzedzając nas przeprowadziła przez całe jezioro, aż do wybrzeża. Więcej niż sześć tysięcy osób czekało tam na nas, i lud gromadnie ze wszystkich stron zbiegał się, żeby nas ujrzeć. Z przeproszeniem mojej towarzyszki, powiedzieć mogę, że ja jeden prawie byłem wyłącznym przedmiotem ciekawości. Od tej chwili, zdawało mi się, że byłem przeznaczony w tym kraju, żeby być okazywanym jak rzadkie zjawisko; ale byłem prawie pewnym, że nic złego mi się nie stanie, sądząc przynajmniej ze względów, jakie mi okazywano podrodze.

Jezioro, nad którym zbudowane było miasto, mogło mieć ze sześć mil w przecięciu. Było ono otoczone wysokimi górami, pokrytymi pięknym lasem; a ponieważ chciałem wiedzieć, czy ono było źródłem biegu wody, który przebyłem, czy też było obszerną zatoką innej rzeki, oświadczyłem chęć optynienia go w około. Dowódzca dzikich zrozumiał mię, i oddał pod moje rozporządzenie kilka łódek gruntownie zbudowanych, podobnych bardzo do żonków Chińskich, ale mniejszych; i opatrzywszy się w żywność, pusciliśmy się w podróż.

W prędkim zadowoleniu mojej chęci przez krajowców miała zapewne udział próżność, gdyż wszędzie po wybrzeżach tej obszerniej masy wody rozciągały się porządnie uprawne grunta. Tu i owdzie przeglądały się w wodach domki drewniane na palach, pośród najpiękniejszych kęp palmowych; a ze wszystkich stron, prze-

zroczyście strumyki, spadające z gór, ożywiały i użyzniały ten kraj błogostawiony.

Podróż nasza trwała dni kilka, gdyż bardzo często zatrzymywaliśmy się dla wytchnienia, i żeglowaliśmy tylko bardzo rano i wieczorem, z powodu nadzwyczajnego upału we dnie. Za powrotem do stolicy, oświadczyłem wodzowi moje uwielbienie dla starań, jakie podejmował około uprawy roli, i prosiłem go o pozwolenie wstąpienia na jeden z panujących wierzchołków gór, ażeby zbadać wewnętrzne położenie jego państwa, gdzie spodziewałem się wreszcie odkryć jaką kopalnię złota lub innego kosztownego metalu. Odmówił tego stanowczo, dając do zrozumienia, że przekroczenie w tym względzie jego rozkazów przypląciłbym życiem. Gdy moje prośby były bezskuteczne, postanowiłem powrócić nazad, i kiedy zgodzono się na to, wymagano odemnie uroczystej przysięgi: że kiedy będę mówić o mieście, w którym naówczas byłem, nie powiem nic przynajmniej o jego położeniu i ważności. Zdawało mi się rzeczą dość trudną wypełnić ich żądanie, ale ponieważ nie chciałem przepędzić dni moich pośród tego ludu, będącego tylko może pierwszym szezembem innego ludu więcej ukształconego, przysięgłem na wszystko czego odemnie żądali.

Nazajutrz, dwie wielkie łodzie odprowadziły mię aż do odnogi, czyli samego ujścia rzeki. Pozostawiony tam, popłynąłem z biegiem rzeki razem z moją poświęcającą się towarzyszką. Minęliśmy nie zatrzymując się Buruhuzok, i przybywszy do zbiegu dwóch rzek, o którym ci wspomniałem wyżej, w niewielkiej odległości od Nakiho-hi, postanowiłem udać się na nowe poszukiwania drugiem ramieniem rzeki, które przedtém opuściłem. Dziwny przedstawił mi się widok. Łożysko téj rzeki raz było szerokie i wspaniałe, drugi raz wązkie i szybkie jak strumienia. W wielu miejscach płynęła ona z szumem u stóp spiczastych gór, których wierzchołki uwieńczone były wspaniałą roślinnością. W pośród niej krocie ptasząt, ozdobionych najpiękniejszymi barwami, ukazywało swe powabne kształty. Wiele krzyków, chrapliwych ryczeń, ani jednego dźwięcznego śpiewu: oko, gdzie-

kolwiek się zwróciło, spoczęło zawsze na różnobarwnej przyrodzie, która zdaje się wyczerpała potęgę Stwórcy.

Trzeciego dnia po naszym wstąpieniu do łożyska nowej rzeki, żeglowaliśmy szerokiemi korytami, gdzie postanowiłem przybić do brzegu, i przedsięwziąć wycieczkę wewnątrz kraju.... Próżne były nasze usiłowania. Zatrzymani byliśmy przez ogromne wijące się rośliny (ljany), które się krzyżowały, wieszały, łączyły spodem, podobne do węża dusiciela, igrającego z swą towarzyszką; grunt był zasiany gałęziami oderwanymi przez lato i burze; tu i owdzie odwieczne drzewa w pół leżące na ziemi, świadczyły o przejściu piorunu; po bezskutecznych usiłowaniach, które niepokonały jednak energii mojej dziękuję kobiecie, i które mię oddaliły zaledwo na ćwierć mili od brzegu, zmuszony byłem rzec się mojemu zamiarowi.

Zagrażał mi jednak niedostatek żywności, a zdawało się być rzeczą prawdopodobną, że to Borneo tajemnicze było pustynią w tej stronie, którą płynęliśmy. Postanowiłem tedy wrócić się nazad; powiedziałem o tem mojej towarzysce i chciałem zasięgnąć w tym względzie jej rady. Siadła ona skurczywszy się, nakazała mi milczenie, i przyłożyła ucho do ziemi. Potem, powstawszy powiedziała, mi że potrzeba dalej płynąć, gdyż słyszała zdaleka, bardzo zdaleka od nas, wielki huk, godny zwrócenia mojej uwagi i ciekawości.

Płynęliśmy więc żwawo dalej, i w godzinę potem huk słyszany przez mą towarzyszkę dał się i mnie słyszeć. Wiatr przynosił mi odgłos rozlegający się, jednostajny, jakby huczenie grzmotu. Domyślałem się, że to albo wybuch Wulkanu, albo głoś wodospadu, i odwaga moja powiększyła się, gdyż chciałem mieć przynajmniej rzeczy ciekawe do opowiedzenia, jeśli nie mogłem przynieść z sobą ogromnych skarbów.

Pomimo wielkiej chęci przybycia jak najprędzej, musiałem opływać wszystkie zakręty brzegu, gdyż w środku koryta prąd był zanadto bystrym, żeby można było płynąć. Z wielką przyjemnością, nie postrzegałem już więcej krokodyłów, które nas tak długo trzymały na ciągłej baczności.

Huk powiększał się, i wkrótce stał się ogłuszającym; woda była wzburzoną, kipiącą, prąd szybciejszym; nie mało mieliśmy trudności w zwalczeniu go. Za nadejściem nocy, zatrzymaliśmy się w głębokiej zatoce, gdzie wiry gwałtownie dawały się ucuć, i postanowiliśmy, żeby się nie puszczać na los szczęścia, dążyć piechotą brzegiem rzeki do miejsca, skąd huk dawał się słyszeć. Było i to niebezpiecznym zapewne, ale od całości łódki zależało nasze istnienie, i nierozsądkiem byłoby narażać ją na gwałtowność prądów.

Nie zdołam ci opisać wspaniałego widoku, jaki się nazajutrz przedemną rozwinął. Najpiękniejszy w świecie wodospad ciskał się jak morze w przepaść skalistą, i rzucał wdał razem z swym grzmącym głosem tysiące tęcz i ocean pieniających się fal. Spadał on prostopadle z wysokości więcej jak pięćdziesięciu sążni, z góry czarnej i gładkiej, na którą niepodobna było nam się wdrzeć; przed nami zaporą nieprzebyta wody i granitu; ze wszystkich stron zaporą nieprzebyta lasów odwiecznych jak stworzenie. Musiałem wracać napać, i skoro Tama pojęła smutek, którego doznawałem, rzuciła się na szarą skałę, próbując wdrzeć się na nią. Powiedziałem jej, żeby nastąpiła; powróciła do mnie, cała znużona, z rękoma i bokami poranionemi. Podzikowałem za jej poświęcenie się, i przepędziwszy noc za miękkim pościaniem z liści bananu, powróciliśmy na naszą łódkę.

Powrót był zanadto łatwym zaiste dla mojej niezaspokojonej żądzy odkryć; dla tego dałem do zrozumienia Tamie, że chciałyby zbadać pobrzeża rzeki.

Zwolniliśmy przeto pęd naszej łódki, i dozwoliliśmy jej płynąć nieco z biegiem wody.

Pierwszego dnia, nie ujrzeliśmy nikogo na rzece, ani żadnego ślada ludzkiego na wybrzeżu. Była to cisza pustyni, ale przytém milczenie chaosu: wszędzie olbrzymie drzewa wznoszące do góry swe gęste warkocze, zawsze zielone; wszędzie roślinność bujna okrywająca ziemię.

Jednak, pęd wody stawał się coraz szybciejszym. Byliśmy nieraz wystawieni na niebezpieczeństwo płynienia pośród skał sza-

rawych, panujących nad wodą, gdzie nieochybnie uleglibyśmy rozbi-
ciu, gdyby nas noc zaskoczyła w tych miejscach; ale moja towa-
rzyszka, jak ci już powiedziałem, kierowała łódką z trudną do uwie-
rzenia zręcznością. Przebyliśmy spadki wód, z jednego końca w drugi,
bez najmniejszego przypadku.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinniśmy byli spo-
tkać jaki ślad osiedlenia, bo trudno było przypuścić, żeby krajowcy
Borneo zamieszkali tylko przy jedném ramieniu rzeki. Jakoż przewi-
dzenia moje nie zawiodły mię: odgłos niepewny, nieregularny doszedł
do nas. Tama rzekła: To ludzie! a wkrótce potem: To miasto! Sło-
wa jęj były urywane, pierś zadyszana, oczy obłąkane, ręce jęj bez-
silne przestały robić wiosłem. Zapytałem jęj, czy nie mieliśmy cze-
go lękać się od ludu, do którego zbliżaliśmy się?... Dała mi pojąć, że
to są ludożercy.... Nie miałem nic do zyskania na odwiedzeniu Butiki,
i puściłem się z biegiem wody, z wielką radością mojej poświęcającej
się towarzyszki.

Dzień następny był nadzwyczaj gorący. Mieliśmy przynajmniej
33° Réaumu'ra w cieniu, i kiedy słońce wydobywało się z za obłoków,
które go niekiedy osłaniały, upał był do niezniesienia. Dla uniknięcia
więc palących promieni słońca, trzymaliśmy się ciągle brzegu, będąc
osłonięni prawie bez przerwy wysokimi drzewami, których odwie-
czne konary kapały się w rzecę.

Żywności coraz nam ubywało, i jakkolwiek wstrzeźliwy-
mi byliśmy w jedzeniu, widoczném było, że głód nas spotka, je-
śli nie znajdziemy nowych zapasów. Postanowiłem więc wylado-
wać w pierwszym miejscu, gdzie ujrzę ślady osiedlenia. Powiedzia-
łem mój towarzysze, że lepiej było dla nas narazić się na niebez-
pieczeństwo spotkania z dzikimi, niżeli być wystawionymi na udre-
czenia pożerającego głodu. Odpowiedziała mi, że uzbroi się chętnie
w nóż i włócznię; że walczyć będzie odważnie obok mnie, i że z pomo-
cą pistoletu, którego jęj wskazałem użytek, możemy wyjść zwycięzko
z walki.

Postać Tamy przybrała charakter dumy wcale niepospolitéj; oczy
jęj zabłyśnęły; zdawała się pogardzać niebezpieczeństwem.

Noc nadeszła. Skąty w wielu miejscach rozsiane były w poprzek rzeki. Trzeba nam było wielkiej ostrożności w kierowaniu łódką. Tama, niezmordowana jak przyjaźń, zdawała się niepotrzebować spoczynku, i nie zdołam ci wyrazić, ile było wyrzeczenia się i poświęcenia w sercu téj młodej kobiety, dobrowolnej wygnanki z swego kraju.

Przywiązaliśmy łódkę do mocnego kokosu, i wysiedliśmy na brzeg. Tama podskoczyła.

— Ludzie! zawołała, ludzie!

Porwaliśmy za broń, i idąc z ostrożnością, postępowaliśmy dalej w las. Dészcz padał wielkimi kroplami; grzmot rozlegał się po niebie, i gzygzaki błyskawic tworzyły w lesie kształty fantastyczne, zdolne przerazić wędrowców mniej odważnych od nas. Wkrótce bujny grad zaczął nas chłostać, i burza, postępując w naszym kierunku, całym ciężarem swoim zaległa opanowaną ziemię. Gdyby nie gęste pokrycie drzewa, które nas osłaniało, bylibyśmy pewno pogruchotani szybkimi pociskami gradu; ale opiekuńcze gałęzie ogromnego multipljanu służyły nam za bezpieczne schronienie, dopóki nie przeszła burza.

— Ludzie! ludzie! zawołała znowu Tama okręcając się na piętach, i węchem śledząc na wszystkie strony. Nie mamy żywności! idźmy do ludzi! dodała.

Postąpiliśmy jeszcze ze sto kroków w kierunku wybrzeża, i trafiliśmy na wydeptaną ścieżkę: poszliśmy nią, strzegąc się żeby liście, pokrywające ziemię, nie robiły wielkiego szelestu..... Jednym razem:

— Dom! zawołała Tama.

Nie był to dom mieszkalny, ale świątynia, miejsce obrzydliwości, chcę powiedzieć. Budowa ta mogła mieć czterdzieści stóp kwadratowych, wzniesioną była z pniów kokosowych, mocno spojenych z sobą i przewiązanych ljanami. Dach pochyły składał się z lisei bananu, dla których przymocowania położono ogromne głązy; z każdej strony znajdowały się drzwi na cztery stopy wysokości;

były one otwarte,— ciekawość popchnęła nas zajrzeć tam.... Co za okropny widok!

W samym środku świątyni, bałwan drewniany, pomalowany czerwono, z głową straszliwą, paszczą otwartą i językiem wyciągniętym, stał na palu, ręce miał w kruk zgięte, ramiona otwarte. Wokoło szyi wisiało ośm czy dziesięć rzędów bananów, świeżo zebranych; w gębie miał wielką ilość jam-rozów, a w około niego, uporządkowane regularnemi kupami kokosy, gojawy i niejakiś korzenie, do których nie dotykaliśmy się. Więcej niż dwieście głów ludzkich, okrytych jeszcze włosem, wisiało na ścianach budynku: wszystkie one prawie wyschłe i czarne jak stary pergamin, ale niektóre ociekłe krwią jeszcze, świadczyły o świeżych ofiarach. Ogromne tykwy, rozłożone na wysokim podniesieniu, zalegały wszystkie cztery kąty: w nich płyn czarny przykrój woni, krew zapewne. W tych naczyniach poświęconych pogrążone były do połowy noże błyszczące i wólcnie żelazne z rękojeścią blachmalowaną. W około bałwana ziemia była całkiem porytą, i tuż u podnóża jego ogromny kamień kwadratowy wskazywał dostatecznie, że to jest ołtarz ofiary.

Podczas kiedy rozpatrywałem to miejsce mordu i krwi, Tama stała na straży we drzwiach.

— Prędko, prędko, zawołała; zabieraj banany, kokosy; uciekajmy!

— Nie jesteście przelęknioną?

— Muie to nie obce.

— Czy byłaś tu?

— Ja tu nigdy nie byłam; ale w moim kraju jest podobna do tej świątynia.

Zabrałem tyle żywności, ilem mógł unieść, również nóż i porządną wólcnię. Tą razą przynajmniej bogowie tego krwiożerczego plemienia przyłożyli się do przekarmienia i poratowania ludzi. Zabłąkaliśmy się w drodze, i po jednogodzinném krążeniu stanęliśmy u wehodu wielkiego miasta, którego domy zbudowane były na palach. Przestraszeni, wróciliśmy nazad. Tama, bez uwagi dotąd, okręciła się znowu na piętach, śledziła węchem na wszystkie strony, jak przed-

tém, i wskazała mi kędy mam iść. Towarzyszka moja nie myliła się; trafiliśmy bowiem do kokosu, do którego przywiązana była nasza łódka. Zaczęliśmy robić wiosłami, i w kilka minut potem byliśmy już daleko od miasta, którego nazwiska niewiem.

Następny dzień był dla mnie dniem smutku i żałoby. Tama, którą czułość i poświęcenie się uczyniły dla mnie tak drogą, upuściła jednym razem wiosło, i usiadła nieruchoma naftawce, będącej naprzeciwko mojej. Ścisnąłem ją z uczuciem za rękę.

— Co tobie, Tamo?

— Ja cierpię.

— Gdzie?

— Wszędzie.

— Czy to ze znużenia? powiedz mi.

— Nie, to nie ze znużenia.

— Cóż ci więc?

— Wielkich doznaję boleści.

— Przybijmy, Tamo, do brzegu; będziesz miała więcej spokojności na lądzie.

— Nie, płynmy dalej. Ani na ziemi, ani na wodzie niemasz dla mnie spokojności. Ja umrę.

Usiadłem obok mojej towarzyszki; oparłem jej głowę na mojem ramieniu; dawałem jej oznaki najżywszego przywiązania; przysięgałem jej wdzięczność wieczną; napróżno! ostatnia jej godzina nadeszła.....

Ciało Tamy osunęło się powoli; pierś jej stała się zadyszana, usta jej drżały; oczy w połowie zamknęły się; puls bił z nadzwyczajną gwałtownością.

— Żegnaj cię! rzekła do mnie głosem zaledwie dosłyszczanym; żegnaj cię! Tego wieczora ujrzysz białych, braci twoich; zapomnij o Tamie, która należy do krokodyłów rzeki.

Gorączka ją paliła. Wziąłem kokos, otworzyłem go i w chwili kiedy chciałem dać połknąć kilka kropel jego soku biednej Tamie, przez gwałtowną konwulsję rzuciła się ona i zniknęła w wo-

dzie. Walczyłem zapamiętane z przeciwnym prądem, śledziłem wi-ry rzeki, obejrzałem wszystkie jój zakręty: nigdzie ani śladu Tamy!

Szum fal objających się o brzegi uwiadomił mię, że staną-łem u kresu podróży. Niestety! ceną mojej ciekawości zaspokojonej chciałbym okupić pamiątkę tój podróży, zatrutej stratą tój kobiety tak odważnej i tak poświęcającej się!

Mój nowy pobyt w Montradoku był krótki. Pośpieszałem dostać się do portu Sungi-Rajas, i tam wsiadłem na okręt dla odpłynie-nia do Samarangu, gdzie odtąd bawiłem, postanowiwszy mocno przepę-dzić resztę życia w ukryciu, które praca moja zdolną jest uszczęśliwić.

Opowiadanie Jerzego, jakkolwiek było dla mnie zajmującym, obraziło moję miłość własną jako podróżnika. Ja także zwiedzi-łem wiele okolic Borneo; ale Jerzy dalej się zapuścił odemnie; i miałem urazę do niego za niebezpieczeństwa, na które się sam je-den naraził..... Postrzegł on to, i zapytał o przyczynę, jak gdyby jój nie wiedział.

— Jesteś szalonym, rzekł do mnie podając rękę. Ja skończyłem mój zawód; ty swój zaledwo zaczynasz. Bóg wie, co ci jest zacho-wane w przyszłości. Nie probuj więcej nad to, co możesz doko-nać; siły ludzkie mają swoje granice. Bądź odważnym, ale nie lekkomyślnym; więzy nie są nikomu do twarzy, i pojętność, żyjąca w nienawiści krat, powinna żyć także w obrzydzeniu szaleństw. Wierzaj mi, Panie Arago, zatrzymaj się póki czas po temu, i staraj się wiedzieć gdzie dążysz, przedtém nim udasz się w drogę.

— Twoja filozofja, odpowiedziałem mu, nie jest moją. Jeśli wy-ruszę do Kalkutty, miło mi kiedy huragan zapędzi mię do Mada-gaskar; a ponieważ trafiło się mi spotkać cię na *Kumberlandzie*, widzisz sam, że niespodzianka ma swe korzyści; przeto, mój kochany Panie, nie żegnam cię zupełnie, ale do widzenia, w Chinach, Japonji, Pe-ru, Chili, na przykładu Dobrój Nadziei..... mniejsza o to gdzie, byle-byśmy tylko spotkali się znowu, i mogli jeszcze udzielić sobie wzaje-mnie przyjacielskich zwierzeń.

Lękam się bardzo spotkać z moim przyjacielem Jerzym nie gdzie-indziej, jak na tamtym świecie.

XIV.

FALA I DRAMAT.

Płynęliśmy na wschód, z przyjaznym i łagodnym wiatrem, szczęśliwi przede wszystkim, żeśmy uniknęli największego niebezpieczeństwa, jakie kiedykolwiek mogło spotkać wędrowców; ale smutni pamiętką losu, jaki spotkał naszych nieszczęśliwych towarzyszków. Mieliśmy u spodu okrętu morze bogate; nad naszymi głowami niebo iskrzące się gwiazdami noc całą, jaśniejące blaskiem słońca dzień cały; a przed nami, około nas, migwały się, jak narzeczone, przybrane w swe najpiękniejsze stroje, te różnobarwne wyspy Malezji, gdzie kwiczy *tapir* (*); gdzie skacze pantera czarna; gdzie panuje Mandryll; gdzie się zwija boa; gdzie krajowiec napalla, uderza i zabija.

Widok był przepyszny. Żałoba duszy znika przed tém wspaniałem bogactwem, jakim Stwórca uposażył tę obszerną część Oceanu Indyjskiego; ale płynęliśmy na los szczęścia, gdyż Kapitan, który nas przyjął z taką wspaniałomyślnością, zdawał się być sam niepewnym drogi, którą ma dążyć, i wtedy kiedy ja znajdowałem przyjemność w tej niepewności, gdzie wszystko co nas spotyka, może się uważać za niespodziankę, mój dzielny majtek zgrzytał zębami z niecierpliwości, że nie mógł chwalić lub naganiać obrotów Kapitana.

(*) *Tapir*, zwierz czworonożny z trąbą, wielkości wolu.

— Cheesz Pan, żebym mu objawił myśl moję? rzekł do mnie pofale, biorąc mię pod rękę: okręt pędzi naprzód jak sowizdrzał, i nie dziwiłbym się wcale, gdybyśmy popadli znowu w szkaradną paszczę szkaradnych ludożerców, którzyby nas pożuli swemi szkaradnymi zębami z swoim szkaradnym uśmiechem. Wszystkie te szkaradne rzeczy diabła warte, panie Arago. Założyłbym się o dwadzieścia i pół przeciw jednemu i dwóm trzecim, że będziemy znowu schrustani przez gniazdo ludojadów, głodniejszych jeden od drugiego.

— Ależ, mój chłopcze, dotąd nie byliśmy jeszcze schrustani wcale.

— Tak, wolno Panu żartować. Ja dotąd jeszcze czuję w całym ciele kły tych rekinów dwunożnych, które poszarpały tyłu poczciwych chłopaków..... Powiadam Panu, że to się źle skończy.

— A ja sądzę, że jesteśmy u kręsu naszych przykrych doświadczeń.

— Dla czegoż Pan tak sądzisz?

— A dla czegoż sądzisz inaczej?

— Dla tego że.....

— Twoja pobudka jest moją; zgadzamy się więc z sobą w tym względzie.... Ale milcz. Dowódzca rozkazuje zmienić kierunek drogi. Dążymy teraz więcj na północ.

— Niech sobie płynie gdzie chce, odpowiedział Jan-Jan, umyłam od tego ręce; ale czynię go odpowiedzialnym za przyszłe nasze nieszczęścia. Zobaczmy co powie, gdy się ujrzy na łożu z żarzących się węgli.

— Ty tylko o tём myślisz.

— Ależ bo to piecze, panie Arago.

Najgwałtowniejsze wichry nastąpiły wkrótce po przyjaznym wietrze, który nam towarzyszył od wyruszenia z przekłętego Pulu-Suku, i przyznam się, że ze dwadzieścia razy przynajmniej przyznawałem słuszność Jan-Janowi.

Niepewność, jak już powiedziałem, prowadzi zawsze do niespo-

dzianki; ale potrzeba pewnego ograniczenia tak dla podróży jak dla myśli, inaczej ciało i głowa upadają pod ciężarem pracy.

Równie jak mój majtek rad byłem dowiedzieć się o celu naszej podróży. Napróżno zapytywałem w tym względzie kilku ludzi z osady *Kumberlandu*; żaden nie mógł mi w tej mierze objaśnić, postanowiłem tedy udać się do samego Kapitana.

— Podróżuję dla podróżowania, odpowiedział mi Kapitan. Przebiegam świat nie żeby poznać go, ale żeby żyć. Uczony, przykuty do swego krzesła, zużywa się prędko; rolnik przy swoim pługu jest pendulem zegara: regularność, jestto nuda; nuda prowadzi do grobu: ja też nie chcę się nudzić. Oto trzeci raz już zwiedzam świat i przerzynam Ocean; a zatém umrę na morzu, jak żyłem na nim, niczego się nie nauczywszy, bo niczego nie chcę zapomnieć. Majątek mam ogromny: nie lepiejże że go tak używam, niżeli żebym go miał obracać na korzyść zepsucia naszej stariej Europy? Powiedz..... Nie ściskaj tak ramionami z pogardą; będziesz tego później żałować. Oto czterdziestu majtków, których opłacam dziesięć razy drożej niżeli Król Angielski. Powróciwszy do siebie, przynoszą niewielki mająteczek swojej rodzinie, swojej stariej matce, i błogosławią mię..... Jestto życie także, wiedzieć że jakaś matka wyciąga nad tobą swe wychudłe ręce.

Ostatnie wyrazy Kapitana zmieniły opinię moję względem niego. Jak tylko serec ma w tém udział, przebaczam chętnie ustępkom; i litując się nad dziwnym szatem człowieka, który się powierzał burzom Oceanu, żeby uniknąć niedorzeczności ludzkich, nie mogłem przenieść na sobie, żeby go niekochać, skoro on cieszył się tak mocno ze szczęścia, którego udzielał drugim.

— Bądź spokojnym, rzekł dalej do mnie, ściskając mnie za rękę. Pierwsze nasze miejsce odpoczynku niedaleko stąd. Wyspy Sandwich wkrótce ukażą się na horyzoncie, a stamtąd, jeśli zechcesz powrócić do twojej stariej Europy, zręczności ci nie zabraknie.

Wiatry przeciwne przesładowały nas z niesłychaną uporczywością. Ulegając im pomimo woli, byliśmy zmuszeni zboczyć na południe i szukać wytchnienia na wyspach Marjańskich, o których ci

powiem zaledwo słów kilka, żeby później obszerniej ci opisać wyspy Karolińskie, tak ciekawe do widzenia, tak pocieszające dla badawczego oka.

Zadziwisz się nie pomalą, gdy powiem ci, że biesiadę tego ludu tak dobrego, tak kochającego, tak szczęśliwego, mimo trądu, co go nawiedza, stanowi modlitwa i taniec.

Kiedy niebo łagodne, ziemia jedna z najżyźniejszych na świecie, słońce prostopadle świecące, wody przezrocyste, przyczyniają się do rozmnożenia i dobrego bytu ludności, ludność ta, zgadzając się z naturą, staje się piękną i wesołą. Słowo bez cienia smutku trafia do duszy; spojrzenie bez żadnej łezki trafia do serca przyjaciół, gdyż wierzą tu, równie jak na wyspach Karolińskich, że Bóg dla tego tylko umieścił nas na tej ziemi, żebyśmy później byli szczęśliwymi w wiecznej Jego miłości.

Główna wyspa tego ciekawego Archipelagu, ciągnącego się w prostej linii od północy ku południowi, nazywa się Guham. Stolica jej, bardzo dobrze utrzymana, ma pałac dość podobny do jednego z naszych domów mieszczkańskich, szpital, gubernatora poczciwego człowieka, księdza ograniczonego, gracza i oszusta, osmset czy dziewięćset mieszkańców, i około dwóchset pięćdziesięciu domów, zbudowanych na palach.

Dom składa się zwykle z dwóch izb. W pierwszej śpią i bawią się młodzi mężczyźni i młode dziewczęta; w drugiej, ojcowie i matki.

Tu modlą się i kochają; jestto wierny obraz tego, co czynią tuż obok.

Dach domu pokryty liśćmi kokosowemi, tak spojnie ułożonemi, że deszcz najrzęstszy stref zwrotnikowych nie może się przez nie przedrzeć.

Wzdłuż ścian, zrobionych z bambusu i spojonych za pomocą cienkich sznurków z bananu, umieszczone są sprzęty familijne: stołki grubo wyrabiane, cienkie plecionki, naczynia kokosowe, dzbany gliniane; w górze wiszą różańce i szkaplerze, wszystkie błogosławione przez naszego Ś. Ojca Papieża, mówią krajowcom wy-

spy, że ich religia nie jest już religją Szamorską, i że tak w teraźniejszości jak w przyszłości mają już tylko jednego Boga we trzech osobach.

Tu cywilizacja i stan dzikości walczą z sobą o każdą piędź ziemi. Przyszłość okaże, co z dwojga otrzyma zwycięstwo: czy nasze śmieszności, czy obyczaje patryjarchalne wysp Rozbójniczych.

W kącie pierwszej izby jest ognisko, składające się z ogromnego pieca polerowanego. W tym piecu rozkładają ogień, na nim przechowują owoce, ryby, ptastwo ubite na polowaniu, kury oskubane, ciasto z syko, rozczynione w wielkich naczyniach drewnianych; słowem wszystko.

Siedząc skurezona na makatach jedwabnych, rodzina 'obiaduje jak mieszkańcy wysp Karolińskich, których rozkoszne życie tobie opiszę. Jestto też sama dobrodusznosc, też sama czystosc, też sama delikatnosc, może więcej zalotności, więcej ujęcia.

Mężczyźni, kobiety, dzieci mówią na wyspach Marjańskich po hiszpańsku, a rozmowa jest najsmaczniejszą potrawą wszelkiego stołu, wytwornego czy ladajakiego; Paryzkiego, czy Szamorskiego.

Obiadować bez uprzedniej modlitwy, byłoby to na wyspach Marjańskich zbrodnią; skończyć obiad nie uczyniwszy dziękczynień Bogu, byłoby to narazić się na karę piekła.

Wstać lub kłaść się nie otrzymawszy na kolanach błogosławieństwa ojca i matki, byłoby to samo co być przeklętym.

I pośród tego wszystkiego, obyczaje dawne: jakież obyczaje, o moi przyjaciele!

Rzućmy zasłonę na ten smutny obraz.

Ale, podczas gdy ty obiadasz, naprzeciw drzwi zawsze otwartych, co tam widać?

Dzieci grają przed tobą dramat powabny i pełen rzeźwości, jeśli chcesz, gorący, namiętny, od którego nie możesz odwrócić oczu.

Na ziemi leży kapelusz. Około tego kapelusza, nakreślony, za pomocą kija, obwód koła. W tém kole kręci się mała

Szamorka, naśladowająca giesta dziewczyny unikającej zbliżenia się zwodziciela.

Ten zwodzieciel jest dzieciuch od pięciu czy sześciu lat, który skacze, tupa nogami gorączkowie, jak gdyby czuł co w sercu, jak gdyby hamował żądzę. Oczy jego płomienie ciskają, twarz okrywa się rumieńcem, pot z niego się leje, zwraca wzrok namiętny, prosi, płacze, błaga, rzuca się na kolana, pada krzyżem, a zalotnica ciągle ucieka, i występuje z koła, którego jój zapalony wielbiciel nie ma prawa przekroczyć.

Następnie kochanek płacze mocniej, narzeka, bije się w piersi; dziewczynka wraca do koła, poddaje się, i ślub następuje.

Te małe dramaty, to niebo tak czyste, te wody tak kryształowe, trąd, drżenia ziemi częste, najpiękniejsza, najsilniejsza, najrozmaitsza, najwspanialsza roślinność w świecie, gubernator, mléko kokosowe, banany soczyste, muszle przesliczne, takim jest Archipelag.

Przejdźmy na wyspy Karolińskie.

Oto lud najłagodniejszy, najserdeczniejszy, najszlachetniejszy, a może przytém najpiękniejszy na świecie; lud odrębny, uprzywilejowany, którego ziemia zawsze zielona, niebo prawie zawsze błękitne, wody wiecznie ciche i przezrocyste.

Archipelag Karoliński składa się z dwu nastu wysp płaskich, pięknie ocienionych drzewami.

Tam nie rozlega się nigdy krzyk mordu lub zemsty; orężę mieszkańców są kamienie i kije.

Karolińczycy nie znają ni maczugi, ni siekiery. Bo téż ich kłótnie trwają dzień lub dwa; gdyż z pośrodku téj gromady burzliwej występują nagle dwaj starcy; zbliżają się do siebie, ściskają wzajem za ręce, przemawiają do siebie po cichu słów kilka, dają znak rozkazujący: warunki pokoju są już ułożone.

W obu przeciwnych obozach wydają krzyki radości; kije i kamienie ciskają się o ziemię; zapaśnicy biegną jedni ku drugim; mieszają się z sobą, trącają, podskakują, tańczą..... Pokój zawarty.

Nie w przywyknieniach tych ludzi tak godnych, nie zadaje fałszu ich spokojnym obyczajom.

A jednak ludy okrutne, dzikie, ludożercy otaczają Archipelag Karoliński.

Mieszkańcy Fidży, plemię krwi cheiwe, pasą oczyma spokojnych wyspiarzy Karolińskich, i krajowcy tych wysp, których widziałem w Guham, przechowują ze wstrętem pamięć świeżych napałów, dokonanych przez mieszkańców wysp Fidży i Sandwich.

O Karolińczycy, odważni mieszkańcy Oceanu Spokojnego, dzieci bez złości i bez złości, pośród morza, gdzie tyle serc podnosi się przeciwko falom! niech Bóg was ochrania przeciw napadom waszych sąsiadów i przeciw odwiedzinom okrętów europejskich, któreby wam przyniosły, w zamian waszych cichych przywyknień pokoju, występki, śmieszności i hańbę naszych krajów!

Pływałem nieraz w lekkich łódkach Karolińczyków; odbywałem pełne niebezpieczeństw podróże z tymi ludźmi—rybami, ziemnowodnymi jak pingwin i ciele morskie; znam ich obyczaje i mogę o nich mówić, jak gdybym mówił o własnej rodzinie.

Winienem życie Królowi (Tamorowi) Satonalu, który rzucił się pomiędzy skały podwodne Rotty, dla wydobycia mię z pośród fal i skał, gdziebym nieochybnie zginął; i kiedy przez małe podarunki chciałem mu się wywdziżyć, ten szlachetny Tamor odrzucił z pogardą moje dary, i wtedy zaledwo przyjął, kiedy mu dałem do zrozumienia, tracę nos mój o nos jego, że przyjaźń moja dla niego cierpiałyby wiele z powodu tej odmowy.

Biesiady Karolińczyków są krótkie, niewymyślne, bez utrudzających przyborów.

Nie jedzą ani małp, ani kruków, gdyż małpy i kruki jedzą mięso ludzkie.

Żywią się owocami, rybami i ciastem z syko.

Rybę pieką za pomocą kija, zakończonego w kształcie kleszców, który trzymają nad żarem lub płomieniem.

Ciasto z syko przyrządzają w małych placuszkach okrągłych, które pieką na tafli gorącej i polerowanej, według zwyczaju wesołych

Marjańczyków; napój mają z kokosu, którego wierzchnią pokrywę rozbijają jednem cięciem wielkiego kucharskiego noża, które sprowadzają z Guham, w zamian za piękne muszle, i miękkie tkaniny, wyrabiane w ich kraju z kory drzewa bananu.

Obiad Karolińczyków odbywa się prawie zawsze na pokładzie ich łódek, i potrzeba widzieć jak jeden z tych ludzi uprzywilejowanych służy za podczaszego dla wszystkich.

Jestto widok najdziwniejszy, jaki gdziekolwiek widzieć można.

Ten, komu się dostał w udziale ów obowiązek, udaje się do brzegu wpław. Jestto prawdziwy kot morski: jużto płynie on pionowo w wodzie, już połową ciała wznosi się nad nią, igra z falami zapienionemi jak gdyby z wodą przezroczystą i spokojną.

Dosięga brzegu: wznosi się tam kokos; kokos, to jest, najwyższe, najforemniejsze, najprostsze z wielkich drzew rosnących na ziemi, wyjąwszy *eucalyptus*.

Karolińczyk zmierzył wysokość drzewa jednym rzutem oka. Plunął w swe ręce, i oto, jak kot dziki, dosięga w jednej chwili ozdobnych gałęzi tego drzewa dobroczynnego, które samo jedno wystarcza do wykarmienia, przyodziania i napojenia ludów zwrotnikowych.

Drzewo kokosowe obranem zostaje z swych olbrzymich owoców. Spadają one z łoskotem na piasek lub murawę. Karolińczyk zsuwa się z drzewa prawie tak szybko jak te owoce spadają, i wiąże w grona te naczynia przyrodnie, w których woda zachowuje się świeża i aromatyczna.

Barki i ręce Karolińczyka dźwigają ten ciężar szacowny.

Łódki stoją na kotwicy o kilkadziesiąt sądni od brzegu. Karolińczyk powierza pierwszej fali, co się u nóg jego odbija, zapasy, których nie chce żeby jedna cząstka zginęła: rzuca się do morza, pędząc przed sobą, jak pasterz swoją trzodę, orzeźwiający owoce; ale jedno z gron się rozwiązuje, pędzone od fali kapryśnej; kokosy w różnym kierunku rozpierzchłe, unoszą się tu i owdzie, rozpraszają się, oddalają od siebie: jedne płyną na otwarte morze, drugie ku brzegowi.

Przypatrz się teraz Karolińczykowi pośród fal i jego rozpierzchniętej trzody. Wyciąga się on, kurczy, postępuje dalej na sążeń, cofa się na dwa, uderza ręką jeden kokos wędrowny, który tylko co ma się mu wysliznąć, piersią lub głową uderza o dwa inne, co się wymykają, i skupia wreszcie, jak mężny generał, swoich żołnierzy w rozsypanie.

To zrobiwszy, obejmuje je wszystkie, albo przynajmniej trzyma je w kupie za pomocą nieznaczących poruszeń; popycha je przed sobą i dostaje się wreszcie na pokład łódki, przy okrzykach zadziwienia Europejczyka w zachwyceniu, ale prawie niepostrzeżony od swych braci, którzy przywykli do podobnych obrotów.

Gdyby wam przyszło pić za tę cenę, na waszych ucztach, o moi kochani współrodacy! byłibyście w wielkiem niebezpieczeństwie stracenia życia z pragnienia, a przecież daję wam tylko niedokładne wyobrażenie o dziwnych obrotach Karolińczyków, sprowadzających kokosy czekającym na nie spółbiesiadnikom.

Czy burza grzmi, czy fala uderza z łoskotem o brzeg zalany, czy cisza panuje, czy łakomy rekin czeka na swą zdobycz, cóż to obchodzi Karolińczyka, zostającego pod kierunkiem wiernego sternika, którego obyczaje tobie opiszę?

Czyż najżarłoczniejsze ze zwierząt morskich może dobiegnąć do radę w jej biegu szybkim?

Widziałem Karolińczyka rzucającego się do wody dla wyszukania ptaka zabitego przez Jan-Jana, a w tej chwili dwa rekiny ogromne krążyły koło łódek.

Dwa te potwory rzuciły się na nieustraszonego pływacza; ale ten wywinął się z pomiędzy nich jakby igrając, a żaden z jego towarzyszy nie zdawał się być przelęknionym tém spotkaniem.

Potrawy podawane na liściach bananu, nie są nigdy przedmiotem sporu dla biesiadujących; zdaje się owszem, że każdy z nich stara się poznać gust swojego sąsiada, żeby mu zostawić jego kąsek ulubiony.

Zachowują oni wytworną czystość w sposobie rozdzielania pokarmów.

Jeśli został mianowany Królem, to jest, jeśli nabył prawa okrywać swe ciało najozdobniejszymi i najwymyślniejszymi centkowaniami, to dla tego, że okazał się najłżejszym we włożeniu na drzewa, najbieglejszym w kierowaniu łódką pośród skał podwodnych, najodważniejszym w waleniu przeciwko wzburzonym falom.

U stołu, nie on pierwsze odbiera honory.

Każdy je bez żarłoczności i po kolei; jestto jakby gra, w której dzieci bawią się drażnieniem siebie.

Już to uderzają siebie zlekka po palcach; już to się śmieją z wykrzywań tego, który się oparzył lub zranił kością ryby; a chcąc dać tobie dokładne wyobrażenie o zupełnej równości, panującej pomiędzy tym ludem uprzywilejowanym, tworzącym, że tak rzec można, jedną i tę samą rodzinę, dodam, że jeden z ich Królów zraniwszy sobie nogę spadnięciem z drzewa kokosowego, chciał pomimo to wmieszać się do tańca, który z woli Gubernatora Guhamu wykonywano przed nami, i że był wygnany ze śmiechem z koła tańczących, swych poddaanych, lękających się, żeby zraniona noga nie zepsuła im wesołej zabawy.

I musiał nieborak usiąść na ziemi dla przypatrywania się razem z nami tym rozrywkom.

Placuszki z syka kroją oni za pomocą kości rybiej, albo kawałka ostrego drzewa, i łatwo można dostrzedz, że ten co bierze najpierw ma tę delikatność, że wybiera dla siebie najmniejszą i najmniej smaczną cząstkę.

Mamże potrzebę powiadać ci, że przed i po uczcie śpiewają modlitwę?

Nie, bez wątpienia.

Modlić się i pracować, oto życie tego ludu, o którym nie mówię nigdy inaczej jak z miłością.

Modlitwy Karolińczyków zwracają się zawsze do Boga, władcy burz, żeby przepędził chmurne obłoki; a te modlitwy, śpiewane na trzy nuty, są zawsze z towarzyszeniem giestów, oraz poruszeń rąk i ciała, pełnych wdzięku i powabu.

Woda czysta źródłana, mléko świeże i aromatyczne kokosu, oto napój codzienny Karolińczyka. Banany, owoc drzewa chlebowego, mango, melony wodne, ryby, syko, (taca pinnatifida), i niektóre inne owoce, oto jego zwykłe pożywienie.

Pokrycie stołu, jestto szeroki liść bananu czysty i miękki; jego współbiedniacy, są to przyjaciele, bracia; jego apetyt, sumienie czyste; jego rozrywki, walka zawzięta przeciwko rzadko rozdąsanemu morzu, otaczającemu jego Archipelag.

Oprócz tych darów, któremi go hojnie niebo obdarzyło, Karolińczyk umie jeszcze wyrabiać z owoców drzewa kokosowego i niektórych korzeni, trunek upajający, którego jednak sam nie używa, chyba dla nadania większej rzeźwości swym muskułom.

U Karolińczyków człowiek co się upija, jest w pogardzie.

U Karolińczyków, są wesołe zabawy, uroczystości, nigdy rozpusty, nigdy krwi przelanej.

Im dalej postępujemy w życiu, tém bardziej strzeżemy w duszy, jak w naczyniu poświęconém, pamiątkę dni szczęśliwych, pamiątkę młodości.

Archipelag, o którym ci opowiadam; wspaniałe drzewa, co go pokrywają; łódki, co jego morza przerzynają; wody przezroczyste, co go skrapiają; serca prawe i litościwe, co mię tak uprzejmie przyjęły w swych domach ozdobnych: wszystkie te rzeczy są obrazami spokoju, które mię cieszą śród moich nocy, i umilają moje senne marzenia.

— Cóż to jest człowiek? zapytałem Tamora Satanału.

— Człowiek, to myśl Boga, odpowiedział mi schylając czoło.

— A Bóg?

— Bóg, to On.

Nic nie jest poetyczniejszego jak ten iloczias, albo raczej wielkość tych błogich chwil, ku którym zwracam się myślą w moich dniach smutku.

Dla Karolińczyka, huragany są to gniewy; obłoki, okręty nadpowietrzne; słońce, stwórca; noc, spoczynek dnia; dzień, przebudzenie się nocy; namiętności, choroby.

Mówią, że rzeki są to drogi chodzące.

Karolińczycy powiadają jeszcze, mówiąc o zmarłych: «Są to opiekunowie żyjących»; i ich religja uczy ich, że oni, unosząc się na obłokach przychodzą często zwiedzać swój kraj, i zsyłają nań burze lub rosy, według tego jak ich dzieci byli dobremi lub złemi.

O gdyby mi przyjaciel, żona, towarzyszka, z którąbym mógł mówić o mojej matce Europie; gdyby mi chatka, łódka, parę drzew kokosowych, kilka bananów; gdyby mi zapomnienie chwil najłodszych mojego dzieciństwa, a zamieszkałbym u Karolińczyków, poihłbym się ich woniami, widokiem ich nieba błękitnego i ich spokoju....

Ale, niestety! mówić o matce, nie jestto ją widziéć! Powracajmy na okręt; biegnijmy na nowe niebezpieczeństwa, i poże gnajmy Karolińczyków, nie opuszczając ich myślą i z nadzieją zobaczenia ich kiedyś.

Powróciłem był na pokład już od dwóch godzin, a nie widziałem jeszcze mojego Jan-Jana. Pytałem z niespokojnością ludzi okrętowych, czy byli pewni, że on się zabrał na okręt? Wszyscy upewniali mię, że powrócił razem z nimi dnia uprzedniego; ale że chyba korzystając z cieniów nocy, udał się wpływ do Satanał. Zdałem się więc na wolę Bożą, i płakałem, jak się opłakuje przyjaciela nieobecnego.

— Wyśmienicie, rzekł on zbliżając się do mnie wieczorem, z rozjaśnioną twarzą, oto łyzy, które mówią; oto żale, które wynagradzają wiele goryczy. Przebacz, Panie Arago, że się schowałem dla przekonania się, czy twoje przywiązanie było równie szczerém jak moje? Nie lękaj się Pan; nie opuszczę go nigdy. Jesteś Pan dla mnie przyjacielem, bratem, i będę twoim cieniem z przodu, z tyłu, z boków, wszystko mi jedno, hylebyś tylko mógł mię ścisnąć za rękę.

Wierz mi, gdyż ci mówię z doświadczenia, że najczulsza przyjaźń, najszlachetniejsze poświęcenia znajdują się nadewszystko w położeniach nieszczęśliwych i niebezpiecznych. Burza, rozbitcie, obok jakiego człowieka, czyni go dla ciebie drogim, i niszczy często zadawnioną antypatję.

Jan-Jan nie był już dla mnie majtkiem, ale bratem, z którym podzielałem to, co mi niebo zsyłało smutków i pociech.

— Gdzie dążymy? zapytałem Kapitana, skoro zdjęliśmy się z kotwicy.

— Czy chcesz bardzo wiedzieć o tém? zapytał mię z złośliwym uśmiechem.

— Nieinaczéj. Ten Ocean spokojny jest tak wielki, że człowiek rad wiedzieć, iż po miesiącu, dwóch lub trzech, zobaczy mały kątek ziemi, który mu wynagrodzi za widok tyle wód.

— A gdybym naprzykład, w téj podróży więcej lub mniej długiéj, nie pokazał ci ani wody, ani ziemi?

— Miałabyś istotnie chęć posłania mię do nieba?

— Nie jeszcze; ale, ponieważ jesteś tak ciekawym, przyrzekam ci wkrótce jeden z tych wspaniałych widoków, które się wrażają w pamięć, dla pozostania w niej na zawsze.

— Cóż to takiego byłoby Kapitanie?

— Niezadługo będziesz wiedzieć, gdyż wiatr wieje silny, jakiego ja żądam, jakiego chcę. Rozwinę mu wszystkie żagle, tak że okręt nasz strzają polecą. Te strony zwrotnikowe są nadto eiche, nadto jednostajne. Potrzeba mi więcej ruchu; będę go miał, przysięgam na Boreasza i Neptuna, jak powiedziałyby jaki mitologista.

— Panie Arago, zapytał mię Jan-Jan, który słuchał naszej rozmowy, cóż to za obywatel ten Pan Boreasz?

— Jestto bóg wiatrów.

— A obywatel Neptun?

— Jestto bóg mórz.

— Dobrze więc! jeżeli wiatry i morza mają boga, dla czegożby ludzie nie mieli go mieć?

— Ależ wiesz dobrze, że ludzie mają jednego Boga wielkiego, niezmiennego, wiecznego.

— Ale bo, Panie, często słyssałem kuglarzy mówiących takie rzeczy.....

— Nie są to kuglarze, ale bezbożni, którzy zaprzeczają istności Bo-

ga, dopóki wiatr wieje przyjazny; a w chwili niebezpieczeństwa, wzywają go z obłudną pobożnością.

Jan-Jan i ja mieliśmy ciągnąć dalej naszą gawędkę poufną, kiedy okręt uderzył się tak straszliwie o mieliznę, że pochylił się zupełnie na bok.

Napróżno Kapitan krzyczał: «Zwinąć żagle!» Musieliśmy naprzód uciąć tylny maszt, potem wielki, i zaledwośmy ruszyli z miejsca po niestęchanych usiłowaniach.

W tej chwili udręczeń, tchórze Kumberlandu uwierzyli w Boga i wzywali go jak swoje ostatnią ucieczkę.

Płynęliśmy już od czterdziestu pięciu dni, pewni kierunku naszej drogi, gdy sztyldwach, siedzący konno na przednim maszcie, zawołał: «Ziemia! ziemia! na przedzie!»

Mapa nie wskazywała; rozpytywaliśmy się przeto majtka: odpowiedział nam, że widział ziemię wyraźnie, i wkrótce nasze dalekowiedze też potwierdziły.

Nie była to jednak ziemia, co się wznosiła na naszej drodze, ale jedna z tych olbrzymich gór lodu, które huragan odrywa z pod bieguna i pędzi ku strefom umiarkowanym.

Sir Jerzy Smith spojrział na mnie z ukosa. Zrozumiałem go i podziękowałem za jego grzeczność.

— Nie prawdaż, rzekł do mnie, że to jest ciekawy widok? Świat pływający; masa ściśle spojona, niepożyta; gmach trzy razy wyższy jak nasz wielki maszt na nowo wzniesiony, i którego prawie dziewięć razy tyle pogrąża się w otchłani wód?

— Istotnie dziwny widok, odpowiedziałem. Toby nauczyło religii, gdyby ateizm był rzeczą możliwą.

— Widzisz jednak tylko urywek tego, co spodziewam się okazać ci za dni kilka. Ta góra porusza się za wolą wiatrów i fali. Znajdziemy się wkrótce, jeżeli spód naszego okrętu nie otworzy się uderzeniem jednej z tych mas, pośród świata nieruchomych lodów, okrążających bieguna, i mówiących do człowieka: Nie pójdziesz dalej!

— Dla czegożbyśmy nie mieli spróbować zadać fałsz tym słowom, które sami tylko ludzie wyrzekli? rzekłem do Kapitana, którego śmiałość była mi znana.

— Wielu odważnych ludzi zawiodło się na próbie, odpowiedział mi. Jednak sam niewiem jeszcze, na co się zdecyduję, okoliczności pokierują mną.

Są epoki w życiu, których nigdy zapomnieć niepodobna.

W żeglowaniu pośród Archipelagów najliczniejszych, okręt płynie bezpiecznie, skoro tylko może włądać wiatrami; gdyż nauka wskazuje mu gdzie są skały podwodne, co otwierają spody okrętu; skały wystające nad wodę, o które rozbijają się jego boki; prądy, które trzeba przełamać; porty gdzie można się schronić; i w razie rozbicia, ziemia gościnna, gdzie żeglarz znajduje chleb, przytułek, nadzieję.

Ale tutaj, pośród mórz burzliwych bieguna południowego, mórz jeszcze tak rzadko zwiedzanych, stron prawie nieznanymi; pośród gromady gór lodowych, posłusznych wichrom, co je popychają, ściskają, rozrywają i otwierają, jeśli się uderzysz nieco gwałtowniej o te masy dziesięć razy, tysiąc razy ogromniejsze od twych okrętów; jeśli znajdujesz się zatrzymanym w twój drodze w przystani utworzonej z tych wysp wędrownych..... żegnaj, ojczyzno! żegnajcie, przyjaciele! Żadna ziemia gościnna nie przyjmie waszych ostatnich zwierzeń, i te zgubne strony odpowiedzą swemu przeznaczeniu.

Mniejsza o to! Bieźmy przeciwko trudnościom, dla zwalczenia ich; przeciwko niebezpieczeństwom, dla pokonania ich; przeciwko śmierci, dla stawienia jej śmiało czoła.

Od dnia, kiedyśmy ujrzeli ową wielką masę lodu, spotykaliśmy to po lewój, to po prawój ręce naszej odłamy lodowe pływające, mniejszej wprawdzie objętości, ale coraz liczniejsze w miarę jak płynęliśmy dalej.

Ale oto bryła niezmiernój objętości rysuje się na widnokregu barwą białawą, odbłaskiem swój powierzchni.

Jestto wspaniały obraz, ten widok strefy lodowatej, gdzie zaledwo mogliśmy wytrzymać surowość zimna, wśród najłagodniejszej pory roku; gdzie się rozplądają szczęśliwie niezliczone rodzaje ryb,

skorupiaków, ptaków, mięczaków, jak gdyby te istoty żyjące chciały stawić czoło potężde Boga.

Tu, w istocie, król morza, ten kolosalny potwór, który jednem uderzeniem głowy może rozbić okręt i okrążyć świat w piętnastu lub dwudziestu dniach, wieloryb, w tych okolicach ma podobnym żywności. Połyka on do swego ogromnego żołądka miliony ryb, i igra pomiędzy lodami, jak gdyby się naigrawał z ich bezsilnego gniewu.

Obok niego, flegmatyczne cieleta morskie, ci powolni mieszkańcy tych surowych stron, podnosząc się na tylniej części swojego ciała, patrzą na ciebie przybywającego po przyjacielsku.

Później mantsoty, te ptaki-ryby, pływające zawsze z głową podniesioną nad wodą, i równie szybkie pośród fal jak ciężkie, gdy dosięgną brzegu; nad twoją głową ulatuje ozdobny *chionis*, gdy tymczasem *petrel* i *mewa* unoszą się lżejszym skrzydłem, a *żagłocig* (albatros) poetycznie nazwany barankiem przyładku, albo raczej ptakiem burz, unosi się wprost nad twoją głową, i szybki jak kula, znika w okamgnieniu z horyzontu.

Tym sposobem, ze wszystkich stron, na lodach, na wodach, w powietrzu, przyroda dziwna i ciekawa, i tam pośród tylu godnych badania przedmiotów, nasz tułaczy okręt, oddzielony od świata cywilizowanego, mający za przewodnika tylko igłę magnesową i zmienne pędy huraganów!

Przez sześć dni płynęliśmy wzdłuż ogromnej lodowatej masy. Lód wznosił się już to w kształcie ozdobnych kandelabrow, już to w kształcie posągów grubo wyrabianych.

Tu blisko nas zaokrąglano się sklepienie; tam dalej strzelały ku niebu minarety: rzekłbyś, że to białe miasto zmarłych, albo szczątki jakiego nowego grodu, rozwalonego jakimś straszliwym wstrząśnieniem.

Nadto, milczenie wszędzie; wszędzie ta samotnia wspaniała i poważna, co tworzy religję.

Ale nie chcieliśmy, żeby masa lodu była przeszkodą do naszej wycieczki poobiegunowej; a że niebo stawało się chmurnem, po kilku-

krotném bezowocném usiłowaniu zarzucenia kotwicy, postanowiliśmy walczyć przeciw burzy, co zaczęła wywierać całą swą wściekłość.

Pilnuj się! pilnuj! pilnuj! Nie możemy uciekać, gdyż pierwsza przeszkoda spotkana na naszej drodze, otworzy miedziany spód naszego okrętu. Nie możemy lawirować, gdyż przestrzeni nam braknie, a wściekłość wichru zbliża nam grozi....

Baczność! baczność! Wszyscy są na pokładzie, wszystkich oczy utkwione w chmurę śniegu, co nas zewsząd otacza.

Żagle zwinięte. Stoimy bokiem do wiatru. Gwałtowne kołysanie morduże nas i porusza z miejsca. Jestto pojedynek zawzięty; jestto walka na śmierć między żywiołami i nami....

Zobaczymy, kto wyjdzie zwyciężcą z téj walki.

Okręt wyprostował się wspaniale, droga przed nami znowu otwarta.

O! jak was żałuję, was co nie byliście świadkami, przynajmniej raz jeden w życiu, tych wstrząśnień Oceanu, gdzie potęga człowieka tak dzielnie daje się poznać!

Wiatry rozdąsane, co szaleją wokoło; mgły gęste, co cię otaczają; płachty śniegu, co okrywają cię nieprzenikliwą siatką; bryły lodu, co się tłuką z sobą; ile tylko niebo, ile tylko ziemia, ile tylko morze ma gwałtowności, wszystko to niechce żebyś szedł tam lub owdzie.

I cóż! ty, będąc Kapitanem doświadczonym, ty któremu widok śmierci nie odejmuje ani energii ani przytomności umysłu, pójdiesz tam dla tego, że twój obowiązek nakreślił ci drogę, którą masz iść, gdyż pod twoimi stopy masz mocny okręt, posłuszny twoim rozkazom, a obok siebie odważną osadę, co nie zmruża oka na widok fal, mających ją pochłonać.

Huragan ustał, wiatry łagodniejsze wiać zaczęły, my płynęliśmy dalej na południo-wschód; ale mgły ciągle nas otaczały. Zmuszeni byliśmy płynąć powoli, i zadanie zdawało się być codzien trudniejszym do rozwiązania.

W kilka dni potem niebo się rozjaśniło. Przyjazny wiatr z północy dał w nasze żagle rozwinięte, i odbywaliśmy z łatwością nasze siedm węzłów pośród ogromnych brył lodu, o które uderzały się bezustannie ciężkie boki naszego okrętu.

Wkrótce byliśmy do tyła otoczeni bryłami mniej lub więcej chropowatymi, że nas przerażać zaczęła droga, którą przebyliśmy.

Co bądź to bądź, postanowiliśmy nie cofać się, a dla uniknięcia wszelkiego uderzenia nadto gwałtownego, przywiązaliśmy okręt do ogromnej bryły, i zdecydowaliśmy się iść tam, gdzie ona nas pociągnie.

W tém położeniu niezbyt, jak sam możesz wnosić, wygodnym, masy potracające nas w swoim przejściu, sprawiały nam wielką niespokojność, gdyż każde uderzenie, które otrzymywaliśmy, było smutną przepowiednią losu, jaki spotkał już tyle innych okrętów.

W tym dniu nieskończonej długości, podróż nasza była powolną i bolesną. Napróżno staraliśmy się wypłynąć z pośród brył lodowych.

Nazajutrz, bryły te zamknęły się za nami jak kamień grobowy, i my zostaliśmy całkiem uwięzionymi przez nie.

Czekając nim promień słońca, lub wiatr cieplejszy nie oswobodzi nas, zabijaliśmy nasze bezpożyteczne godziny z tą wesołością marynarską, która nie porzucea nigdy ludzi odważnych, i zwiedzaliśmy wyspy pływające, co nas otaczały.

Odwieczna masa lodu rozciąga się do krańców widnokregu; zstąpmy na tę masę, jakby na ziemię nowo odkrytą.

Wszyscy występujemy z okrętu, uzbrojeni w kije, bosaki, fuzje, i idziemy polować na pingwiny i cieleta morskie, za którymi się zapędzamy aż do najdalszych ich kryjówek.

Zbliżyłem się do jednego z tych kolosów dziwacznych, które wichry śniegowe i huragany utworzyły w tak dziwnych kształtach, w czasie wstrząśnień atmosferycznych.

Znużyłem się był ściganiem lwa morskiego, zboczyłem więc machinalnie z drogi i znalazłem się jakby uwięziony w pewnego rodzaju budowlu, nieprzystępnej wiatrom południowym...

Jednym razem, zatrzymuję się jakby skamieniały, serce moje się ścisza, oczy łzami się napełniają, obraz żałosny staje przedemną: widzę miłość, radość, udręczenia, rozpacz... śmierć!

Byłto pewien rodzaj kaplicy, z której sklepienia zwieszały się stalaktyty ostro zakończone, perlące się u końca kroplą wody, mającą je przedłużyć; potem pewien rodzaj okrągłej ławki, dosyć gładkiej, zwalanej krwią, i na tej ławce, chcę powiedzieć, na tym ołtarzu... dwa szkielety, prawie tak białe jak grób przezroczysty, milczący świadek ich ostatnich westchnień!

Szkielety trzymały się jeszcze za ręce; jedna z dwóch głów leżała na ramieniu drugiej ofiary, i nogi wyprężone świadczyły o konaniu z zimna.

Dwa szkielety, dwa kościotrupy, w których wrzały namiętności, były serca..... krążyła krew; dwie czaszki, z których tryskała myśl; oczy, które błagały Niebios! Potem nic, nic, tylko głód i zimno, które nie oszczędzają nikogo, które zadały śmierć tym dwom nieszczęśliwym.

Byłto ołtarz, modliłem się przed nim, zbliżyłem się z pobożnością do tych szczątków ludzkich, i ryjąc łód puginałem, szukałem około tych biednych opuszczonych szmatka odzienia, który mógłby mi kiedyś dać wskazówkę z jakiego narodu były te dwie ofiary, albo innego jakiego śladu, zdolnego wskazać mi pierwszą przyczynę tego nieszczęścia.

Łód pryska pod ryjącem go żelazem; podwajam usiłowań; ręce moje znużone trudem, grunt z trudnością daje się kopać; wreszcie odkopuję puszkę blaszaną, a w niej owady, ptaki wypechane, ołówek, pierścień, paczka szpilek i dwadzieścia ośm arkuszy papieru....

Nauka czyni prawie tyle ofiar co wojna!

Pochwyciłem z uniesieniem kosztowny sprzęt, i rzuciwszy ostatecznie spojrzenie, ostatnią modlitwę na dwa szkielety, udałem się powolnym krokiem ku majtkom, którzy powracali do szalupy.

W chwili, kiedy mieliśmy odpłynąć, nagłe wstrząśnienie zachwiało bryłami lodu, do których łódka była przywiązana. Chcieliśmy odkryć tego przyczynę, gdy dwa ogromne wieloryby, wydobywszy się z swego mocnego więzienia, wyrzuciły w powietrze dwa snopy wody, podobne do wybuchów krateru; potem, wypłynąwszy na powierzchnię wód, jeden z nich bierze szalupę na swe szerokie ramiona, podnosi ją jak szmatkę piany i przewraca.....

Jeden tylko z naszych ludzi w niej się znajdował; pływał on doskonale, i wkrótce połączył się z nami.....

Co do łódki, była ona dla nas straconą. Nie wiedzieliśmy jakiego chwycić się środka dla uwiadomienia okrętu o naszym przykrém położeniu.

Była północ. Od dziesięciu blisko minut słońce już było zniknęło z widnokręgu; w pięć minut później ukazało się ono znowu z większym blaskiem, i ja postanowiłem, nimby nas odszukano, przeczytać kosztowny rękopis, który tak szczęśliwie dostał się mi w ręce.

Przemknąwszy się więc po raz drugi przez lodowe galerje, usiadłem, oparłem się o jedną z tych kolumn, i rzuciłem wzrok ciekawy na opisy boleści, których obraz miał się bez wątpienia rozwinać przedemną.....

Oto one :

«Zeszty ostatni.

«Niestety! Cóż się stało z innymi? Gdzież pływają w tej chwili szczątki okrętu, który bryła lodu roztrzaskała tej nocy? Gdzie kołyszą się na falach trupy wesołych majtków, którzy opiewali niedawno powrót do swojego kraju; którzy naigrawali się z huraganów; którzy śmiało stawili czoło wichrom; którzy wierzyli jedynie w szczęście?

«Szczęśliwi! Wasze skonanie było krótkie: jedna fala, jedna tylko fala stłumiła waszą ostatnią skargę, wasze ostatnie chrapanie.....

«Ale ja, ale on, mój młody brat Paweł, którego miałem wrócić pieszcotom macierzyńskim, cóż się z nami stanie, z nami, których pienista fala wyrzuciła na ten grunt lodowy, pod to niebo lodowe, na to morze lodowe, gdzie życie dla człowieka jest niepodo-

bném, gdzie śmierć jest bez ochrony, gdzie samobójstwo byłoby dozwoloném, gdyby samobójstwo nie było kłamstwem zadaniem Bogu, gdyby nie było świętokradztwem?

«On i ja, oto jedyne istoty myślące tego świata tak odmiennego od innych światów! Za schronienie, atmosfera zamglona i surowa; za poślanie, woda stwardniała wiekami; za pokarm, niestety! nie, nawet nadziei, tego promienia Niebios, który uśmierza tyle boleści, który pociesza po tylu doznanych goryczach.

«Biedny bracie! Ty jesteś tak młody, a już umierać musisz: umierać wśród udręczeń głodu, wśród odrętwienia rozpacz! Gdybyś był silniejszy, więcej może zdający się na wolę Bożą, możebym cię ujrzał stąd oddalającego się.....

«A wtedy!... O mój Boże! Moja matka modli się do Ciebie, bez wątpienia, w tej chwili, za swoje dzieci kochane.

«Czyż modlitwy matki nie wnoszą się zawsze do tronu Przedwiecznego?

«Oto od dwóch już dni burza pastwi się nad nami.....

«Zabiliśmy petrela..... Paweł dostał najlepszą częśćkę; powiedziałem mu, że nie cierpię głodu.

«Noc! och! noc jest powolną męczarnią. Zastaniam się Pawłem, on się mną zastania, nasze serca biją tuż obok siebie, ale głód dręczy nas po przebudzeniu się.....

«Czyż będzie jeszcze jedno przebudzenie dla Pawła i dla mnie?

«Straszliwa burza, co wyszła od bieguna, wstrząsa masą lodową..... Schyleni pod ogromną bryłą lodu, winniśmy jej objętości, że nas wichur nie unasza, który szczęściem, nie zmienia kierunku....

«Nigdy może gęstsza sieć śniegu nie ciężyla nad tą strefą zniszczenia..... Jest to obrus biały, nieprzenikliwy, okrywający nas jak całunem, i wiotający falami.

«Śniegu przybywa, przybywa, przybywa jeszcze..... tupamy nogami, żeby nie być przezeń zagrzebanymi..... jeśli huragan potrwa, żegnaj życie, żegnaj boleści.....

«Śmierć odpycha nas; Paweł i ja nie dość jeszcze cierpieliśmy.....

«Biedny Paweł!

«Nie będzie nam brakowało odtąd żywności, masa lodowa pokrytą została czarnymi orłami, petrelami i pingwinami, poranionemi przez lodowe bryły, o które huragan je cisnął.....

«O jak Bóg jest wielkim w swoim gniewie!

«Potęgo niebieska! litości! mój brat umiera!..... Nie umrze on jeden..... Ziemia rodzinna, matko kochana, żegnam was.....

«Paweł i ja..... umieramy z głodu, umieramy z zimna.....

«Tak!»

Trzy ostatnie wiersze rękopisu były prawie nieczytelne; kartki, których nie przepisałem, zawierały tylko notaty geologiczne o naturze gruntu peruańskiego, i pierwszych szczepłów tych Kordylljerów, które przerzynają obie Ameryki z północy na południe.....

Kilka słów urywkowych, skreślonych piórem i innej ręki każą mi wnosić, że Paweł mieszkał w Lima i miał zostać księdzem, oraz mogłem domyślać się z kilku wyrazów rękopisu, że jego brat przybył dla zabrania go z sobą z rozkazu matki.....

Motyle, owady, złożone w puszcze blaszanéj, były doskonale zachowane.....

Niestety! szkielety zbielełe dwóch ofiar były także całe: ptaki drapieżne oszczędziły te kościotrupy, zgodne tą rzazą z Przedwiecznym, który głosi niebezpieczeństwa téj żeglugi podbiegunowéj, i ukazuje życie w śmierci.

Łódka z okrętu przybyła po nas. Wróciliśmy na okręt, i przeżykając się ostrożnie pośród brył lodu, któremi morze jest jakby wybrukowane, wypłynęliśmy wkrótce na przestrzeń swobodniejszą.

Wielki Boże! jednego człowieka nam braknie..... Kogoż to? Szukam oczyma; moje serce, prędsze niż oczy, odgadło. Jan-Jan, odważny, poświęcający się Jan-Jan, został sam jeden na lodowisku.

— Prędzej, prędzej, zwracajcie okręt nazad! Baczność, dzieci! Jeden z waszych towarzyszków jest tam; nie można żeby on tam został, albo zostaniemy tam wszyscy!

Uściskałem Kapitana serdecznie, i okręt, cofniony w swym biegu, wracał znowu ku biegunowi.

Pierwszy także zobaczyłem mojego starego przyjaciela, stojącego na błyszczącym wzgórzu. Podnosił on ręce, machał niemi naksztajt telegrafu, i pewny już, że wracamy po niego, rzucił się z bryły na bryłę, i wkrótce przybył na kraniec.

W mgnieniu oka wyprawiono łódkę; ja także chciałem być na niej; wziąłem sam za rudel, i obiecałem dobrą nagrodę temu z majtków, który złamie wiosło w przeprawie.

Z jakąż radością, z jakim uniesieniem uściskałem Jan-Jana w moich objęciach!

A jednak uczucie bolesne, podzielane przez wszystkich ludzi, przybyłych ze mną, wciskało się do mojego serca.....

Dałem znak majtkom, żeby nie mówili; w kwadrans później podano nam drabinki dla dostania się na okręt.

— I cóż! rzekł do mnie Jan-Jan, jak tylko się ujrzał uratowanym od strasznego niebezpieczeństwa, w jakim zostawał, chciałeś Pan gorąca; dano tego do woli; chciałeś zakosztować zimna; i na tym teraz nie zbywało. Czegoż Pan więcej jeszcze żądasz?

— Czego nigdy osiągnąć nie zdołam, mój biedny przyjacielu, szczęścia.

— Do licha! ono jest po prawej, a Pan go szukasz po lewej; ono jest na północy, a Pan bieżysz za niem na południe. Pomimo uszanowania, jakie winienem dla niego, Panie Arago, pozwól sobie powiedzieć, że twój rozum djable przyćmiony; radzę Panu żebyś lepiej strzegł swe oczy.

— A ty, mój kochany, sądzisz, że jaśniej widzisz?

— Ja! wstydzę się doprawdy, że zawsze mam rację z Panem, i czuję niekiedy chętkę tykać Pana, żebyś z większym respektem mówił do mnie.

— Tak tedy, Jan-Janie, powiadasz, że twoje oczy dobrze widzą; czy jesteś pewnym, że widzisz czerwono to co jest czerwonym, i czarno co jest czarnym?

— Nie inaczej.

— A więc powiedz mi, proszę, jakiego koloru są włosy, które ci rosną na głowie?....

Podałem mu przytém małe lusterko.

— Wielki Boże! zawołał majtek, podskakując jak kozłátko przez psy napadnięte, miłosierdzia! litości! ja nie jestem uratowany, ja me jestem ja, zostawiono mię na lodowisku!.... Kapitanie! Panie Arago! kaźcie zawrócić okręt!..... Nie słuźna jest zostawiać Jan - Jana pośród ciałąt morskich i wielorybów, bez chleba, bez wina, bez domu, bez przyjaciół. Spieszmy na pomoc temu biędnemu majtkowi, który tyle wycierpiał, i który nie powinien umierać z zimna i głodu.....

Nie mieliśmy ochoty śmiać się z naiwności naszego kochanego majtka, gdyż przestrah jego był spowodowany uczuciem szlachetnym, uczuciem, co go podnosiło w naszych oczach.....

Nie więcęj jak kilka minut potrzeba mu było, żeby pojał całą śmieszność swęj obawy; ale dzielny chłopak, zawsze z lusterkiem w ręku, był bardzo nie rad z swojej przemiany.

Rzucił nawet kilka przekleństw wyrzekając przeciw tęg zmianie, i prosił mię z usiłnością o butelkę atramentu, lub puszkę z szuwaksem, dla zadania kłamstwa przeznaczeniu.

— Mój przyjacielu, powiedziałem do niego, głowa głupia rzadko siwieje, głowa uczona prawie zawsze. Będa cię mieli odtąd za uczonego, a majtkowie, twoi dawni towarzysze, nie inaczej będa do ciebie mówić, jak z głową odkrytą.

— Co z tego to byłbym rad bardzo, bo niepotrzebowałbym przynajmniej odkrywać mojęj, i pokazywać tym sposobem tego wieńca z róż białych, który tak śmiesznie otacza mą głowę, że rzekłbyś, iż to jest worek mąki na worku węgli.

Wieczorem tegoż samego dnia, Jan - Jan osypał gradem pięści grzbiet majtka angielskiego, który śmiał szydzić z niego, a nazajutrz nie widać już było uśmiechu na ustach żartownisiów.....

Przestrah mojego starego przyjaciela nie był ani nikczemną bojaźnią, ani tchórzostwem, i myśl sama, że mogliśmy zapomnieć tak wyborne serce na odwiecznym lodowisku, dreszczem nas przejmowała.

Niestety! ileż cierpieć musieli ci dwaj nieszczęśliwi, których kości zbielełe zachowane były przezemnie jak szczątki święte dwóch męczenników!

Dowiemyż się kiedykolwiek o ich nazwiskach, będziemy mogli kiedy dać wiadomość o nich rodzinie ich strapionej?

Pierwsza noc naszej żeglugi była burzliwa; ale wdrożyliśmy się do niebezpieczeństw. Płynęliśmy pośród brył lodowych bez wielkiej bojaźni, i mogłem rozmyślać według woli nad smutnym dramatem, którego widziałem straszliwe rozwiązanie.

— Jesteś coś bardzo zamysłony, rzekł do mnie nazajutrz Sir Henryk Clarke biorąc mię pod rękę, co ci tak daje do myślenia?

— Pamięć dwóch kościotrupów.

— Marzenie?

— Okropna rzeczywistość!

— Opowiedz mi to.

Opowiedziałem Kapitanowi odkrycie, przezemnie uczynione; pokazałem mu puszkę blaszaną, ostatnie karty nakreślone przez jednego z nieszczęśliwych, i moje postanowienie szukania, za powrotem do Francji, krewnych lub przyjaciół tych, co tyle ucierpieli.

— Nie chciałem, rzekłem do Sir Henryka Clarke, pokazywać majtkom tych szczątków świętych, Bóg umieścił je tam może jako naukę, ręce lada czyje nie powinny się ich dotykać; kaplica, co ich strzeże, będzie chyba zburzoną przez huragan.

— Jeśli tak, rzekł Kapitan, o którym tak źle sądziłem z początku, nie myślę żebyś należycie wypełnił swą powinność; te szczątki ludzkie trzeba było unieść z sobą; trzeba było przynajmniej wezwać kogo do pomocy w poszukiwaniach wśród brył otaczających. Ze wszystkich nieszczęść, jakie nas na tej ziemi spotykają, niepewność jest zapewne najdotkliwszém. Matka modli się może codziennie za dwoje dzieci, o których sądzi, że znajdują się w więzieniu, wśród dzikich, zgłodniałych, spragnieni. Ludzkość wymagałaby uwiadomić ją, że te dwa przedmioty jej miłości wolne już są od bólów skonu i mąk. Do nas należy spełnić ten święty obowiązek; wracajmy znowu do lodowiska, i niech motyka skopie ją do gruntu.

Zaledwo Kapitan dokończył tych słów, teńnących szlachetnością, gdy gwałtowne wstrząśnienie wstrzymało okręt w biegu.

— Obejrzyć okręt! krzyknął Kapitan, bez okazania najmniejszej trwogi; obejrzyć okręt! Niech każdy będzie na swém stanowisku!

W przodzie okrętu zrobił się otwór od uderzenia podwodnej bryły lodu.

Znać było, że on mocno uszkodzony: oderwany kawał dyla pływał koło niego. Każdy z nas pojmował okropność swego położenia.

— Sądzą, rzekł do mnie Kapitan głosem pewnym, że szkielety będą wkrótce miały towarzyszków. Każę zwrócić okręt ku lodowisku; wyspa Amsterdam jest jeszcze daleko; nim do niej dopłyniemy, zdaje mi się, że pójdziemy na dno.... Czekajmy nim robotnik obejrzy okręt i powie nam swe ostatnie słowo.

— Kapitanie! powiedział ten ostatni włączając na pokład, sześć stóp wody...; nasze pompy nie nie zrobią....

— Do pomp! krzyknął Sir Henryk Clarke, do pomp! dzieci! niech śmierć spotyka nas z pracą w sercu, z uśmiechem na ustach.

W mgnieniu oka, wszystkie ręce były w działaniu. Oddawaliśmy morzu to, co ono nam dawało w swój nielitościwej hojności; ale siły wkrótce musiały być wyczerpane w tej walce nierównej, i Sir Henryk Clarke pierwszy pojął, że wszystko się skończyło dla nas, chyba że Wszechmocny ulituje się nad nami.

Jan-Jan zbliżył się do mnie.

— Czy myślisz Pan, rzekł do mnie, że ja niewiem co nas czeka? Musieliśmy tak skończyć, jak bydlęta jakie. Lody tu, lody tam, lody i szkielety wszędzie!

— Jakto, ty wiesz?

— Tak, wiem; widziałem. Wtenczas kiedy Pan biegłeś jak cielę morskie ku godowisku czy lodowisku, jak je tam nazywają, ja szedłem za Panem ukradkiem. Przesmykałem się przez te galerje, kryjówki, cytadelle z swemi strzelnicami, przez te domy bez mężczyzn i kobiet, i nie straciłem Pana z oczu na chwilę, aż kiedy znalazłeś te smutne szczątki, przy których padłeś na kolana.

— Bardzo dobrze zrobiłeś, że nie przerwałeś mojej modlitwy.

— Ja lepiej, panie, zrobiłem; modliłem się również jak Pan, i pewny jestem, że niemniej gorąco.

— Tyś złoty chłopiec, Jan-Janie.

— A niech mię Bóg broni, żebym miał być złotym, to prędzej byłoby po nas, i tak już okręt nasz tonie, co mię potrójnie martwi: najprzód przez wzgląd na Pana; powtóre, przez wzgląd na siebie samego; naostatek, przez wzgląd na matkę tych dwóch biednych szkieletów, którejbyśmy przywieźli pociechę i łzy.

— Co przez to rozumiesz? zapytałem go z udręczeniem, które mi w niepamięć podało własne nieszczęście.

— Rozumiem to, panie, że głębiej kopałem się w lodach niżeli Pan, że znalazłem tam rzeczy, które mogą dopomóc w naszych poszukiwaniach, i że portrety, medaljony, jedna szlifa, i mała książeczka, której nie czytałem, gdyż zapomniałem nauczyć się czytać, mogą nas więcej objaśnić, niżeli wszystkie *jesli, ale, i albowiem* podróżyków.

— Gdzież są te przedmioty?

— Tam w moim tomoku; ale morze żarłoczne wkrótce pochłonie i one i nas razem.

— Czy przypominasz sobie trąbę Bengalską, kiedy wichur szalony chłostał nas po grzbiecie?

— Jakże nie? dał on wtedy tak silnie, że mógłby połamać nogi wołom, wywichnąć wielki palec u ręki.

— A ucztę ludożerców?

— Czyż można o takich rzeczach zapomnieć? Te zuchy tak się zawijali, że sprzątnęliby nie tylko cholewy, ale i podeszwy moich butów..... gdybym je miał.

— Otoż, mój dzielny chłopcze, kiedy Bóg był tak potężnym że mógł nas wyrwać z tych niebezpieczeństw, jak równie z głodu, który nas pożerał w Pulu-Suku, miejmy w nim nadzieję i dzisiaj. Ramię jego tak silne!

— Ale my go utrudzamy już od tak dawna.

— Bóg nie utrudza się nigdy, mój przyjacielu, w rozdawaniu swych dobrodziejstw; nie traćmy nigdy nadziei.

Niestety! aż do nadziei, wszystko nas opuszczało. Rozmowa wyżej przytoczona, którą prowadziłem z Jan-Janem, podczas kwadransa, danego mu na odpoczynek, nagle przerwana została przez robotnika utykającego szpary, który zbliżywszy się do Kapitana rzekł mu, że pompy okazały się niedostateczne, że wody przybywało coraz więcej, i że wszystko dla nas skończone.

Złowrogie gwizdnięcie naczelnika osady, dobrze znane majtkom, nakazało milczenie.....

Ręce zostały nieruchome; jedni na drugich spojerali wzrokiem pytającym; serca mocniej w piersiach zabiły; kapelusze i czapki po-zdejmowano.

Kapitan w te słowa się odezwał:

— Chłopy okrętowi, nowozaciężni, majtkowie, robotnicy, passażerowie, officerowie! Powinność moja nakazuje mi oświadczyć wam, że okręt nasz tonie; mamy jeszcze godzinę życia. Polecajmy się Bogu!

Cisza uroczysta przejęła nas wszystkich. Każdy usiadł lub się oparł machinalnie na miejscu, gdzie się znajdował; nie mówiono nic do siebie, nie modlono się nawet; czekali co chwila straszliwego wypadku, gdyż woda podnosiła się, podnosiła się ciągle, i grób niezmierny otwierał się pod naszymi stopami.

Kapitan gryzł sobie wargi, jak człowiek który goni za szczęśliwą myślą, i zbliżywszy się do mnie, rzekł mi po cichu:

— Naprawdę człek gotowy do wyruszenia w drogę; kiedy godzina bije, chcielibyśmy zatrzymać skazówkę zegara.

Co do Jan-Jana, ten uderzał siebie gwałtownie w czoło, i zdawał się dąsać na odrętwiałość majtków i Sir Henryka Clarke.

— O czym ty myślisz? zapytałem stawając obok niego.

— Dąsam się, odpowiedział mi, na tych głupców, psu-bratów, którzy nie wiedzą, że póki w nas jest krew, póty jest życie, i że widziano umarłych, prawdziwych umarłych, wychodzących z grobu i przycho-dzących śmiać się, kochać i płakać z nami.

— Widzisz, że idziemy na dno; cóż poczniesz?

— Ja na dno nie pójde. A.... a najprzód, kiedy woda słona zupełnie nas zaleje, wiesz Pan co nastąpi? Oto będziemy się bić jak wilcy dla zawładania odłamek masztu, wiosłem lub dylem. Mamy na prawej stronie szalupę, mamy łodź w zapasie; te dwa statki powinny już być dotąd puszczone na morze, a zresztą mamy jeszcze ramiona, Ocean ma wyspy, można przybyć tam lub owdzie, a jeśli byśmy nie przybyli, to wypełnimy swą powinność.

— Rozprawiasz jak człowiek, który nie doświadczał nigdy rozbicia, rzekł Kapitan zbliżając się do nas, powinniśmy zginąć wszyscy razem, jeśli nie chcemy być świadkami świętokradzkich mordów.... Tu, konanie będzie kilkochwilowe, tam na łodziach straszliwe, powolne, wieczne. Głód będzie wołał głośniej niżeli ludzkość; rozpacz, wściekłość, szal opanuje tobą, tak jak i nami wszystkimi. Będziesz przeklinał najwięcej tych, których najbardziej kochałeś, i pożerał ich mięso drgające z okrucieństwem ludożercy.

Nie zdołam ci opisać wszystkiego co było dobrego, szlachetnego, wspaniałomyślnego, poetycznego w spojrzeniu, które Jan-Jan rzucił wtedy na mnie.

Nigdy oko matki nie spoczywało na synie w kolebce z większą czułością; nigdy nie błagano przebaczenia z większą gorącością.

Uścisnąłem silnie za rękę mojego dzielnego majtka, i nie mówiąc do siebie ani słowa, usiedliśmy jeden obok drugiego przy zegarze.

Ale osada nie myślała tak jak Kapitan, i nie czekając zupełnego zatonięcia, dobyła z zasięku broń, proch i suchary, zładowane na przodzie okrętu; kazała Kapitanowi puścić łodzie na morze, a naczelnik robotników, nazwany Pauper, zuchwalszy od innych, zagroził mu, że wyrzuci go do wody przez parapet.

W tej chwili pistolet Sir Henryka Clarke dał ognia, mózg przysnął w około, i trup został wrzucony do morza.

— Do broni! zawołała cała osada z wściekłością, do broni!

— Do mnie dobrze myślący! odrzekł Kapitan. Kule nasze szybkie,

ci nędznicy mogli żyć jeszcze jakie pół godziny, ale śpieszą się przędzój na tamten świat; zawińmy się koło nich.

Trzech robotników, sześciu majtków, Kapitan, Sir John {Davis, Jan-Jan i ja, rzuciliśmy się na buntowników, żeby nie dać im czasu nabieć broni; porwali oni za topory, drągi, szable, piki, i walka się rozpoczęła.

Sir Henryk Clarke był godzien podziwienia swoją krwią zimną i energją. Każdy z jego ciosów walił z nóg człowieka; Sir John Davis pomagał mu jak mógł, ja także pełniłem swą powinność, i buntownicy zaczęli pojmować wielkość swojej winy.....

— Przebaczenie tym psom, zawołał Kapitan, będąc ranionym w ramię.

— Niemasz przebaczenia! odpowiedział głos chrapliwy nędznego majtka, zwanego Gregory. Te łotry nie chcą nawet zaczekać nim morze nas pochłonie.....

I ciska w nas toporem. Pierś Sir John'a Davis'a raniona tym ciosem, jeden robotnik na ziemię obalony; biorę na cel zbójcę, pistolet mój nie wypala.

— Moja szabla nie spali z panewki, zawołał Jan-Jan z wściekłością. Ot przecie pojedynek, na który dawno czekałem.

I dzielny majtek rzuca się z szablą dobytą; ale, zwinny jak wiewiórka, Gregory podskakuje, drapie się na *bocianie gniazdo* (1), i z tej wysokości zdaje się naigrawać z przeciwnika. Ten rzeki i pełen ognia pnie się także po linach w górę, podczas gdy my wszyscy bez ruchu, z uwagą zwróconą na walkę, co ma się rozpocząć, zdawaliśmy się zapominać o wodzie, która się coraz podnosząc, miała nas wkrótce pochłonać.

Z jednej strony wierność Apostoła, energia człowieka poczciwego; z drugiej zdrada renegata, wściekłość zbrodniarza bez zgrzyoty sumienia.....

Wypadek walki mógł być wątpliwym?....

(1) *Bocianie gniazdo*, zowie się na okręcie pokład z tarcie na około maszty.

Ale Bóg ogłasza swe wyroki, i my ich nieznamy pierwiej, aż nim czyny nie będą spełnione.

Jan-Jan z siekierą w ręku, odważny i spokojny, śledził oczyma ruchy swego przeciwnika, podczas gdy ten przestraszony już śmiałością takiego napastnika, szukał w duchu bezpiecznej ucieczki.

U stóp jego był ogromny blok; cięciem szerokiego pałasza odcina go od liny i ciska go na Jan-Jana, który unika ciosu.

— Łotrze! woła mój śmiały majtek, ty wolisz lepiej bić się zdala jak zbliżka: ale zaczekaj chwilkę, my się pobratamy z sobą.

Gregory nie śmie czekać Jan-Jana; rzuca się, czepia liny, ślizga się, zwija wężykiem, dosięga *rei* (1), i czepia się u jej końca.

Jan-Jan nie goni jeszcze za nim, przygotowuje się do nowego rodzaju walki, mierzy odległość i waży swe siły.....

Kula pistoletu lub fuzji byłaby prędkim rozwiązaniem dramatu; ale on niechce podobnego zwycięstwa, i prosi Kapitana, żeby nie dawał ognia do zbójcy. Sir Henryk Clarke w istocie brał na cel Gregorego, lecz w swoim entuzjazmie dla bohaterskiego poświęcenia się majtka, upuścił z rąk broń swoją.

Jan-Jan nie płakał wtedy.

— No, z nami dwoma teraz rzecz! zawołał tonem pewnym i umiarkowanym. Będziemy się bili tylko jedną ręką, w to mi graj; między niebem i morzem, wysmienicie; siekierą lub pugińalem, nie lepszego..... Wszystko mi na rękę, łotrze, i zobaczymy, jak się zewrą z sobą sęp z orłem, tygrys ze lwem..... Ty tygrysem, ja lwem; a więc, z nami dwoma rzecz!

Jan-Jan wyciąga rękę, chwyta za reję, wskakuje na nią konno, i sunie się prosto do Gregorego, który nie mogąc uciekać, czeka go z miną dość śmiałą.....

Oto już są zbliżka jeden przy drugim.

— Masz! rzecze Gregory, chcąc cięciem szabli rozplatać czaszkę Jan-Janowi.

(1) *Reja*, drąg wielki w poprzek masztu.

Ramię majtka ranione, krew płynie szerokim strumieniem.

— Tęgo wymierzono, odrzekł nasz śmiałek, a oto masz odpowiedź.

Siekiera otwiera bok Gregoremu, którego oko zeszkłone mierzy już przestrzeń oddzielającą go od otchłani.

— Ty spoglądasz już na swój grób, nędzny zbójco!... Oto, co cię tam zagrzebie na wieki.

Cios Jan-Jana był chybny; siekiera ugodziła w reję i głęboko w nią uwięzła, a gdy on usiłuje wyrwać ją, Gregory zadaje mu nowy raz szablą, który lekko tylko rani naszego przyjaciela.

Kula świsnęła, był to strzał Kapitana.

— To nikiemennie, zawołał znowu Jan-Jan, we dwóch przeciwko jednemu; dajcie pokój! ja sam sobie dam radę.

I ręka jego, szybka jak słowo, odcina pięść lewą Gregorego, który się nie może już bronić.

— Miałbym litość nad innym, rzekł do niego Jan-Jan; ale ty, niegodziwcze, możesz tylko oczekiwać miłosierdzia Niebios. Darmo się chwytasz nogami za tę linę; moja noga silniejsza od twojej, zobaczymy, kto z nas pierwszy osłabnie.

Mocno trzymając się rei; Jan-Jan bił swą stopą głowę Gregorego.

Krew strumieniem lała się z niego, a zbójca jeszcze trzymał się liny; rozpacz podwajała jego siły....

Tymczasem okręt pogrążał się coraz więcej i więcej....

Nakoniec, silne uderzenie nogą, zadane w ramię buntownika, sprawia że ten traci równowagę, chwije się, wydaje jęk chrapliwy, jakby przy skonaniu, i daje młynka w powietrzu..... fala się otwiera, zamyka, Ocean posiada swą zdobycz, wir zniknął....

Jeszcze przed końcem tej walki, zbuntowani złożyli broń. Jan-Jan wraca do nas, z sercem przepełnioném radością, z czołem zapoczném, z oczyma łez pełnemi....

Otaczamy go, uściskamy....

Cicho! okręt całkiem na bok się przechyla, fala go podnosi,
on znówu pada bokiem, zdaje się wahać, cały drży.....

Otoż przewraca się znówu na prawy bok, maszty leżą prawie
na wodzie, i my, na tym kadłubie, przycisnąwszy się jeden do dru-
giego, bez chleba, bez wody..... z rozpaczą w sercu.

XV.

CH A O S.

Od sześciu godzin okręt chybotął się gdzie go fala popchnęła, i żaden głos nie przerywał przerażającej jednostajności szumu bałwanów.

Jan-Jan leżąc obok mnie, patrzył na mnie wilgotną źrenicą, i trzymając się jedną ręką za linę porwaną, przykładał drugą swoją grubą koszulę na rany, zadane mu od Gregorego. Fizjonomia jego była poważna, na ustach uśmiech pogardliwy; zdawał się mówić, że śmierć, która nas wkrótce miała spotkać, była tą, jaką wypiaستował w swęj męzkiej myśli od czasu, kiedy uczuł w sobie duszę zrodzoną do boleści, i ja, którego los przesładował także dość zawzięcie, poj-mowałem, że biedny majtek, w tęg ostatniej chwili, żałował tylko swego starego przyjaciela.

Podałem mu moję chustkę z szyi, jako bardziej miękką od jego grubęj, majtkowęj koszuli.

— I do czegoż to! odpowiedział mi głosem, zaledwo dającym się słyszeć. Czyż za kilka minut nie rozstaniemy się z tym nędznym światem? Każda fala, co do nas z głuchym szumem przyplywa, unosi z sobą jednego lub dwóch z tych dzielnych chłopaków, przyjdzie i na nas kolęj. Przysięgam Panu, że jego ostatnia chwila, będzie także i moją. Wiész jednak co mię zasmuca? mówił dalej z oczyma pełnemi łez. Oto, że napróżno szukać będą naszego grobu; że twoja święta matka, Panie, nie będzie mogła płakać nad nim, i że czas jakiś jeszcze, cie-

sząc się z bliskiego powrotu..... będzie nas oczekiwać, dziękując Przedwiecznemu za tę nadzieję. Widzisz bo Pan, niebo, jak sądzę, powinno byłoby zesać choć jedną radość w mojej ostatniej godzinie ; ale, jak widzę, zachowało ono je wszystkie na życie przyszłe, gdyż odmówiło mi ich na ziemi.

Nie odpowiedziałem nic na ciche skargi mojego biednego towarzysza, pozostawiłem go smutnym jego pamiątkom, mającym się skończyć śmiercią tak okropną; później podając mu rękę:

— Pójdziemy na tamten świat razem, rzekłem, czy ci się to podoba?

— Czy mi się to podoba!..... o tak, jestem niewdzięcznym, żem oskarżał przed chwilą niebo, i z głębi serca błagam go o przebaczenie mi za to.

Noc nadeszła, a z nią nowe udręczenia.

Żaden z nas nie myślał jeszcze o głodzie, który wkrótce miał się dać uczuć z całą swą męczarnią.

Każde dotknięcie fali, oblewającej nasze odrętwiałe członki, było ułudnym wezwaniem, któremu trudno było się oprzeć ; i cudem jakimś, Kapitan siedząc na spodnim drągu okrętowym, przy wieronym robotniku, ocalał dotąd, pomimo groźb tych, którzy niedawno buntowali się przeciwko niemu.

Nieszczęście porównało stopnie, a morze nie czyniło różnicy pomiędzy majtkiem a dowódcą, pomiędzy młodym a starym, pomiędzy dobrym a złym : wszystkim toż samo konanie, wszystkim tenże sam grób.

Otoż i ciemności!....

Jeżeli okręt jaki przesunie się po widnokregu, nie zobaczy nas, a jutro szarpania głodu, hamowane jeszcze dzisiaj, odnowią się z większą siłą; jutro ciała drgające będą pożerane z straszliwą cheiwością; jutro Jan-Jan i ja będziemy zaciętymi wrogami....

Nie czekajmy do jutra.

Nie widząc żadnego środka ratunku, postanowiłem spuścić się w otchłań, gdy ucułem rękę Jan-Jana, ściskającą mię silnie; uściska-

tem go nawzajem, i zaczęliśmy żyć znowu tém życiem wewnętrzném, którem chcielibyśmy żyć wiecznie.

Tymczasem noc stawała się coraz ciemniejszą; gwiazdy które dotąd używały nam swęj wątpliwęj światłości, zgasły powoli jedna po drugiej; mgła ciężka, gęsta, trącająca siarką, zaległa wkoło rozbitków.

Czémże była ta przykro woniejąca gąszcz, w której chybotaliśmy się, śród tylu dolegliwych męczarni?

Ciężyła ona jak płaszcz ołowiany na naszych ramionach zboliałych; zajmowała nam oddech, raziła oczy, jakby słońce najbardziej palące. Słyszeliśmy *prztykanie* około nas tęg gęstęg siatki, po której, zdawało się, że przebiegały w rozmaitym kierunku niedostrzeżone oku, niezliczone iskry elektryczne.

Z tego ognistego, że tak rzekę, pieca, wychodziły różne wyziewy, ale siarka była przemagającą.

Są kolory, których pęzel nie może oddać; są odcienia, których niepodobna jest ściśle oznaczyć: takimi były te jadowite pary, które widzieliśmy pierwcię unoszące się w powietrzu, nie mogąc ściśle oznaczyć, czy one występowały z wód Oceanu, czy zstępowwały z obłoków, i nie pojmwaliśmy, jak promienie słońca zdołają kiedy przebić je lub rozproszyć.

Według mnie, huragan jeden mógłby tego dokazać; huragan, co rye fale, znosi wierzchołki gór, zmiata doliny; huragan, co grzmi, hu- czy, pędzi, przewraca i zabija.

Ale wtedy, cóżby się stało z szczątkiem okrętu, co nas niósł jeszcze, jak niesie trumna ciało umarłego do jego ostatniego schronienia?

Kiedy walcząc przeciw boleści, zmuszałem me oczy wpatrywać się w ten mur elastyczny, w to piekielne więzienie; zdawało mi się, że wstęgi żółtawe i fioletowe przerzynały go w różnych kierunkach, i że dziwaczných kształtów postacie majaczały śród przestrzeni, zgodnęg z ich naturą.

Wszystko to, muszę wyznać, wydziwiało więcęg w moim mózgu, niżeli w rzeczywistości; ale wszystko to było prawdziwém dla ka-

źdego z nas, i mogliśmy wybornie, bez ściągnięcia na siebie podejrzenia szału, uważać się pośród gnomów, wilkołaków i upiorów, któremi wyobraźnia poetów tak hojnie zaludnia państwo cieniów.

Umrzec nie widząc ostatniego promienia słońca, to było dla mnie najboleśniejším. Niebezpieczeństwo twarzą w twarz, w obec słońca, bardzo chętnie! Ale umierać *tak* bez walki; zwyciężonym być przez nieprzyjaciela, nie dającego się ująć!

Jęczałem boleśnie na widok takiej śmierci, i nie przestając trzymać się oburącz życia, czekałem niecierpliwie, nim fala oblewająca nas bezustannie, nie obejmie nas ostatnim uściskiem.

Co chwila, okręt stawał się lżejszym.....

Ci z pomiędzy nas, którzy zachowali jeszcze przytomność umysłu, słyszeli głucho jęczenie, potem ciało spadające wzdłuż pomostu, potem plusk wody, potem nic.....

Morze strzeże dobrze to, co mu powierzono.

— Zdaje mi się że zaraz będzie po mnie, rzekł do mnie Jan-Jan z gorączkowym drżeniem. W głowie mi się kręci, krew krzepnie; lękam się, żebym już nie dosłyszał co Pan będziesz mówić.

— Czy chcesz, żebyśmy razem skończyli? zapytałem go.

— A! jeśli tak, to nie! Gdy słowa twego mogę jeszcze dosłyszeć, chcę żyć, dopóki Bóg nie powie: *Dosyć!*

I uczułem rękę wiernego majtka ściskającą moją z większą mocą.

Tymczasem noc powinna była już przejść nad nami, i zdawało mi się niepodobnym, żeby słońce nie rozrzadziło cokolwiek swemi promieniami otaczającą nas grobową zastonę.....

Przypatrywałem się w około, żeby znaleźć ślad wielkiej gwiazdy, odradzającej wszystko.....

Ciągle też sama ciemność; ciągle też same zaraźliwe wyziewy; ciągle ten sam chaos..... i ciała naszych nieszczęśliwych towarzyszków pograżały się ciągle w otchłań z posępnym odgłosem.

— Czy nie czujesz Pan powiewu wiatru? zapytał mię Jan-Jan głosem ożywionym.

— Zdaje mi się, że czuję równie jak ty, mój przyjacielu.

— A więc dobrze! Skoro wiatr przeniknął ten szaniec ołowiany, dla czegoż jeszcze nie mielibyśmy cieszyć się promieniem słońca? Umrzeć nocą i bez ciebie, byłoby to umrzeć nikiemnym i potępionym. Taka śmierć nie powinna mię spotkać; a jeżeli moje oko zobaczy Pańskie wejrzenie mnie żegnające, zdaje mi się, że umrę bez wielkiej boleści.

— Czyż nie prawda, mój Jan-Janie, że przyjaźń taka jak nasza wynagradza wiele nieszczęść?

— Nadewszystko, jeżeli mamy nadzieję, że ona i w wieczności trwać będzie.

— Mój dzielny przyjacielu, możnaby utworzyć piękną książkę ze wszystkich szlachetnych myśli twojej duszy.

— Być może, ale lękam się, żebyśmy nie doszli już do ostatniej karty téj książki.

— Dla czegoż nie mielibyśmy spodziewać się?

— Jesteśmy w więzieniu, bez powietrza, bez światła, bez widnokręgu.

— Spodziewam się, że słońce wkrótce się ukaże.

— Ale ze słońcem nie zobaczymyż także przybywającego głodu, jak to nam kiedyś powiadał jeden Kapitan, którego Pan znasz.

— Sądziłem, że posiadasz więcej energii.

— Braknie mi jój, kiedy myślę o tobie, Panie, i kiedy słyszę tam niedaleko, dwóch majtków, z których jeden zdaje się żyć kosztem drugiego.

— Jan-Janie, stoczmy się razem w otchłań morską.

— Czekaj!..... czekaj Pan, oto tu na lewo, czy to nie dzień? czy to nie promień? czy nie nadzieja? czy nie wejrzenie Wszecmocnego?

— Prawdę mówisz.

— Nie, ja oszaleję. Jestto statek, okręt trójmasztowy; waha się, ociąga się, spostrzegł nas. Hosanna!

Ostatni zraniony majtek wpadł już był do Oceanu, kiedy w istocie, o kilkadziesiąt sążni od nas, zarysowała się we mgle niepewna postać okrętu. Hymn dziękczynienia wzniósł się od nas ku niebu,

i wkrótce mogliśmy dojrzyć naszego zbawcę wysyłającego jedną z swych łódek, i tę płynącą śpiesznie ku biędnym rozbitkom.

Dniem przedtém było nas jeszcze dwódziestu dwóch; kiedy łódka przyplęnęła, było nas tylko dziewięciu na kadłubie okrętu.

Sir John Davis i Sir Henryk Clarke pożegnali się z życiem. Szukaliśmy ich ciał, były one poszarpane: wiecie że mało jest żywności, zdatnej do jedzenia dla człowieka, w tych stronach podbiegunowych kuli ziemskiej.

Naszym zbawcą był okręt hollenderski, trudniący się połowem wielorybów, który skończywszy swój połów koło brzegów Nowej Zelandji, żeglował ku Przylądkowi Horn.

Kapitan jego, człowiek dobrej duszy i przyjemnej powierzchowności, nie szczędził koło nas najtroskliwszych starań i przyrzekł odwieść nas do Europy, w razie gdybyśmy nie woleli zostać w jednym z portów amerykańskich, gdzie miał zamiar zatrzymać się.

Oświadczyliśmy mu, ile byliśmy wzruszeni jego szlachetnym postępowaniem z nami, i nadzieję naszą, że kiedyś może wolno nam będzie okazać mu za to całą naszą wdzięczność.

— Dziś wam, jutro mnie, odrzekł nam z szczerą otwartością. Morze jest moim żywiołem. Miałem zaledwo lat ośm, kiedy mię zrobiono chłopcem okrętowym; teraz sam okrętem dowodzę. Trzy razy uległem rozbiciu, strzeż Boże od czwartego. Dopiero co takowego uniknąłem; dla wywdzięczenia się za to Opatrzności, chcę się okazać ludzkim i wspaniałomyślnym, nawet z narażeniem własnego życia. Wtém, co zrobiłem dla was dzisiaj, mówił dalej ze wzruszającą dobrocią, niema żadnej zasługi; ratować bliźnich swoich jest powinnością nas wszystkich. Dałby Bóg, żeby ci, których opłakuję, znaleźli tak jak wy pomoc, jakąż zdarzyło mi się wam wyświadczyć.

— Przyjaciół Pan opłakujesz? zapytałem go z zajęciem, a razem lękając się obudzić jego boleść.

— Braci, dwóch braci kochanych, których Ocean mi nie wrócił, pomimo moich poszukiwań. Oto już trzy lata jak ich wszędzie szukam, nie opuszczając mojego zajęcia rybołowa. Niestety! lody, wyspy i fa-

le są milczące; ale nie przestanę dalej się trudzić, i tenże sam grób połączy nas wszystkich trzech.

— Czy oni trudnili się także połowem wielorybów?

— Nie. Najmłodszy opuścił nas chcąc zbadać świat, poznać jego bogactwa i jego nędze. Chciał zostać uczonym, i w tym celu wyruszył pewnego dnia na statku *Krokodyl*, żeglującym do Limy.

— Mów Pan dalej! zawołałem ze wzruszeniem, którego nie mogłem pohamować.

— Wielki Boże! cóż mi Pan masz donieść? rzekł zatapiając swój wzrok w moim.

— Nie, może; ale niebo działa często cuda..... Jeden z Pańskich braci nie nazywał się Pawłem?

— Tak.

— A więc, opłakuj Pan obydwóch: oni już nie żyją.

— Byłem do tego przygotowany, rzekł do mnie po kilku chwilach religijnego skupienia ducha, a jednak ta wiadomość boli mię, jak gdybym niczego nie przewidywał. Ale co się tyczy szczegółów tego strasznego nieszczęścia, nie mógłbyś Pan mi ich udzielić?

— Niestety! rozhicie nasze pochłonęło wszystkie ślady tego smutnego wypadku. Jeden majtek i ja zebraliśmy je przy czcigodnych szczątkach twoich nieszczęśliwych braci..... jakże ich teraz odzyskać?

— Zawrócić okręt! zawołał Kapitan głosem donośnym, i dążyć w stronę rozbitego statku.

We dwie godziny potem z piętnastu majtków, Jan-Jan i ja, byliśmy na kadłubie okrętu i cięliśmy go siekierami.

Książka znaleziona przez mojego dobrego przyjaciela, i puszka blaszana szczelnie zamknięta, były powierzone Kapitanowi i umieszczone w izdebce oficerskiej, do której wkrótce wycieliśmy otwór. Przewiązany w pas mocnym sznurem, Jan-Jan spuścił się przez otwór i szukał tych drogiech pamiątek.

Doznawaliśmy przez kilka minut dręczącej niespokojności, gdyż śmiały majtek nie ukazywał się.....

Nareszcie przecie wyłazi!....

Puszka blaszana u niego pod pachą; składa ją w ręce jednego z majtków i pada omdlały.

— Wiem gdzie jest reszta, rzekł do nas, skoro przyszedł do siebie; muszę ją mieć, będę ją miał.

— Nie, rzekłem, do mnie ten trud należy; ja się teraz spuszczę, wskaż mi tylko miejsce.

W kilka minut potem, ostatnie zwierzenia się dwóch nieszczęśliwych były już w ręku ich brata, który płakał i błogosławił razem.

Lubo pewni byliśmy względem przyszłego postanowienia Kapitana, skoro uwiadomimy go o naszym odkryciu na lodowisku, nie uważaliśmy za rzecz stosowną skrywać to przed nim; i w istocie, natychmiast kazał zwrócić przód okrętu na południe, z mocnym postanowieniem stawić czoło wszelkim niebezpieczeństwom dla odzyskania drogiej szczytki miłych mu osób.

Jan-Jan i ja ofiarowaliśmy się przewodniczyć mu do świętej kaplicy, i łzy szlachetnego brata płynęły obficie na uśmiechające się z wdzięczności usta.

Wysiadłszy na lodowisko, łatwo powinniśmy byli zorjentować się za pomocą kopuł, minaretów i szaniec, których pierwiej poznaliśmy położenie; ale masy pływające zmieniają często miejsce w swoich ciągłych poruszeniach, i *punkt* przez nas nie był może oznaczony z ścisłą dokładnością, tak, że nawet za pomocą książek okrętowych, mogliśmy omylić się, co do naszego uprzedniego stanowiska, o kilka mil.

Jan-Jan zawieszony u wierzchu wielkiego masztu, wskazywał nam drogę ręką pośród pierwszych brył, przez które zaczęliśmy się przedzierać, i wkrótce zrzucił nam swoją czapkę z radośnym wołaniem.

— Znalazłem! wołał, znalazłem, Kapitanie! Widzę moją chałupkę, mój dom, moje szaniec, odkrywam, poznaję.... trochę na lewo, i jesteście tam.... Niech żyje lodowisko!....

Wlałem sam na *bocianie gniazdo* dla zapewnienia się o dokładności postrzeżeń udzielonych przez Jan-Jana. Były one ściśle do-

kładne, i wieczorem, gdy morze było spokojne, przybiliśmy do wiecznych lodów bieguna południowego.

Cała osada, prócz czterech majtków pozostawionych na pokładzie, wystąpiła w paradnym ubraniu, po dwóch rzędem, z kapeluszami w rękę, w milczeniu, z sercem ściśnionem, z modlitwą w duszy.

Jan-Jan, Kapitan i ja byliśmy na czele pochodu, i wkrótce stanęliśmy u stóp schronienia Nieboszczyków.

— Odważnie! rzekłem do Kapitana, ściskając go z uczuciem za rękę, odważnie i z rezygnacją: oni już nie cierpią.

Biędny brat rzewnie płakał. Blade jego usta szeptały pacierze za umarłych; wzrok jego wznosił się ku Niebu z świętą modlitwą, i skoro ujrzał się w obecności dwóch kościotrupów, padł na kolana złorzecząc.

— Oni nie cierpią, powtórzyłem mu jeszcze, złoży dzięki Bogu i błogosław Mu w Jego Wszechmocności; męczennicy są blisko Niego.

Majtkowie, ci nawet, którzy zapomnieli modlić się, z głową pochyloną, wzywali Przedwiecznego. Po chwili, kości święte, pomieszczone w trumnie, niesione były przez Kapitana, Jan-Jana, Porucznika *Krokodyla* i mnie.

Słońce w całym swoim blasku oświecało tę scenę żałobną. Ani jeden obłoczek nie ukazał się na horyzoncie; najmniejszy wietrzyk nie podniósł śniegu zgromadzonego na twardych odłamach lodu.

Bóg jeden był świadkiem naszej boleści: żadna przeszkoda nie wznosiła się pomiędzy Nim a nami, i opuściliśmy lodowisko z tém uczuciem smutku i rezygnacji, które pozostawia nieco miejsca wdzięczności i miłości.

Dalsza podróż była posępną; lękano się jątrzyć boleść Kapitana, który pozostawił kierowanie obrotami okrętu swojemu Porucznikowi, i przepędzał część dnia na kolanach w izdebce, gdzie spoczywały kości jego braci.

Okrążyliśmy przylądek Horn w czasie jednego z tych straszliwych huraganów, których życia stuletnie przechowują pamiętkę.

Słuchajcie:
Zawinęliśmy byli do małej zatoki, leżącej w pobliżu zatoki *Bon-Succès*, gdzie ze wzgórza wysokiego na kilka set łokci spadał wspaniały wodospad.

Jednym razem wiatr ucichł, morze także ucichło, jak gdyby ręka Boga zaczęła ciężyc nad wodami.

Barometr jeszcze milczy. Cóż to się dzieje w około nas? niebo jest ciągle błękitne, gaje nadbrzeżne ciągle wesołe.....

Tymczasem nagle, gorące kłęby dymu wznoszą się od brzegu, pędzone tu i owdzie siłą niewidomą; obłoki okrągławe wałają się z łoskotem na pagórki, rozdierają się o odłamy skał granitowych, powracają nazad, posłuszne popychającej je sile, i ulatują za chwilę znikając na krańcach widnokregu, który ogarniają i zaciemniają.

Ziemia pokrywa się zasłoną; morze nie pluska już falami, jak to zauważaliśmy w przypiływie; wydyma się ono wspaniale, podskakuje, grozi, wznosi się jak góra, napina linę kotwiczną, podnosi okręt, który znowu spada całym swoim ciężarem, i targa żelazną kotwicę w głębi wód.

Wszystko jest smutne, uroczyste w tej groźbie przyrodzenia; wszystko jest przerażające przed nami, około nas. Przygotowania naszego wylądowania są zawieszony; wszysej jesteśmy na pokładzie, z oczyma w ziemię utkwionemi, w ziemię, która powoli znika, bierze na się barwę miedzianą; zresztą nie nam jeszcze nie zapowiada zbliżenia się huraganu.

— Okręt zrywa się z kotwicy!... Pędzimy na skały!... woła stérnik z oczyma wlepionemi w ołowiankę, którą dopiero co wrzucił....—
Ucinaj linę!

Lina ucięta i chaos się rozpoczyna.

Minuta, jedna minuta wahania się, i bylibyśmy zgubieni; jedna chwila opóźnienia, a bylibyśmy strzaskani, zdruzgotani, o te groźące głazy, które nas zewsząd otaczały.

Szczęściem nadzwyczajném, zręcznym obrótem, zdołaliśmy prze-

cie wyjść z przystani zwanój *Bon-Succès*, która omal co nie stała się naszym grobem.

Tu huragan rozwinął swą wściekłość i swe dzieło zniszczenia; tu rozpoczęła się zacięta walka, większa niż kiedykolwiek jaki okręt miał do stoczenia.

Kotwica była straconą w przystani, którą dopiero co opuściliśmy, żadnej nadziei nie było jój odzyskania, i ucieczka przed wichrem od lądu, była dla nas jedynym środkiem ratunku....

Morze burzyło się według zmiennój woli wiatrów, które jakby igrając i w mgnieniu oka przechodziły kolejną wszystkie linje kompasu. Fale wysokie i urwiste jak góry, szybkie i skaczące jak lodozwały, szerokie i głębokie jak przestronne doliny; morze całkiem odmienne od tyłu mórz już przebytych, które wzięwszy okręt z boków, rzucało go jedném ciśnieniem na grzbiet dalekiej fali; potem niezmordowane, chwyciło nas znowu, unosiło i gniotło całym swym ciężarem....

I pośród tych uderzeń, tych gwałtownych spadków, okręt skrzypiał, jakby co chwila miał się otworzyć, liny świst wydawały, piorun grzmiał w powietrzu; ale czyż tylko szum bałwanów, huk piorunów, świst lin, zagłuszały głos i czyniły tę scenę posępniejszą?

Jakże dasz się słyszeć, kiedy każdy, ucepiiony liny, był częściej pod wodą jak nad nią?

Jak usłuchasz rozkazów, kiedy wszelkie wołania były daremne?

Ocean, już to posępny jak ciemności, już jaśniejący jak pożar, nie był nieprzyjacielem, z którym można było próbować stoczyć walkę; było pan, władca, przed którym należało tylko kornie schylić czoło.

Za każdym wybuchem jego gniewu, mniemaliśmy że to już ostatnia oznaka jego groźby, i kiedy, ciśnieni w otchłań, sądziliśmy że już po nas, widzieliśmy wnet zbliżającą się nową falę, która nas porywała jak szmatek piany i ciskała potem o ściany innej fali.

Byliśmy bez władzy, bez woli, czekając nim ostatnie wstrzą-

śnienie nie położy końca naszym udręczeniom, albo nim fala nie pochłonie nas w swém przejściu.

Majtek drapie się na wierzeh masztu; jeden z całej osady śmiał wleźć nań i badać stan widnokregu....

Daje nam znak, że ziemia jest tam, tam przed nami, że ją widzi, i że tam nas czeka rozbicie.

Nasza ostatnia godzina nadeszła.

Każdy z nas stara się zobaczyć, przy świetle błyskawic, czy istotnie ziemia, którą chcieliśmy opłynąć, jest tam dla przyjęcia naszych trupów; zdaje nam się, że ją widzimy, zdaje nam się, że ją poznajemy przy blasku piorunu....

Wszystko się więc skończyło, i śmierć nas porwie z pośrodku huraganu.

Probujemy kierować okrętem, rozwinąć kawał żagla: żagiel wnet porwany na szmaty....

Żegnaj więc życie, co się nam wymyka, gdyż oto linja biała przed nami, ku której bieżemy nie mogąc jej uniknąć....

Wtedy fala ogromna bierze nas z pod spodu i przesadza przez tę przeszkodę bez żadnego nadwężenia....

Jak się to stało? sami nie wiemy.

A jednak wściekłość fali i wiatrów nie uśmierzała się weale; ale okręt, zwyciężywszy już tyle straszliwych wstrząśnień, zdawał się być jeszcze niezmordowanym w walce, i podnosił od czasu do czasu swą dumną głowę.

Według naszych postrzeżeń, ciałnina *Lemaire* musiała już być przebyta, a ponieważ odkrywało się przed nami otwarte morze, niebezpieczeństwo minęło.

Niebo zdawało się być takż zmordowane tylu wściekłemi zapędami, i chmury nie toczyły się już tu i owdzie, popychane dziesięcią przeciwnemi wiatrami.

Niekiedy takż barwa błękitna, miła jak uśmiech, wlewała nadzieję w nasze serca, a regularność chodu mas mglistych, które toczyły się ku krańcom widnokregu i przechodziły po nad naszymi głowami, szybkie jak błyskawica, zapowiadała nam, że ten gniew natury

był już w porządku rzeczy, i że teraz trzeba nam tylko było wytrwałości dla odniesienia nad nim zwycięstwa.

Płynęliśmy, z przyjaznym wiatrem, wzdłuż téj ziemi fantastycznej Patagonów, gdzie żyją ludzie najdorodniejsi, najzuchwalsi, najswobodniejsi w świecie, i pozdrowiwszy ją skinieniem ręki, żeglowaliśmy ku *Rio de la Plata*, téj rzeki burzliwej, bardziej szerokiej, niżeli nasze są dłgie. Przybyliśmy wkrótce do Brazylii, której przepyszny port przyzywa na pamięć wszystko co wyobraźnia malarzy i poetów wymarzyła najpiękniejszego, najczarowniejszego, najponętniejszego. Witaj Rio-Żanejro!

XVI.

SIR WILLIAMS BARKLEY.—LAS DZIEWICZY.

Rany Jan-Jana były tylko zdraśnięciem dla jego silnej budowy, o którą bezskutecznie rozbijały się namiętności i gniewy atmosferyczne. Po naszym przybyciu do Rio-Żanejro, zapomniał już był prawie o odebranych ciosach, o walkach, o głodzie, o nędzy, i bez swiej nieszczęsnej białej fryzury, zaledwo by przypomniawszy sobie, że są lody podbiegunowe i odwieczne lodowiska.

Czuleśmy się pożegnali ze strapionym dowódcą *Kumberlandu*, który stamtąd miał się odprawić do Amszterdamu, i najęliśmy mieszkanie na pięknym placu *Rocio*, naprzeciw wspaniałej szubienicy, o czterech złożonych podporach, gdzie sama tylko szlachta miała prawo być wieszana.... pycha i różnica stanów nawet u progu mogiły!

— Czy ten kraj podoba ci się? zapytałem dzielnego majtka, skorośmy się rozlokowali w naszym mieszkaniu.

— Wszystko mi się podoba, odpowiedział mi podając swą rękę pełną mozołów, wszystko mi się podoba, bylebym tylko był blisko Pana. A jednak, mówił dalej z głębokim westchnieniem, były pewne godziny, w których wolałbym, żebyś Pan poszedł sobie do sta djabłów, niżeli żebyś był obok mnie.

— Kiedyż to było?

— Nie mówmy więcej o tém, proszę Pana; ale miałem wielki apetyt do niego, i Kapitan Sir Henryk Clarke, miał słuszność, kiedy mówił nam jednego razu, że głód jestto szaleństwo.

— Tak, nie wspominajmy więcej tój smutnej przeszłości, mój dzielny chłopcze, myślmv raczej o naszej terażniejszości i naszej przyszłości. Czyż mamy tutaj, biedne niedobitki, rozbić nasze namioty?

— Idźmy uprawiać naszą kapustę tam gdzieśmy się urodzili; kapusta u siebie smaczniejsza niż pasztety u sąsiada..... Odpocznijmy tutaj, zgadzam się na to, gdyż Pan jesteś nieco zwątlony na zdrowiu; ale jak tylko Pańskie policzki wypełnią się znowu, słuchaj Pan mojej rady, dalej w drogę. Nie jesteśmy stworzeni ani jeden ani drugi do lenistwa i snu.

— I ja tak myślę, Jan-Janie; ale lękam się, żeby moja przyjaźń nie była dla ciebie ciężarem, i chciałem poznać twój sposób myślenia, nim cokolwiek nie przedsięwezmę.

— A ja chciałbym wybić Pana za tę krzywdę, którą mi wyrządzasz, choćbym później miał tysiąc razy prosić Pana o przebaczenie.

— Ty jesteś dzielny chłopak, którego kocham po ojeowsku.

— Co do mnie, niewiem jak się kocha ojca lub matkę, to tylko wiem dobrze, że gdyby się przyszło być posiekany m na drobne kawałki dla Pana, byłbym gotów na każdym miejscu, w każdej godzinie, w każdej chwili.

— A więc, my się nie rozstaniemy nigdy.

— Nigdy.

Niektóre umysły powierzchowne śmieją jeszcze utrzymywać, że niemasz prawdziwego i świętego przywiązania, jak tylko pomiędzy ludźmi równego stanu. Ci mniemani filozofowie spotwarzają serce, które jest obywatelem świata, i które posłuszne swym popędom, tak samo nie cofa się przed siermięgą, jak przed jedwabiem lub aksamitem. Przyjaźń nie jest ani rachunkową, ani wyłączną; ona się daje, narzuca, i bardzo często zbrodnia nawet niema mocy stargania jej związków.

Życie upływa tak szybko i tak mile w Brezylji, że każdy się śpieszy nacieszyć niém, i że cudzoziemcy nadewszystko uważają tam spoczynek za utrudzenie. Liczysz tu w ciągu dnia dwanaście godzin doskwierającego upału; ale poranek z swoim wiatrem od morza,

ale wieczór z swoim wiatrem od gór, przelatują z niesłychaną prędkością nad twoją głową; jestto siła, jestto zdrowie, jestto szczęście! Jan-Jan i ja, będąc długo wystawieni na duszące prądy wiatrów między-zwrotnikowych, lubiliśmy teraz odetchnąć swobodniej po doznanych przykrościach, i dla tegoto, długo przed tém nim słońce ukaże swą jaśniejącą tarczę, tam daleko, z drugiej strony Atlantyku, ruszaliśmy piechotą jużto ku małej Tiżudee, ślicznej kaskadzie, wiecznie szumiącej wśród rozkosznej doliny, jużto ku tym organom poetycznym, poważnym góróm, które Niebo wzniosło w głębi przystani jak zaporę dla fal, albo nareszcie wzdłuż tego olbrzymiego wodociągu, zstępującego z *Corcovado*, i niosącego w dani Królewskiemu miastu wodę, której ono potrzebuje w swych długich epokach suszy.

Przybyliśmy jednego poranku na wyniosłą płaszczyznę, na której się wznosi przepyszny klasztor Świętej Teresy, kiedy Jan-Jan po raz pierwszy powiedział mi, że przechadzka jego zmordowała.

— Tak prędko! rzekłem do niego tonem przyjacielsko żartobliwym... A ja myślałem jeszcze wdrapać się na to porośłe drzewami *Corcovado*, zkad widok musi być tak wspaniały.

— Dobrze, my się wdrapiemy nań później, kiedy Panu się tak podoba; ale teraz, powiem Panu otwarcie, pali mię takie pragnienie, że mam chętkę dopuścić się kradzieży, żeby go zaspokoić. —

— Nie rozumiem cię.

— A jednakże to rzecz bardzo prosta.

— Wytłómacz się jaśniej.

— Niech i tak będzie. Oto jesteśmy na przesłicznej murawie, większej niżeli łożko wiszące na okręcie; za nami płót z granatów, nie wyższy jak po pas; za nim, jak oko zajrzeć może, plantacja pomarańcz; owoce spadają na ziemię, że aż slinka ciecze: cóż złego zrobiłbym właścicielowi, gdybym połknął niektóre z nich, te mianowicie, które małe ptaszęta dziobają tak żarłocznie? Mam chętkę wydrzeć im jakie kilka tuzinów secin.

Słuchałem w połowie tylko słów Jan-Jana, który zapewne zaniechałby nagannego czynu, o którym mi mówił, w razie gdybym mu

pozwoił go dokonać. Chwyciłem za moje ołówki dla skręślenia czarownego obrazu, rozwijającego się przed naszymi oczyma, kiedy w tém bilet jakiś upadł u nóg moich.

— Co to jest? rzekł Jan-Jan, skorszy odemnie w schwyceniu tego papieru. Któs pisze do mnie, do mnie, który czytać nie umiem.

— Może to do mnie, mój chłopaku.

— Jesteś Pan bardzo zarozumiałym. Myślisz Pan, że moja grzywa biała wszystkich odemnie odstrasza? Róże białe nie są bez zalet, i one woń roznoszą tak jak i inne. To do mnie, nieinaczej, pisano.

— Czytaj więc.

— Nié mam przy sobie okularów; czytaj Pan.

— Wziąłem bilet i czytałem:

«Jan-Janie, mój przyjacielu! Pozwalam ci wejść do tego ogrodu, który ci się tak podobał, i jeść w nim dzisiaj, jutro, pojutrze, i zawsze, najlepsze pomarańcze i najpiękniejsze ananasy, jakie się w nim znajdują. Nadto, pozwalam ci ofiarować z nich niektóre osobie, co ci towarzyszy.»

— Oto!! patrz Pan, rzekł Jan-Jan osłupiały, i to jest tutaj, na tym papierze?

— A jest.

— To pewno jaka tutejsza księżniczka, której zawróciłem głowę. Ale czyż to ona wyobraża sobie, że Pan mi towarzyszysz, a nie ja Panu usługuję? A to, dalibóg, komedja!

— W każdym razie, rzekłem powstając, zasługuje ona, żeby ją w téj mierze objaśnić; przeskoczmy ten płót.

— Co Pan rozkaże? rzekła do mnie stara Murzynka, która podniosła się jak upiór z po za krzaków granatowych.

— Otóż moja księżniczka! zawołał Jan-Jan, cofając się o trzy kroki w tył. Wyobrażałem ją sobie blondynką; co za sprzeczność z mojami włosami mączastemi!....

— Czy to ty pisałaś? zapytałem murzynki.....

— Nie, Panie, ja nie umiem.

— I ja nie więcéj od ciebie umiem, rzekł Jan-Jan głosem cienkim.

— Któż więc pisał ten list? zapytałem znowu.

— Moja Pani, bardzo dobra, bardzo ładna, która bardzo kocha tę głowę upudrowaną.

— Pozostaw ją Pan w tém mniemaniu, że to puder, rzekł do mnie po cichu majtek, to jój zamydli oczy.

— A gdzież twoja Pani?

— W mieście.

— Zmyślasz! zawołał Jan-Jan. Widzę tam zdala błękitną suknię, migającą wśród drzew; to ona, bezwątpienia. Dalejże, Panie Arago! rozwińmy żagle! przyspieszmy biegu! gońmy korwetę, i poj-majmy ją!

W mgnieniu oka byliśmy w ogrodzie, i mieliśmy już dognać suknię błękitną, przemykającą się ciągle pośród plantacji, kiedy jednym razem spotkaliśmy się oko w oko z mężczyzną, mającym może lat czterdzieści, z twarzą pełną i otwartą, odzianym w surdut płócienny bardzo czysty, powierzchowności poważnej i spokojnej, który rzekł do nas, zdejmując swój wielki kapelusz Manilski:

— Witam Panów, i proszę żebyście uważali te ogrody jak swoje własne.

— To mi się podoba, rzekł żywo Jan-Jan, zrywając piękną pomarańczę, będącą mu na doręczu.

— Komuż obowiązani jesteśmy za tę tak uprzejmą grzeczność? zapytałem nieznanego.

— Sir Williams'owi Barkler, plantatorowi irlandzkiemu, naturalizowanemu w Brezylji od lat dziesięciu.

— W takim razie, odrzekł Jan-Jan, pozwolisz mi, Panie *Baklé* czy *Buklé*, zjeść drugą pomarańczę, która, życzę sobie, żeby była tak słodką jak pierwsza.

— Ile chcesz, mój przyjacielu.

— Dziękuję, mój kochany przyjacielu.

— Nie będę korzystał dłużej z Pańskiego błędu, rzekłem do Sir Williams'a; my się z sobą nieznamy, i Pańskie grzeczności są zapewne przeznaczone dla kogo innego.

— Nie dla kogo innego jak dla ciebie, Panie Arago, i nie dla kogo innego jak dla Jan-Jana, wiernego towarzysza Pańskich podróży i niebezpieczeństw.

— Jeśli tak, rzece majtek, muszę zakosztować trzecięj, to się rozptywa w gębie. Gdyby Pulu-Sukijczykowie mieli podobne, nie kładliby tyle ludzi na rożen.

— Powiedz mi Pan słowo zagadki? zapytałem plantatora¹, który mię wziął po przyjacielsku pod rękę, i prowadził do ślicznego mieszkania, wyglądającego z głębi alei.

— Zaraz się Pan dowie.

— Idźmy prędkiej, proszę Pana. Niepewność, niezaspokojona ciekawość wymagają ruchu, a spodziewam się, że u Pana moja niecierpliwność będzie zaspokojoną.

— Zależy to od wartości, jaką przywiążę do słów Pańskich.]

Krew burzyła się w moich żyłach.

— Uspokój się, rzekł do mnie Williams tonem obojętnym; prowadźmy dalej naszą pogadankę. Dawno już Pan tak przebiegasz świat? mówił dalej mój niezém nieporuszony gospodarz.

— Od trzech lat.

— Te wędrowki i te niebezpieczeństwa nie mordują Pana?

— Można się przyzwyczaić do wszelkich boleści.

— Nawet do boleści moralnych?

— Nawet do nich.

— Czegoż Pan żałujesz najwięcej z tylu podróży? Czy Bavastra, czy Teneryfę i jej Wulkan, lwa Afrykańskiego, tygrysa Bengalskiego, trąb morskich, ludożerców Pulu-Suku, Karolińczyków, Marjańczyków, czy też lodów podbiegunowych? Powiedz Pan; widzisz, że sięgałem go we wszystkich jego wędrowkach.

— Żałuję jednej tylko rzeczy w świecie, po mojej rodzinie i moim kraju.... Oto kobiety, kobiety, którą straciłem w biegu jej życia pełnego boleści, jakie jej niebo przeznaczyło, młodego dziewczęcia z sercem szlachetnym, poświęcającem się, z duszą anielską, ze spojrzeniem niebieskiem, ze słowem pociechy; naturę uprzywilejowaną, istotę

sfer wyższych, którą kocham więcej jak siostrę, która mię kochała, sędzę, jak swojego brata.

— To Julja, rzekł do mnie obojętnie Sir Williams.

— Czy Pan ją znasz?

— To moja żona. Przechadzaliśmy się z nią, tydzień temu, na przeciw Królewskiego pałacu, blisko przystani. Spostrzegła ona Pana, obok jego dzielnego majtka; zbladła, i chciała zaraz iść uściskać mu rękę. Zatrzymała się potem, rozkazawszy dwom niewolnikom, którzy szli za nami, żeby nie tracili Pana z oczu. Mówiła mi o Panu, jako o przyjacielu, którego się z radością ogląda, gdyż obecność i przyszłość was obojga, pozostają w zupełnym bezpieczeństwie pod opieką przeszłości.

Byłem jakby odurzony słowami, którem dopiero co usłyszał. Panna Julja była szczęśliwą bezwątpienia; znajdowałem ją daleką od niebezpieczeństw, które zagrażały życiu młodej dziewczyny; a jednak myśl, której goryczy nie pojmo wałem, ciążyła na moim sercu, i zdawała się mu wyrzucać szczęście, pochodzące od kogo innego. Cóż smutnego i nieokreślonego zasępiało moje czoło pobladłe. Nie opierałem się już na ramieniu Sir Williams'a z tą czystą radością jak przedtém, i znajdowałem w jego grzecznościach coś szyderczego, co mię okrutnie męczyło. Dołożyłem jednak wszelkich starań, żeby ukryć te wzruszenia przed moim gospodarzem, i starałem się wywołać na moje usta uśmiech, który od niego zależało przetrómaczyć na korzyść swéj miłości i swojej próżności.

— A teraz, gdy wiész Pan kto jestem, jak myślisz postąpić? zapytał mię plantator, szukając w moim wzroku odpowiedzi, której czekał także z ust moich.

— Teraz, odpowiedziałem mu, prowadź mię Pan do swojej żony, której pamięć dla mnie jest tak drogą, której szczęście dla mnie tak pożądane.

W pięć minut potem, pani Barkler i ja uściskaliśmy się wzajemnie, jak dwaj przyjaciele, którzy oplakiwali śmierć swoją od dawna. Zachowywaliśmy z początku głębokie milczenie..... Było to badanie naszych serc, od których domagaliśmy się ścisłego rachunku z na-

szych wzruszeń, i pojęliśmy, że mój pobyt w tém rozkoszném mieszkaniu może się przedłużyć bez najmniejszego niebezpieczeństwa.

Przyjaźń najgorętsza i najświętsza była odtąd jedynym węzłem łączącym duszę pani Barkler z moją; spojrzenia nasze spotykały się ze spojrzeniami szczęśliwego małżonka, i z tajemnym wzruszeniem nie spuszczały się ku ziemi. Odtąd mogłem uważać ten dom jak mój własny, podczas mojego pobytu w Rio.

— A matka Pani? rzekłem do Julji.

— Dziękuję, o! dziękuję Panu, że to jest jego pierwszą myślą. Dziękuję, panie Arago, za tę nową radość. Moja matka, mój mąż, pan, oto moje życie. Czekam téj kochanej matki na jednym z pierwszych okrętów, mających przybyć z Anglii.

Powierzchność Julji miała wyraz niebiański. Żywość jój spojrzenia była miarkowaną przez poczucie przyzwoitości towarzyskiej wyższego tonu, a słowa jój, niegdyś tak urywkowe, były nacechowane jakimś oddźwiękiem mile brzmiącym i metalicznym, którego słuchałeś długo potem, jak on przestał drgać w powietrzu. Julja nie była już Juljuszem, a jednak coś męskiego i śmiałego malowało się w jój rysach zupełnej regularności; palce jój wolne teraz od grubej roboty okrętowej, delikatnie się zaokrąglały, zakończone paznogciami różowej białości; ramiona jój zaokrąglone, zgrabnie otoczone były muslinową suknią, przez którą przeświecał się atłas stanika z gustem wykrojonego; nóżek zaś jój zaledwo dojrzeć można było w ślicznych pantofelkach, złotem haftowanych, pod któremi ledwie uginała się wiecznie zieleniejąca murawa przepysznej plantacji Sir Williams'a.

— Skończyliście swoje badania, rzekł do nas ten ostatni powstając; idźmy na śniadanie. Jesteś Pan jak u siebie, zaczynaj więc robić honory domu.

— A Jan - Jan, zapytała pani Barkler, czy razem z nami nie będzie?

— Jan-Jan poje wszystkie jój pomarańcze, odpowiedziałem z uśmiechem.

— Już one zjedzone, zawołał majtek wchodząc; licząc po dwa grosze tuzin tuzinów, winienem Panu dziesięć złotych, które zapłacę kiedy zechcesz.....

Potém, rzucając spojrzenie na panią Barkler, która stanęła przed nim:

— Do milion kroćset! Cóż to ja widzę? Tfu! Czy mi się w oczach zaćmiło? czy oszalałem? czy pijany jestem do licha!.... Tu, przed memi oczyma, Pan Julja, nie, myślę się, Pani Juljusz, nie, nie myślę się, to on, to ona, jedna we dwojgu, dwoje w jednej..... Ależ plotę trzy po trzy, gonię w piętke, to nic nie znaczy, jestem szczęśliwy!

— Uspokój się, mój dobry towarzyszu, rzekła do niego pani Barkler, biorąc swoją białutką rączką jego wielką pomarszczoną łapę.

— Żebym się uspokoił! zawołał majtek uderzając się w czoło, ja żebym się uspokoił, kiedy ty, Pani, jesteś tutaj, kiedy cię widzę, kiedy mówię do ciebie, kiedy mi odpowiadasz, kiedy się stroisz w suknię jedwabną w miejscu grubego płócienka; żebym się uspokoił, kiedy P. Arago cię znajduje, który tak płakał po rozstaniu się z nią; żebym się uspokoił, kiedy oto tamten ogromny Pan pozwala mi, żebym się opchał pomarańczami, od których wydałem się jak beczka!.... Dalej więc, chcę skakać, tańczyć, dawać susy, chcę śmiać się, płakać do woli, i powiedzieć wam wszystkim, że was kocham, że szaleję za wami, za pomarańczami, za ananasami, i że aniołowie nie są moi krewni.

Ten potok słów naszego wybornego przyjaciela wstrzymał się przecie na widok stołu zastawionego w poblizkiej sali, gdzie pani Barkler sama go zaprowadziła, jakby narzeczonego. Jan-Jan zrobił wielkie oczy, jak otwory armatnie w okręcie, na widok bogactw, rozstawionych przed nim..... Wspaniałe kryształły, szklanki wytwornej roboty, porcelany wysokiej wartości, tu i owdzie bukiety kwiatów, i liczni niewolnicy za nami dla postugi.

Lękałem się z początku, żeby mojemu towarzyszowi nie przewróciło się w głowie; usiadł on na samym końcu krzesła kłaniając się nisko murzynom.

— Nie rad jestem trochę z tego, żem się objadł owoców, rzekł do mnie po cichu; ale to nie nie szkodzi, staję się elastycznym, nie nie widzę jeszcze na tym stole, czegobym mógł odmówić.

We dwie godziny potem, rozciągnięty na sofie jedwabnej, Jan-Jan chrapał w najlepsze i marzył może o matce, ojeżyźnie, rodzinie. Pozostawmy go w jego spoczynku.

Zaiste, istnienie tego rodzaju, podzielone między godzinami spoczynku i słodkimi zwierzeniami świętej przyjaźni, mogłyby na zawsze zatrzymać w Brazylii człowieka, dla którego życie jest nieczynnością i spokojem; ale Jan-Jan i ja pojmovaliśmy inaczej nasz przemijający pobyt na tym świecie, i wkrótce daliśmy poznać Sir Williams'owi Barkler, że bawienie nasze w jego domu ostudzało zbyt prędko krew w naszych żyłach.

Czémże jest widnokrąg mil kilku dla człowieka nauki i działalności? Czémże jest państwo prawie puste dla tego, który chciałby je poznać wszystkie? Była to moja myśl wewnętrzna, i Jan-Jan podzielał ją, nie śmiejąc zdać sobie z niej sprawy.— Nie prawdaż, że ten kraj jest piękny? rzekłem do niego pewnego wieczora, kiedy odychaliśmy łagodnym powiewem wiatru pod rozłożystym drzewem pomarańczowém.—Bardzo piękny, panie, odpowiedział mi z głębokiém westchnieniem.— Te wody, jak one są przezroczyste!—Bardzo.— A niebo, jak czyste!—Nazbyt już czyste.— A te owoce, jak są smaczne!—Aż nazbyt smaczne; a jeżeli mam prawdę powiedzieć, powiem Panu otwarcie, że te wszystkie piękne i dobre rzeczy spowszedniały i sprzykrzyły mi się. Nie czuję już siły w ręku, i gdybyś Pan wpadł w wodę, niewiem jakbym sobie poradził, żeby Pana z niej wyciągnąć. Energja i poświęcenie się opuszczają mię.

— Sądziś więc, że potrzebaby nam było trochę gwałtownego ruchu?

— Nawet koniecznie nam tego potrzeba, i jeśli mię Pan chcesz posłuchać, należy nam zdjąć się z kotwicy, i wypłynąć znowu na otwarte morze.

— Wysmienicie, moje dziecko. Oto co się nazywa mówić, co się nazywa myśleć.

— O! ja znam Pana; ja domyślam się także, czego Panu potrzeba: niech to będzie między nami; jednak Panu trudno stąd się oddalić, i nie powiesz: ruszajmy! gdybym się Pana o to zapytał.

— O co chcesz się zapytać Pana Arago? rzekła do niego Pani Barkler, która na palcach zbliżyła się i podstuchiwała naszą rozmowę.

— Daruj mi, Pani, odpowiedział jój Jan-Jan bez zamitrżenia się; ale, mimo winnego dla niej uszanowania, nie powiem jój tego. Są rzeczy, o których lepiej jest niewiedzieć; a kiedy się o nich wie od nóg do głowy, rzadko się zdarza, żeby można było zamknąć oczy, uszy i serce.

Zaczerwieniłem się cały, pani Barkler pobladła, Jan-Jan umknął, jak gdyby popełnił zły uczynek, nie mówiąc do nas ani słowa. Pani Barkler i ja wzięliśmy się pod ręce, i poszliśmy do Sir Williams'a, leżącego niedaleko na murawie.

— Przyprowadzam ci ptaszka bardzo niestałego, rzekła Julja tonem dość wesołym; oto Pan Arago myśli o odjeździe, i żałuje już tych piętnastu, czy dwudziestu dni, które przepędził z przyjaciółmi.

— Nie próbowałeś go zatrzymać? zapytał plantator tonem uprzejmym.

— Nie; liczę na twoje usiłowania, żeby zwyciężyć jego upór.

— Wasza przyjaźń jest mi drogą, rzekłem z mojej strony; ale mam także ojczyznę i rodzinę, które chciałbym zobaczyć, a czuję, że pamięć o nich nadwątła się na tej ziemi Brezyljskiej, hojnej dla człowieka aż do zbytku.

— Pan przecież niczego nie widziałeś, odpowiedział mi Sir Williams, ożywiając się stopniami. Co szczególniej poznać tu należy, to pustynie, gdzie żyją dzicy nieposkromieni, nieprzyjaciele wszelkiej cywilizacji: co, potrzeba widzieć, to te niezmierne lasy dziewicze, które zdaje się znużyły rękę Stwórcy..... Nie nie widział w Brezylji, kto

przebiegł tylko jęj stolicę, jęj *Corcovado* i jęj przystań, jakkolwiek one są bogate.

— Dobrze więc! Nim was opuszczę, zobaczę te wspaniałe piękności kraju odkrytego przez Alvares'a Cabral'a, i zbogacę się skarżami, o których Pan mi mówisz z takim entuzjazmem.

Pani Barkler nic nie odpowiedziała; Julja uśmiechnęła się na moje żądania.

— Gdzież znajdę te pustynie i te lasy? zapytałem Sir Williams'a.

— O dwie mile stąd, mój panie, i jeśli Pan chcesz wyruszyć tego wieczora, jutro możesz być u jednego z moich przyjaciół, którego dom będzie dla Pana piérwszém miejscem odpoczynku.

— Za godzinę mogę wyruszyć w drogę.

— A ja pójdę poczynić rozporządzenia potrzebne do Pańskiego wyjazdu.

Obiad był smutny, chociaż każdy z nas dokładał wszelkich starań, żeby go rozweselić. Rozłączyliśmy się milczący, zamyśleni, jak gdyby pod wpływem jakiej złowrogięj myśli. Twarz tylko Sir Williams'a zdawała się mi być więcej wypogodzoną niż zwykle, wtedy nadewszystko, kiedy sądził, że jest wolnym od mych śledzących spojrzeń. Co do Julji, powiedziała mi *do zobaczenia* głosem tak cichym, że raczej serce moje niżeli ucho dosłyszało to miłe słowo..... Jestże więc szczęście, co ciąży tyle sercu ile cierpienie?

Słońce nie położyło jeszcze szczytów *Corcovado*, kiedy murzyn przyszedł powiedzieć mi, że mulice, wyborne stępaki, i dobrze zaopatrzone czekały na mnie u bramy domu.— A pani Barkler? zapytałem niewolnika. — Pani wyszła na przechadzkę z swoim mężem; oboje nie powrócą przez dzień cały, odpowiedział mi Zinga. — Czy nie jesteś w błędzie?— Ja nie; ale ja Pana w błąd wprowadzam.— A to dla czego? — Pani moja tak kazała. — Rozumiem, ruszajmy!

Pojałem, że pani Barkler chciała uniknąć dla nas obojga przykrych wrażeń tych pół-pożegnań, które więcej niżeli długo trwać mające rozstania, zakrwawiają serce, i cieszyłem się z rozkazu, jaki wy-

data..... Jan-Jan był już gotów. Wsiedliśmy na nasze bydłeta i udaliśmy się drogą, wewnątrz kraju prowadzącą, wąską, krętą i niezmiernie źle utrzymaną. Czterech murzynów służyło nam za eskortę. Zachęcaliśmy ich, żeby śpiewali swe pieśni narodowe; zgodzili się na to z ochotą, i nie zdołam ci wypisać tysiąca conceptów, które mój majtek rzucał im w oczy, będąc jak zawsze w humorze wesołym i uszczypliwym.

Od czasu do czasu, Jan-Jan przerywał zwrotki murzynów swojemi własnemi, które słyszał i wyuczył się ich na pokładzie okrętowym, gdzie wiiesz, że mówią językiem oddzielnym, gdzie mają osobną muzykę szarpiącą uszy, jak gdyby twardemi kleszczami.

— Zdaje mi się, że nie bardzo ich bawię, powiedział zbliżając się do mnie; ale dbam o to, jak o nie pajęczyny.

— To ja ci rozkazuję, żebyś milczał, gdyż to jest dla mnie pole nauki. Upewniam cię, że jest coś zawsze do nauczenia się zgłębiając życie tych ludzi, których tak okrutnie wyrwaliśmy z ich pustyń. Przeto mój Jan-Janie, zamilknij, bądź roztroptym, albo cię złajam porządnie.

— No, to rzecz skończona. Jestem odtąd niemy jak ryba, i chcę, za pańskim przykładem, zgłębiać tych zuchów, którzy nie wyglądają jednak na ludzi, coby wiele umieli.

Przytaczam tu w tłómaczeniu śpiew wojenny murzynów z Angoli; ale czego nie podobna przetłómaczyć, to pantominy prawdziwie szatańskiej, prawdziwie piekielnej, od której Jan-Jan i ja nie mogliśmy oderwać oczu. Pęzel i pióro, proza i poezja są niezdolne wydać podobne obrazy:

ŚPIEW WOJENNY.

Gdy biały wstąpi na czarnych ziemię,
To nieszczęść na nią zwała się brzemię,
Gdy biały wstąpi na czarnych ziemię.
 Płacze ojciec biędnych dziątek,
 I lzy płyną biędnych matek,
Gdy biały wstąpi na czarnych ziemię.

Gdy czarny żyje w białych krainie,
Wtedy potokiem krew jego płynie,
Gdy czarny żyje w białych krainie.

Każde uderzenie kija,
Żebro mu wybija,

Gdy czarny żyje w białych krainie.

Jeśli ja będę silniejszy kiedy,
Ach! to z białego trup będzie wtedy,
Jeśli ja będę silniejszy kiedy.

Och! bo złego nienawidzę!
Pić krew z niego się nie brzydzę,
I z boleści jego szydę,
Och! bo złego nienawidzę.

O bożku Tikuh, dodaj mi sił!
A żaden biały nie będzie żył!
O bożku Tikuh, dodaj mi sił!

Lubię ja gromy,
Gdy palą domy
 Białych;
I ich zdrętwiałych
 Strupiałych.

O moja żono,
Rzuć się na łono
 Białego,
I z rozdartego

Wypij krew jego.

Bo nad krew niemasz napoju ego
 Z białego!

O moja maczugo,
Czekałaś nań długo.
Dziś w mém ręku biały.

Niechaj płacze, czy przeklina,
Wybiła dlań godzinę,
Jam cały zgłodniały.

Bambolo, córko, nie kryj twarzy,
Patrz jak się to ciało żarzy
Na węglach rozpalonych,
Jak dobrze bracia zrobili,
Że swe zęby wyostrzyli
Na kamykach gładzonych.

Gdy biały wstąpi na czarnych ziemię,
To nieszczęść na nią zwala się brzemię,
Gdy biały wstąpi na czarnych ziemię.

Gdybyś widział fizjonomje śpiewaków, wrzeszczących całym gardłem słowa téj okropnej piosenki, sądziłbyś że jesteś obecnym przy jednej z tych straszliwych scen rzezi, których ci podałem błądy tylko obraz w Pulu-Suku.

Było coś szatańskiego i złowrogiego w spojrzeniach tych ludzi, przedtém tak cichych i tak pokornych. Ruch gorączkowy, konwulsyjny, wstrząsał ich nerwami; około ich ust zsiniałych zbierała się pęcherzykami zielonawa ślina, a pot jadowity toczył się strumieniem po wszystkich ich członkach strupieszających i cuchnących.

Ale dla czegoż plantator, do którego oni należeli, dozwalał im tych pamiątek mordy i żalu? Chciałem się o tém dowiedzieć, i obracając się do najwyższego z pomiędzy nich:

— Czy ci to robi wielką przyjemność, rzekłem, przypominać boleśń swoich braci?

— Tak, panie, odpowiedział mi przyklękając na znak niewoli. Ja śpiewam o śmierci, gdyż, dzięki mojemu panu, lubię życie; ja śpiewam o pletni, gdyż pan mój nie używa jęj nigdy. Gdyby pan mój używał jęj, jabym nie śpiewał, albobym śpiewał w sobie, potém zabiłbym mojego pana, gdybym był silniejszym.— Zkąd ty jesteś? — Z Angoli.— Czy drogo przedany jesteś?— O! tak, bardzo drogo, za koszulę błękitną i sześć butelek wódki.— Kto ciebie sprzedał? — Ja sam siebie sprzedałem, gdyż moja siostra przedana była pierwięj. — Ty kochałeś ją bardzo? — Jak kwiat kocha wodę; jak hjena kocha trupa....; więcj jeszcze: była to moja żona. — Gdzież ona teraz?—

Jój ciało tutaj, tu blisko; pod liśćmi bananu..... Jój duch tam wysoko, po nad obłokami, skąd widzi mię, skąd słyszy mię;.... i ja mówię do niego, jak gdyby był tu, blisko, obok mnie..... Patrz, oto on!.... oto on!.... oto on!....

Tajari rzucił się na ziemię, i nie mogę ci wyrazić wszystkiego, co było pobożnego i ekstazyjnego w nieruchomém skupieniu w sobie tego człowieka, który miał jedno tylko szaleństwo w głowie, a raczej w sercu: miłość świętą i niezemską.

Towarzysze jego stali nad nim z oczyma spuszczonemi; mieli i oni jakiś udział w tym dramacie wewnętrznym, którego byłem świadkiem; ale nie mogłem długo bawić, chwile moje były wyliczone, dałem rozkaz do pochodu, i ruszyliśmy w dalszą podróż.

Zatrzymaliśmy się w południe, pośród bogatej plantacji bananów, należącej do przyjaciela P. Barkler, a skoro słońce przedłużyło cień drzew, ruszyliśmy znowu w drogę przez żyzne pola, których przepych napróżno kusiłyby się oddać pędzel malarza, lub wyobraźnia poety. Około piérwszej z północy przybyliśmy do ślicznego mieszkania, o którym mi powiadał P. Barkler, ale woleliśmy nocować pod otwartém niebem, niżeli budzić niewolników lub pana, i wyznaję, że miałem potrzebę odetchnąć po doznaném uniesieniu i uwielbieniu, żeby być w stanie skreślić niektóre ze wzruszeń mojej duszy.

Wyobraź sobie niebo błękitne i przezroczyste, iskrzące się blaskiem tych milionów szafirów, szmaragdów i rubinów, które ręka Wszchemoena Stwórcy rozsiała w tej niezmierniej przestrzeni, milczenie harmonijne i poetyczne, przerywane tylko kiedy niekiedy miłośnym szczebiotaniem tych drobniutkich ptaszek, wieszających się jak djamenty po bogatych warkoczach drzew, zapach upajający, przynoszony świeżym powiewem wiatru, który pędzi i powraca i wzdycha pośród bukietów kwiatów i drzew, rozsianych po ziemi. Wszędzie życie i siła, wszędzie młodość, wszędzie zbytek..... Nad twoją głową, kolosy odwieczne, drzewa stuletnie; u stóp twoich, djamenty, opale, latające tu i owdzie, owady mikroskopiczne, światełka nie rażące oczu, ale je rozweselające i orzeźwiająjące.... i strumień sączący się, i liść spadający, i szmér korony kwiatowej, co się otwiera, przy po-

całunku księżycy i gwiazdy *Canopus*. Noc brezylijska, zdaleka od świata, zdaleka od ludzkich mieszkań, u stóp dziewiczego lasu, to tak wspaniała jak burza, tak uroczysta jak cisza zupełna na Oceanie Spokojnym: to cię uczy religji.

Byliśmy przyjęci z serdecznością nieznaną w naszych miastach Europejskich; i kiedy P. Manoel dowiedział się o pobudkach naszej wycieczki:

— Jesteś Pan zbyt śmiały, rzekł do mnie, wdając się w przedsięwzięcie tak niebezpieczne.

— Bez niebezpieczeństwa niemasz zastugi.

— Dla czegoż Pan chcesz podróżować śród chaosu?

— Żeby go poznać.

— Patrz Pan, mówił dalej, prowadząc mię do okna i ukazując palcem masę zieloności, ginącą w dali.... To się nazywa lasem dziewiczym, to nieprzeniknione dla człowieka; zrobisz kilka kroków w tej gęstwinie, potem musisz powracać nazad zniechęcony, poraniony, poszarpany.

— Moja budowa mocna, ciało mojego majtka nieprzystępne cierniom, i niemasz zwyczaju patrzeć po za siebie, kiedy raz puściłem się w drogę.

— Do zobaczenia więc, mój panie.

— Do zobaczenia, Senjorze Manoelu.

Zaledwośmy kilka kroków zrobili w tym gęstym i ruchomym murze, poznaliśmy wnet naszą nieroztropność; lecz jestem z liczby tych, którzy nie umieją cofać się przed rozpoczęciem przedsięwzięciem, i Jan-Jan nie był takóž człowiekiem, coby miał mię namawiać do powrotu.

Z rękoma w rękawiczkach, z twarzą w pół osłonioną szerokim kapeluszem ze słomy przywiązanym pod brodą, torowaliśmy sobie z początku drogę pośród krzewów średniej wielkości, i mój majtek, którego wyprzedziłem, mógł słyszeć moje bolesne krzyki z powodu zadraśnień od pewnych lijan kolących, które mi szarpały nogi i ramiona.

— Czy to Panu także podoba się? zapytał mię Jan-Jan, tonem niby małodobającym, żeby się mi przypodobać.

— A dosyć, odpowiedziałem mu. Wprawdzie tu gęstwina wielka, ale niepodobna, żeby cały las był równie gęsty.

— Mówiono Panu przeciwnie.

— No i cóż! Czy nie mamy naszych siekierek?

— Ale jakże tu ciąć, kiedy niéma miejsca do zamachnienia się ręką?

— Sądziłem, że masz więcéj odwagi!

— O! gdyby te drzewa były skałami, te liście suche falami, te wązkie przejścia ciałninami, posuwałbym się tu z rozwiniętymi żaglami; gdyby było tylko choć trochę światła, a tu noc poczyna się, choć zaledwo jeszcze ósma godzina ranna. Zapadam niekiedy po kolana w te szczątki, jak gdyby w szlam gęsty i lgnący, i w chwili, kiedy do Pana mówię, moje ramiona tylko są na powietrzu.

— Odważnie, przyjacielu, staniemy na miejscu.

— Gdzie?

— Niebu to wiadomo.

— Tu niéma nawet nieba, tu tylko liście, pnie, gałęzie i korzenie.... Cicho, panie, jest coś jeszcze.

— Cóż takiego?

— Nie słyszysz Pan szméru, jak gdyby fali szumiącój od pędu wichru?

— A tak, słyszę. To zapewne boa co się przechadza: wleźmy na drzewa! Mam tu pod ręką ljanę, która się wspina na sam wierzchołek drzew.

— A ja, mam tu ich pięć czy sześć, które mi służą za chustkę na szyję, to gorzej jak liny korwety; rzekłbyś, że to są nogi ogromnego pajaka, pokrytego włosem i jadem. Czy Pan włazisz?

— Włazę.

— Ja jestem już na drzewie; wolę być w tém położeniu, niżeli doznawać pieszcot tych boa nieszczęśnych; ale czyż mi niepowiadano, że one łążą niekiedy i po drzewach?

— Ich zwykłym pobytem ziemia ; zresztą, zdarzają się wyjątki.

— Otóż, panie, bięda z temi wyjątkami..... Ale ja nie słyszę już Pana; gdzie Pan jesteś?

— Tu.

— Tu, niczego mię nie uczy; mam przed sobą liście, z których jeden mógłby zakryć dom cały.

— Jestto banan dziki.

— Wszystko jest dzikie w tym kraju, i powiadam Panu, że my dzikszymi jeszcze jesteśmy niżeli wszystko, co nas otacza.

— Czy mógłbyś tam zasnąć?

— A mógłbym, siedzę okrakiem na grubój jak reja gałęzi.

— I ja podobnież.

— Pięknie Pan musisz wyglądać. Och ! żeby to Julja Pana widziała ! Mój surdut i majtki zupełnie poszarpane.

— I moje już rozbrat ze mną robią.

— Och ! żeby nas Julja widziała, co toby za miny stroiła !— Ale, panie, żebym to ja umiał przeklinać, toby się dopiero las ten rozlegał takimi przekleństwami, jak kiedy Bavastro kazał palić ze wszystkich swych armat.

Głos donośny Jan-Jana zaledwo niewyraźnie do moich uszu dochodził, chociaż nie byliśmy więcej jak o dwadzieścia kroków jeden od drugiego. Unosiliśmy się nad ziemią; u nóg naszych, nad naszymi głowami, w około nas, gałęzie proste, pokręcone, suche, lipkie, idące prostopadle jak pień bambusu zalotnego, albo równoległe, jak kładka rzucona dla przejścia rzeki. Tu liście kwadratowe, koleczaste, ciemnej czerwoności; tam, listeczki podługowate, jasno zielone, zwisłe jak gałęzie brzozy płaczącój. Tam dalej ostrokończaste, okrągłe, ząbkowate; tam znowu inne, tysiącznych odmiennych odcieni, gładkie jak zwierciadło, popielate, czerwone, jakby aksamitne.... Do jakich roślin one należą?... Nie podobna wiedzieć. Wszystko się miesza, ścisła, łączy, gmatwa, i olbrzymie ljanya, przebiegające tu i owdzie w tym dziwacznym labiryncie zdają się więzić w swój nierozwikłanej sieci tę naturę potężną, energiczną, zalegającą ziemię, i ra-

zem stawiając śmiało czoło, od tysiąca wieków, piorunowi, słońcu i huraganom.

Tu niema przestrzeni dla skrzydła ptaka, niema prawie miejsca dla przelotu motyla nakrapianego, niema szczeliny dla promienia słonecznego, a światłość dzienna podobna tu do bladych promieni księżycy, wśród mgły jesienniej.

Tu niema szméro, ale huk jakiś niepewny, wątpliwy, przeciągły, przychodzący niewiadomo skąd, sprawiony niewiadomo przez co, coś harmonicznego i wrzaskliwego razem, toczącego się we wszystkich kierunkach, spadającego z gór jak łza, podnoszącego się z ziemi jak nadzieja, rozlegającego się już to powolnie, już z szybkością błyskawicy, i napętniającego cię bojaźnią przed jakimś nieprzyjacielem, mającym cię schwytać.

Tu jeszcze napada cię jakieś marzenie pełne zachwytu, połączone z uczuciem jakiegoś nieokreślonego przestachu. Tu przychodzą wielkie myśli skupienia wewnętrznego, religijni.....

Możesz zapomnieć o ciszy zupełnej pośród Oceanu, o burzy wśród lodów podbiegunowych, o zachodzie słońca pod zwrotnikami, o złudnym obrazie wody (mirażu) w pustyni, o symunie w Saharze. Ale ręczę ci, że nie zapomnisz nigdy o lesie dziewiczym w Brezylji, choćby twoje życie było stuleciem, choćbyś je przepędził we wszystkich stolicach, wśród wszystkich Archipelagów, pod wszystkimi strefami.

Myślałem wszystkimi memi zmysłami, szukałem uchrony, że tak rzec można, w skupieniu głębokim, wewnętrznym, które pozostawiało miejsce tylko uwielbieniu. Przywoływałem też na pamięć mój stan opłakany na lawach Teneryffy, na krawędzi step Afrykańskich, żeby się przeniknąć więcej jeszcze wielkością Boga.

— Gwałtu! ratujcie! zawołał Jan-Jan głosem przytłumionym; do mnie! panie Arago, oto jeden, dwóch dzikich. — Co ci to? przez sen gadasz? — Szczypią mię, kłapiją; biję ich, ale oni mieniej jeszcze biją odemnie; chodź Pan tu prędzij, albo pozostaniesz sam jeden.

Skacząc po jednej ljanie, chwytając się rękoma za drugą, znalazłem się wkrótce przy Jan - Janie, broniącym się co siły przeciwko dwom wielkim małpom z gatunku żokosów, które nie śmiały zbliżyć się doń bardzo, żeby nie dostać siekierą. Skakały tylko koło niego, dawały susy, koziołki z przeraźliwym krzykiem, z straszonymi wykrzywieniami, a skoro postrzegły mię, zdawały się rozmyślać, co mają począć.

— Otoż przecie lękają się Pana, rzekł do mnie Jan-Jan, z którego ramienia krew ciekła; ale bo prawda, że Pan nie jesteś pięknym. Dziwię się nawet, że nie wezmą Pana za jednego z swych braci.

— Milcz, mój biedny przyjacielu, i ukryj się za drzewo. — Czy Pan będziesz strzelał? — Będę.

— A więc bierz Pan na cel samicę, tę oto małą, czerwonawą, chudą; ona to mię szarpnęła swemi żelaznymi kłami. Och! łajdaczka, wszak ona prawie tak brzydka jak Bavastro.

— Kryj się Jan-Janie.

Wyceliłem, palnąłem, mała spadła; towarzyszka jej wpadła w gęstwinię i znikła. W téjże samej chwili dostaliśmy obaj zawrotu głowy.

Tysiączne echo odpowiedziało na wystrzał. Sto tysięcy wrzaskliwych papug błękitnych, czerwonych, zielonych, pstrych połączyło się z tym odgłosem, gdy tymczasem małpy, obudzone z uspienia, wyły, jęczały, skowytały pomnażając hałas: uistiti z swoim głosem przenikliwym; tukan z swoim jęczeniem żałośnym; konik polny z swym ostrym świergotaniem, wszystkie te różnorodne tony, wszystkie te dziwne głosy, połączone z brzęczeniem owadów, z skrzeczeniem żab, z szelestem liści poruszonych przez te krocie istot, pobudzonych do życia, utworzyły harmider dziwaczny, piekielny, który nas napełnił dreszczem i przerażeniem; a gdy on ucichł, i mieliśmy sposobność obejrzenia się wokół siebie i na dół, postrzegliśmy małą zabitą, w połowie połkniętą przez ogromną paszczę węża dusiciela.

— Czy puścimy się w dalszą podróż? zapytał mię Jan-Jan tonem syderezym.

— Nie, mój dzielny chłopcze, dosyć już tego.

— A mnie aż nadto. Cóż u licha! To mi przyjaciele, co posłali nas na pastwę tym małpom szatańskim, nakarmiwszy nas pierwiej pomarańczami, ananasami i grzecznościami.— Czy nie mieliśmy już i tak wiele rzeczy do opowiadania?

— Teraz masz jedną więcéj.

— No prawda, piękna, zabawna rzecz do opowiadania; ale kędy my powrócimy?

— Czyż niemam mojęj igły magnesowej?

— O! to wysmieniecie; bo co ja, to swoję straciłem.

Podezas gdy wąż dusiciel kończył swoję ucztę Lukullusa, ruszyliśmy napowrót drogą nadpowietrzną, przedzierając się przez tę bujną roślinność, prawie ciągle zawieszeni o czterdzieści lub pięćdziesiąt stóp od ziemi, i spodziewaliśmy się wyjść na światło i wolność bez innego przypadku, gdy wtém huk grzmotu i pomroka coraz ciemniejsza zapowiedziały nam, że huragan wisiął nad naszymi głowami.

— Tego jeszcze nie stawało, rzekł do mnie Jan-Jan z miną żalósną; to nie mogło nas minąć. Zrodzeni jesteśmy do przenoszenia wszelkiego rodzaju klęsk.... Czy słyszysz Pan ryczącą burzę, i te krople spadające jak kamyki?

— Tak, ale one nas nie dosięgają, jesteśmy osłonieni.

— Co to Pan mówisz! w lesie, to dwa razy deszcz pada, przed i po dżdzu.— A broń Boże jeszcze wicher!

Huk grzmotu, podobny do pięćdziesięciu bateryj w działaniu, rozległ się w powietrzu. Potém, milczenie.... Ptaki, małpy, owady, gady, zwierzęta były nieruchome, nieme. Wystrzał pistoletu obudził był tę naturę ożywioną, głos burzy trzymał ją uwięzioną i drzącą. Jan-Jan i ja nie mówiliśmy do siebie ani słowa, a deszcz padał z straszliwym łoskotem.

Rzekłbyś, że to kaskady gradu, spadające na blachy żelazne; sądziłbyś, że to Ocean wyruszył z swego łóżyiska i zawisnął nad twoją głową.

Wtém nagle, piorun błyska, maluje las ogniem bładawym, czerwawym, jasniejszym lub przyćmionym, według gęstości lasu, według

odległości wstrząśnionych kolosów, i igrającym tu i owdzie, jak dusze błąkające się pośród chaosu.

— Ach! na poczciwość, rzekł Jan-Jan skureczony i patrząc tylko przez swe palce, łaj mię Pan jak chcesz, ale muszę rzucić kilka przekleństw dla wtóru temu szatańskiemu rykowi..... Do milion kroćset d....

Smród niecznośny siarki zamknął mu usta; i gdy wyziew ten mijając nas wznosił się ku wyższym strefom, secina papug, tukanów, kolibrów upadła na ziemię blisko nas, zaduszona, bez ruchu.

Ale dzień ukazał się wkrótce z swym mieniącym się blaskiem. Zdawało się nam, że nasze płuca swobodniej oddychały. Uśmiech przemknął się po ustach; radość wróciła do naszych dusz rozweselonych: stanęliśmy wreszcie na ziemi swobodnej. i Mój majtek i ja uścisnęliśmy się wtedy, jak zwykli czynić dwaj przyjaciele, którzy uszli wielkiego nieszczęścia.

— Jeśli mię jeszcze raz złowisz, rzekł Jan - Jan, ze spojrzeniem gniewnym i obracając się ku puszczy, której groził pięścią, pozwalam niech mię boa połknie, niech mię żoko zadrapie, niech mi pletnia Bavastra boki pogarbuje. Istotnie, jakem poczciw, wołę najeść się ananasów do przesytu, wołę dobre słowo Julji i ściśnienie ręki mojego przyjaciela Arago, niżli tę masę zieloności, pośród której wszystko czarno, gdzie same małpy i gady.

Po powrocie do mieszkania Pana Barkler, postrzegłem, że przyjmowano nas z pewnym przymusem. Przyjaźń Julji w samej swój przesadzie, zdawała się mi być mniej swobodną, i za nadto wiele było słów w naszych rozmowach wieczornych i porannych, żeby nie miały one okrywać czezości i zakłopotania myśli. Postanowienie moje było niecofnione, nowe podróże obmyślone; i zastanawiałem się nad przyjemnością, jaką mój odjazd sprawi plantatorowi, kiedy mój majtek wbiegł skacząc do mojego pokoju.

— Czy wiesz Pan, rzekł do mnie, że gospodarze tego domu chcą ze mnie zrobić kolibra, pensjonerkę, mniszkę?

— A to jakim sposobem, mój chłopcze?

— Wyobraź Pan sobie że moja izba wygląda na bufet, na cukiernię, na refektarz zakonników. Tu pudełka z cukierkami, tam dwadzieścia słoików owoców smażonych; wszędzie konserwy z ananasów, z mango, z gojawów, z pomarańcz, cytryn, kokosów. Brodę w cukrach, pływam w marmeladach, a nawet nie zapomniano o maderze jako przprawie do tego wszystkiego..... Ale co oni sobie myślą, ci plantatorowie mojej duszy?

— Niestety! mój biedny przyjacielu, odpowiedziałem mu z goryczą, oni chcą, żebyśmy sobie ruszali; oni nas wyprawują, wypychają za drzwi, wypędzają, i niktzemnie byłoby z naszej strony zostać tu dłużej dzień jeden.

— Rozumiem, panie, odrzekł mi Jan-Jan, tonem smutnym i poważnym; byłoby niktzemniej jeszcze z naszej strony, przyjąc ich podarunki. Będziemy jeść suchary, połykać rekina, gryźć słoninę, to lepiej przypada do naszych temperamentów, niżeli jak mniszki karmić się ananasami, pastylkami i pomarańczami..... Wynosmy się stąd, panie.

— Jutro, mój przyjacielu, i to nie mówiąc nikomu, bez skarg, bez żalów.

— Tak, tak, panie; jak przystało na takich zuchów jak my.

— Chodź, Jan-Janie, pójdziemy do miasta, i dowiemy się, czy niema jakiego okrętu na odbicie.

— Powinien być, panie; ale gdzież my ruszymy?

— Gdziekolwiek, gdzie wiatry poniosą, jak można najdalej.... Serca zimne i niewdzięczne!

— To znaczy do antypodów, rzekł majtek wstrząsając głową.

We dwie godziny potem umawialiśmy się o nasz przejazd z Kapitanem korwety holenderskiej, który miał zarzucić kotwicę na Ś. Helenie, później zeglować brzegiem Afryki aż do Maroko, mając na widoku w tej podróży korzyści handlowe z krajowców tych stron w połowie nieznanym.

— Czy ta podróż podoba ci się? zapytałem mojego wiernego Jan-Jana.

— Mnie się wszystko podoba, panie, odpowiedział majtek, ścisnąc mnie mocno za rękę; wszystko mi się podoba, byle tylko nie starano się utopić mię zdradziecko w marmeladach i syropach.

— A więc jutro, mój dzielny przyjacielu, przed wschodem słońca. Jedliśmy obiad w mieście, potem poszliśmy zwiedzić zamek Królewski Ś-go Krzysztofa, na ulicy *Fallongue*, gdzie się odbywają ohydne targi na murzynów, na placu Ś-jej Anny, miejscu zapowietrzonym, na którym zbudowano z drzewa ogromny cyrk na wyścigi byków; a wieczorem, kiedy gwiazdy zaczęły iskrzyć się na niebie, powróciliśmy do mieszkania P. Barkler, gdzie kilku tylko niewolników czuwało jeszcze.

Jednak, oddalić się nie oświadczywszy naszej wdzięczności za przyjęcie, którego doznaliśmy z początku, zdawało się mi być tak wielkiem uchybieniem, że postanowiłem udać się do pokoju P. Barkler, i powiedzieć mu ile byłem obowiązany za jego szlachetne względem mnie postępowanie. Zapowiedziałem mu mój odjazd na wieczór tego samego dnia, i plantator podając mi z uprzejmością rękę, nie starał się bynajmniej zatrzymać mię.

Co do jego żony, postanowiłem nie widzieć się z nią, z bojaźni żeby się nie zachwiać w mém postanowieniu, i pobiegłem do Jan-Jana, żeby mu zalecić pakować się.

Miałem tylko co otworzyć drzwi jego pomieszkania, gdy głos Pani Barkler zatrzymał mą rękę, trzymającą już za klamkę.

— A więc on bardzo szczęśliwy, że nas opuszcza? mówiła Julja do majtka, stojącego przed nią, z rękoma założonemi na piersiach.

— Tak szczęśliwy, pani, że płacze jak łania raniona, albo jak stary marynarz..... To człowiek bez serca, moja pani; zaprzyjaźnia się on swoim sposobem, zaprzyjaźnia się z dwoma, trzema, czterma, potem o nich zapomina wkrótce, jak o złym obiedzie na pokładzie.

— Gdzież się on teraz udaje? zapytała Julja głosem smutnym.

— Czyż on sam wie o tém? Wałęsamy się tu i owądzie; gdzie trafimy, to nam wszystko jedno; ale co mię najwięcej gniewa, to że ma-

my jeszcze odwiedzić tę nieszczęsną Afrykę, gdzie lwy i tygrysy bawią się zajadaniem naszego ciała, nie kładąc go nawet na rożen.... Pozostawimy naszą skórę, to rzecz niewątpliwa.

— Ponieważ to łatwo przewidzieć, dla czegoż opuszcza Brezylję? zapytała Julia, przewidując zapewne odpowiedź, mającą nastąpić.

— A! otóż to sęk!.... Mówi o tém rzeczy niedościgłe rozumem, i jest tak przekonany, że ma słusność, iż nie śmiałem mu zadawać kłamstwa, lubo nie zwykłem z nim się przymuszać.

— Ależ wreszcie, co on mówi? zapytała pani Barkler z niecierpliwością źle ukrytą.

— Powiada, moja pani, że nie chcecie jego mieć u siebie, że go za drzwi wypychacie, że go wypędzacie; i to mu rozdziera serce na cztery części, a mnie Jan-Janowi, na połowę.

— Mój biedny przyjacielu, rzekła ze smutkiem Julia, Bóg, który czyni niebo posępne lub pogodne, rzuca też w nasze dusze namiętności święte lub zgubne. Nie my to sami urządzamy nasze życie; okoliczności, istoty nas otaczające nami rządzą; cierpimy przez innych i dla innych; nasz uśmiech nie jest prawie nigdy dla nas, i jeżeli samolub niema radości na świecie, niema też tyle smutków. Dla czegoż Jakób i ja nie urodziliśmy się samolubami?

— Samolub, zdaje mi się, jest ten, co nie lubi nic, ani dżdżu, ani pogody, ani ciszy, ani burzy, ani dobrej kobiety, ani złego serca, ani swego ojca, ani swęj matki?

— Tak, mój Jan-Janie.

— I pani chciałaś być samolubną! to jest, kamieniem, skałą, pniem, mazią, owadem? proszę pani! mimo winnego dla niej uszanowania, powiem, że pani niemasz zdrowego rozsądku. Płyniesz śród dwóch prądów przeciwnych; jesteś unoszoną ku brzegom urwistym. Pani kłamiesz przedemną, kłamiesz przed sobą samą, i nie dziwię się, że rumieniec wystąpił na jęj twarz.

— Mój stary przyjacielu!....

— Masz pani, otóż złowiłem ją. Nazywasz mię pani przyjacielem, a więc nie jesteś samolubną; masz oczy pełne łez, a więc nie jesteś samolubną; przyszłaś pani zobaczyć się ze mną dziś rano, pytasz mię

swoim łagodnym głosem, gdzie się udaje mój pan; drżysz o mnie, drżysz o niego, drżysz może także o siebie, a więc nie jesteś samolubną; i gdyby P. Arago panią słyszał, rzuciłby się jęj na szyję, jak ja to czynię, i dałby porządny pocałunek po obu jęj pulchnych policzkach, rumianych jak rajskie jabłuszka. To niezawodna.

Miałem tylko co wejść, Julia wychodziła, spotkaliśmy się twarzą w twarz.

— Bądź zdrow, rzekła do mnie, ściskając mię za rękę, bądź zdrow, Jakobie.— Bywaj zdrowa, pani.

Nie kładłem się spać, przepędziłem tę ostatnią noc brezylijską w ogrodzie P. Barkler, i jak tylko świtać zaczęło, zapukałem do drzwi mojego majtka.

— Wstawaj, rzekłem do niego, nie zabawimy tu więcej ani godziny.

— Jestem już gotów, panie, odpowiedział mi mój stary towarzysz. Widziałem Julję wczoraj wieczorem po oddaleniu się pańskim. Przyszła probować utłudzić mię swemi cukrowanemi słówkami, mówiła mi to, mówiła mi owo; ale znalazłem jęj powody tak niedorzeczne, jęj postępowanie tak nie marynarskie, że oddałem jęj konfitury, owoce i marmelady, które zaraz zabrać kazała. Chciałbym, prawdę powiedziawszy, żeby zapomniała madero, ale zdaje mi się, że wielkie damy zapominają o wszystkiem, nawet o przyjaźni, jaką inni dla nich mają; tak więc oddalam się bez najmniejszego żalu.

— A więc ona tu była? zapytałem niby nic nie wiedząc.

— A jakże, panie, była.

— Cóż ona ci mówiła?

— Ni to ni owo, nie więcej, i to za wiele. Jednak, jak sędzę, chciała mi powiedzieć coś innego, gdyż się nikt nie fatyguje tak dla powiedzenia ni to ni owo.

— Masz słuszność Jan - Janie; ale przecież musiała coś powiedzieć.

— Tysiące bredni, niedorzeczniejszych jedne od drugich; na przykład, że chciałyby i niechciałyby, że jest bardziej niewolnicą niż pa-

nią, że doznaje smutku i radości, że żąda, żebym oddalił się i żebym został.... jakby to rzecz była łatwa do uskuteczenia; potem, co mnie rozgniewało do najwyższego stopnia, to że nie mówiła mi ani słówka o panu, ale wszystko o mnie. Owoż, kiedy widzę, że na moję biedę wpadłem jój w oko, uchodźmy stąd, panie, i wywieśmy nasz wielki żagiel.

Trzeba było uleść przeznaczeniu. Mój dzielny majtek i ja, poprzedzani przez dwóch murzynów, którzy nieśli nasze tłómoki, ruszyliśmy pieszo do miasta; a tam wsiadłszy do łódki, popłynęliśmy do korwety stojącej na kotwicy przy warowni *Villagagnou*. Ale jakież było nasze zadziwienie, kiedy Kapitan spotykając nas, powiedział, że otrzymał w nocy pod naszym adresem wielką liczbę pak, zawierających osobliwości Brezylji i różne wiktuały.

— A, wyśmienicie! Tak to co innego, zawołał Jan - Jan. To kobieta z sercem tak słodkiem jak jój konfitury, a atmosfera, w której żyje, bardziej woniejąca jak jój ananasy; i dla tego, nie mogąc jój odesłać żadnej z tych pak, wracam jój mój szacunek, niech zrobi z nim co zechce.

W skrzyneczce z drzewa sandałowego, od której kluczyk Kapitan mi wręczył, znalazłem dwa listy, jeden od P. Barkler, drugi od jego żony.

— Nie będę ich czytał! zawołałem; i rzucając je do wody poszedłem usiąść na przodzie okrętu.

— Kto wie? rzekł do mnie Jan - Jan w kwadrans potem, może te świstki papieru zawierały rzeczy, coby mię mogły pocieszyć? Należało je przeczytać.

— Niepodobna teraz.

— Ba! Czy to ja nie umiem pływać jak kot morski? Oto one; woda morska nie miała czasu wyciągnąć z nich liter.

— Źleś zrobił, Jan-Janie.

— Przestań Pan tak mówić. Te listy, to jak moje konfitury i moja madera: nieprzyjmujemy ich z początku, a potem radzi jesteśmy, gdy się one nam dostaną. Ja będę połykał to wszystko gardłem, a Pan oczyma; i postawiłbym wiele przeciw drobnostce, że

Pan nie będziesz mi miał za złe kąpieli, którą dopiero co odbyłem dla pożytku pańskiego.

W listach tych były czułe pożegnania z jednej strony, podziękowania z drugiej; pierścień znacznej wartości, zapomniany zapewne przez panią Barkler, znajdował się w skrzyneczce. Zapomniałem także go odesłać; może kiedyś będę mógł go sam oddać.

Nie zdołałem ci wyrazić, z jakim wzruszeniem pożegnałem tę ziemię Brezyljską, na którą niebo zlało tyle dobrodziejstw. Z morza moje oczy z cheiwością wpatrywały się w brzeg, co się wydawało jak olbrzym leżący na grzbiecie, którego śpiczasta góra w głębi przystani tworzy nogę.... Powoli wszystko pogrążyło się w falach, i okręt, lekko kołysany, biegł w prostym kierunku, po morzu spokojnym, ku ziemi świętej dla mnie....

Niestety! Wiatry zmieniają się prędej jeszcze niż namiętności ludzkie. Wkrótce wiatr silny południowo zachodni uderzył na nas z boku i zmusił do zboczenia z drogi na dni kilka. Pod równikiem, cisze i nawałnice z dziwną zmiennością czyniły z nami igraszkę; tak, że Kapitan zniecierpliwiony kazał skierować okręt ku północo-wschodowi, ku Senegalowi, który się mi dał we znaki tylu smutnymi wypadkami. Mój majątek okropnie się skrzywił, gdy dowiedział się o postanowieniu dowódcy, i zbliżając się do mnie:

— Zpięknaż będziemy się mieli, rzekł, jeszcze piaski, lwy, tygrysy, słońce ogniste, i wszystkie utrapienia.... Cóż my zrobimy z temi konfiturami i owocami, które nam dano w Brezylji?

— Rób z niemi co chcesz, mój dzielny chłopcze. Co do mnie, mam swoje projekta, i niewiem istotnie, czy nie powinienem uważać wiatrów przeciwnych za prawdziwych przyjaciół.

— Ho ho! Widzę, że Pan znowu masz chęć zrobienia jakiego głupstwa, które mu przed czasem sprowadzi zmarszczki na czoło. Tymczasem, gdy wiatr mamy pomyslny, gdy majątkowie, moi towarzysze, stali się mymi przyjaciółmi, muszę ich ucześtować. Obywatele Afrykańscy nie skosztują moich łakoci.

I w istocie pewien rodzaj hulanki miał miejsce na pokładzie, bez krzyków, bez groźb, hulanki okrętowej, między przyjaciółmi, to-

warzyszami, i nieszczęściem Jan-Jan, który dawał przykład częstego wychylania kielichów, tak się rozchorował nazajutrz, że musiałem, z wielkim moim żalem, zrobić z nim bolesne pożegnanie.

— Nie, nie, na mojego dobrego Anioła! odpowiedział mi dzielny majtek głosem cierpiącym, są przyjaźnie, które się muszą spotkać tu czy owdzie: czy Pan się udasz jeden, czy ze mną, będziemy razem, panie Arago, bądź tego pewien.

Coż jest zmienniejszego nad ludzi? Oto żywioły.

Nigdy żegluga nie była tak utrudnioną jak nasza. W dzień robiliśmy kilka mil drogi, w nocy o kilka mil cofaliśmy się nazad. Majtkowie naprożno śpieszyli rozwijać wszystkie żagle: płynęliśmy często nie postępując o krok naprzód.

Ten rodzaj żeglugi jest bezwątpienia najbardziej morderczym, najbardziej uciążliwym dla ludzi cheiwych działania.... Życie jest krótkie, zgadzam się na to, ale jak ono jest powolnym, jak zdaje się być wiecznym, gdy twój wzrok szuka cheiwie niedalekich brzegów, i nie może ich osiągnąć!

Wiedziałem, że mój dzielny majtek nie opuścił mię; ale dla ukarania go, po przyjacielsku, za jego nieposłuszeństwo, udałem, że niewiem, iż się znajduje pomiędzy osadą; figlarz zaś ten wymazawszy twarz smołą, myślał, że ujdzie moich śledczych spojrzeń.... Oko mnieją widzi niżeli serce, a kochałem Jan-Jana jak brata.

Ale oto! coś nowego, przerażającego.... to mi się podoba, jakkolwiek może być jednostajnym, jakkolwiek zabójczym się wydaje.

Chwytam moje pióro, moje ołówki.... staram się to przelać na papier.

XVII.

CISZA ZUPEŁNA.

Dwa miesiące zaledwo minęło, jak u przyładka Horn, fale piętrzące się waliły z hukiem na okręt; ciskały go jak strzałę skrzydlatą na krańce widnokregu; wznosiły go pod niebo i spychały na powrót, tak, że całym ciężarem spadał w otchłań otwartą. Było to coś wielkiego i pięknego; było to coś straszego i wspaniałego razem; bezład ten był czarującym. Ale nie widziałem jeszcze tego tak dobrze; nie przejąłem się jeszcze tak uwielbieniem, żebym mógł ci wiernie określić, co to jest burza, co to jest huragan! Niezadługo może więcej ci o nich powiem.

Wczoraj morze było burzliwe, rozkołysane, pieniające się, ale można było dostrzedz, że nie była to wściekłość coraz wzrastająca: przeciwnie, łatwo wnieść nie wpatrując się weń długo, że gniew jego był gniewem wyczerpanym; że ryczenia jego były przedśmiertnym chrapaniem umorzonej wściekłości: wiatry i piorun już przeminały; echo burzy rozlegało się jeszcze, a jednak było to tylko echo, to jest uniesienie bez groźby, gorączka konającego, albo raczej słowa przebaczenia.

Dzisiaj cisza nadeszła, cisza głęboka jak pustynia, milcząca jak grób. Nie widać już wydętych bałwanów, nie słychać wiatru w powietrzu, nie znać chmur na niebie; tylko tam, tam, u krańca widokregu, masy czarne i fantastyczne, które ręka niewidzial-

na i potężna trzyma zawieszona, gotowe ciężyc znowu nad oceanem uciszonym.

Patrz, patrz teraz.

Słońce szerokie, wznoszące się z całym przepychem Monarchy świata, napełniało przestrzeń miljonem krzyżujących się ogniów i pnowało nad wodami razem z huraganem, który był obudził całą naturę z uspienia. Ogromne wieloryby ukazywały się z wód, jakby dla probowania swój siły i swój potęgi; gromady niezliczone delfinów, szybkich i rozgłośnych jak burza, toczyły się po falach i w kilka minut przenosiły z końca w koniec widnokregu; świetne bonity, piękniejsze jeszcze od nich dorady, rzuciły głębie Oceanu i występowały niespokojne na grzbiet fal wzburzonych. Olbrzymi żagłościg, ponury zwiastun tych dni żałoby, wznosił się w powietrze, i chłostał je swoim silném skrzydłem. A teraz nic, zupełnie nie się nie rusza, nie się nie ukazuje na Oceanie uspokojonym. Wszędzie nieruchomość i milczenie. Powierzchnia wód tak gładka jak lód najczystszy. Wieloryb udał się ku stronom burzliwszym pod bieguny; swawolne delfiny wywędrowały w okolice mniej milczące; Ocean, powietrze i niebo zdaje się wymagały rozejmu dla wypocznienia po trudach, i trójmasztowy statek, w pośród niezmiernego koła, co go więzi, spoczywa i cięży swoim miedzianym spodem, jakby na niewzruszonej skale podmorskiej. Jeśli ostatnie westchnienie konającego Oceanu, po którym wszystko zamiera, jedno z tych westchnień, którego domyślasz się raczej, niżeli go słyszysz, tworzy nieznaczną wypukłość na powierzchni wód, okręt wtedy, posłuszny niewolnik udzielonego ruchu, pochyła się na prawy, później na lewy bok, jak kołyska po ostatniem poruszeniu nadaném mu przez piastunkę uważną i drżącą; a potem nieruchomość uciska całym swym ciężarem pokład i przygasza wszelką nadzieję w sercu. Słońce dziesięć razy przeszło po nad naszymi głowami, i nie nie zapowiada jeszcze, że natura chce się przebudzić. Jestto zawsze i wszędzie smutna harmonja śmierci, poważna wspaniałość milczenia; jestto Bóg, co się zdaje tworzyć w myśli nowy świat i chcieć poprawić swe dzieło niedoskonałe. Wytrwałość majtka wyczerpana; jego muskuły tracą sprężystość w tej przykrój nieczynności, której kresu dojrzyć

nie może; jego noga niecierpliwa napróżno uderza regularnym taktem w pomost smutnego pokładu; napróżno odwilża swym językiem w pół zeschniętym dłoń ręki i macha nią w powietrzu, dla poznania, z której strony wionie pierwszy wietrzyk; nie mu nie mówi że jego życzenia wkrótce mają być spełnione, nie mu nie mówi, że one kiedyś spełnionemi będą. W swój gniewnej niecierpliwości, porywa on chłopca okrętowego, i zbrojny w twardą pletnię, okłada boki biednego popychadła osady, którego krzyk przeraźliwy, ma według jego nieludzkiej wiary, przywołać wiatr niepamiętny.

Straszne przekleństwa, które przedtem towarzyszyły głosowi burzy, rolegają się teraz więcej cierpkie i więcej energiczne. Są to ryki wściekłości lwa, ujętego w więzy żelazne. Nieprzyjaciel jest tam, pod nogami, nad głową; nie dotyka się ciebie, nie uderza na cię; jest on, żyje on wszędzie, straszliwy i potężny, a ty nie widzisz go nigdzie.

Jakże uderzać w to, co niewidome? jak zwyciężyć to, co jest i nie jest razem?

Jeśli chwytając się jeszcze ostatniej nadziei, wywieszają najwyższy żagiel okrętu, żeby się przekonać, czy w krainie wyższej powietrza niema jakiego ruchu, ciężki żagiel opada całym swym ciężarem, ciąży na rei, próżno wstrząsanej, i zdaje się być pogrzebowym całunem, rzuconym na trupa.

Widziałeś ciszę dzienną. Cisza nocna jest okazalszą i uroczystsza jeszcze, gdyż tu sprzeczność każdej chwili przypomina ci, że pozostajesz w nieczynności. *Canopus* i *Sirius*, te dwie najjaśniejsze gwiazdy półkuli południowej, których białe promienie przychodzą do nas tak żywe i tak czyste, wznoszą się pełne siły. Około tych wspaniałych kul okazują się kolejno, toczą się i znikają, jak pokorne hołdowniki, te niezliczone legiony gwiazd, które zapełniają niezmierny obszar Nieba, i kiedy wszystko się rusza tam w górze, wszystko jest nieruchomem tu w dole; kiedy wszystko powstaje i wznosi się, zniża i ustępuje, ty jeden, stojąc na jednym punkcie świata, nie masz życia, jesteś umarłym pośród żyjącego świata.

Tymczasem osada, osłabiona i znużona nieczynnością, usiada na tyle i ławach masztowych okrętu, z oczyma zwróconemi ku miejscu

przeźreni, skąd zawiął ostatni wietrzyk. Smutna i młcząca, czeka z rezygnacją winowajcy, nim godzina oswobodzenia nadejdzie. Jednym razem wszyscy się podnoszą, jakby dotknięci uderzeniem elektrycznym: każdy z szyją wyciągniętą, z oczyma szeroko otwartymi, lubo nie nie widzącami, słuca milczenia i dopatruje ruchu w bezwładności; ale uczuł na swojej twarzy lekkie i niedostrzeżone drżenie, które mu zapowiada, że jego ręce wkrótce będą zajęte i jego godziny ożywione..... Nie omyliła go nadzieja. Powierzchnia wody łamie się, marszczy. Nie jestto niezmierna przestrzeń, zapełniona oliwą, niczém niezmaconej czystości, jestto woda ruszająca się i biegąca; lekki prąd rozszerza się coraz, i już okręt szeleści i drży; żagle rozwinięte goworzą z przyjemnym szmérem; maszty zalotne i wysmukłe zginają się z wdziękiem; liny wydają świst krótki, przenikliwy; maszt wielki majestatycznie chwieje swym wierzchołkiem, i przyszłość otwiera się promieniająca i pełna pociechy.

Ze wszystkich wielkich zjawisk, jakie morze przedstawia uwielbieniu ludzi odważnych, którzy śmieją przebiegać oceany, cisza zupełna jest bezwątpienia najgroźniejszym, najstraszliwszym, najmniejbezpiecznym, najzłubniejszym; życie postępuje z burzą co ryczy, gaśnie ono z ciszą co milczy. Energia twojego nieprzyjaciela dodaje tobie samemu energii, i możemy się wyprostować przed tym tylko, który nas zgiąć usiłuje. Nic nie jest tak zabójczym jak oczekiwanie i spoczynek!

Teraz, maszże wyobrażenie o ciszy zupełnej śród Oceanu?

XVIII.

ŚWIĘTA HELENA.—ZACHÓD SŁOŃCA.

Koniec końców, niebo było dla nas mniej surowe, niżeliśmy się tego lękali. Obszerny zakres nauki otwiera się przed moją cheiwą żądzą wiedzy, a chociaż skała smolna, ku której dąży nasz okręt, jest jeszcze bez poezji; chociaż ta wyspa z lawy służy ledwo za skazówkę żeglarzom opływającym przylądek Dobrzej Nadziei, potrzeba koniecznie, żebym tam odpoczął, żebym dał odetchnąć mojej głowie i mojemu sercu, z niewielkim zasobem radości w duszy, z obfitością łez w oczach.

Postępuj za mną.

Nieprawdaż, że mi przebaczasz tę wycieczkę z lat, które nie dawno minęły? Od niejakiego czasu uznaję się człowiekiem i znajduję, żem myśliciel poważny. Ty mi będziesz towarzyszył w tej wycieczce, gdyż ona jest poważną, uroczystą, i jestem pewny, że nie zostaniesz zimnym na me wspomnienia.

Dzień zaświtał pogodny i jasny. Słońce promieniejące na widnokręgu, zajaśnieje wkrótce z całym swym przepychem..... Dwa słońca spółzawodnicze, obadwa przywłaszczyciele światła, pierwsze jaśniejące całym swym blaskiem, grzejące wszystkimi swemi promieniami, zawsze tam w górze, na miejscu, które Wszechmoeność raz mu przeznaczyła; drugie na zawsze zgaśnię i spoczywające na wyspie z lawy, na tej wyspie żałoby i wielkich pamiątek, którą widzimy tam, tam daleko, ukazującą się i panującą nad falami!

Kapelusz z głowy!.... Święta Helena!

Jesteśmy wszysej na nogach, i opływamy te tysiączne dziwaczne załamania tego kościotrupa afrykańskiego, rzuconego do wody po wstrząśnieniu wulkaniczném. Oto przystań, i korwety żeglują ku James-Town. — Gotuj się zwinąć żagle! — Zbieraj i zwijaj! — Gotuj łańcuch! — Przybijaj! — *Astrolabjusz* i *Gorliwa* zatrzymują się i odpoczywają po swych trudach.... jak raz we trzy lata po naszym wyruszeniu z Francji.

Była to boleść i radość. Każdy z nas chciał widzieć plac grobowy, brzozy płaczące, topole karłowate, chatkę pasterza, małe źródło, gdzie on gasił pragnienie. Każdy z nas gorąco pragnął przyklęknąć przed tym domem, gdzie jego konanie było tak długie i tak męczące. Było to uzupełnieniem naszej długiej wyprawy; było to jój pierwszą nagrodą.

Podzieliliśmy się na oddziały; wysiedliśmy na brzeg. Pokazano nam kamień, na którym on postawił nogę po opuszczeniu *Belle-rofona*; i od téj chwili, wyspa zdawała się nam być grobem.

James-Town jest miastem obronném. Miejsce pobytu Cesarza Napoleona, a nie miejsce schronienia Generała Bonapartego, jak mawiał zuchwale ten kot-tygrys czerwony Hudson-Lowe, stało się miastem wojenném, warownią trudnego przystępu. Każdy punkt wznioślejszy, opatrzony jest fortyfikacją; każda przystań ma swe baszty i blanki; każdy wierzchołek swoją budkę i swojego szyldwacha.... Niczego już nie żądamy od Świętej Heleny: popioły człowieka zostały nam oddane; mogą znieść swe warownie, mogą zdemontować swe działa. Mogą spać spokojnie jak ten, którego sen tak długo niepokoił.

Chciałem, żeby moja pierwsza wycieczka była pielgrzymką. Przebyłem drogę piechotą, w towarzystwie chłopezyka chińskiego, który się podjął dać mi potrzebne objaśnienia. Wszedłem się wielką ulicą, dosyć prostopadłą, służącą za pierwszy szczebel drogi; a skoro minąłem ostatnie budowle, oko moje zagłębiło się po prawej stronie w pewien rodzaj doliny, gdzie mieszka jeszcze półkownik, który mię przyjął później z wielką grzecznością.

Wstępujesz, wstępujesz ciągle po schodach wykutych w lawie, której pokłady są ubarwione różnemi odcieniami, i przybywasz do niewielkiego lasku sosnowego, wiele cierpiącego i od wiatrów gwałtownych Oceanu, który go dziesiątkuje, i od jałowości gruntu, który go na sobie nosi, i od gorąca słonecznego, które go wysusza.

Ale oto ogród.... Wyśmienicie! Chatka, trochę zieloności, coś takiego przecie, co zapowiada życie, na téj widowni żałoby i zniszczenia; wybornie, latorośle silne; ślicznie, kwiaty i woń wszędzie tam, gdzie wszystko trąci zagubą. Ale ty się nie zatrzymujesz w tych zagrodach uprzywilejowanych, gdyż wyruszyłeś w innym celu, dla innych wzruszeń, dla innych radości, które mają także swoją gorycz.

Patrzysz przed siebie, zdejmujesz kapelusz; gdyż tam, tam zdaleka widnieje grób święty, z swym orszakiem historycznym i żałobnym, o którym mówią wszyscy podróżni. Trzy brzozy całkiem pocięte, krata drewniana w koło, mały namiot, budka po za obwodem, krata żelazna wewnątrz, i kamień, oto prawie wszystko. W budce, księga gdzie każdy wpisuje swe imię, kreśli myśl jaką; jest tam wiele pięknych rzeczy, jest tam wiele fraszek, jest tam także wiele haniebnych i nizezemnych myśli.

Kilka przekleństw przeciw człowiekowi, który rządził światem, przed którym drżeli wszyscy Królowie ziemi; słowa nienawiści przeciw wielkiemu sercu, które śpi tam snem wiecznym; a potem te słowa szlachetne, które krzepią duszę, które cię upajają i wprowadzają w słodkie marzenie..... To życie.

Postrzegłem w ogólności, że myśli rzucone tam na pastwę ciekawości podróżujących, mają jakąś dążność do śmieszności, do zrobienia wrażenia; i wtedy nawet, kiedy pismo było nieczytelne, nazwisko podpisanego zdawało się być drukowane.

— Zobaczymy, coż ja napiszę?... każdy z nich zapytywał siebie w drodze do grobu. I głowa zastępowała serce, przypuszczając że miało serce w chwili odjazdu.

Przepędziłem dobry kwadrans na przézieraniu tego rejestru. Nazwisk francuzkich tam najwięcej; Anglicy podpisują się tylko, a

niektórzy z nich bronią postępowania Sir Hudsona Lowe. Miałem podejrzenie, że taż sama ręka podpisała się na wielu kartach, i niedziwiłbym się, żeby ten nieużyty dozorca więzienia zrobił sam sobie tę przysługę. Tygrys niema wcale przyjaciół na świecie.

«Cierpimy za powinność, ale ją spełniamy.»

Podpisano: Dick.

Ten Dick pewno był lokajem.

«Na miejscu Pana Lowe, postąpiłbym jak on.»

Otóż ktoś co zapewne starał się kiedy o urząd kata.

«Nie chcę być Anglikiem, kiedy pomyślę, że Sir Hudson Lowe jest rodem z mojego kraju.»

Bawis. George—Street, 13.

To pięknie, dać swój adres po napisaniu takich słów.

Albo się myślę, albo mógłbym położyć imię znane na karcie przedstawującej profil bardzo podobny Cesarza, z tym czterowierszem pod spodem:

Podbił on świata połowę

Przez cnoty swoje,

Miał on serce jak głowę,

A la Titus oboje.

Jeden z tych napisów był następujący:

«Zostałem majtkiem, żeby przyjsć powitać szczątki mojego starego Kaprała, który mię nazwał po imieniu. O gdybym miał Pana Lowe w moich ręku! To łotr! Bawię noc i dzień na wyspie i podpisuję.»

Germain, furjer starój ex-gwardji.

Wielka liczba nazwisk kobięcych zdobi te karty, które odnawiają przynajmniej raz na rok; i słuszną jest rzeczą dodać, że prawie wszystkie kręślą myśli wielkie i szlachetne.

«Wieczność szczęścia matce podobnego męczennika!

Ernestyna.

A niżéj, inną już ręką:

«Wieki męczarni téj, co mogła zaponinić, że była żoną Napoleona!»

Adelajda Cotterot.

«Mam sześć lat; matka moja nauczyła mię kochać go, i kocham go, jak gdybym miała czterdzieści.»

Ludwika.

«Sześć stóp ziemi temu, który sobą świat napełnił! Nie to, Anglja nie umniejszy go.»

Julja Radier.

«Spoczynek jego jest spoczynkiem ziemi. Gdyby się on przebudził, świat przebudziłby się razem z nim.»

Anatolja Charton.

Zapisałem moje nazwisko na rejestrze i puściłem się w dalszą drogę.

Wszedłem w obwód grób opasujący; urwałem kilka gałązek brzozy, kilka listków geranium; postąpiłem jeszcze kilka kroków, i zwróciłem się ku kamieniowi grobowemu lewemu. Tu jest pewien rodzaj muru, po pas prawie wysokości, z kamienia ciosanego i lawy, wstrzymujący ściek wody; obok tego muru znajduje się mała świeżo wykopana sadzawka, w którą narzucano nieco kamyków okrągłych, żeby woda w niej była przezroczystsza. Woda ta toczy się i umyka rówkiem prawie niedostrzeżonym, a potem rozdziela się jeszcze na tysiące mniejszych strumyków. O kilka kroków stamtąd, to źródło, w którym Cesarz pokrępił swe bolesne istnienie, zupełnie niknie, używając zaledwo nieco wilgotności małym kwiatkom, rosnącym i ginącym wśród murawy.

Idź, idź, ciągle dalej..... On tam mieszkał, on tam cierpiał, on tam umarł..... Oto galerja z kolumnami: cztery stopnie..... dzisiaj już nie istnieją. Oto jego pokój sypialny, miejsce święte jego ostatniego konania..... to pyłownia. Obicie prawie całkiem odarte; kilka kawałków wisi jeszcze nad twoją głową, których nie można było dostać; a wszędzie napisy, które próżniacy, ciekawi i ludzie myślący tam skreślili. Skoro miniesz tę budowlę, znajdziesz się na płaszczyźnie, służącej niegdyś za pole bitwy dwom szermierzom, których imię zasługuje na to, żeby było zachowanem. Wysoko na murze, obok strofy Wiktora Hugo, czytasz napis, równie piękny, jak to, co kiedykolwiek napisał wielki poeta:

«Tu Piotr Robert i Maciej Morin, starzy gwardziści, stoczyli walkę, żeby dowieść, który z nich dwóch więcej kochał małego Kaprala.....»

Maciej Morin został raniony, ale nieprzekonany.»

Daléj jeszcze, na polu, postrzegasz wspaniały dom, pałac, z tém wszystkiém, co zbytek ma najpyszniejszego : sale balowe, łaźnia, bilard, ogród wspaniały..... ale niestety! niéma w nim gospodarza, niéma śpiewu, coby go ożywiał, niéma kobiety, coby go zdobiła. Poszedłem tam jednak, i znalazłem w nim Pana *Lefroy*, znakomitego oficera artylleryji angielskiej, człowieka z piękném wychowaniem, skromnego uczonego, zajmującego się dużo mineralogją dla zabicia czasu, i magnetyzmem ziemskim dla zadośćuczynienia swym obowiązkom. Kapitan Ross, podczas swéj wyprawy do bieguna południowego, zostawił go na téj wyspie.

Wszedłszy do domu, dzisiaj tak nieszczęśliwie sponiewieranego, znajdujesz na stole bardzo prostym, wielką księgę, podobną do téj, którą widziałeś w budce. Czytaliśmy tam życzenia, jakie oficerowie fregaty *Wenus* wyrazili w r. 1839, ażeby szczątki tego domu były zakupione przez Francją, i żeby się stały przytułkiem wiernych inwalidów..... Życzenie to nie będzie spełnione.

Jedno co chcieliśmy widziéć na téj wyspie, to grób, i ten właśnie widzieliśmy. Nie pozostawało więc nam nic do poznania na wyspie. Wróciliśmy przeto na pokład, szczęśliwi z pobytu na niéj, który żyć długo będzie w naszej pamięci.

Zdaje się, że Kapitan nie miał potrzeby śpieszyć się, gdyż za pomocą kilku wytechniéń łatwoby mu było dostać się na brzeg zachodni Afryki, gdzie chciał z początku się zatrzymać; ale zostawił ją na stronie, i popłynął znowu z pomyślnym wiatrem ku stronom podrównikowym, tak przykrym dla żeglarzy.

Co do mnie, mało mi na tém zależało płynąć tam lub gdzie indziej, byłem tylko mógł zrobić jakie postrzeżenia użyteczne, a wiész, że jestem z liczby tych, którym próżnowanie cięży.

Otoż jesteśmy po raz czwarty pod równikiem. Majtkowie znużeni z trudnością oddychają wietrzykiem wydymającym żagle, i śpią

jak najsmaczniej, skoro nadali potrzebny kierunek okrętowi..... Ja lepiej robię od nich wszystkich, gdyż nie pozostawiam bezczynnymi ani moich ołówków, ani mego pióra, moich jedynych bogactw obecnych, moich jedynych nadziei.

Nie nie jest straconém dla postrzegacza w tej błogięj przepawie, gdzie wiadomości nabywają się bez niebezpieczeństwa i bez znużenia: żadna godzina nie upływa powoli dla tego co chce wiedzieć. Ale, co silnie przyspiesza bicie serca w piersi, co nadewszystko potężnie wstrząsa duszą, co objawia obecność Boga na świecie, to te przedziwne zachody słońca, po dniu gorącym.

Tam, tam daleko, śród Oceanu ognia, na niebie ognistém, jaśnieją blaskiem wzrok rażącym, dziwaczne zarysy obłoków, odbijających się w kształtach najfantastyczniejszych. Są to góry z ich jałowemi wierzchołkami, z ich wulkanami otwartemi i buchającemi, porysowanemi potokami lawy, znikającemi i odradzającemi się jak złudzenie optyczne, które uwielbiamy nie pojmując go. Są to wojska nieprzyjacielskie, co się w zapędzie rzucają przeciw sobie, a skutkiem tego straszliwego spotkania krocie iskier wypada i ulatuje w około; zdaje się, że słyszysz szcęk mieczów, uderzenia puklerzy, chrapanie konających, rżenie koni..... Jesteś świadkiem krwawej walki, straszliwego zamieszania; znajdujesz łyzy i przestrach dla tyłu nieszczęść i wstrząsnień..... Sąto jeszcze jak okiem zasięgnąć równiny, pola na których płomień pali zboże nie trawiąc go, kaskady płomieniste; sąto miasta ogromne z ich kopułami, wieżami, minaretami, basztami, twierdzami, i wszystko to zbudowane na ogniu, z ognia; sąto węgle żarzące się od dołu do samego wierzchu, czerwone, białe, fioletowe..... wszędzie niebo i piekło, wszędzie ogromne żarzewie, w którym okręt co chwila się pograży.

O! tak, upewniam cię, piękny zachód słońca na niebie zwrotnikowém jest najokazalszym, najwspanialszym widokiem, jaki człowiek widzieć kiedy może. Burze, huragany, cisze, rozbicia, pamięć wszystko zapomnieć może, nikt nie zapomni pięknego zachodu słońca pod strefą gorącą, gdyż, jeśli wszystkie burze przedstawiają tenże sam chaos; jeżeli wszystkie cisze mają też samą spokojność, żaden zachód

słońca nie jest podobny do zachodu dnia uprzedniego, żaden nie jest podobny do następnego. Bóg tam jest wielki, niezmierny, wieczny.

Sto razy, pewno, pierwsi żeglarze, co się puścili na odkrycie nowego świata, tak śmiało odgadniętego przez Kolumba, musieli sądzić, że przybyli do kresu swęj podróży, na widok tych potężnych zjawisk, przed którymi dusza schyla się w uwielbieniu. Jak oni, i my także często wołaliśmy **Ziemia!** ale w godzinę potém jak słońce pogrążyło się w fale, złudzenie zniknęło, widnokrąg stawał się rzeczywistością, i my zostawaliśmy rozczarowanymi pomiędzy niebem i wodą, czekając nim wiatr silniejszy nie poda nowego żywiołu naszej ciekawości.

XIX.

TĘSKNOTA.

Ze wszystkich plag, jakie ciężą na biednej ludzkości, najgłówniejszą i najjadowitszą jest, bezwątpienia, tęsknota, tak dręcząca, tak dolegliwa dla tego co pod nią upada.

Kiedy to uczucie (gdyż to jest uczuciem) opanuje twą duszę, jestto gwoździec rozpalony do czerwoności, co przenika i rozdziera twe ciało; jestto pazur ostry co je szarpie; i jeśli, chwytając się lekarstwa, rzucasz skargę na zewnątrz, ta kona nie obudziwszy echa. Niestety! Nie jęki to wrócą cię do życia cichego i spokojnego; przeciwnie, pogorszą one twoje cierpienie. Ze wstrząśnień, co nas zabijają, nie jestto ani ryk tygrysa, ani odgłos gromu, ani huk fali szumiącej, ani straszliwe ryczenie wodospadu. Co nas zabija, to szpony otwierające ranę; to błyskawica przemykająca się w przestrzeni; to paszcza bałwana, co chwyta i połyka; to wir, co przytłumia ostatnie westchnienie; co zabija, to mileczy, a smutek jest zawsze mileczącym. Niestety! to cierpienie jest tém dotkliwszém, że przynosi z sobą zniechęcenie, które wyczerpuje siłę, nie wystawiając ją na próbę, które osłabia i mrozem ścina razem, i pozostawia tobie siłę męzkich tyle tylko, ile potrzeba do uczucia cierpienia.

Gniew może być rozkoszą, zemsta upojeniem, wszystkie namiętności ludzkie pociechą. Smutek jest zawsze boleścią. Pozostawia on cię na łup najokropniejszym szarpaniom, i pozbawia wszystkich najmiłszych pociech serc szlachetnych. Wiek dziecinny dla niego bez

wdzięku, piękność bez uroku, wody bez przezroczystości, kwiaty bez woni, niebo bez błękitu, czułość macierzyńska bez powabu. Przyrodzenie całe ma jedną barwę dla smutku; ma ono jedną wtedy i jednostajną muzykę, przy której wleciesz się słaby, zbolały, jak gdybyś tylko co wymknął się z uścisków duszącej zmory. Smutek jest w sobie zamknięty, wiem to, a jednak wychodzi on na jaw przez wszystkie pory, rozlewa się na wszystko co cię otacza; ale on tylko dotyka się powierzchni nie przenikając jęj, i ty tém więcej jesteś nieszczęśliwym, że w tém zgubném przesileniu, nikt ci pociechy nie poda, nikt się nie ulituje nad tobą. «Jestto fiksat! szalenie! mówią ze wszystkich stron; choroba ta minie z czasem.» Gorączka takż przechodzi, ale tymczasem pali ona cię, zadaje męczarnie. Żałujemy tego, co na nią cierpi; żałujmyż i tego, którego smutek pochwycił w swe zębate kleszcze.

Piszę te wyrazy w chwili, kiedy moja dusza, pojmując to dobrze, powinna cieszyć się nadzieją, która jest radością. Wiatr wieje umiarkowany, morze ciche; przebyłem trzy czwarte części mojęj dłuęj podróży, unikałem tysiąca niebezpieczeństw: wszystko zdaje mi się wróżyć bliski powrót.

Wczoraj byłem najweselszym ze wszystkich co są na okręcie; wczoraj, żyłem równie w przyszłości jak w przeszłości; wczoraj, rzucałem na wiatr moje wesole wyskoki, i majtek, o nic się nie troszczący, zazdrościł mi: dzisiaj jestem posepny, milczący, prawie zły, gdyż smutek, co przyszedł do mnie pomimo mojęj woli, chwycił mię gwałtownie za gardło. Smutek i prawdziwa dobroć nie dają się z sobą pogodzić; jak nikt go nie żałuje, tak on nie żałuje nikogo, a człowiek dobry jest człowiekiem litościwym.

Tylkom co opuścił kraj, gdzie ta choroba duszy jest nieznaną. Radość w *Wahoo* przebija się w zabawach, w zatrudnieniach najlichszych, w kłótniach, może nawet we śnie. O! czułem się szczęśliwym, pełnym siły i życia, pośród tej wielkiej gromady dzieci, pojmując że rozkosz jest dobrodziejstwem, z którego zawsze korzystać potrzeba. Przypominam sobie wszystkie zdarzenia moich przechadzek, moich wędrówek, moich wycieczek: Amuru, Lahena są tam w mo-

jéj pamięci, jakby dwie siostry kochane; są w moich oczach, jakby dwie pamiątki pełne pociechy, jakby dwa porty spokojne po burzach wieku i namiętności..... A jednak Lahena i Amuru ciążą mi, przykrzą się mi; gniewam się sam na siebie, że myślę jeszcze o ich świeżych aleach, o ich cichych domkach, o gościnnych tych domków mieszkaniach. Nie pojmuję jak mogłem sobie podobać w tych dwóch ziemiach żywnych, wesołych, szczęśliwych, i dąsam się przeciw mojemu szczęściu przeszłemu, jak gdybym coś stracił na tém, że byłem szczęśliwym. Dla czegoż stałem się złym? Czyż moja dusza uwiędła bez przyczyny? Nie, jestem smutny, ot i wszystko, i ten co się do mnie uśmiecha, obraża mię. Och! gdybyś ty był smutnym jak ja, jabym mniej był smutnym, przysięgam ci. Tak, dokonałem trzy czwartych części moich utrudzających wędrówek po wszystkich stronach świata; przechadzałem się po gruntach jałowych, po świeżych murawach, po ognistych szczytach; poznałem i opisałem obyczaje dzikie i dusze piękne z natury; walczyłem z tysiącem niedostatków, z tysiącem niebezpieczeństw odnawiających się ciągle; widziałem znikających na zawsze pod wodami niektórych z moich najzaśniejszych towarzyszy podróży, i wielu z moich najdzielniejszych i najmiłszych majtków; teraz dotykam się prawie nogą téj Europy, której przecie zdawało mi się, że dałem kiedyś ostatnie pożegnanie; przybywam, nie pozostaje mi więcéj jak sześć czy ośm tysięcy mil do przebycia, i smutek sączy się w moje żyły, i smutek gryzący jak minione przywiązanie, chwyta mię i nieopuści aż się Bogu spodoba, gdyż Bóg jeden jest mocen do zwalczenia i zwyciężenia téj potęgi współzawodniczej, przeciwko której wyteżyłyby się nadaremnie najodważniejsze usiłowania ludzi.

Ach! to dla tego, że im więcéj zbliżamy się do celu pożądanego, tém bardziéj lękamy się, żebyśmy go doścignąć mogli; to dla tego, że się hartujemy wśród przeszkód, że energia rodzi się z pokonanych trudności, i że wtedy, kiedy przebyliśmy wszelką trudną przeprawę, drżemy o to, żebyśmy nie byli zatrzymani w dalszym biegu przez kamyk na drodze, lub strumień ją przerzynający. Smutek nie ro-

dzi się bynajmniej wśród niebezpieczeństwa; nawiedza on tylko człowieka drzemiącego lub bezczynnego.....

A potem jeszcze, zostawiłeś tam, w dniu twojego odjazdu, ojczyznę, wiernych przyjaciół, braci pełnych przywiązania, matkę co jest samą miłością..... Któż ci zaręczy, niestety! że znajdziesz za powrotem tę ojczyznę, tych przyjaciół, tych braci, tę matkę? Któż cię zapewni, że ich przywiązanie nie osłabiło się przez oddalenie; że inne przywiązania nie zastąpiły miejsca tych, które zawsze zachowujesz w swém łonie? Któż cię zapewni, że nieszczęście nie dotknęło wszystkiego tego co kochałeś, wszystkiego co kochasz jeszcze?

A te wstrząśnienia kraju, który opuściłeś silnym i potężnym, któż ci zaręczy, że one już ustały; że wieńce dawniej chwały nie zwiędły; że tron nimi się opiekował; że nienawiści nie skały ich swém nieczystém tchnieniem?

Ależ jedna z tych myśli może wyrwać na twém czole smutek i zniechęcenie; jedna z tych posępnych myśli może pozbawić barwy te świetne obrazy, wśród których tak często zwykłeś przebywać; i kiedy wszystkie jak widziadła zaczną się tłoczyć razem w twój umysł przerażony, gdzież znaleźć siłę do walczenia z nimi i pokonania ich?

Powiedziałem ci już, smutek jest zabójczym.

A jednak, śmieją się w około mnie. Okręt na wodach gładkich posuwa się śmiało, popychany przez wiatr pełny i regularny; niemasz bynajmniej chorych w gwarnych izbach; śpiewy rozlegają się na pokładzie, i wody spokojne przed nami..... Otóż! wszystko to połączone razem, podwaja smutek, pod którym upadam.

Gdyby tam lub owdzie byli nieprzyjaciele do zwalczenia, skały ostre do uniknienia, lub do poznania, poszukiwanie do zrobienia, o! wtedy zmuszony uczuciem powinności, lub gwałtownością wypadków i rzeczy, wtedy może walczyłbym z korzyścią przeciwko złemu wewnętrznemu, co mię pożera. Ale nic, nic prócz jednostajności żeglugi bez burzy, bez wypadków, bez odmian, bez rozwiązania tragicznego. Boże! jak szczęście jest ciężkiem do zniesienia! — Cicho!

Ziemia! Ziemia przed nami!.... Wszyscy są tam, oparci na parapiecie, z oczyma w dal utkwionemi, żarliwie walczący o to, kto pierwszy powita skałę, równinę lub górę, której Ocean obmywa bezustannie podnóże samotne. Czy to nowa wyspa, którą ognie podmorskie wyrzuciły? Czy to ziemia zamieszкана przez ludy dzikie? Czy ład szlachetny, gdzie krajowcy dopełniają świętych obowiązków gościnności? Ach! cóż mię to obchodzi! Smutek opanował mą duszę; co rozrywa, co bawi, co zajmuje innych, nie robi na mnie żadnego wrażenia, i zaledwo że rzucę okiem na widnokrąg, który się coraz bardziej ścieśnia.... Czy ci nie powiedziałem już, że Bóg jeden jest możnowładcą smutku!

— Ziemia! woła majtek będący na straży. Każdy śpieszy na swoje miejsce; ja stoję na swoim, gdyż i ja mam obowiązek do pełnienia; ale ten obowiązek, któremu wczoraj jeszcze oddawałem się z takim zapałem, cięży mi teraz; nie jest to już wytechnienie, rozrywka, jestto ciężar, pod którym się uginam. Chciałbym, żeby mię pozostawiono w moim stanie otrętwienia, prawie nicości.

Co robimy ze wstrętem, to zawsze źle robimy. We wszystkich zabawach, we wszystkich pracach, we wszystkich uroczystościach, potrzeba, żeby umysł i serce miały udział; każdy popęd stąd pochodzi. Kiedy radość wymyka się na zewnątrz, to dla tego, że dusza jest nią za nadto przepełniona, żeby ją mogła w sobie ukryć, i dla smutku to tylko, niestety! znajdujemy dość przestrzeń w nas samych. Mieści się on we wszystkich zakątkach naszej duszy. Im więcej go jest, tém się mniej na zewnątrz ukazuje; jestto ciało nieszczęśliwego, dręczonego w ciasnym więzieniu; wysilenia jego wstrząsają mury więzienia, ale ich nie rozszerzają.

Jednak powinienem poddać się także prawidłom mnie wskazanym, i jak niewolnik przy robocie, uginam się pod pletnią i prętem żelaznym.

Ta gorączka powolna, co mię trawiła i zabijała we mnie samą nadzieję, ustąpiła wreszcie woli prawie nadludzkiej; odzyskałem mą zwykłą wesołość. Według mnie, jedyne lekarstwo prawdziwie sku-

teczne na smutek wewnętrzny i głęboki duszy, jest smutek wszystkiego co nas otacza. Jeść obok zgłodniałego, jestto podwajać jego głód; śmiać się obok boleści, jestto powiększać jej szarpania, jestto nagrawać się z męczarni, a wszelka męczarnia obraża i dopieka.

W pracach codziennych nie byłem już tak niedołężnym, tak powolnym. Cała moja przyszłość upiększała się ozdobą moich dni minionych. Wyciągałem już rękę do moich przyjaciół Europejskich, których nie spodziewałem się już oglądać; marzyłem o chwale i szczęściu.

Byłem w samych początkach jeszcze tego cudownego wyleczenia z choroby, w której tęsknota do kraju grała zapewne największą rolę, kiedy usłyszałem kogoś pukającego do ścian dźwięcznych mojej izdebki.

— Czy to ty, doktorze?

— Ja.

— Możesz wejść, ja nie śpię.

— Tęm lepiej, więc wchodzę.

— Jakto! to ty, mój dzielny majtku!

— Tak, to ja, do milion kroć set! przychodzę powiedzieć Panu, że nim pogardzam.

— Siadaj, mój dzielny chłopaku.

— Nie, lepiej postoję, tak mi będzie zręczniejsz do robienia gestów, a potem mogę załamać tę skrzynię, w której jest wino, róm i wódka.... Nie prawdaż, że tam jest jeszcze wódka?.... Gdybym ją załamał, byłoby to wielkie nieszczęście, którego nie odżałowałbym nigdy.

— No, mniejszać z tē, stój sobie, i powiedz mi, dla czego mną pogardzasz.

— Bo Pan jesteś kura zmokła, bo Panu brak energii. Energia, widać Pan, jestto winda, która powiększa się przez się; jestto broń, której nie należy upuszczać na ziemię; bez tego jesteś Pan genius.

— To tedy postrzegłeś, że splin opanował mię?

— Niewiem, czy to ten łotr P. Splin, czy który z jego krewnych; dosyć, że Pan stałeś się już tak chudym jak pół porcji; wyżółkłeś jak małpa Chińska, a zesmutniałeś jak osada, w której dysenterja pa-

nuje. To mię tak gniewało, proszę Pana, że dzisiaj rano puściłem fimię w nos Mikołajowi, Pańskiemu służącemu, a i brat jego, co mu pośpieszył na pomoc, oberwał także.

— Co za urwis z ciebie!

— O! ja nie przeczę temu. Za nadto kocham Pana, żebym się miał z nim spierać w tym względzie; ale co się tycze pańskiego splinu, jak go nazywasz, to niech on więcej nie powraca, jeśli Pan niechcesz, żebyśmy mu dali enemę z wody.

— Piękna mi przyjaźń!

— To prawdziwa, to gruntowna przyjaźń. — Zresztą, czy Pan uważasz, że już nie powtarzam przekleństw więcej.

— Jeszcze nie zapomniłeś zupełnie dawnego nałogu.

— A! do milion krośset! od razu wyleczyć się nie można. Z resztą, jestto ozdoba języka francuzkiego, a szczególnie marynarskiego.

— A więc dziękuję ci za twe usiłowania.

— Cieszę się z tego; ale nie idzie tu o to. Przyszedłem w imieniu moich towarzyszków, zalecić Panu, żebyś nas odwiedzał niekiedy na przodzie okrętu, posłuchał naszych facecyj, opowiadań Dinaga, Mimjela a razem téż i moich. Twój smutek, panie Arago, i nam wszystkim nieco się udzielił, a ponieważ nie pozostaje nam więcej jak sto, czy dwakroć sto tysięcy mil do zrobienia, potrzeba się śmiać.

— Podziękujesz za to twoim towarzyszom.

— Byliśmy tak strwożeni widząc Pana z policzkami zapadłemi, oczyma zagasłemi i mową gorączkową, że ja sam nie śmiałem od dwóch przeszło tygodni przyjść do Pana z prośbą tylko o pół butelki wina; a przecież to tak mało.

— Wypełniłeś twą powinność.

— Nie wypełniłem, Panie; moją powinnością było prosić Pana o całą butelkę.

— Ależ, mój przyjacielu, mój zapas się wypróżnia.

— Ja wiem to dobrze, do milion krośset! im więcej tracimy przyjaciół, tém bardziej się przywiązujemy do pozostałych.—A więc, panie Arago, ponieważ przyszedłem pocieszyć go i razem wyburczyć; oddaj mi Pan wet za wet: nazwij mię pijakiem, i nałej.

— Ty wiesz, jak się otwiera ta skrzynia; spróbuj teraz.

— Ha! to nie trudnego..... Oto tak, nieprawdaż? Jedną tylko, czy tak?

— Jedną.

— Dwie? czy tak? nie prawdaż?

— Mówiłem ci, że jedną.

— E, mówiłeś Pan że dwie. Ot, zapytam się u Larosza, który jest tam wysoko na wielkim maszcie; on musiał słyszeć. Do milion kroćset! jakie to szczęście żeglować z marynarzami takimi jak Pan!

— Ha, dojadła mi już wasza żegluga.

— Porzuc Pan takie rzeczy mówić; to Panu się tak zdaje, z powodu tych dni smutku, które przepędziłeś; ale uprzedzam Pana, że gdy ci się to trafi jeszcze, gdy obaczymy Pana na pokładzie, albo w izdebce, z głową spuszczoną, czołem bladym, miną kwaśną, to jakim majtek, nie przyjdę do Pana prosić więcej choćby o kropelkę wina aż do końca podróży..... Zobaczysz Pan!

W kilka minut potem wyszedłem na pokład i ujrzałem czterech najlepszych tykaczy osady wiodących rozmowę z memi dwoma flaszami wina, i uśmiechałem się na widok tego obrazu.

Dobroczynność nie będzie tylko najdzielniejszym lekarstwem na smutek duszy?

Wdałem się znowu w filozofję! ależ się uczę na każdym kroku mojej wędrówki.... Wiele już widziałem i wiele poznałem; pozwól mi zwrócić się ku przeszłości, ta nam czegoś dostarczy.

XX.

JĘZYKI.— JAK SIĘ ZALUDNIAŁY ARCHIPELAGI.

Była to wielka i szlachetna myśl tego człowieka, co ośmielił się szukać rozwiązania zadania, którego rezultatem było sprowadzić wszystkie języki Europejskie do jednego. Ale Henryk IV marzył o rzeczy niepodobnej. Europa była za nadto zaludniona; charakter narodów był za nadto rozmaitym, odrębnym; wszystkie one miały za nadto wiele dumy narodowej, żeby dobrowolnie zrobić ofiarę, której wymagano od nich, na korzyść jednego, lubo rzeczywiście pożytecznym to było dla wszystkich. Ale czego probowano bez skutku w świecie cywilizowanym, mogłoby, jak sądzę, z wielkim podobieństwem do prawdy być uskuteczniłem pomiędzy plemionami przebiegającemi wewnątrz ogromnych lądów, i osiadłemi na Archipelagach wszystkich mórz, nadewszystko gdyby starano się, wstępując w ich ziemię, zniewolić ich raczej dobrodziejstw, niżeli straszyć groźbami. Przychylność jest najpewniejszym środkiem przekonania. Dziś, wszelkie usiłowania w tój mierze byłyby daremne; potrzeby pomnożyły liczbę wyrazów; należałoby wiele się odczytać, żeby się odrodzić. Za nadto wiele jest współzawodnictwa, za nadto wiele nienawiści pomiędzy krajowcami sąsiednimi, żeby jedni i drudzy zgodzili się wyprzeć swojej mowy. Widzisz więc, że cywilizacja przynosi niekiedy z sobą i przeszkody.

Ponieważ chcę, żeby dzieło, które piszę, nie było rozrywką przemijającą; ponieważ spodziewam się, przedewszystkiem, że przy-

niesie jakąś korzyść wędrowców, mam zamiar dodać na końcu mojego ostatniego tomu słowniczek dokładny plemion wszystkich tych krajów, które przebiegłem; a jakkolwiek oschłe będą te karty dla tych, którzy w podróżach lubią tylko silne wzruszenia, śmiem rokować sobie, że wszyscy będą mi obowiązani za ciągłe usiłowania, których nie szczędziłem; za cierpliwość, która mi była potrzebną; za niebezpieczeństwa, na które się narażałem, żeby uczynić tę trudną pracę o ile można zupełną. Nadto, nie wiele stronnie dostatecznymi będą do uzupełnienia tego przedsięwzięcia, które nie pozostanie bez ogólnej użyteczności. Kto wie, gdzie los cię może popchnąć kiedyś?

Niemasz może czytelnika, któryby kilkanaście razy nie zapytał siebie: jakim sposobem mogłem się dać zrozumieć plemionom dzikim, które zwiedzałem, i jak mogłem być rozumiany od tych nadewszystko, których pojętność musiała być bardzo mało rozwiniętą? Jednakże jestto rzeczą najprostszą w świecie, i kilka wierszy dostateczne będą do wyjaśnienia faktu, tak dziwnego na pozór.

Przypuszczam, naprzykład, że mam do skuteczenia wyprawę do Hottentotów, do Kaffrów. Cóż mam najprzód do zrobienia? Oto wywiedzieć się o ich obyczajach, poznać przeszkody, jakie mogą spotkać w mej drodze i przygotować przedmioty zamiany; gdyż tu handel jest ofiarą dla Europejczyka, a każda ofiara jest zwycięstwem.

Ale osada, którą opuszczam, żeby się zagłębić w ich pustynie, jest sąsiednią miejscem, które chcę zwiedzić. Osada ta zdobyła już ludzi, choćby pomiędzy zwyciężonymi i malkontentami. Ci ludzie, w połowie dziecy, w połowie oswojeni z nowymi przywyknieniami, które im narzucono, nie zapomnieli swój mowy; poszukuję ich tedy, rozpytuję się ich w języku, którego panowie ich powoli wyuczili, i niewiele dni, czasem niewiele godzin dostateczne są, żeby wiedzieć tyle co i oni.

A to dla tego, że zbiór wyrazów tych ludów jest bardzo ograniczony; że słowa ich są raczej wyrażeniem potrzeb niżeli myśli, i my posiadamy niekiedy w jednym pokoju więcej przedmiotów, z któ-

rych każdy ma odmienne nazwanie, niżeli oni mają ich na całej ziemi, którą przebiegają.

Maty plecione, szałasze, łódki, maczugi, łuki, dalej nazwania kilku ptaków, kilku zwierząt, rzek lub ruczajów, zarośli lub ryb... I już wiesz wszystko, możesz podróżować u Hottentotów lub Kaffrów. Łatwo ci dać poznać twoje potrzeby, jeśli nie twoje życzenia; a potem za pomocą gościów, nieco mimiki i dużo cierpliwości, dopniesz swego celu. Jeszcze to nie wszystko: frazes, perjud, nie istnieją u tych ludów nieucywiliżowanych; zbytek to namiętności i potrzeb zrodził może zbytek w mowie: każde zetknięcie wpływ wywie-ra, każde starcie się przeobraża. Kiedy ludy wschodnie przemawiają, jestto rzeka, co się toczy; Kamezadale i Nowi Zelandczykowie nie mają perjudów na użytek swych potrzeb.

Otóż, tę prostotę mowy, że się tak wyrażę, możesz jeszcze, jak to już powiedziałem, ścieśnić za pomocą wyrzutni, której zapewne kraj dziki nie znał nigdy imienia, ani znaczenia. I tak, zamiast powiedzieć: «Dam ci nóż, jeśli dasz mi zwierzynę,» powiesz pokazując swój przedmiot zamiany, który mówi tyle co twoje usta: «Ja, nóż; ty, zwierzynę.— *Satu pino, satu ajan.*» Widzisz, jak się wszystko uproszcza.

I któż to przyszedł w pomoc w tym sposobie tak prostym tłumaczenia się? Któż? Dziecy sami przybywając do nas, to jest, do naszych miast lub osad Europejskich. Zaimki, czasy, rządy znikają u nich: naginają oni język do swój zdolności, i to wystarcza.

— Panie, nie chcieć.— Ja, nie biedz.— Ja, jeś.— Ja, nie zabić biały.— Wielkie lasy w kraju mnie.— Ty dobry, ja dobry.— Jeśli ty tam, ja tu....— Te skrócenia stanowią djalekty pierwotne wszystkich ludów ziemi, i my zepsuliśmy ich czystość zbogając je. Zbytek psuje.

Tak więc, nie przeczę trudności, jakie mieli do zwyciężenia pierwsi żeglarze; ale dzisiaj, z małemi wyjątkami, łatwo jest dać się zrozumieć od wszystkich ludów na kuli ziemskiej, gdyż wszystkie widziały Europejczyków, i w naszych osadach znajdziesz prawie zawsze

krajowców z Archipelagów, lub wysp oddzielnie leżących, które masz zwiedzić.

Porównyując pomiędzy sobą rozmaite zbiory wyrazów, ogłoszone przez wielu podróżników, postrzegamy niekiedy tak wielkie różnice, że nie podobna jest nie przypuścić w tém błędów, które pożyteczną rzeczą byłoby sprostować. Z resztą, każdy żeglarz pisze sposobem wymawiania jemu właściwym. Owoż, gdy litery u Anglików, Rossjan, Portugalczyków, Francuzów, nie jednostajnie się wymawiają, stąd już muszą pochodzić niektóre odmiany; ale znajdują się wyrazy zupełnie od siebie różne, całkiem przeciwne, w tych słownikach drukowanych w celu pożytku ogólnego, a sądzę że w moich poszukiwaniach przyłożyłem tak pilnego starania do dokładnego przełożenia wyrazów, że jestem pewny, iż za pomocą mojego słowniczka nigdy omylić się nie można.

Pozwól mi przytoczyć, w przedmiocie tych słowniczków, małą anekdotę, dosyć ciekawą; wnioski do wyprowadzenia z niej łatwe.

Na jednym z Archipelagów Wielkiego Spokojnego Oceanu, pewien Kapitan, którego nazwiska niepamiętam, siedząc pośród wielkiej gromady wyspiarzy, rozpytywał ich o nazwiska rozmaitych rzeczy, podpadających mu pod oczy, i przenosił je natychmiast tłómacząc na papier. *Kokos, łódka, morze, kobieta, głowa, udo, ramię, goleń, król*, były dokładnie przełożone, i krajowcy nie zdawali się być obrażonymi tym rodzajem dosiedzeń, które jednak zdawały się im być dzieciństwem. Lecz, sprykrzywszy sobie to zajęcie, postanowili nie przedłużać go więcej, odmawiając nowych objaśnień.

Kapitan nie skończył był jeszcze swęj pracy, i licząc ciągle na tę samą usłużność ze strony swych nauczycieli, pytał dalej, jak się nazywały: *oczy, zęby*? Ten, do którego pytanie to zwrócone było, odpowiedział wyrażeniem znaczącem: *ty nas nudzisz*. Następnie Kapitan z tą samą ufnością, pytał o wyrazy: *burza, Bóg, brat, miłość*? i ci odpowiadają mu z tą samą zimną krwią: *Ty się nam uprzykrzasz, Idź sobie, Lepiejbyś zrobił, żebyś milczał*. Owoż, pojmujesz, że żeglarze, którzy się zasadzali na

tych objaśnieniach, musieli być dobrze przyjęci, kiedy pokazując nóż, albo wskazując na Niebo, przemówili do biédnych, zdziwionych wyspiarzy: *Idź sobie*, albo: *Lepiejbyś zrobił, żebyś milczał*.

Jestto rzecz godna szczególnej uwagi, ten stosunek, jaki zachodzi pomiędzy językiem pewnych ludów a charakterem ich przywyknień i namiętności. Ale także jest rzeczą bardzo ciekawą, różnica zachodząca pomiędzy djałektami plemion dzikich sąsiadujących z sobą. Tak naprzykład: język *Pajkisów* jest czysty, urywany, ostro wyrażający się; język *Mondruków* powolny, trudny w wymawianiu, niewyraźny. *Butykudy*, poważni w swém obejściu się, poważnymi są także w swój mowie, bez giestów, bez wykrzywień, ale wymawianie ich zepsute zapewne przez śmieszny zwyczaj noszenia kawatka drzewa u wargi spodniej. Hottentoci wydają pewien rodzaj kwiku, zapowiadającego zezwierzczenie niewoli. Przebija się hańba i ucisk w tych dźwiękach posępnych i płaczliwych, wymykających się z gardła ciężko oddychającego i smrodliwego. W ich mowie czuć się daje głupowatość zwierzęca, a widząc ich i słysząc, dziwisz się, że Hottentot chodzi na dwóch nogach, jak ty i ja. Język Kaffrów nie daje się wyrazić za pomocą naszych alfabetów; składa się on ze zgłosek krótkich i gardłowych, przecinanych ciągłym klaskaniem języka o podniebienie, jak czynią jezdecy, którzy chcą pobudzić konia do biegu. A co dodaje jeszcze osobliwości téj dziwnej mowie, to szybkość giestów, oraz poruszeń głowy i rąk rozmawiających; to bawi, rozwesela, zadziwia, i z niejakiem podobieństwem do prawdy możnaby powiedzieć, że język Kaffrów złożony jest z wyrazów akcentowanych i z dziwacznych poruszeń. Kilku takich ludzi przysadzistych, silnych, męźnych, okrutnych, gdyby prowadzili z sobą rozmowę ożywioną na teatrze Paryżkim, mogliby z bogacić dyrekcję. Pozostawiam ten pomysł naszemu dzisiejszemu spekulantom.

Ale co warto widzieć przedewszystkiém w mieście *Kap*, to Kaffra lub Hottentota, z jego instrumentem muzycznym, szukającego wklęsłości muru lub bramy, stojącego tam, tupzącego nogami, i poruszającego palcem szybko biegającym strónki przywiązane do bam-

busu, skorupy żółwiów lub tykwy i śpiewającego pieśń wojenną lub miłą. O! to rzecz przedziwna! odurzająca! Muzyka jest także językiem.

Mowa nieszczęśliwych krajowców półwyspu Peru jest wrzaskliwa, złożona nadewszystko z samogłosek *a* i *e*; rzekłbyś, że to muszle uderzane o muszle; i nie jestto bynajmniej, ręczę ci, pamięć tej ziemi niewdzięcznej, złożonej z muszel pobitych, co mi dostarczyła tego trafnego porównania.

Można się śmiało założyć, że mowa mieszkańców półwyspu Peru składa się nie więcej jak z trzydziestu, czy czterdziestu wyrazów. Nie potrzeba im więcej dla wyliczenia ich bogactw i ich namiętności; uczucia zaś ich mogą się wyrazić w niewielu zgłoskach.

W Timor język twardy, dziko brzmiący; wyrazy z jakimś szczególnym dźwiękiem obijają się o uszy, i samogłoski naszego alfabetu spotykają się z sobą z różnaitością przykrą i rażącą. Rzekłbyś, że to nie huk grzmotu, ale trzask piorunu. Obyczaj Timoryjczyków odbijają się tam jak w zwierciadle.

Ombay jest dźwięcznym echem Timoru. Nie trzeba rozdzielać tych ludów, równie jak ich nie rozdzieliło przyrodzenie, mieszcząc ich jedno przeciw drugiemu, i tworząc ciałninę od czterech mil szerokości, oraz zbliżając ich bardziej jeszcze do siebie przez charakter jednostajny ich bogatych dolin i gór z lawy, chropowatych i przepalonych. Ombay nie jest czém innym jak Timorem odmłodnionym.

Mowa mieszkańców Rawaku, Wajggjonu, i ziemi Lapończyków przejęła coś od tego gruntu bogatego i żyznego i od natury ich klimatu tłumiącego oddech; jestto nagromadzenie zgłosek bez żadnej pomiędzy niemi przerwy, tak że sądziłbyś, iż okresy składają się z jednego tylko wyrazu, albo raczej, że każdy z tych wyrazów jest długim okresem.

Czamor jest zbyt poetycznym, zbyt hojnym w przenośnię, zbyt bogatym w obrazy. Musiał on uleść pod przeważną potęgą Hiszpanów,

którzy go przytłumili już wspaniałą harmonją swego języka, skażonego na wyspach Marjańskich.

Co do języka Karolińczyków, niewiem czy szczęśliwe z natury usposobienie dobrych i szlachetnych mieszkańców tego błęgiego Archipelagu utworzyło czy téż potwierdziło tylko moje zdanie: ale to pewno, że znalazłem u tego ludu, najszcześniejszego w świecie, wdzięk, słodycz, harmonję, które ze wszelką łatwością trafiają do duszy. Są to zmiany tonu pełne uroku, jestto muzyka porywająca; rzekłbyś, że to pieszczota, że to modlitwa do nieba; dwaj przyjaciele, dwoje kochanków, nie mogą czynić inaczéj swych słodkich zwierzeń, i nie nie byłoby łatwiejszego, jak oznaczyć nókami mowę tych istot gościnnych, u których pobożne uczucia wieku dziecinnego zdają się trwać do najpóźniejszej starości.

Wyspy Sandwich zdają się popierać takóž moję teorję; w mowie ich mieszkańców daje się czuć już to chropowatość gruntu, już to jego bogactwo i płodność.

W Owhyi lubo język tenże sam co w Mowhyi i w Wahoo, jest w nim jednakże więcéj szorstkości, i że tak rzec można, więcéj fanfaronady, niżeli w języku ich sąsiadów. Też same zgłoski wymawiają się jednakowo w obu językach, ale tam wypadają one nagle, sposobem dźwięcznym i szybkim; tu dają się słyszeć z mniejszym zapędem. A to dla tego, że w głównej z wysp tego Archipelagu lawa wulkanów przytłumia roślinność, w innych zaś bogactwo gruntu przemaga nad wstrząśnieniami ziemi i nad wściekłością kraterów, w polowie przygasłych.

Wiesz, że mowa Kreolów jest przyjemna, czysta; Malgaszów przykrobrzmiają; djalekt Orasów powolny i bojaźliwy. Opieram się na tych postrzeżeniach, zrobionych przedemną przez wszystkich podróżników, dla wsparcia mojego systematu; a jeżeli gdzie na świecie znajdzie się wyjątek, mówiący przeciwko niemu, użyję go dla potwierdzenia tegoż prawidła ogólnego, co go djalekty dzikich, równie jak języki Europejskie, pomimo zmian, sprawionych przez cywilizację bezustannie postępującą, wspierają i wzmacniają. A kiedy nawet dowodziłbym błędu, jakież to byłoby następstwo?

Oto :

Ja zostawałbym w błędzie, a więc mój przeciwnik miałby słuszność. Żądamże czego innego?

Niech prawda bierze górę, mniejsza o to jakie usta ją głoszą. Ze starcia się to zdań przeciwnych wytryska światło.

Teraz, kiedym wyjaśnił niektóre moje myśli względem djalektów rozmaitych ludów rozrzuconych po obszarach Oceanu, spróbujmy dojść, jak się zaludniły Archipelagi wszystkich części świata: już to coś znaczy, wskazać drogę pożyteczną do przebieżenia.

Skąd przyszedli ludzie, co pierwsi zamieszkali ziemie oddzielone od lądów? Jestto kwestja trudna do rozwiązania, a jednak jestto kwestja ważna, wiele znacząca, żywotna, którą nauka nie dosyć zbadała, może dla tego że nauka nie lubi postępować od nieznanego do znanego. Jednakże, rozpatrując się pilnie w kodeksach starożytnych, które rządziły wielkimi narodami, osiadłemi nad brzegami Oceanów, możeby się udało znaleźć, przez stosunek zachodzący pomiędzy ich prawami pierwotnymi a prawami, pod którymi żyją teraz ludy Archipelagów Oceanowych, rozwiązanie ciekawe zadania tyle zajmującego.

Mało jest rzek na świecie, których źródła nie byłyby odkryte przez podróżników. Czyż początek ludu jest mniej nauuczającym, albo mniej ważnym do poznania? Nie sądzę.

Już to jest rzeczą dość dziwną, samo to zaludnienie wszystkich wysp Oceanu Spokojnego, oprócz niektórych, w małej liczbie, gdzie życie fizyczne jest niepodobnym; ale, po uznaniu tych przypadków wyjątkowych, poradzmy się faktów ogólnych.

Że wyspy leżące w sąsiedztwie lądów otrzymały swych mieszkańców z ziemi stałej, żadnej w tém wątpliwości, gdyż rzeczą jest prawdopodobną, że nacisk bałwanów lub wstrząśnienia podziemne oderwały je od lądu, i otworzyły pomiędzy niemi a ich ziemią macierzyńską kanał je oddzielający.

Może takż przed przyjęciem istot je zaludniających, wypadek, z którego one powstały, miał miejsce, i one się zaludniły nie pierwiej jak po tym wypadku.

Ale inaczej się rzecz ma z temi lądami ogromnemi, z temi górami wyniosłemi, których podstawy kryją się w głębi mórz, i które oddzielają się od lądów niezmierną przestrzenią Oceanu.

Pojmuję bardzo dobrze, że mieszkańcy Archipelagów mało od siebie oddalonych, mają tenże sam początek, pomimo różnorożności, jaką znajdujemy niekiedy w budowie ludzi i w płodach przyrodzenia; zgadzam się na to chętnie, że wyspy Przyjacielskie, Towarzyskie i Fittzy, naprzykład, przedstawiają także pomiędzy sobą podobieństwa, że nie trudną może byłoby rzeczą, oznaczyć dość dokładnie epokę ich rozdziału fizycznego i moralnego. Ale, powtarzam raz jeszcze, sąto fakta szczególne, niezdolne do zwalenią zasady ogólnej, którą utrzymuję, to jest: że według wszelkiego prawdopodobieństwa, Chiny i Japonja zaludniły cały Ocean Spokojny aż do północnej strony Nowej Hollandji, téj ziemi wyjątkowej, gdzie roślinność odrębna, przyroda martwa i żyjąca niepodobna do jakiegóbydź innej, więcej daleko różniąca się od wielkich lądów jój sąsiednich, jak od lądów przedzielonych z nią wielką przestrzenią wód.

Ziemia Van-Diemen należy, bez żadnej wątpliwości, do Nowej Hollandji. Krajowcy Nowej Gallji południowej są braćmi krajowców ziemi Van-Diemen; ale tam, obok, niedaleko lodów bieguna południowego, znajdujesz Nową Zelandję zaludnioną ludźmi silnemi, dzikarskimi, barczystymi, przemysłnemi, wojownikami dzikimi i nieposkromionymi; wówczas gdy tutaj, około tych miast pięknych i bogatych, które Anglja tak szczęśliwie rozsiała na korzyść swojego handlu, żyją i umierają istoty czarne, kędzierzawe, słabe, bez pojętności, i blizkie zniknięcia z powierzchni tego lądu tajemniczego, gdzie powinnyby byli zaczerpnąć więcej energii na łonie cywilizacji ich odradzającej.

Za pierwszym rzutem oka na wyspy Filipińskie, jesteś wnet uderzonym podobieństwem fizyczném ich mieszkańców z Chińczykami. Jestto tenże sam kształt ciała, ten sam sposób chodzenia, też same prawie obyczaje, taż sama barwa skóry, toż samo lenistwo i taż sama zręczność do sztuk mechanicznych. Później przyszli Hiszpa-

nie z swą cerą miedzianą, która się mieszała z cerą żółtą pierwotnych mieszkańców.

Tu poczyna się różnaitość, tu daje się postrzegać pierwsza różnica, najprzód w budowie fizycznej, potem w usposobieniu moralnym, gdyż te ostatnie zdobycze powolnie się ustalają.

Wyspy Sandwich, ogromny Archipelag zaludniony ludźmi najsilniejszymi i najpiękniejszymi tego Oceanu, leżą niedaleko wysp Filipińskich, oraz Marjańskich i Archipelagu Przyjaciół. Wychodztwa dobrowolne z Chin na wyspy Filipińskie, oraz niedobrowolne, lub zmuszone siłą wiatrów, sprowadziły mieszkańców na te szczyty wulkaniczne, nad którymi panują olbrzymy potężne: *Mowna—Kah*, *Mowna—Le* i *Mowna—Roah*, wspanialsze od Teneryffy; ale tu Chińczyki mniej dają się ucuć, chociaż pewne cechy szczególne jeszcze je przypominają: sąto też same policzki podniesione i wystające, tenże sam skład oczu, taż sama miękkość w obyczajach; ale przytém jest więcej dzikości w charakterze, i barwa ciemniejsza skóry; jestto okrapomieszana z ziemią, jestto żółta farba Chińska zmieszana z brunatną Hiszpańską.

Co do usposobień wrodzonych, niekiedy tak dzikich, mieszkańców tych wysp, nie możnażby odkryć ich źródła w surowej dzikości gruntu nierównego i wystawionego na wstrząszenia, na którym się oni osiedlili? Czyż sądzisz, że wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi, tak częste na tym Archipelagu, nie hartują dusz? Jeśli człowiek cofa się przestraszony na widok pierwszego niebezpieczeństwa, co go spotyka, bądź pewnym, że odzyszcze energię przy nowych próbach, i przekonasz się razem ze mną, że istoty najodważniejsze w świecie są te, które mieszkają na ziemi pełnej niebezpieczeństw, gdyż wtedy codziennie toczy się walka zawzięta, w której sama tylko energia zapewnia zwycięstwo. Dodaj jeszcze do tego, pobyt na tej wyspie Króla potężnego i wspaniałomyślnego, który się ośmielił, w pięknej chwili niepodległości i gniewu, utworzyć księgę praw opiekującą się wszelkimi potrzebami, i podkopującą z gruntu religię barbarzyńską, nakazującą w pewnych okolicznościach głupie okaleczenia i okropne ofiary

ludzkie. Tamahamah odjął władzę tym kapłanom zdetronizowanym, i ofiary bałwanom.

Pójdźmy teraz ku tym krainom więcej umiarkowanym, ku tym ziemiom spokojniejszym; charakter mieszkańców zmienia się znowu, nie tracąc jednakże swój pierwotnej barwy.

Sąto wyspy Przyjacielskie i Towarzyskie, gdzie chęć łupieży popycha często krajowców do morderstwa; ale bogactwo roślinności, piękność nieba, cisza wód, muszą przynosić znaczną zmianę w obyczajach tych ludów, i porównyując ich z mieszkańcami wysp Sandwich, znajdujemy ich w istocie spokojniejszymi, ozięblejszymi, łagodniejszymi, wyjąwszy te przystępy morderczych uniesień, które napadają na nich za przybyciem okrętów ich odwiedzających. Łatwo pojąć, że w tych krwawych walkach charakter przesiąkły, że tak rzec można, klimatem, musi się silniej wykazywać i przybierać na powrót stracone barwy.

Ale wyspy Molujskie podlegają tymże samym prawom, i nie znajdujemyż w charakterze okrutnym Malajczyków zwycięzkiego dowodu przeciwko tej potędze fizycznej, którą przypisuję naturze stref przezroczystych i woniejących?

Nie, zaiste. Malajczykowie stali się złośliwymi i okrutnymi tylko z powodu przesładowania. Chciwość Europejska rzuciła się na nich jak na nieprzyjaciół, i co można byłoby otrzymać przez namowę i dobrodziejstwa, starano się wydrzeć przez gwałt i zabójstwo.

Czyż można odpowiedzieć życzliwością i szczodrocią na kule działowe? Nikt nie jest bezkarnie zwyciężcą, i krew płynie wszędzie gdzie tyraństwo zasiada. To co nazywasz okrucieństwem, jest tylko prawą zemstą; zabójstwa, które nazywasz morderstwami, są tylko słusznym odwetem, a jeśli jeszcze posiadasz cokolwiek, to dla tego, że twoje działa mają odgłos grzmiący, że jesteś rzeczywiście przywłaszczycielem, i że długa niewola osłabia i zezwierzęca.

Państwo Chińskie jest, jak wiadomo, najludniejszém na kuli ziemskiej. Zamknięte w sobie samém, uważa inne ludy za dzikie, a będąc próżném z natury, ma się za najprzemysłniejsze i najoświeceniwsze na ziemi. Co się tycze tego, to polityka i handel Europejski

zdają się przyznawać słuszność Chińczykom, gdyż udajemy się wszyscy do nich po herbatę, porcelanę, tusz, farby, jedwabie i drobnostki, wówczas, kiedy oni nie udają się do nas po żaden z naszych płodów przemysłowych. Stąd tedy uważają się, dosyć logicznie, za potężniejszych od innych ludów, których mało zyskowne kantory nie mogą kwitnąć w kraju, gdzie im nie wolno handlować inaczej, jak w zakresie tylko kilku sążni. Nie mów mi, że jeśli tak się dzieje, to jest winą samych Chińczyków, którzy nie mają żadnej marynarki, gdyż ci odpowiem, że to co nazywasz winą, jest postępkim arcy logicznym, pełnym roztropności i dumy, bo Chiny dowodzą przez to, że nie potrzebują obcej pomocy, i że samo ich odosobnienie stanowi ich siłę.

Przez prawo surowe, w tymże duchu poczęte, niewiem już, jaki Monarcha tego państwa chciał, ażeby każdy poddany, nieobecny w kraju przez ciąg dni piętnastu, ulegał za powrotem ciężkiej karze. Jakież musiał być skutek tej surowości? oto, że dowódczy Tżoruszków, zajmujących się połowem ryb na brzegach, odpędzeni od nich niekiedy przeciwnymi wiatrami, wypływali na otwarte morze i nie ukazywali się więcej w macierzystej ziemi.

Nie potrzeba, zdaje mi się, więcej dla pojęcia, jakim sposobem zaludniły się początkowo liczne wyspy na południu Chin i Japonji, tych dwóch państw współzawodniczących z sobą chwałą, świetnością i tyraństwem.

Ale nie tylko to za pomocą tych cech fizycznych i moralnych rozmaitych ludów Oceanowych, udałoby się może oznaczyć ich początek na pewnych zasadach, nauka także języków i dialektów tych archipelagów byłaby dla filozofji pomocą jeszcze pewniejszą.

Śledząc za postępem czasu, za rozwinięciem tych osad i odległością każdej z nich od lądu, spotykasz niekiedy stosunki tak ściśle, podobieństwa tak uderzające, wnioski tak pewne, że nie sposób jest im zaprzeczyć. Obwód koła przesiąka się zawsze farbami rzuceniami w środek.

Zachodzą wszakże trudności, których rozwiązanie jest tak przerażającym dla rozumu, że się cofamy przed ich ułatwieniem z bojaźni, że-

by ono nie zniszczyło tego, co twe pojęcie przyjęło z początku i za pewne uznało.

O! co ci mam powiedzieć, zakrawa na cud, gdyż sam przypadek nie czyni podobnych dziwów.

Tupimamby i Butikudy, dzicy mieszkańcy wnętrza Brazylii, mają, jak już ci powiedziałem, szczególniejsze zwyczaje: jedni malują swe ciała sposobem sobie tylko właściwym, jak Pajkisy ich sąsiedzi; drudzy zawieszają ciężary na chrząstkach swych uszu, rozciągają je niezmiernie, aż do ramion, i posługują się niemi, jakby kieszenią, do chowania różnych rzeczy. To jest okrucieństwem i głupstwem razem, to się przeciwi wszelkiemu zdrowemu pojęciu, nie prawdaż?... Cóż powiesz? Karolińczycy i Timor oddaleni są od Brazylii na całą prawie średnicę kuli ziemskiej, a jednak uszy Karolińczyków są rozciągnięte podobnie jak Butikudów, podwiązują je zupełnie tym samym sposobem dla chowania potrzebnych im przedmiotów, a u Malajczyków Timoru, podobnie jak u Pajkisów, wyraz *ruma*, znaczy: dom; *pamali*, świąty; tylko że u Malajczyków mówią: *ruma-pamali*, a wewnątrz Brazylii: *kuma-pakali*. Podobieństwo jest uderzające.

Czyż rozwiązałem tę kwestję? Nie, bezwątpienia, i nie to było celem niniejszego rozdziału. Do rozwiązania tego zadania, które podałem, trzeba byłoby długiego badania szczegółów za nadto suchych dla książki takiej jak moja; potrzeba byłoby nadewszystko cierpliwości i nauki, od których posiadania jestem daleki, a przedewszystkiem, wolniejszego czasu i mniej zajętego mnogością przedmiotów mię otaczających.

Chciałem tylko, żeby inni podróżnicy, mniejsza o to na jakich podstawach, wnieśli nowy systemat i otworzyli nowe drogi dla nauki moralnej kuli ziemskiej. Historia ludzi w szczególności jest historją ludów w ogólności. Dla czegożby więc historia Archipelagów nie miała być historją lądów i plemion, które im dały początek? Wieki, pokrywając swym ciemnym płaszczem tyle rozmaitych przyrodzonych własności, może być że wszystko przeistoczyły, zmieniły. Otóż więc, niech filozofja i nauka zagłębiają się w tym chaosie dla

odkrycia prawdy; jestto zajęcie przechodzące moje siły. A z resztą, choćbym miał stracić w opinii całkiem przychylné tych, którzy raczą mię czytać, oświadczam otwarcie, że wolę sto razy uczyć się, niżeli uczyć.

Smutna pamięć ławek szkolnych uleczyła mię od wszelkiego pedantyzmu.

W czasie naszego błąkania się po puszczy, straciliśmy miejsce, któredy weszliśmy, tak że po naszym wyjściu z niej, postrzegliśmy, żeśmy się znacznie oddalili od ścieżki na w pół utartéj, która nas doprowadziła do tego chaosu zieloności

Postępowaliśmy więc prawie na los szczęścia, depeąc kwiaty, krzewy, owady przestraszone temi niespodziewanemi odwiedzinami, kiedy tymczasem muły, wiedzione swym przedziwnym instynktem, kierowały się jakby za pomocą igły magnesowej.

Jednym razem zatrzymują się one całe drżące, i nie zdają się czuć ostrogi szarpiącej ich boki. Grzywy ich jeżą się, z nozdrz ich poczerwieniałych wymyka się para gorąca, z przyspieszonym oddechem; nogi ich, przedtém tak mocne, drżą gorączkowie, i czujemy jakby iskry elektryczne przebiegające koło ich uszu wyprężonych i nieruchomych.... Nie patrzyły one; zdaje się, że nic nie widziały, a jednak silny przestrach trzymał je jakby skrępowane..... Cóż toby miało znaczyć?

Murzyni wiedzieli dobrze co to znaczy, i jeden z nich będący blisko mnie, ukazał mi palcem, pod bananem, straszliwego boa, zwinętego jak linę okrętową, pośród której wznosiła się głowa szkaradna z paszczą-otwartą.

Jan - Jan zbliżywszy się, rzekł do mnie po cichu:

— Pan chceś rzeczy nadzwyczajnych, do kroćset d....! ot i masz czego żądasz; będziesz miał co opowiadać do woli; sądzę, że rozpoczniemy taniec nie bardzo bawiący.

— Milez, odrzekłem mu; ujmij mojego muła za cugle i pociągnij go naprzód.

— Co to Pan mówisz! Żaden kołowrót nie w stanie go zruszyć z miejsca; żaden wiatr północno-zachodni nie popchnie go naprzód o jeden krok.

— A jednak, mój chłopcze, nie możemy tu zostać długo. Gdyby nas noc tu zaścignęła, mielibyśmy piękną zabawkę z temi gadami, co tak trafnie się kierują pośród ciemności.

— Patrz, patrz Pan, Panie Arago, zdaje się, że on gotuje się do napaści; gorąco nam będzie.

Trzeba wiedzieć, że jeżdżę wymienicie konno. Skoro więc muł mój, zagrożony przez boa, skoczył nieco na bok, spadłem z niego i dosyć się stłukłem. Dwa inne muły, jeden tuż obok drugiego, drgające, zadyszane choć zmordowane nie były, zwróciły się tyłem do węża; nie uciekały jednakże, pojmując może, że to poruszenie ściągnęłoby na nie uwagę wspólnego nieprzyjaciela.

Jan-Jan i ja skryliśmy się po za temi dwoma mułami, gdy w tém boa, podobny do płomienia okrętu, rozwija się i rzuca.... O! w tój chwili, muł przestał być nieruchomym, ocknął się on; jakby poruszony wstrząśnieniem galwaniczném dał susa; i jego nogi, odzyskawszy swą moc i sprężystość, uderzały ziemię.

Dusiciel jest w obec nieprzyjaciela godnego siebie; zwija się, rozwija, rzuca na prawo, na lewo, podnosi się w górę jak maszta, pełźnie po ziemi jak ljana i stara się opleść swemi skrętami muła, którego chropowate kopyto całą swą mocą cięży na przeciwniku rozdasanym tym oporem.

Walka była jeszcze w zawieszeniu; każdy z dwóch zapaśników prowadził kolejno bój zaczepny; obaj byli ranieni, lecz obaj jeszcze byli pełni życia. Nie mogąc schwycić wszystkich czterech nóg razem, wąż obwijał się często koło jednej, której kości wtedy trzeszczały od silnych splotów; muł spinał się naówczas i uderzał swojemi wolnemi kopytami o część potwora pełzającą po ziemi.

Ale boa się oddala: sądziłbyś że zwyciężony, patrz.... powraca! Powraca szybki jak kamień ciśniony z procy Balearskiej, jak strzała Malajczyka, jak lot mewy, więcej jak to wszystko, jak piorun przerzynający powietrze.

Już po mule, już go boa chwycił za kark i opasał go jak kat Madrydzki powrozem..... Biędne zwierzę szamoce się jeszcze, próbuje odetchnąć powietrzem, które już nie przeciska się do jego piersi, wydaje głuchy jęk, potem chrapanie, chrapanie przeciągłe, i pada, żeby się już więcej nie podnieść.

Zadowolony swoim tryumfem i bezwątpienia cierpiący też od dających ran, dusiciel uchodzi i ginie wkrótce pośród krzaków w swém milczącym państwie.

— I na co, proszę Pana, Pan Bóg stworzył na świecie takie potwory? zawołał mój majtek krzyżując ręce na piersiach i stając przedemą.... Doprawdy, panie Arago, skłonny jestem do wierzenia, że w Bóstwie jest coś człowieczego.

— Milcz, niebożniku; skłonmy głowę i uwielbiamy.

— Niech i tak będzie, uwielbiamy, byle tylko nie boa.

— Dalój, w drogę, Jan-Janie.

— Ruszajmy, Panie; ale jednego muła nam braknie, poszedł on na dno, a oto tam murzyn siedzi skurczony i zdaje się nie chcieć nam towarzyszyć. Co on tam robi? Chodźmy zobaczyć.

— Nie ruszajcie się z miejsca! rzekli do nas drudzy niewolnicy; ale patrzcie, patrzcie! jak to pięknie, pięknie, pięknie!

Cóż tam robi ten człowiek młody i silny, nieruchomy, kłęczący na jednym kolanie, z ciałem pochyloném, głową naprzód podaną?....

Czyż on wzywa jednego z swych bożków? Czy się modli na grobie matki, albo brata czule kochanego? Zbliźmy się, pomimo przestroż jego towarzyszków.

Co za obraz!

Blizko niego, najwięcej o cztery kroki, ogromny boa, ciemniejszej barwy od poprzedniego, drżał całym swém cielskiem, i zdawał się zostawać pod wpływem przeważnym, od którego nie mógł się uchronić.

Murzyn od czasu do czasu wydawał pewne klaskanie językiem i dawał słyszeć lekkie gwizdzenie, jakby się skarżąc, a oczy gada to się zamykały to otwierały szybko; paszeza jego także zamykała się

i otwierała z niesłychaną prędkością; ślina lipka spływała z jego dziąseł na murawę: to było, wierz mi, straszne i ciekawe razem do widzenia.

Na gwizdzenie głośniejsze niewolnika— władcy wąż spuszcza powieki, zatacza swe sploty jak fala wzdęta nie zbyt silnym wiatrem, obraca się, skręca, rozwija znowu, drży, przypada do ziemi, podskakuje, upada znowu bezsilny, skręcony, wije się, przyciska do ziemi..... a gwizdanie murzyna, ciągle klęczącego, zastąpiły miejsce sylłaby urywane, krótkie, dźwięczne, które wprawiają boa w prawdziwy szal bachiczny... Byliśmy w uniesieniu, w osłupieniu.

— On martwy, rzekł do nas śmiały magnetyzer z miną tryumfującą, on martwy przynajmniej na jakie parę miesięcy.

— Co mu życie odjęło? zapytałem.

— Nie słowo; nie gwizdzenie; spojrzenie moje to uczyniło.

— Skąd nabyłeś téj władzy?

— Ze strachu. Pewnego dnia kiedy boa większy jak ten, chciał mię połknąć, spojrzałem nań jakby błagając o łaskę; patrzałem nań długo oko w oko; on się położył, zasnął, i dzisiaj jestto zabawą dla mnie.

— No, przyznam się Panu, rzekł do mnie Jan-Jan, okropnie się wykrzywając, jestto rozrywka, którejbym nie chciał probować; ale zawsze to rzecz pocieszna, i cóż to za niedołęzne stworzenie ten wąż, żeby się dać oczarować przez oczy tak głupowate jak tego murzyniska.

— Cóż chcesz, mój przyjacielu? głupowatością można często więcej zyskać jak nauką.

— Tém lepiej; takim sposobem mogę być kiedy miljonowym Panem.

Pozostawiliśmy boa w jego odrętwnieniu, pomimo żądania Jan-Jana, chcącego posiekać go swoją małą siekierką, i udaliśmy się w dalszą drogę, zbogaceni niektórymi wiadomościami, które nie będą stracone dla naszej pamięci.

Nim się rozstałem z czarnym czarownikiem, chciałem się przy-

patrzeć jego budowie i jego fizjonomji: jedna była w zupełnej sprzeczności z drugą.

Czoło jego było tak niskie jak u Hottentotów; kąt łzawy oka prawego skierowany był w dół jak u Chińczyków, drugi zaś miał położenie jak u Europejczyków; nos spłaszczony opatrzony był dwoma włosistemi nozdrzami; policzki kościste były bardzo wydatne; uszy chwiały się za każdym poruszeniem głowy, i pomimo najpilniejszego dociekania, nie mogłem się zapewnić, czy włosy były kędzierzawe, fryzowane, czy wełniste; pogmatwane one były w kosmyki dziwacznie sterczące, a co do ich koloru, wyzywam śmiało, was, Decamps, Vernet, Scheffer, Winterhalter, Delaroche, że nie potrafilibyście oddać co one miały brudnego, ziemnego, lipkiego i odrażającego.... a jednak był tam mózg tęgi pod tą pokrywą kościstą.

Powiedziałem ci, zdaje mi się, że zachodziła sprzeczność pomiędzy nędzną powierzchownością tego człowieka a jego pyszną budową. Sądź sam: pięć stóp, dziesięć cali; głowa dumnie osadzona na szerokich barkach, kark żylasty, pierś kwadratowa, włosami obrosła, brzuch pełny choć nie zbyt wydęty; a skoro wyciągnął ramiona, widziałeś jego muszkuły poruszające się jak gady w ciasnym miejscu trzymane.

Ręce Telao miał szcuple, z wierzchu lśniące czarne, paznokcie strasznie długie, cerę żółtą i chorobliwą. Co do jego gołeni, przypominały one mi nie Apollona Belwederskiego, albo Antynousa, ale raczej Herkulesa Farnezyjskiego, albo Laokoona; aż miło było patrzeć.

Jan-Jan miał do niego jakąś antypatję; sztychł z niego i zdawał się szukać z nim kłótni, dla tego że rozmawiałem z nim poufale i opisałem go w moich notatach.... Przyjaźń ma także swą zazdrość.

— Ten człowiek, ten murzynisko, ten psisko osmołony, nie podoba mi się od stóp do głowy, rzekł do mnie wykrzywiając się. Mam wielką chętkę potargać go za jego dwoje uszu, zwisłych jak pletwy bonity.

— Nie rób tego, mój chłopeze! mógłby on cię rzucić na pastwę jakiemuś boja w pobliżu będącemu.

— Ha! sądzisz więc, Panie Arago, że to tak niebezpiecznie jak z kamykami na Teneryffie, lub ze szparami w okręcie źle opatrzonym?

— Nie potrzeba więcej dla sprzątnienia Chrześcijanina..... Nie radzę ci próbować się z Telao, jeśli chcesz wrócić cały do swojego kraju.

— To mi wszystko jedno, nie powiedzą przynajmniej żem stehórzył.... z resztą dawno już jak nie płakałem; nie potrzeba zarzucać dobrych nałogów, i chcę się wziąć zaraz do dzieła.

Na rozkaz wyraźnie przezemnie dany, Jan-Jan obiecał mi być roztropniejszym, a ja zająłem się dalej polowaniem na motyle.

Oddaliłem się zaledwo na pięćdziesiąt kroków od małej karawany, kiedy odgłos podobny do uderzenia siekierą po pniu tęgiego drzewa rozległ się około mnie; śpieszę nazad, ale znajduję już mojego majtka rozciągniętego na ziemi, i mówiącego do mnie głosem bolejącym, że przybywam za późno, i że kwestja już była roztrzygniętą.

— Jaka kwestja, ty ladaco? zapytałem go tonem surowym.

— Kiedy mam ramię zwichnięte, powinienes mię Pan rozumieć.....

— Chciałeś więc spróbować sił swoich z Telao?

— Tak, ale już więcej tego nie zrobię; to pewna, że jest to majtek pierwszego rzędu.

— Jakim sposobem wynikła kłótnia?

— Przypadkiem, Panie Arago, przypadkiem: szedłem obok niego, nastąpiłem mu na nogę i chciałem żeby mię przeprosił, że mi ją podstawił.

— Czy ty chcesz wyjść na łotra? czy nie chciałbyś już ani mojej przyjaźni, ani mojego szacunku?

— Daruj mi Pan to, daruj; ja zawsze pragnąłem i łaknąłem jak tamtęj, tak tego ostatniego; ale kiedy zła myśl cię podżęga, to tak jak prąd co zmusza do zboczenia z drogi; otoż teraz powróciłem do mojego stanu formalnego, jak Pan powiadasz..... Normalnego..... no, mniej-sza o to, formalnego czy normalnego, dosyć, że jestem skaleczony przez tego psotnika, który tam stoi na miejscu jak maszt przodowy, i zdaje się oczekiwać pańskich wymówek.

— To ty wybiłeś majtka? rzekłem do niego z spojrzeniem pełnym dobroci, zadającym fałsz surowości wyrażenia.

— Ja go nie biłem, to on mię bił, a że ja nie jestem jego niewolnikiem, ja się bronilem.

— Dobrze zrobiłeś.

— Gdybyś Pan mię bił, spuściłbym głowę, nachyliłbym karku, ja się nie buntuję.

— To dobrze, Telao, pomóż Jan-Janowi podnieść się, podaj mu rękę, i potrzyj nos twój o nos jego, jeśli się na to zgodzi.

— Wolę raczej potrząść się z nim nosami jak pięściami, rzekł mój majtek, to mniéj niebezpiecznie.

Rzęsiste kielichy zakończyły to zajście. Jan-Jan, któremu Telao podał swe silne ramię, był wsadzony na muła i nasz powrót do przepysznój *fazendy* (*) Sir Barklera odbył się bez żadnego innego przypadku.

(*) *Fazenda*: tak się nazywa posada wiejska w Brezylji.

XXI.

PODRÓŻNICY.

Jak sobie chcesz, ale nie wierzę w bogactwo, z którego jeden tylko korzysta! Dostatki i rozrzutność powinny iść z sobą w parze.

Dziękuję się z moimi przyjaciółmi, niekiedy z moimi nieprzyjaciółmi lub obojętnymi, tém com zebrał, com skupił w moim życiu tak pełnym nadzwyczajnych wypadków..... Niemasz prawa domagać się u mnie więcej.

Mam tu pod ręką kilka kartek napisanych wnet po wypadku. Gdybym je uważał za niepożyteczne, wrzuciłbym je w ogień lub dozwoliłbym im butwieć w mojej tece; ale mam trochę próżności, mam jęć tyle, żeby być przeświadczonym, iż nie wszystko było jałowem w mém życiu pełném trudów i badań; a ponieważ jestem tego przekonania, które mi przebaczysz, jestem tego pewny, przyjmij więc moje zwierzenia się.

Mówić bezustannie do umysłów li powierzchnowych, jest zatrudnieniem, którém pogardzam: co jest niepożyteczném, zdaje mi się być prawie tyle szkodliwém, jak to, co jest fałszywém lub zbyt techném..... a więc przedłużam moją robotę.

Jestto moje własne zdanie; wolno ci je sprostować.

Gdybym był naczelnikiem wyprawy naukowej około świata, chciałbym mieć tylko przy sobie młodą osadę okrętową, młodych natu-

ralistów, młodych astronomów, młodych rysowników, młodych autorów, gdyż chciałbym także i autorów.

Po pamiętnikach autentycznych, dziełami najciekawszymi i najbardziej uczącymi są, bezwątpienia, opisanie podróży, wtedy nade wszystko, kiedy podróżnik oswoił się od pedantyzmu uczości, i opowiadał z zapałem i dokładnością. Dobrze mówić i dobrze widzieć są dwa przymioty bardzo rzadkie, upewniam cię; znam ludzi, którzy przez ducha sprzeczności, i ponieważ byli wyprzedzeni w zawodzie, woleli walczyć przeciw oczewistości faktów i rzeczy, niżeli potwierdzić ich rzeczywistość.

Są prawdy dnia jednego tak jak są prawdy wieczne; i często-kroć nie ten podróżnik, na którego najbardziej powstajesz, będzie najmniej wiernym i najmniej dokładnym. Zwyczaje, obyczaje, ulegają zmianom tak dziwnym, tak prędkim, że w ogólności możnaby powiedzieć, iż lud wczorajszy nie jest ludem jutrzejszym, i że często, bardzo logicznie można zadać kłamstwo samemu sobie. Przeczytałem, jak sądzę, wszystkie wielkie podróże, które zostały ogłoszone, od Humboldta aż do tego biédnego *Caillé*, który z resztą może i widział Tombuktu; i co starałem się przedewszystkiém sprawdzić, to dokładność opisów fizycznych rzeczy i ludzi. Jeśli znalazłem źródło, które mi wskazałeś; jeśli walczyłem przeciw potokowi, który omal cię nie pochłonał; jeśli się wdrapałem na szczyt spadzisty, który wyczerpał twoje siły; jeśli przebył las gęsty lub pustynię jałową, której położenie mi oznaczyłeś; jeśli znalazł bazalt, szyst lub granit, na którym odpoczywałeś pisząc swe postrzeżenia, powiadam że byłeś prawdziwym we wszystkiém inném, jakąbykolwiek postrzegał różnicę pomiędzy twoim sposobem widzenia a moim; widziałeś to co moje oczy widziały; nie chcę nie więcej, jesteśmy zgodni na tym punkcie, to rzecz główna. Teraz ty sądzisz według swojej własnej logiki, według swojego własnego serca, własnych uczuć, mniejsza o to; twoje uczucia nie są zawsze mojemi; twoja logika nie jest zawsze moją; wyprowadzasz z jakiego faktu wniosek, którego ja nie przypuszczam; nie zgadzamy się na jedno; ale każdy z nas powiedział prawdę, gdyż każdy z nas mówił według swego wewnętrznego prze-

świadczenia. A potem jeszcze, u ludów, gdzie prawa są wyrażeniem woli jednego władcy, zbrodnia wczorajsza jest cnotą nazajutrz. Przybyłeś dzień jeden później odemnie; to opóźnienie wystarcza do usprawiedliwienia kłamstwa zadanego prawdzie moich opisów.

Śmierć jakiego człowieka jest niekiedy odrodzeniem lub upadkiem; masz przykład na Tamuhamahu, władcy wysp Sandwich!

Chiny jedne należy od tego wyłączyć; Chiny stanowią wyjątek we wszystkiem; jestto naród odrębny od wszystkich innych; jest on przykuty do miejsca, nieruchomy. Przeszłość Chińczyka jest jego terażniejszością, jest bezwątpienia jego przyszłością, gdyż cztery tysiące lat przeszły nad tęp państwem, nie rozszerzywszy go, nie ścieśniwszy, nie zmieniwszy.

Trudniej jest niżeli się zdaje skreślić sumiennie opis podróży. Tu oprócz prawdy, która jest pierwszą powinnością opowiadacza, trzeba jeszcze zniewolenia umysłu i wyobraźni. Są ramy do zapełnienia, niewolno ich przekroczyć. Krajobraz jest przed oczyma; potrzeba go przenieść takim jakim jest, albo przynajmniej jakim ci się być zdaje, i nie powinieneś nigdy, nawet na korzyść twój obrazu, malować strumyka po prawej stronie, kiedy on w naturze ma kierunek przeciwny; nikt niema prawa tworzyć w obec stworzenia, i właśnie ta sprzeczność albo niezgodność tworzy tę wielkość i tę wspaniałość, przeciwko której niesłusznie powstajesz. Ręka człowieka psuje częściej niżeli upiękrza.

W dziełach wyobraźni, przeciwnie, niekiedy brak porządku tworzy harmonję; malujesz uczucia, wzruszenia, namiętności duszy, wady, śmieszności, szaleństwa ludzkie. O! wtedy możesz rozszerzyć twój zakres; dowolne granice zostawione ci i dozwolone; jeśli zechcesz być szczupłym, zostaniesz nędznym; masz prawo deptać po drogach utartych, szukać nowych, wnikać w głąb rzeczy, powstawać przeciw zasadom: jestto chaos do uporządkowania, nowy świat do odbudowania.

Jeśli to jest prawdą w ścisłym znaczeniu, że styl jest człowiekiem, to nadewszystko jest nią we względzie podróży. Tłoma-

czyć to, co oczy widzą, co rozum pojmuje, co za prawdę uznaje, jestto tłómaczyć samego siebie. Język więc, którym mówisz, jest wyrażeniem najczystszeń twojej duszy, gdyż z duszy to samej wypływa wszelkie uczucie; wówczas kiedy w dziele wyobraźni, nietylko ty jeden jesteś w dramacie, komedji lub satyrze, jest tu jeszcze wiele osób, przed którymi zmuszony jesteś zatrzyć się, żeby użyć każdej z nich usposobień i charakterów im właściwych. Wiedzisz więc, jak w tym przypadku, widnokrąg się twój rozszerza!

Ale czy godzi się też dramatyzować dzieło w pewnym sposobie dydaktyczne? Jestto inna kwestja, którą może powinienem był starać się rozstrzygnąć przed rozpoczęciem surowej pracy, której się podjąłem.

Ale cóż chcesz? Pycha ludzka jest takiej natury, że wymierza karę nie pierwiej, aż się z rozkoszą nią nasyceno. Mówimy do siebie, nie zbyt się rumieniać: zrobmy inaczej jak inni, a zapewne zrobimy lepiej. Wszelka namiętność pochłania, ujarzma, wprawia w obłąd, i jest więciej, że się ośmielę tak wyrazić, ślepych umysłem niż ślepych oczyma. Co do mnie, więciej odurzony niżeli próżny, próbowałem nowej drogi; chcę żeby ten, co mię czytać będzie, znalazł mię, w mojej książce, takim jakim mię zawsze widziano, jakim jestem w życiu domowem. *To zupełnie on!* Te trzy wyrazy obity się często o moje uszy, kiedy przypadkiem, jaki próżniak lub gaduła opowiadał głośno jakie zdarzenie przezemnie opisane i mojemi słowy. *To zupełnie on!* nigdy się nie czułem obrażonym tém szybkim zastosowaniem, gdyż nie starałem się nigdy ukrywać jak tylu innych, i że po niewdzięczności, wadą najbrzydszą z tych, które według mnie, szpecą człowieka, jest obłąd.

Otoż więc jestem przed wami, bez maski, jak powinien być każdy, co mówi przed publicznością, lub pisze dla niej; ale niestety! karnawał daleko dłużej trwa u narodów cywilizowanych, niżeli tego chciwały nasze niedorzeczne instytucje. Wenecja, pod tym względem, zbliża się daleko więciej do prawdy. *Gdybym wiedział, że nie będę czytany*, powiedział wielki gienjusz czternastego wieku, *nie napisałbym przez całe życie ani jednego wiersza*. O fi-

lozofie! Co do mnie, pisałbym wtedy nawet, kiedyby głos surowy, obijając się o moje ucho, dał mi słyszeć te gorzkie wyrazy: *Nikt cię czytać nie będzie*. Pisać według swojego rozumu, jestto rozmnażać się, jestto żyć dwa razy; jestto, że tak rzec można, czuć życie. A potem, niech wszelki bazgracz papieru będzie spokojnym, niemasz książki, coby nieznalazła swojego miejsca na świecie, coby nie wywołała tam lub owdzie jakiego przychylnego współczucia. Głupiec i złośliwy bywa czytany; zawistny tylko jest wyjątkiem, również jak nudny, a jednakże i tych potrzeba czytać, żeby można było twierdzić, iż takimi są w istocie.

Przytoczmy bez porządku znakomitsze podróże i zastanówmy się nad niemi. *Historja podróży* La Harp'a, jest zbieraniną zajmującą, jeśli chcesz, ale jest prawdziwą tylko w opowiadaniu niektórych następów oddzielnych. Z resztą, nie dowierzaj ludziom, co przebiegają ziemię nie występując nogą ze swego gabinetu. Wyucz się dzisiaj historii naturalnej w Biuffonie, którą upornie chcą mieć w rękach młodzieży, a zobaczysz, czy nie będziesz zmuszony wiele się oduczać w dalszym ciągu życia.

Nasyciłem się, przed moim odjazdem *Historją filozoficzną obu Indij*, Rajnala..... Wielki Boże! co tu herezji! Jeden rzut oka, jeden tylko, na kraje o których mówi, tysiąc razy więcej mię nauczyły, niżeli jego wymowne karty, wszystkie zeszecone kłamstwem.

Ze wszystkich podróżników, którzy mię poprzedzili w tych niebezpiecznych wycieczkach, ten, w którym, po długim doświadczeniu, pokładam najwięcej wiary, jest Cook: jego książka, to on. Jest on marynarzem śmiałym, zuchwałym, niekiedy grubjańskim; ale widzi, widzi dobrze i opisuje z dokładnością, mniej jeszcze w szczegółach niżeli w ogółach; rzekłbyś, że niema czasu rozpatrywać się blisko siebie, i że śpieszy robić na krańcu widnokregu nowe odkrycia. Cook jest wielkim człowiekiem, i pierwszym z żeglarzy angielskich.

Vancouver ma więcej erudycji, więcej delikatności, więcej ta-

ktu; rozkopuje on grunt, który zwiedza; nauka była dla niego potężnym pomocnikiem.

Patrz jak Dampier jest ścisłym, metodycznym, prawdziwym! Pisma jego są wiernym zwierciadłem przedmiotów, które odbijają. Dampier zajmuje miejsce bardzo blisko Cook'a.

Bougainville bawi się wszystkiem, i igra z wypadkami równie jak z prawdą: jestto kapitan od kawalerji na galerze.

Admirał Anson jest jednym z tych żeglarzy śmiałych i doświadczonych, którzy się nie cofają przed żadną przeszkodą; którzy się, przeciwnie, rzucają pośród niebezpieczeństw, wskazanych im przez innych, i zajęci są daleko mniej swoją własną sławą, niżeli chwałą kraju, którego zwyciężką banderę roznoszą po wszystkich stronach świata.

Opisy Ansona mają barwę otwartości i entuzjazmu, będące w zupełnej zgodności z charakterem, który biografowie nadają temu żeglarzowi, co tak godnie zasłużył na najwyższe stopnie marynarki królewskiej.

Wallis zasługuje na miejsce obok Ansona, przez swą odwagę, a może nawet wyżej stoi od niego przez wytworność i prawdę swych opisów, nacechowanych jednak nieco jednostajnością.

Biada temu, który w opisanu swych dalekich podróży tłumi załęcie ciężarem nauki! Nie bardzo lubimy podróżować z tym, który się tylko do myśli obraca; serce w połowie powinno mieć udział we wszystkich zajęciach.

Dracke zasłużył, podobnie jak Wallis, na piękne imię, które przywiązał do wielkich odkryć.

Carterets jest ze szkoły Dampier'a; jestto dobra szkoła, szkoła, która plon zbiera i wydaje, szkoła, która powinna służyć za wzór każdemu co się chce uczyć i nauczać.

Lapeyrouse! bracia Laborde! jakie straszne wypadki w jednej podróży! Słowa, które się dały słyszeć z Oceanu, zadrgały tak słabo, tak ciemno, że może jeszcze jest tu piękne zadanie do rozwiązania.

Marchand jest bez zaprzeczenia jednym z najsumienniejszych podróżników, i opisanie jego podróży i niebezpieczeństw jest dokonane z tą dobroduszością i zaniebdaniem, które wyłącza wszelkie przypuszczenie kłamstwa lub fanfaronady.

Książka jego jest pożyteczną dla każdego badacza.

Wymowny Peron jest za nadto cheiwym nauki; jego opis jest nauuczający, ale mało bawiący, a jednozgłoskowe *ja* przedstawia się za nadto często oczom czytelnika.

Przytoczmy jeszcze, choć bez porządku, imiona, które przychodzą mi na pamięć, jako żywe promienie chwały nieśmiertelnej.

Magellan, uciekając przed burzą, chroni się do zatoki morskiej, gdzie spodziewa się znaleźć port. Zagłębia się tam pomimo tysiąca niebezpieczeństw, i po kilku dniach powolnej żeglugi, pośród prądów przeciwnych, rozstrzyga wielkie zadanie, nie rozwiązane aż do jego czasów. Ogromny Ocean Spokojny będzie odtąd zwiedzany od Zachodu. Opisy Magellana są prawdziwe, lubo mapy jego nie są dokładne, a jednak nie na nauce to zbywało temu śmiałemu żeglarzowi, ale na cierpliwości, rodzaju odwagi rzadszej jeszcze, niżeli ta, którą mężstwem nazywają.

Davis żąda tylko niebezpieczeństw i burz. Jego życiem ulubionem jest życie, które pędzi niedaleko brzegów, pośród skał podwodnych. Odkrywa sławną cieśninę, noszącą jego imię, i umieszcza się w rzędzie najbieglejszych marynarzy.

Po rzezi na wyspie Owhee, gdzie Cook zgon swój znalazł, King objął dowództwo okrętu Angielskiego, wracającego do Anglii, owdowiałego po wielkim dowódcy, który dotąd tak śmiało nim kierował. King przechodzi niepostrzeżony obok swojego nauczyciela.

Przywiodeź chlubne imiona Albukierk'ów, Djas'ów de Solis, Wasco de Gamów, Cabral'ów, któremi Portugalja tak się pyszni, i których zazdroszczą im inne narody? Opisy tych śmiałych podróżników trącą pewnym rodzajem fanfaronady, zostającój, ręczę ci, w zupełnej zgodności z tymi dumnymi żołnierzami, którzy przebiegali zwycięzko obie Indje i podbili tyle narodów.

Cóż ci powiem o tym mężnym i nieszczęśliwym Jacquemont, którego tkliwe listy mają tyle wdzięku, zajęcia i wymowy razem, że wydaje ci się, jakbyś czytał świetne karty Walter Skotta i Szatobryana? Niestety! W tych śmiałych wycieczkach, najodważniejsi prawie zawsze padają ofiarą, najgodniejsi prawie zawsze tracą życie pośród trudów pełnych chwały. Styl Jacquemont'a nacechowany barwą całkiem poetyczną, co cię podnosi, i naiwność większej części jego opowiadań nadaje im powab tak potężny, że musisz koniecznie podzielać trudy, niebezpieczeństwa, rozkosze, przezeń opowiedane. Oto ludzie, na których rządy powinny zwracać oko.

Cóż ci powiem jeszcze o tych sercach z brązu, o tych ludziach z żelaza, którzy na morzu lubią tylko jego gniewy, na niebie tylko jego burze, w naturze całej tylko jej rozterki?

Patrz jak oni wesoło robią przygotowania do swego odjazdu, wtedy kiedy szaleństwem byłoby spodziewać się powrotu! Patrz, jak igrają z swemi okrętami jakby z grobem! Odważni ci szaleńcy, nie idą szukać stref spokojnych, mórz cichych, brzegów bez skał podwodnych; nie, oni żądają, oni wyzywają, z uśmiechem na ustach, z radością w sercu, gór lodowych toczących się na nich i otaczających ich zewsząd swemi olbrzymiami murami; prądów szybkich, co wirują wokoło ich miedzianych boków i ciągną ich za sobą; nieba lodowatego, dróg nienakreślonych, nieznanych; wodospadów, z których gotowi są puszczać swe silne okręty; wątpliwości żeglarskiej wreszcie dla rozstrzygnięcia jej, wtedy, kiedy kilkanaście już nieroztropnych prób, kilkanaście smutnych a świeżych wypadków skreśliło na ich drodze straszliwe słowo: *niepodobna*, które chcą wymazać ze Słownika żeglarzy. Potrzebaż mi teraz wymieniać nazwiska Kapitanów Parry, Ross, Sabine, prawdziwych wilków morskich, których cierpkie opowiadania ścisną cię jakby kleszczami i ścinają lodem krew w twoich żyłach?

Odnómy tutaj boleśń przytłumioną i dozwólmy na nowo płynąć łzom żalu i tęsknoty po dotkliwej stracie. Kiedy morze pochłania, czyli to ono w milczeniu, bez gniewu; połyka, dusi, grzebie; fala za-

ciera falę co przeszła, i okręty wędrownne prześlizgają się bez wzruszenia po grobach milczących.

«Poławiacz wielorybów widział go, powiadają, tonącego na morzu, zamkniętego lodami podbiegunowemi. W jednej chwili, wody rozstały się, zamknęły, i wszystko było milczącym na powierzchni. Tak może skończył Lapeyrouse.»

Mężny i nieszczęśliwy Blosseville! pełen zapału młodzieńcze, odważny marynarzu, uczony podróżniku! O! jak moje serce zadrżało z radości, kiedy głos przyjacielski, głos mojego brata, odezwał się z mównicy narodowej, do Francji bacznój i zasmuconej, do Europy słuchającej go uważnie: «Tak, niech wysoka nagroda, nagroda nieograniczona, wyznaczoną będzie przez Państwo dla każdego marynarza, dla każdego człowieka, co przyjdzie udzielić nam nowin, nie tylko o tym odważnym oficerze, ale o jednym majtku z jego gorliwej osady; temu kto przyjdzie powiedzieć nauce niespokojnej: «Blosseville uratowany! albo Blosseville już nie cierpi!»

Jeżeli Krzysztof Kolomb, któremu stary świat winien świat współzawodniczy, opłacił łańcuchami i ubóstwem swe uczone odkrycie, powiedz, ile jego dusza ognista musiała doznać szczęścia i upojenia, kiedy przed nim ukazała się ziemia bogata i roślinność woniejąca dla uwielbienia go i pocieszenia za jego trudy? powiedz, z jakim uczuciem pychy musiał podnieść swą osadę upokerzoną, u nóg jego leżącą, kiedy dniem przedtém na ogólnej radzie wydano nań wyrok śmierci!

Znajdujesz w opisach rozmaitych podróży Gienuńczyka tę barwę cudowności, którą pisarze owiej epoki pełną garścią kładli w swe prawdomówne sprawozdania. Kiedy świat starożytny wzruszał się cały na czarowne obrazy rozwinięte przed jego oczyma, jakże ci co szli je zbliżać poznawać, mogli zostać zimnymi i spokojnymi w obec tej natury nowiej i wspaniałej, tych ludzi innego koloru, tych mórz całkiem fosforycznych, do których przybywali jako zdobywcy? Eldorado, nie tylko że nie było urojeniem, ale stało się rzeczywistością: Hiszpanja i Portugalja rzuciły się do wychodztwa, Europa cała

chciałaby wyjść śladami Portugalji i Hiszpanji do téj ziemi odrodzicielki.

A teraz, jeśli się zastanowimy nad charakterem tych śmiałych podróżników, którzy lubo nie okrążyli świata, pokonali jednak największe, jakie się zdarzają przy podróżach około świata, niebezpieczeństwa, znajdujemy go w zupełnej zgodności z barwą ich pism, gdzie się wykazuje jednak prawie wszędzie ta myśl pierwotna i niebezpieczna: nikt nie przyjdzie zadać mi kłamstwa.

Mongo-Park jest zbyt śmiały; wie on, że otwiera nową drogę swym następcom; niema potrzeby przyzywania na pomoc kłamstwa i cudowności, gdyż pierwszy opisze to, czego nikt przed nim nie widział.

Belzoni, Boutin, Clapperton zagłębiają się w pustynie afrykańskie i umrą, męczennicy nauki, pod żelazem Arabów lub Maurów, albo pod naciskiem ostatnich potrzeb życia.

Potem znajdziesz tego biédnego Caille, awanturniczego młodzieńca, bez nauki, bez talentu, bez pamięci i pojęcia, który idzie, idzie, to z jedną to z drugą karawaną, dąży brzegiem rzek, wsuwa się do chałup, już to bez pokarmu, bez odzienia, bez przewodnika, już to bez wody dla ugaszenia pragnienia, bez oręża dla swéj obrony; ciągle posuwa się dalej i po niezliczonych trudach, po doznanych nie-szczęściach, znajduje się pośród Afryki dzikiéj; wehodzi może do Tombuktu, o którym zapewnia nas, że jest miastem okrągłym, wtedy kiedy na rysunku podaje go nam kwadratowém; ucieka z téj stolicy tajemniczéj, za co nie myślą go karać, przebywa w całej jéj rozciągłości ogromną pustynią, i przybywa nakoniec do Tunisu czy do Trypoli, gdzie Konsul francuzki nie śmie nawet zaświadczyć o prawdzie jego opowiadań.

A Bompland, ten cierpliwy, odważny towarzysz podróży Humboldta; Bompland, którego pustynie nieprzebyte Ameryki tak długo ukrywały przed Europą uczoną i zasmuconą; Bompland, który poświęcił tyle lat swojej bolesnej niewoli poszukiwaniu bogactw botanicznych i mineralogicznych na wielkich Kordyljerach i niezmiernych równinach Paragwai; nie byłoby, z mojej strony, niesprawiedliwo-

ścią i niewdzięcznością razem, nie umieścić jego imienia obok tych, których pierwiej przytoczyłem?

Potém jeszcze, podróżujesz z braćmi Loinders, majtkami niezmordowanymi, przyjaciółmi stałymi i gotowymi do poświęceń, którzy opisują swe ciekawe podróże, jakby jaki wieśniak z nad Dunaju, i którzy zmuszają cię wierzyć im, do tyła szczérość przebija się w każdym ich słowie.

Colnett, który się zapuszczał w lody podbiegunowe, i nie zatrzymał się aż tam gdzie siły ludzkie upadają pod potęgą nieba bez słońca i ziemi bez roślinności; Colnett wyższym jest jeszcze od głośnego imienia jakie sobie zjednał.

W Hiszpanji, gdzie tak rzadko spotkać się można z głośnym imieniem, występuje nareszcie Quiros, korsarz zawołany, stérnik zuchwały, rzucający się wszędzie gdzie fale ryczą, i zbogacający mapy marynarskie wielką liczbą skał podwodnych, nieznanych do jego czasów. Quiros zasłużył się wielce światu całemu, który sławne jego imię powinien umieścić obok imienia Cook'a.

Anglik Sebastjan Cabot nie powinien być zapomnianym na téj liście, równie jak Quiros, gdyż i on odznaczył się pożytecznymi i niebezpiecznymi odkryciami, oraz mapami dokładności wyższej nad wszelką pochwałę.

Tristan da Cunha dał Madagaskar światu.

Jakób Cartier ujrzał pierwszy Kanadę.

Pizar, zdobywając Peru, odkryte przez Perez'a de la Rua, Kortez podbijając Kalifornję, umieścili swe nieśmiertelne imiona w rzędzie imion wielkich ludzi téj epoki, tak płodnej w cuda.

A ten śmiały i odważny inżynier, Oxley, który przyjął mię z taką życzliwością w Sidney, i z którym dokonałem, po za strumień Kinkham, wycieczki tak trudnej, tak długiej, tak niebezpiecznej; ten Oxley, młody, niezmordowany, któremu Anglja winna opisy najciekawsze wnętrza Nowej-Hollandji, po za górami Błękitnymi, dotąd niedostępnymi; ten Oxley, który przebył z taką wytrwałością kierunki biegu wód i rzek wewnętrznych tego obszernego lądu, których źródła i ujścia dotąd jeszcze nieznane; ten Oxley, który na korzyść samęj tylko nauki,

naraził się na tyle niebezpieczeństw, poznał tyle ludów dzikich, nie znajdziez także miejsca na tój zaszczytnój liście?

Ale, ze wszystkich tych śmiałych podróżników, którym nauka geograficzna winna tyle szacownych wiadomości, ten, któregoby należało najskwapliwiej zbierać sakramentalne słowa, jest, bez zaprzeczenia, ów Mac-Irton Irlandczyk, którego życie cudowne musiało być narażone na tyle niebezpieczeństw, musiało doznać tyle nieszczęść. Konsul angielski, w Kap, opowiadał mi poszukiwania, jakie sam nakazał, względem ujęcia tego zbiega; ale razem opisywał bojaźń, jakiej doznawał, żeby usiłowania jego nie były uwieńczone pomyslnym skutkiem.

Przez Mac-Irton'a to powzięto pierwsze wiadomości prawdziwe o tём nieznaném Tombuktu, o którym może wiele jeszcze przejdzie wieków, nim nowe i dokładne przyjdą do nas wieści. Mieszkańcy wnętrza Afryki są więcej straszni, niżeli ich pustynie, i namiętności ludzkie zgubniejsze, niżeli gniewy tygrysów i lwów.

Mac-Irton był majtkiem na okręcie Irlandzkim, stojącym naówczas w zatoce przylądku Dobrój-Nadziei. Porucznik jego, przy manewrach, dał mu potężne cięcie pletnią. Majtek oburzony, wyciął mu w tójże samój chwili policzek. Mac-Irton okuty był zaraz w kajdany, sądzony w kilka dni potem, i skazany na śmierć. Wyrok miał być wykonany na pokładzie okrętu, we dwadzieścia cztery godzin, i Mac-Irton, z nogą przykutą do żelaznego ogniwa, czekał na przodzie okrętu chwili swój śmierci. Już gwizdnienie dowódczy zgromadziło całą osadę; już duchowny protestancki odmówił słowa pociechy, kiedy wycie głuche zwróciło wszystkich oczy ku brzegowi. Pokrył się on barwą bladawą rażącą oczy; morze burzyło się od wiatru z lądu; słupy gęste pyłu zasłoniły miasto, jakby w czasie trąby, i na wierzchołkach gór nadbrzeżnych toczyły się straszne i groźne szmatki chmur miedzianego koloru, które pędziły, spadały i wznosiły się znowu, przecinane bezustannie gzygzakami błyskawic i iskr błyszczących; huragan podnosił głos; wybrzeże czekało ofiar; Ocean otwierał swe głębie, i okręty zatoki wzywały pomocy nieba. W tём nagle żywioły się mieszają, chaos i noc panują same. Mac-Irton

nie chce umierać, nie sprobowałszy pierwej, azaliby nie mógł przynieść jakiej pomocy swym towarzyszom, od których tak jest kochany, i porucznik pierwszy rozkazuje zdjąć z niego kajdany. Wszystkie kotwice zostały rzucone; wszystkie liny, wszystkie łańcuchy napięte od wysilen burzy; okręt zanurza się, podnosi, spada znowu i podskakuje; fale wznoszą go pod obłoki, ale cudem jakimś, unika on powszechniej zaguby.

Lubo zgubna dla tylu okrętów, burza była krótko-trwałą. Jeszcze się nie zupełnie uciszyła, kiedy Mac-Irton, wrócony do dawnego położenia, przypominał sobie stan, w jakim dnia uprzedniego zostawał, o którym był zapomniał pośród wzburzenia i zgiełku przyrody. Z wysokości masztu, na który się był wspiał, rzuca się w szumiące fale i powierza się toczącym ku brzegowi bałwanom. Wszysey chciwém okiem śledzą za nim; wszysey gorące za nim zasyłają modły, oprócz porucznika, który chciał z niego dać przykład dla zastraszenia osady. Noc i gęstość chmur ukryły wkrótce biednego majtka, a nazajutrz porucznik wydał rozkaz, żeby łódź wyruszyła ku brzegowi, i żeby czynne poszukiwania zrobiono dla schwytania zbiega. Wszystko napróżno. Wiedziano, że w istocie człowiek z okrętu irlandzkiego był niesiony i wyrzucony falami na skały nadbrzeżne; wiedziano, że się uratował przed wściekłością burzy; ale nic nie wiedziano, co się potem z nim stało.

Przewidując dobrze los, jaki go oczekiwał w mieście, Mac-Irton, bez odzienia, bez żywności, prawie bez sił, zagłębia się w pustynie otaczające Table-Bay, i woli narazić się na zęby dzikich zwierząt, jak powracać do okrętu i błagać łaski, która, wiedział, że mu odmówioną zostanie.

Tu poczyna się wątpliwość, albo raczej cudowność. Mac-Irton sam tylko jest poręcznikiem prawdy swych opowiadań, a nieszczęściem jego rozum, zwichniony trudami, niedostatkiem i niebezpieczeństwem, tworzy może świat, którego nie widział. Jakkolwiek bądź, Irlandczyk ukazał się pewnego dnia w Algierze. Konsul angielski otrzymał pierwsze jego zwierzenia się i odesłał go do Londynu z prośbą o przebaczenie. Rozpytano majtka; zebrano najskrupulatniej je-

go najwątliwsze opowiadania, i ogłoszono drukiem opis jego czteroletniego pobytu wewnątrz Afryki.

Schronił się on najprzód do Hottentotów. Ci będąc naówczas w wojnie z Kaframi, powierzyli mu dowództwo wyprawy. Wzięty w niewolę, i zachowany przy życiu, użytym został do dalszych wypraw, i tym sposobem, jużto zwycięzca, już zwyciężony, Mac-Irton oddalał się coraz więcej od swęj Kolonji, do której już nie śmiał powrócić. Nareszcie, opisawszy z dokładnością niektóre z miast Afrykańskich, o których istnieniu nie można wątpić, mówi o wielkiem Tombuktu, skąd wyruszył na północ z karawaną, w towarzystwie której przybył do Algieru. Mac-Irton umarł wkrótce po przybyciu swoim do Londynu; ale, choć niedostateczne, wiadomości jakie podał, nie mało się zapewno przyłożyły do wykazania na jaw przed światem téj stolicy dzikiej i ukrytej, której istnienie nie jest już zagadką.

A jeśli po tych imionach, z których kilka okryło się chwałą, ośmielamy się przytoczyć najznakomitsze z nich, ukażę ci tego, co je nosi unoszącego się po najwyższych szczytach Kordyljerów, badającego Cotopaxi, wulkany powietrzne Turbao; zapuszczającego się w głębokości ziemi dla odkrycia tam skarbów nieznanych do jego czasów, zwiedzającego stepy obu Ameryk, zgłębiającego orlém okiem bogactwa botaniczne, mineralogiczne, ornitologiczne, któremi rozszerza państwo nauk; postępującego z biegiem rzek, spuszczonego się w otchłanie razem z wodospadami, wchodzącego do wielkich miast dla opisanie ich obyczajów, postępów lub upadku; filozof, historyk, fizyk, astronom, wydający pośród tych prac summy, których nie jeden rząd nie śmiałby poświęcić, oto takim jest Alexander Humboldt, instytut żyjący, którego przyjaźń jest dla mnie tak szacowną, i którego życie całe jest nauką wszystkich dni, wszystkich chwil. Ale, nieszczęściem, mało ludzi czyta niestety! te *in folio*, gdzie się mieści tyle odkryć, gdyż wszelka wysoka nauka jest za ciężką dla tego, co się rumieni, że nie rozumie. Są promienie za nadto jasne, żeby oko pospolite mogło je znieść.

Łatwo daje się wytlómaczyć, dla czego, pośród imion tak sławnych, nie mieszczą imion nowożytnych a niemniej znakomitych niektórych śmiałych i uczonych podróżników, którzy się tyle przyłożyli do postępu nauki żeglarskiej i z bogacili swój kraj świeżemi odkryciami fizycznymi i moralnymi. Dzieła ich są we wszystkich rękach, we wszystkich bibliotekach, i nie potrzebują oni mojego słabego głosu dla zainteresowania ciekawości publicznej. Biedź ich śladami, byłoby z mojej strony błędem, którego popelnienia strzedz mi się należało, a taki obszar został zajęty przez nich, że dla mnie nie pozostało więcej, jak iść wąską ścieżką, którą się udałem.

Za nadto wiele było dla mnie niebezpieczeństwa znajdować się tuż obok nich na wielkiej drodze, z której użytkowali z taką wyższością; ale pola najstaranniej zżęte, mają jeszcze kłosa dla tego, co się uzbroi w wytrwałość i odwagę.

W czytaniu podróży, co najwięcej mię zajmuje, to anekdoty. Systemata mogą się przeciwieć sobie, waleczyć z sobą, niszczyć się kolejno (i to musi zawsze się zdarzać); ale fakta mają logikę potężniejszą; dają one nam poznać obyczaje ludu, duch epoki. Życzliwość, z jaką przyjęto moje podróże około świata, nie dozwala mi żałować, że rozsiał po mojej drodze wielką liczbę anekdot, gdzie każdy może czerpać wnioski dla swjej filozofji osobistej. Z resztą, nie lubię się odosobniać w moich śmiałych wycieczkach; co mi się podoba nadewszystko, to dzielny towarzysz podróży, któryby dzielił razem ze mną me radości i me boleści. Być szczęśliwym samemu jednemu, jest to nie być nim, i samolub ma tylko pół uciechy. Niez raz, nie zawołałem w obec wielkich i czarownych obrazów, co się rozwijały przed memi oczyma: «O gdyby moi przyjaciele byli tutaj dla podzielenia moich wzruszeń!»

Przebaczaj mi, że tak często brałem za towarzyszków drogi tych dwóch dzielnych majtków Petit i Marchais, których naiwne wyskoki tyle razy ożywiły moją odwagę i odświeżyły me siły wyczerpane? Mam tę nadzieję. Te dwie odrębne pojętności, te dwa serca tak gorące, tak szlachetne; te dwa charaktery żelazne, których ani nędze, ani boleści nie mogły złamać; te dwa stworzenia poświęcające się, nie-

zachwiane wśród najstraszliwszych wypadków, tak często przynosiły mi pomoc i pociechę, że niepodobna, żeby moi czytelnicy nie spotykali ich niekiedy z przyjemnością obok mnie. Niestety! gdzież oni są teraz? jaka skromna ustron jest przytułkiem ich ubóstwa? jakiż głos przyjacielski wynagradza ich za tyle niebezpiecznych wędrówek? albo jakie fale Oceanowe przyjęły ich ostatnie westchnienia? O! dzięki, stokrotne dzięki temu, ktoby mi chciał udzielić wiadomości o Petit i Marchais! O! stokrotne dzięki ręce szlachetnej, coby im w drodze pomoc podała!

Niech niektóre umysły wyższe, co chciałyby rzucić naganę na pozorną płochość większej części moich opowiadań, raczą mieć na względzie naturę moich zasad i mojego charakteru, zawsze tak mało troszczącego się pośród najtrudniejszych okoliczności. Powiniennemże był, zwyciężony wreszcie okropnym nieszczęściem, które mnie dotknęło (*), rzucić pełnemi garściami smutek i gorycz na moje pisma? Nie, gdyż wtedy cała moja książka byłaby kłamstwem. Jesteśmy prawdziwemi wtedy tylko, kiedy piszemy pod natchnieniem chwili. To są moje notatki, moje zarysy; nie tłómaczę ich, ale przepisuję: mówię to dzisiaj co mówiłem kiedy burza ryczała w około mnie, kiedy ludożercy zagrażali mi swemi toporami, swemi maczugami, kiedy przebywałem obszerne pustynie, kiedy moje usta spragnione żądały wody na pustyni jałowej i milczącej; to co wam dzisiaj powiadam, jest wyrażeniem najprawdziwszym, najwewnętrzniejszym moich wzruszeń ówczesnych. Nie obiecałem więcej.

Może nie będzie rzeczą bezużyteczną, po tym krótkim zarysie, znaleźć tutaj datę głównych odkryć dokonanych przez żeglarzy wszystkich krajów świata. Zobaczymy tam, że Portugalja, dzisiaj tak mało znacząca i tak uboga, grała najważniejszą rolę w tych podróżach tak niebezpiecznych, gdzie dowódczom trzeba było więcej odwagi niżeli nauki. Tym sposobem przechodzą wszelkie rodzaje chwa-

(*) t. j. ślepotą.

ły; tym sposobom zasypiają i znikają najszlachetniejsze pamiątki ludów.

EPOKI GŁÓWNIJSZYCH ODKRYĆ.

Wyspy Kanaryjskie, przez żeglarzy gienueńskich i katalońskich, w 1345.

Też same wyspy podbite przez Jana de Béthencour w 1401—1405.
Porto-Santo, Tristan Vaz i Zarco, Portugalczycy w 1418.

Madera, przez tychże, w 1419.

Przylądek Biały, Nunho Tristan, Portugalczyk, w 1448.

Wyspy Przylądka Zielonego, Antoni Volli, Gienueńczyk, w 1449.

Brzegi Gwinei, Jan de Saturem i Piotr Estavar, Portugalczycy, w 1471.

Kongo, Diego Cam, Portugalczyk, w 1484.

Przylądek Dobrej Nadziei, Dias, Portugalczyk, w 1486.

Ameryka, (wyspa San Salvador, w nocy z 11-go na 12-ty Października), Krzysztof Kolomb, w 1492.

Wyspy Antylskie, Krzysztof Kolomb, w 1493.

Trójca, (ład Ameryki), Krzysztof Kolomb, w 1498.

Indje, (brzegi wschodnie Afryki, brzegi Malabaru), Vasco de Gama, w 1498.

Ameryka, (brzegi wschodnie), Ojeda, w towarzystwie Amerykanina Vespujusa, w 1499.

Rzeka Amazońska, Wincenty Pinçon, w 1500.

Nowa Ziemia, Corteval, Portugalczyk, w 1500.

Brezylja, Alvarès Cabral, Portugalczyk, w 1500.

Wyspa Świętej Heleny, Jan de Nova, Portugalczyk, w 1502.

Wyspa Cejlan, Wawrzyńiec Almejda, w 1506.

Madagaskar, Tristan de Cunha, w 1506.

Sumatra, Siqueyra, Portugalczyk, w 1508.

Malakka, tenże sam, w 1508.

Wyspy Sondy, Abren, Portugalczyk, w 1511.

Wyspy Molukskie, Abren, Cerrano, w 1511.

Florida, Ponce de Leon, Hiszpan, w 1512.

- Morze południowe*, Nunez Balboa, w 1513.
Peru, Perez de la Rúa, w 1515.
Rio-Żanejro, Dias de Solis, w 1516.
Rio de la Plata, Dias de Solis, w 1516.
Chiny, Ferdynand d'Andrada, Portugalczyk, w 1517.
Meksyk, Ferdynand z Korduby, w 1518.
— Ferdynand Korteż podbija go w 1519.
Ziemia Ognista, Magellan, w 1520.
Wyspy Rozbójnicze, Magellan, w 1521.
Wyspy Filipińskie, Magellan, w 1521.
Ameryka Północna, Jan Verazani, w 1523 i 1524.
Zdobycie Peru, Pizar, w 1524.
Wyspy Bermudzkie, Jan Bermudez, Hiszpan, w 1527.
Nowa Gwinea, Andrzej Vidancetu, Hiszpan, w 1528.
Brzegi sąsiednie Acapulco, z rozkazu Korteza, w 1534.
Kanada, Jakób Cartier, Francuz, w 1534, i 1535.
Kalifornja, Korteż, w 1535.
Chili, Djego de Almagro, w 1536, i 1537.
Akadja, Roberval, Francuz, osiedlił się na wyspie Królewskiej w 1541.
Kamboja, Antoni Faria y Sonsa, Ferdynand Mendez Pinto, w 1541.
Wyspy Likejo, ciż sami, w 1541.
Heinam, ciż sami, w 1541.
Japonja, (wschodnia) Diego Samoto i Krzysztof Bovello; (też na wschodzie, w Bungo), Ferdynand Mendez Pinto, w 1542.
Przylądek Mendocino, w Kalifornji, Ruis Cabrill, w 1542.
Mississipi, Moscoso Alvarado, w 1543.
Ciaśnina Wajgatz, Steven Borrough, w 1556.
Wyspy Salomon, Mendana, w 1567.
Ciaśnina Frohbisher, sir Martin Frohbisher, w 1576.
Podróż Drake'a, w 1579, lub 1590.
Ciaśnina Davis, John Davis, w 1587.
Brzegi Chili (na morzu Południowym), Piotr Sarmiento, w 1589.
Wyspy Maluińskie, v. Falkland, Hawkins, w 1594.

- Podróż Barent'a* do Nowej Ziemi, w 1594 do 1596.
Markizy de Mendoca, Mendana, w 1593.
Santa-Cruz, Mendana, w 1595.
Ziemia Świętego Ducha, de Quiros; *Cyklady*, Bougainville.
Nowe Hebrydy, Cook, w 1606.
Zatoka Chesapeak, John Smith, w 1607.
Kwebek, założony przez Samuela Champlain, w 1608.
Ciaśnina Hudson, Henryk Hudson, w 1610.
Zatoka Baffin, w 1616.
Przylądek Horn, Jakób Lemavie, w 1616.
Ziemia van Diemen, Abel Tasman, w 1642.
Nowa Zelandja, tenże, w 1642.
Wyspy Przyjacielskie, tenże, w 1643.
Wyspy Stanów, (na północy Japonji) de Uries, w 1643.
Nowa Bretanja, Dampier, w 1700.
Ciaśnina Behring'a, w 1728.
Taiti, Wallis, w 1767.
Archipelag Żeglarzy, Bougainville, w 1768.
Archipelag Luizjany, Bougainville, w 1768.
Ziemia Kerquelen, v. Desolation, w 1772.
Nowa Kaledonja, Cook, w 1774.
Wyspy Sandwich, Cook, w 1778.

Owoż, zaiste, nie mało imion znakomitych, nie mało ludzi doświadczonej odwagi, nie mało krajów długo nieznanych, podarowanych nienasyconej Europie.... Powiedz mi teraz, czy zwycięzcy lub zwyciężeni, panowie lub niewolnicy, władzcy lub poddani mają za co dziękować Niebu po tylu podbojach.

Tym nienawiści, zawistne prześladowania Monarchów, którym zapewniali prawo zwierzchnictwa nad nowemi krajami; tamtym wojny nieskończone i okrutne, w których krew płynie obfitym strumieniem i użyznia grunt, świadka tylu mordów.

Nigdzie, albo prawie nigdzie podbojów moralnych.

Nigdzie, albo prawie nigdzie łaskawości, zajmującej miejsce obok siły.

Wszędzie, przeciwnie, działo i miecz dla zapewnienia dzierżawy.

Wszędzie także zabójstwa, morderstwa, krwawe odwety.

Sąto dzieje skrócone obu Indij, sąto dzieje nowego świata; nie sąż to, pytam cię, dzieje dawnego?

Jestże gdzie, zapomniana jeszcze od reszty świata, mała wysepka, na którą Bóg patrzyłby tylko oczyma miłości?

Jestże gdzie, pośród jakiego obszernego Oceanu, ziemia prawie niedostrzeżona, gdzie Przyjaźni wznoszonooby ołtarze, gdzie Swoboda miałaby swą część? Któż to może wiedzieć?

Nie mamy już lądów do odkrycia; ale morza nie były jeszcze tak dalece we wszystkich kierunkach poprzerzynane, żeby wszelka nadzieja znikła.

O! wtedy żeglarz niech wyrusza prędko, niech mileczy po swoim powrocie.

Należy zostawić pokój i szczęście w ustroniu, którego im niebo użyczyło. Niestety! Karolínczycy, jakkolwiek mało posiadają bogactw, ulegną wkrótce losowi, jaki spotkał Archipelagi ich otaczające. Postępowano dotąd tak chlubnie, że pochodnia cywilizacji jest niczém więcej jak niszczącém żarzewiem.

XXII.

PATAGOŃCZYK.—JAGUAR.

Mówiłem wczoraj do Kapitana, siedzącego niedbale na parapecie i palącego cygarko :

— Chciałbym wiedzieć , czy nie jesteś już Pan znudzony temi wędrowkami bez celu, temi ciągłemi drogami w gzygzak, które pochłaniają tylko żywność okrętową i niedoprowadzają do niczego?

— Niedoprowadzać do niczego, odpowiedział mi dość logicznie, to znaczy doprowadzać do wszystkiego. Wiatry stanowią o méj drodze; opieram się im wtedy tylko, kiedy mi gwałt zadają, a skoro okazują się grzeczniemi, jestem takż grzecznym z mojej strony. Co do żywności, zdaje się, kochany Panie Arago, że nie zaglądałeś do naszych składów; zawierają one jeszcze zapas na sześć miesięcy, i upewniam Pana, że nie umrzesz z głodu.

— Ale co się tycze wody, nie zabraknież jej Panu?

— O! tutaj już ja nie rozkazuję , jestem posłuszny jak niewolnik, i jeśli niebo odmówi mi dżdżu, wysuniemy języki; jednakże pod tropikami, wiesz Pan że na ulewach nie zbywa, a płótna, należyście rozwieszzone , zbierają , w jednej godzinie , tyle wody, że może stać na miesiąc.

Zwyciężony temi dowodami, poruszyłem drugą strunę, drgającą prawie we wszystkich sercach.

— A rodzina, ojczyzna? Nie myślisz Pan o nich?

— Moja rodzina, sąto świnie morskie, bonity, rekiny, wieloryby; moja ojczyzna, Oceany. Skoro przybywam do portu, do zatoki, zdaje mi się, że lina natężona wyrzuca mi moje techórzostwo; a więc zwijam ją prędko i wybiegam na otwarte morze.

— Zawsze między niebem i wodą, to smutno.

— To nie tyle smutno, jak lawirować pomiędzy ludźmi i ich złemi namiętnościami..... Tu, nieprzyjaciele są u nóg moich; tam często nad moją głową; za nadto mam wiele uczucia niepodległości, żebym się miał stać mieszkańcem miasta.

— A jednak, ulegasz Pan na morzu woli żywiołów, tych despotycznych dziwaków, którzy żartują z naszych przewidyń.

— Zaprawdę, Panie Arago, odpowiedział mi tonem dosyć cierpkim, nie pojmuję kaznodziei, który swém postępowaniem zadaje kłamstwo swój moralności. Cóż innego, proszę Pana, sam robisz, odtąd jak nauczyłeś się myśleć, i nie jesteście bardziej winnym odemnie? Wiem że masz rodzinę, która cię żałuje i opłakuje może; dla czegoż z Brazylii nie wsiadłeś na okręt żeglujący do Francji?... Patrz, oto wiatr zaczyna dąć silniej, dajmy pokój gawędze, i miejmy się na baczności, gdyż jak sądzę, tego on nas popędzi.

— Spuszczaj i zwijaj małe żagle! płyn śmiało!... Zwęzić w górze żagle wielkiego masztu! Cała osada na pokład! Dwaj ludzie do stępu.... unikaj fali!

Okręt dobrze kierowany, szedł pod wiatrem; płynęliśmy na południo-zachód z szybkością sześciu węzłów, często oblani z końca w konic, gdyż morze w kilka godzin zaczęło się burzyć gwałtownie i nakazywało nam największą ostrożność.

Dopóki staje morza do biegu, lubię dosyć silne wiatry; zdają się one być w zgodzie z niecierpliwością majtka, i chociaż on często klnie przeciwko linom zbyt wyteżonym, wita prawie zawsze okrzykiem radości głos sztyldwachu, oznajmujący, że widzi ziemię ukazującą się na widnokręgu.

— Otoż ona! Niech będzie pozdrowiona..... Patagonja!.... Przytułek i zarzucenie kotwicy wygodne, brzeg gościnny, wycieczki, nie-

bezpieczeństwa, nauka poważna; niech żyje morze, co nas przewozi z taką szybkością!

Z jednej strony wyspy Maluińskie, z drugiej ziemia Patagonów; tam grunt urwisty, kamienisty, torfowy, bez roślinności; tu ziemia żyzna, bogata, lasy ogromne, góry wysokie. Po lewej stronie, dążąc ku południowi, brzegi milczące, zaludnione tylko fokami i pingwinami; po prawej, ludzie grubi, wysocy, tłuści, płci ciemnej, koczujący, odważni, biegający szybko jak *pampero*, nieujarzmieni jak on, i jak on wylatujący z *ziemi Ognistej* i dążący bez wytechnienia aż do Rio de la Plata, gdzie ich porzuca wiatr biegunowy.

Opuściłem, wiele już lat temu, wyspy Maluińskie puste i przedstawiające oku żeglarza tylko swe wspaniałe zatoki: dzisiaj są one bogate; dzięki kilku spekulatorom Angielskim, możesz śmiało wylądować w zatoce Franeuskiej, albo w innym jakim porcie głównej wyspy, gdyż znajdziesz tam żywności podostatkiem i dosyć środków do naprawienia uszkodzeń, jakie ci sprawił przyładek Horn i lody pływające.

Jeżeli skierujesz ku lądowi i zarzucisz kotwicę w jednej z tych licznych odnóg, któremi on jest usiany, nie będziesz miał powyższych korzyści, ale znajdziesz jeden z ludów najciekawszych na świecie, naród odrębny, który się lęka cywilizacji, ucieka od miast, przebiega po pustyniach i znajduje upodobanie tylko w walkach codziennych, które wydaje pumie i jaguarowi, swym jedynym nieprzyjaciółom.

Wprawdzie Patagończyk niema już tego bajecznego wzrostu, którym go byli uposażyli pierwsi żeglarze; ale zawsze uroda jego, wyższa nad średnią, i jego siły muskularne, czynią go istotą uprzywilejowaną, zastosowaną zupełnie do kraju, w którym mieszka, i czego nikt jeszcze nie śmiał mu zaprzeczać.

Wstępujesz do niego, mówisz wyciągając ku niemu rękę: *szauha!* co oznacza: *przyjaciel*, on wyciąga swoją; i należysz już do gromady, chciałem powiedzieć do rodziny.

Szauha u Patagończyków nie jest tylko wyrazem, ale rzeczą. *Szauha* znaczy zaufanie, gościnność. Biada tobie, jeśli chcesz go

nadużyć, obrócić na złe! biada tobie, jeśli igrasz z tém, co jest świętego i czystego!

Europejczycy podróżujący przyjęli szczególniejszy systemat: sądzą oni, że w swych stosunkach z ludami, które nazywają dzikimi, mogą, powinni nawet używać chytrości i podejścia, i uważają jeszcze za szczęśliwą zręczność wszelki podstęp, wszelką przebiegłość, której ofiarami padają narody przez nich zwiedzane..... Nie dziw więc, po tém wszystkim, że tyle się zdarza wypadków smutnych, które spotykają nowych wędrowników.

Powiadam ci to, bo tak jest, bo wiem to z pewnością, bo nigdy nie miałem powodu żałowania mojej wiary. Bądź dobrym ze złemi, a zmusisz ich do żałowania swego okrucieństwa. Przybywając do nich, nie wysyłaj najprzód artylerji; zaufanie jest puklerzem, otwartość uczy otwartości, wyzywanie pobudza do mordy; a u pewnych narodów, gdzie zemsta jest cnotą, pojmujesz dobrze, ile jest niebezpiecznym rozpocząć napasć.

Zwiedziłem dość świata, żebym nie miał ci zalecać roztropności u pewnych ludów; bo téż są istoty, których nie nie zdoła poskromić; ani dowody przychylności, ani groźby, ani przebaczenie urazy, albo świętokradztwa. I cóż? nawet u tych ludów tak dzikich znajdziesz więcej bezpieczeństwa z twą łagodnością, niżeli z twym gniewem, i jeśli jeszcze krészę te wyrazy, jeśli jaka wyspa Malajska nie służy mi dzisiaj za grób, to dla tego, że się uśmiechałem na świst maczugi i często powierzałem moję szablę i moje pistolety temu, który uzbrojony już był w topór i strzałę.

Musiabym jednak utrzymywać teorię przeciwną, ale to tylko u tych dzikich wyspiarzy Oceanu Spokojnego, żyjących z łupieży i mordy, chcących od ciebie tylko twojego ciała do pożerania, twojej krwi do picia, i ozdabiających swoje okropne mieszkania czaszkami i szkieletami ludzkiemi.

Ukazuję ci palcem na Fidży, wyspy Salomonowe, Pelew, Ombay, a nadewszystko na tę nową Kaledonję, ziemię niegościnną, gdzie ludożerstwo jest przepisem religji, gdzie dowódczą jest ten, którego ma-

czuga zdruzgotała najwięcej czaszek, którego usta uśmiechały się na większą liczbę skonów.

Tam, to co innego! Działa niech będą wymierzone na te wyspy z lawy! to zupełnie co innego! oddziały uzbrojone niech będą wysłane przeciw tym plemionom nieugiętym, których morderstwa nigdy nasycić nie mogą, i których bałwany, czyli Moraje, stojące na wybrzeżu, zdają się przepowiadać rabunek i zniszczenie.

Ale Patagonja nie jest taką, i nie chcę, żeby nad tym ludem, który zajmuje tak wielką przestrzeń, ciążyły jeszcze zarzuty, jakimi niektórzy żeglarze uznali za stosowne ich obarczyć.

Spotkałem pewnego dnia w Montewideo jednego z tych ludzi kolosalnych, o których Argentyńczycy nie inaczej mówili, jak z pewnym rodzajem poszanowania. Miał on więcej jak sześć stóp wysokości; włosy jego były czarne i płasko leżące, oczy niezmiernie długie, czoło, policzki wydatne, zęby dziwnej białości. Nosił głowę zadartą; chód jego był ociężały, i częste jeżdżenie konno tak mu wykrzywiło nogi, że rzekłbyś, iż to jest tułów postawiony na dwóch odciinkach koła. Nie widziałem fizjononji łagodniejszej, jak tego naczelnika, którego nazywano Puha-Puha. Skoro rzuciłeś nań wzrok wyrażający zajęcie lub tylko ciekawość, uśmiechał się on uśmiechem braterskim; a chociaż mowa jego była nieco chrapliwą, brzmiała mile w uszach i odgadywałeś życzliwość w tych zgłoskach wypadających z piersi spiżowych. Jedna rzecz nadewszystko uderzyła mię w tym człowieku kolosalnym: to nadzwyczajna delikatność jego nóg i rąk; a jednak, w nich to była cała jego potęga, cała jego przewaga. Nogi służyły mu do poskramiania konia, ręce do obalania tygrysa. Puha-Puha był istotą godną podziwu; nie mogłem się nań napiąć.

Postrzegłem go razu jednego jak szedł samotny i zamyślony do oberży leżącej niedaleko miasta; poszedłem za nim, i w kilka minut po nim wszedłem do karczmy.

Usiadłszy na ławce naprzeciwko Patagończyka, kazałem dać szklankę wody z eukrem, a potem obróciwszy się do niego, pozdrowiłem go jego ulubionym *Szauha!*....

— *Adios, caballero*, odpowiedział mi; możesz mówić do mnie po hiszpańsku, i jeżeli znasz ten język, nasza rozmowa pójdzie łatwo.

— Myślisz więc, że przyszedłem tu dla rozmawiania z tobą? —

— Jestem tego pewny. Zobaczmy, co chcesz wiedzieć?

— Chciałbym wiedzieć, Puha-Puha, jak upływają dni, których tobie niebo użyczyło, i dla czego zdajesz się podobać więcej w twych pustyniach, niżeli w naszych miastach?

— Otoż dwa pytania, na które mi bardzo łatwo odpowiedzieć. Żyję z mojej pracy, walczę o utrzymanie bytu z żywiołami i dzikimi zwierzętami, a unikam waszych miast dla tego, że nie lubię więzień.

— Więzienie, które zamyka w sobie tylu ludzi, nie jest już więzieniem.

— Jest ono obszerniejsze, ot i wszystko; ale picie i jedzenie nie jest tam dla tego mniej drogie do nabycia.

— Ponieważ masz upodobanie w walkach, mówiłem dalej siadając obok Puhy-Puhy, miasta przedstawiłyby tobie też same korzyści co i pustynie.

— Nie widzę tego jak ty, Europejczyku. Tu, członki są skrępowane, i zrobiliście tyle dla powiększenia wygod życia, że nie pozostawiacie nic prawie sile i odwadze.

— Nie lubisz więc pomocników do toczenia walki?

— Lubię tych, co sam sobie dają, a nie tych, co chcą mi narzucić.

— Jacyż są twoi pomocnicy?

— Mój arkan, moje kulki, nóż w pochwie utwierdzonej do każdego z moich butów, i mój koń, którego ujeździłem. Gdy to posiadam, jestem panem przestrzeni.

Te ostatnie wyrazy Patagończyk wyrzekł stojąc, ze wzrokiem płomienistym: powtarzam ci, był on wtenczas przepyszny w moich oczach.

— A więc, mówiłem dalej, kiedy spotykasz jaguara na twój drodze, twoje serce mocniej nie bije?

— Tak, bije z niecierpliwości i radości; gdyż mam przeciw niemu mój arkan, który go wnet ściśnie jak węża.

— A jeśli spotkasz dwa jaguary?

— Wtedy na jednego arkan, na drugiego kulki: dwie walki, dwa zwycięstwa.

— Jednak, możesz być zwyciężonym; arkan nie jest zawsze posłusznym twój woli; kulki mogą się zabłąkać w drodze; a skoki tygrysa są szybkie także.

— Z tego się właśnie pyszniemy. Gdybyśmy nie podlegali żadnemu niebezpieczeństwu, nie przebiegalibyśmy naszych stepów, w których Pan nie narażał jeszcze swój osoby; a co do bojaźni, którą zdajesz się okazywać, żebyśmy nie chybili czasami jaguara, nie troszcz się o to, Panie Arago. Po arkanie i kulkach idą noże wyostrzone, które nie udzielają przebaczenia nieprzyjacielowi, chyba Bóg się w to wmiesza.

— Macie więc Boga w waszych stronach?

— Sąż jakie strony bez Boga?

— Nie, zaiste, Puha-Puha; zapytanie moje było niedorzeczne.

— Było ono uzasadnione. Wy inni, obywatele wielkich miast, macie namioty, świątynie, kościoły, na każdej ulicy, a w każdej z tych świątyń, w każdym z tych kościołów posiadacie jednego lub więcej waszych bogów, których umieszczacie na krzyżu, albo oprowadzacie pomiędzy ludźmi. My, biedni dzicy mamy jednego Boga, tylko jednego, którego piastujemy w naszym umyśle i w naszym sercu, i wielbimy go w jego świątyni, którą jest świat.

— Jakim sposobem go wielbicie?

— Obracając ku niemu nasze modlitwy, prosząc go o zdrowie ciała, żeby udzielił nam sił dla wykarmienia naszych żon i naszych dzieci.

— Czy religja wasza dozwala wam wiele żon?

— Religja nasza dozwala nam tylko jednej, która czuwa nad swemi dziećmi, dopóki one potrzebują pomocy; ale skoro one zostaną nam oddane, przebiegają razem z nami stępy i stają się wkrótce ludźmi.

— W jakim wieku przestają one być dziećmi?

— W piętnastu latach nasi synowie powinni już zwyciężyć jaguara i stawić mężnie czoło wichrom stepowym.

— Kiedy te wichry straszliwe zmiatają wasze doliny, jakiego używacie przeciw nim środka?

— Wybiegu, którego koń nas uczy. Bóg jeden może zatrzymać wicher w jego pędzie; przeciwko niemu, arkan, puginał, kulki i nóż są bezsilne. Grzmi on, wypada, leci, jest tu i tam jednocześnie, dąży tylko w prostym kierunku, napada, wywraca, łamie, unosi, wszystko z sobą; i powtarzam ci, Bóg jeden mocen jest wstrzymać go.

— Nie powiedziałaś mi, jakim sposobem wybiegacie się od niego?

— Jak tylko się ukaże, koń rży, kładzie się, my szukamy uchrony za jego ciałem i groźba Boga dokonywa się.

— Czyż wierzycie, zapytałem Puhy-Puhy, że Bóg zsyła na was wicher jako karę?

— Bóg nie karze nigdy, odpowiedział mi tonem poważniejszym. Bóg stworzył człowieka do walki, a wicher do niszczenia! Bóg stworzył fale dla zalewania, a brzegi dla stawiania im przegrody. Później dozwolił iść wiekom.

— Wszelakoż, macie u siebie złych i dobrych; jakże nagradzacie tych ostatnich, jak karzecie tamtych?

— Ostatni są szczęśliwi dobrem, które czynią, tamci karani dobrem, którego nie czynią.

Poruszenie prawie niedostrzeżone, okazujące niecierpliwość Patagończyka, dało mi poznać że nie powinienem być dalej posuwać mojej indagacji względem jego filozofji religijnej; zmieniłem więc przedmiot rozmowy:

— Czy byłeś narażony kiedy na wielkie niebezpieczeństwa w twoich pustyniach? zapytałem Puhy-Puhy, pewnym będąc z góry, że odbiorę bohaterską odpowiedź.

— Niebezpieczeństwo, odrzekł mi, istnieje tylko dla tchórza. Człowiek odważny nie widzi go nigdzie, albo raczej bieży sam przeciwko niemu. Mój syn starszy ma zaledwo siednaście lat, mówił dalej z uczuciem dumy rodzicielskiej; wydalif się on jednego poranku

z swęj chałupy i powrócił wieczorem niosąc z sobą cztery piękne skóry tygrysów, ranionych w szyję i ujętych arkanem za boki. Mój syn zarzuca arkany na *pumosy*, strusie i kondory unoszące się nad jego głową; mój syn wart więcej odemnie, który takó¿ czegoś wart jestem.

— Wspomniałeś mi o chałupie, posiadacie więc domy mieszkalne ?

— Nie inaczej, ale one nale¿ą do gruntu, na którym je stawiamy; dzisiaj na wybrze¿u, jutro w krzakach, innym razem na szczycie gór, lub w pośród lasów..... Zdaje mi się, że ci ju¿ mówiłem, że nasz kraj jest obszerny, i my staramy się dowieść, że on do nas nale¿y.

— Ale pomiędzy wami nie zachodzą¿ kiedy kłótnie o posiadanie gruntu?

— Nigdy. Piérwszy przybysz jest jedynym posiadaczem, drugi osiedla się obok niego, tak blisko jak sam chce, i niemasz współzawodnictwa pomiędzy nami, chyba gdy idzie o napaść na jaguara, który wnet pośle ku niebu swe ryki.

— Cóż robicie ze skórami zabitych zwierząt?

— Przykrywamy niemi nasze chałupy; słu¿ą one nam takó¿ za poście, a kiedy ich zbierzemy pewną liczbę, idziemy przedawać je w Buenos-Ayres, albo w Montevideo.

— Jaka¿ jest cena zwyczajna jednej z takowych skór?

— Najpiękniejsze, które podziurawione są tylko na brzuchu, oddajemy za dwa piastry (1).

— A nie oddajecie¿ ich te¿ w zamian za wódkę?

— Oddajemy; ale ten, co mówi z tobą nie pił nigdy nic innego jak wodę. Natomiast, kurzy on tytuń we dnie, w nocy, w ka¿dej godzinie; cygaro to moja radość, rodzina to moje szczęście.

— Czy liczycie lata tak jak my? Wiészże, jakiego jeste¿ wieku?

(1) *Piastr hiszpański* zawiera w sobie 5 franków, 43 centymy francuzkie, czyli na naszą monetę 8 zll. 24½ groszy.

— My mamy trzy wieki, nie więcej: dziecinny, męzki i stary; środkowy opiekuje się dwoma innymi.

— Gdzie idziecie po śmierci?

— Ciało idzie w ziemię, dusza po nad obłoki, wyżej nad błyskawice i pioruny, staje blisko, bardzo blisko Boga.

— A źli?

— Żli są dalej od niego, i to cała ich kara, że użyję tego wyrażenia, którego sam przed chwilą użyłeś.

— Miałem dalej ciągnąć moją indagację, kiedy przenikliwe gwizdzenie dało się słyszeć.

— Cicho, rzekł do mnie Puha-Puha powstając i prostując się, jak gdyby był już w obec straszego nieprzyjaciela.

Drugie gwizdzenie rozległo się, ale z pewną zmianą tonu.

— To on! zawołał Patagończyk z radością niewypowiedzianą i oczyma ciskającymi płomienie, to mój syn ukochany: Bogu niech będą dzięki!....

Puha-Puha odpowiedział na dane hasło, wybiegł z karczmy, i wkrótce ojciec i syn rzucili się w objęcia jeden drugiego.

Była to radość nie do opisania, był to szal, była to wściekłość... Czoła uderzały się, serca były jedno przy drugim, rzekłbyś że to dwa zmartwychwstania.... Byłem w uniesieniu.

— Twój koń całkiem znużony, rzekł Puha-Puha.

— Przyleciał - bo też tu jak wichur.

— Przynosisz mi więc dobrą nowinę?

— Złą, mój ojeze; bardzo złą.

— Mów prędko, po hiszpańsku, mój sąsiad jest przyjacielem.

— Okręt angielski zarzucił przed kilką dniami kotwicę w zatoce Aljos. Zbywało mu na żywności, daliśmy mu swojej; zbywało mu na wodzie, daliśmy mu wody, daliśmy mu drzewa, którego potrzebował na maszty. O! nizezemni! O! niegodziwce! O! przekłeci!....

— Prędko, Kalea, kończ; widzisz że cierpię, że stąkam jakby po węglach rozżarzonych.

— Wyobraź sobie, mój ojeze, że ci nędznicy nadużywając zaufania naszych kobiet, które się udały do nich z żywnością na pokład, pod-

nieśli kotwicę w nocy, wprowadzając z sobą sześć dziewcząt z naszej wsi i moję siostrę.

— Czy jesteś Anglikiem? zapytał mię Puha-Puha głosem gromu, stając przedemną.

— Nie jestem Anglikiem, odpowiedziałem mu ściskając z uczuciem jego rękę.

— Tém gorzej, tém gorzej, zawołał z groźnym giestem, gdyż moja zemsta natychmiast byłaby spełnioną.....

— Możemy jeszcze mieć nadzieję, wtrącił syn. Porywacze udali się na południe; mówili, że chcą przebyć ciałninę; możnaby na nich tam czatować.

— Ruszajmy, Kalea, i niech nasze ostrogi szarpną boki konia.

Nie było już mię tam dla Patagończyka; on i jego syn wsiedli na konia już zadyszanego, i wkrótce znikli z moich oczu.

W sześć miesięcy później, gazety Europejskie ogłosiły, że śliczny trzymasztowy statek z Liverpoolu, który przechodził ciałninę Magiellanską, został napadnięty przez wielką liczbę *dzikich* Patagończyków, że cała osada była nikczemnie wymordowaną, i że wiele kobiet dzikich, przyjętych z morza przez Anglików, zostało porwanych i uprowadzonych w głąb pustyń.

Szybki jak wichur, nieubłagany jak on, Puha-Puha rzucił się bez wątpienia ku ziemi Ognistój, i czatował na przejście trzymasztowego statku.

Czytałem gdzieś, że Patagonja jest zaludnioną ludźmi niegościnnymi, zostającymi w ciągłej walce z narodami cywilizowanymi, i żyjącymi tylko z łupieży i mordów.

Puha-Puha, ty dokonałeś czynu sprawiedliwości; ty się będziesz przechadzał po nad obłokami, blisko, bardzo blisko twój Boga, który chce, żeby ojciec opiekował się swą córką, a karał zdrajcę i gwałtownika.

Wieczorem tegoż samego dnia, kiedy rozmawiałem z Patagończykiem w karczmie, ujrzałem zbliżającego się do mnie, na wybrzeżu, jakiegoś człowieka niskiego, przysadzistego, cery śniadój, który wzięwszy mię pod rękę, zapytał bez ceremonji, o czém rozmawiałem

z dzikim mieszkańcem stepów. Zdziwiony tą niepotrzebną ciekawością, nie chciałem z początku odpowiedzieć; ale gdy mnie poraz drugi zadał pytanie z wielką grzecznością, niepodobna mi było dłużej zachować milczenia; opowiedziałem mu więc to wszystko, z czem się mi zwierzył Patagończyk.

— Czyż to wszystko, co on Panu powiedział? rzekł nieznamy rzucając na mnie badawcze spojrzenie.

— Jakiż powód miałbym o czémkolwiek zamilczać?

— Albo ja wiem? może bojaźń zasmucenia mię lub rozgniewania.

— Ależ ja Pana nie znam.

— Ja zaś znam Pana, Senjorze Santjago Arago, i nie chciałbym, żeby mu opowiadano o mojej rodzinie i mojem plemienu rzeczy, za które-bys później sam się gniewał, żeś je napisał i ogłosił.

— Masz Pan wielką przewagę nademną, odpowiedziałem memu rozprawiaczowi: Pan wiesz kto jestem, ja niewiem do kogo mówię; Pan znasz powód rozmowy, którą zemną rozpocząłeś, a ja szukam napróžno powodu indagacji, której zgodziłem się uledz.

— Przebacz, Senjorze, będziesz wszystko wiedział za chwilę, i nie ja to jeden jestem w obec Pana, ale wiesz, prowincja, naród cały.

— Przebacz mnie także, Senjorze, ale musisz się niezwłocznie jaśniej wytłómaczyć, gdyż w przeciwnym razie nie będę cię więcej słuchał.

— Przystępuję do rzeczy. Ten Patagończyk, ten człowiek olbrzym, który tak zajął pańską uwagę, nazywa się Puha-Puha?

— Tak, mówił mi to.

— Powiedział panu prawdę; ja zaś nazywam się Żep, Żep, nic więcej; moja uroda jest tak małą, że Patagończyk, odpowiadając mi, zdawał się zawsze patrzeć na swe palce u nóg; i cóż powiesz, Senjorze? czy to piechotą, czy konno, z kulkami, czy z arkanem, jestem większy, daleko większy od niego. Jestem silniejszy, straszniejszy dla jaguara; jedném słowem, jestem olbrzymem a on karłem.

— Pańskie wyzwanie, gdyż uważam to za wyzwanie, jest trochę nie w porę; Puha-Puha jest już stąd daleko.

— O! myśmy się widzieli zbliska, Senjorze, i Zep, który ma zaszczyt teraz mówienia z panem, nie wyrzeczy słowa, które nie byłoby prawdą.

Spojrzałem na Żepa ze smutnym uśmiechem, lękając się mieć do czynienia z jednym z tych wesołych warjatów, którym Amerykanie południowi pozwalają wolno chodzić po ulicach; ale Żep pojął, albo raczej odgadł moje podejrzenie, i mówił dalej z gwałtownością, która mi nie dawała czasu do rozwagi.

— Puha-Puha przyszedł nas odwiedzić po raz pierwszy, jest temu zaledwo sześć miesięcy. Jego wysoki wzrost, jego fizjonomia otwarta, skóry jaguarów, które sprzedał na rynku, sprawiły, że się nim zajmowano bardzo w mieście, i że my, goszowie, zdawaliśmy się zostawać w pogardzie. Dla tego więc, najmniej odważni, najmniej zręczni z pomiędzy nas, postanowili wyzwąć Puhe - Puhe i odjąć mu cały urok w oczach najgorliwszych jego wielbicieli.

— Nie widzę, dla czego siła Puhy-Puby mogłaby przynosić jaki uszczerbek waszej.

— Cóż pan cheesz? Należało bronić swój godności, utrzymać honor swego kraju, i Patagończycy, jakkolwiek są wysokiego wzrostu, nie pochyla nigdy z lekceważeniem głowy, patrząc na nas, jakkolwiek jesteśmy niskiej urody.

— Niech i tak będzie; ale w końcu, wyzwanie to przyszło do skutku?

— Nicinaczéj, Senjorze.

— Byłoż ono przyjęte?

— Tak, Senjorze, i Buenos-Ayres, równie jak Montevideo wiedzą o jego następstwach.

— Mogęż o nich takóž dowiedzieć się?

— I owszem Senjorze Santjago, dla tego właśnie chciałem mieć zaszczyt pomówienia z JWPanem.

— Proszę mówić, słucham pana.

— Dziękuję. Moi przyjaciele i ja pociągnęliśmy na losy, kto ma pierwszy pójść wyzwąć Puhe-Puhe. Los wypadł na mnie, na mnie

samego. I, powiem panu otwarcie, że mógł trafić gorzej: Mendez, Irjarte, Gonzalez, i dwudziestu innych nie byli tak szczęśliwi; ja więc stanąłem przed Puhą-Puhą.

Nazajutrz, o świcie, obydwa razem, on i ja, na jednym koniu, zagłębiliśmy się w stepy, umówiwszy się pierwiej, że każdy z nas koleją uderzy na jaguara. On pierwszy zwiódł potyczkę, i wyznają panu, że się popisał pięknie, co się nazywa pięknie, tyle okazał zręczności i zimnej krwi.

— A pan ?

— O! ja miałem do czynienia z jaguarem chytrym, z zuchem, na którego już nieraz zbliżka nacierano, i byłem z tego bardzo rad, gdyż Patagończyk był przy tém, i ponieważ mu zapowiedziałem, że ujmę dzikie zwierzę za nogę prawą i za szyję; chodziło więc o moję własną reputację, żeby się nie poszkapić, równie jak o reputację moich towarzyszków.

— Dotrzymałeś pan swojego słowa?

— Całe Montevideo zapewni pana o tém, gdyż całe Montevideo słyzało to z ust samego Patagończyka.

— Azali pojedynek się skończył po téj pierwszój próbie?

— Nie, Senjorze, pojedynek, jak pan go nazywasz, trwał ośm dni, na arkany, na kulki, i Patagończyk był zwyciężony w każdym spotkaniu..... Poszedłbym o największy zakład, że on panu o tém ani słowa nie mówił.

— Wygrałbyś go pan istotnie.

— A widzi pan! To źle z jego strony, i tém gorzej, że ja bynajmniej się nie wstydzę wyznać panu, że jego syn, ten sam, z którym on dzisiaj rano odjechał, walczył niedawno, równemi siłami, z Gonzalezem, mistrzem nas wszystkich..... Ten mały Kalea godzien być Goszem: my wszyscy nazywamy go naszym przyjacielem.

Patagończycy i Goszowie zostają w ciągłym z sobą współzawodnictwie, i gdyby nie przedzielały ich pustynie, przejście każdej z ich karawan, oznaczone byłoby długim śladem krwi.

Patagończyk nie jest napastniczym, ale skoro go zaczepisz, prostuje się i przypomina sobie wtedy, że ma kulki, arkan, nóż, konia, i że umie walczyć z wichrem pustyni.

Obraz nie byłby zupełnym; dorzucmy nowych farb na płótno, gdyż historia jaguara powinna zajmować nieco stronnice w mojej książce..... Przenieśmy się do innego kraju, nie przenosząc się do innych obyczajów.

XXIII.

POLOWANIE NA JAGUARA.

A najprzód, cóż to jest ten jaguar, którego mamy ściagać w jego najskrytszych kryjówkach? Cóż to jest to płowe zwierzę, którego uważamy za naszego nieprzyjaciela w pustyniach, gdzie on jest władzcą?

Jestto straszny przeciwnik, upewniam cię, gdyż ma on odwagę w sercu, ostre pazury, ostre zęby i wielki apetyt do ciała ludzkiego. Patrz: odzież jego, nadewszystko kiedy jest młody, płowa i błyszcząca na grzbiecie, pięknie nakrapiana centkami czarnymi, i zmieniająca nieco swoją barwę ku tylniej części srogiego zwierza. Głowa jego wydaje się być kościstą, pudlowatą, a w niej, prawie na wierzchu, błyszczą dwie źrenice czerwone, ciskające promień ognisty aż do przedmiotu, którego pożądamy i którego chcą dosięgnąć. Język czerwony i chropowaty, ogon krótki, prawie zawsze w ruchu, muszkuły mocno wydatne, uszy bezustannie na czatach i ruchy gorączkowe, zapowiadające niecierpliwość i wściekłość.....

Oto jaguar, jaguar wolny, niepodległy, zapaśnik niezmordowany, chyba że będzie nasycony, chyba że *puma*, ów lew Amerykański, stanie na przeszkodzie jego zuchwalstwu.

Goszo, Patagończyk, Paulista polują na jaguara: Chilijczyk, który także z dziwną zręcznością używa arkana, nie lęka się obszacząć go w jego lasach najnieodostępniejszych. Chilijczyk niema na swojej ziemi, tak poetycznie poprzeryzanej, ani jadowitych gadzin, ani żar-

łocznych zwierząt, ale w około niego, jakby dla bronienia krajowcom dalszych wycieczek, podnosi się lub czołga *puma*, dzik, jaguar i wąż grzechotnik, którego szelest jest groźbą, którego ukąszenie jest konaniem.

I cóż obchodzi Chilijczyka, że lasy prawie nieprzebyte i góry śniegiem okryte więżą go w jego Rzeczypospolitéj? On jest synem swobody, on chce powietrza i przestrzeni, on przebywa szczyty najwznioślejsze, i oto, nieposkromiony także, z arkanem w rękę, śmiało wyzywa wszystko co tylko żyje w około niego, węża, ptaka, zwierzę drapieżne.... *Puncho* okrywa jego ramiona, *puncho*, to jest, kawał sukna podłużnego, lub kwadratowego, z dziurą we środku, przez którą przesuwą swą głowę; nóż wisi u jego boku, szeroki kapelusz słomiany przykrywa jego osmolone czoło, koń pod nim, a w rękę straszliwy arkan..... Idź za nim w tropy; ale ponieważ filozofja powinna mieć udział w opowiadaniu, dozwól mi, czytelniku, niektórych uwag, czerpanych z doświadczenia pełnych niebezpieczeństw wypadków, które mię spotykały w pięćdziesięcioletniem życiu mojem. Są ludy, których podbój moralny jest niepodobnym; dzikie jak ich odwieczne pustynie, stawia one pomiędzy sobą i cywilizacją przegrodę piasku, skał spiczastych lub lasów dziewiczych, których sami oni tylko śmieją badać milczenie i głębią. Uczeni wędrowcy nie mają ani czasu, ani odwagi potrzebnej do ulepszenia plemion pierwotnych, które nie mają aż dotąd innych nieprzyjaciół, jak zwierzęta dzikie lub jadowite i gniew żywiołów. Tam jednakże byłaby prawdziwa chwala dla podróżnika, coby pojmował ważność swego powołania; tam tylko znalazłby nagrodę swych prac i swych trudów; tam tylko byłby pożytek w czasie obecnym i w przyszłości dla kaznodziei i ucznia, dla człowieka przyrody i człowieka naszych miast.

Kiedy okręty zarzuciły kotwicę w jakiej zatoce, bądź pewnym, że pierwsze spojrzenie jest spojrzeniem chciwości. Jeśli grunt jest bogaty, to wnet nim zawładną; jeśli skalisty, zaledwo kreślący mapy żeglarskie zadadzą sobie tyle trudu, żeby oznaczyć jego wątpliwe położenie. Łakomstwo ma ręce daleko dłuższe niż ludzkość.

Maurycja, Maskarenhas, Indostan, wyspy Malajskie i niektóre inne Archipelagi Oceanów, nie pozostały długo bez władzców, skoro odkrycia Portugalczyków dały je poznać Europie. Ale zapytaj, czy gotują wyprawy dla podbicia dzikich wyspiarzy Fitdży, Soloru, Jawy i Ombay, gdzie piją krew z czaszek nieprzyjaciół pokonanych? Ludożerstwo ich nie obchodzi, i potrzeba koniecznie, żeby szereg okrucieństw, których ofiarami stali się podróżnicy, zwiedzający Nową Zelandję, przychodziły corocznie uprzyjemniać nasze wolne chwile. My żyjemy tak krótko i tak niewygodnie, kiedy nie odbieramy z antypodów wiadomości o pożogach i krwi rozlanu!

Powiedziałem co miałem na sercu; i nie tracąc czasu, idźmy na polowanie z Chilijczykiem, tym burzliwym towarzyszem podróży i niebezpieczeństw.

U stóp jego pustynia; przed nim, w około niego i po przebyciu przezeń ogromnej przestrzeni, jeszcze pustynia z swém milczeniem, swą samotnością, swemi zaroślami, tu wysuszonymi palącym słońcem, tam wymrożonemi; a potem, od czasu do czasu, huk daleki, rozlegający się po ziemi, jakby odgłos przeciągły gromu; to tysiące koni dzikich, z grzywą gęstą i pływającą, nogami cienkimi i żyłastemi, ogonem powiewającym, nozdrzami otwartemi na wszystkie wiatry, rumaków niezmordowanych, przywykłych do dziwacznych zmian temperatury téj części nowego świata, przebiegających po szalonym z równiny na równinę, przebywających wpływ bystre potoki i szerokie rzeki, ożywiających się i podskakujących na odgłos dzikich ryków jaguara, rozgniewanego że mu śmiano zaprzeczać wyłączonego władania, gdzie panuje jak pustoszyiciel; i wreszcie, straszliwe *pampero*, zrodzone w lodach podbiegunowych, zionące swe niszczące wichry na grunt przezeń równany, porywające pnie odwieczne, kręcące nimi w śrubę, albo po uniesieniu ich z rodzimego miejsca, miotające nimi w powietrzu z wściekłością; *pampero* straszliwsze jeszcze niżeli *sirocco* Sahary, gdyż powstaje nie ostrzegając, wybucha jak piorun, nie podnosi się nigdy w górę, jak to czyni pałacy *simun*, i nie zatrzymuje się pierwić, aż wywróci pierw-

sze przegrody wieczyste, które na północ *la Platy*, oddzielają smutny Paragwaj od Brazylii o Cesarskich miastach, o woniejących pustyniach.

I cóż! Tam, tam i tam pustynia; tu, konie szalone; dalej, jaguar; wszędzie *pampero*. A przecież jeden człowiek się puszcza, sam jeden albo prawie jeden, gdyż ma za towarzysza tylko przyjaciela, ale przyjaciela wiernego, uległego, całkiem mu oddanego, znającego głos co go ożywia, pomagającego w jego śmiałym przedsięwzięciu, i który umrze nie wydawszy najmniejszego jęku, zwłaszcza jeśli ma szczęście uratować swego pana. Bo widzisz, on, nie żąda niczego więcej jak być niewolnikiem, chociaż długo i dzielnie walczył za swą niepodległość.

Pan, to Chilijczyk; niewolnik, to rumak. Polecieli. Piérwszy nie pożegnał swój rodziny, rzekł tylko: *do zobaczenia!* A przecież wycieczka jego będzie może o jakie tysiąc mil przez gołe stepy (*pampas*), które nadały imię zabójczemu wiatrowi, co pochyła prawie do ziemi zeszcłte wierzchołki wybujałych krzewów, któremi ta część świata jest uwieńczoną.

Na północ, rzeka *la Plata*, tak szeroka jak nasze są długie; na wschód Atlantyk, którego wyspy są z ziemnej smoły; na zachód śnieżne Kordyljery z swemi spiczastemi szczytami, swemi powietrznemi i lawistemi wulkanami, swemi jeziorami nadobłocznemi i swemi grzmiącemi wodospadami; na południe Ziemia Ognista i ciasnina sławna, przez którą Portugalczyk Magiellan trafił tak szczęśliwie do odkrycia ogromnego Oceanu Spokojnego.

Jesteśmy we środku.... Jednym razem koń zatrzymuje się i drży, nie ze strachu, ale z niecierpliwości; uszy jego i nozdrza są w ciągłym ruchu, nogi jego drgają, włos się jeży, i jednym susem staje w obec nieprzyjaciela, którego instynktem odgadł.

Chilijczyk rzucił resztę swojego cygara, próbuje czy nóż jego wychodzi łatwo z pochwy, czy zgubny arkan ma należyłą elastyczność i czy sprężyny jego strzelby są w dobrym stanie. Sądziś, że się on gotuje do walki, jak jeden z naszych żołnierzy, milczący i zrezygnowany pod bronią? Nie. Chilijczyk, co oczekuje na jaguara, woli mówić

sam do siebie, jak gdyby miał w sobie dwie wole całkiem różne; potem obraca mowę do konia, którego wychwala szacowne przymioty i strofuje wady.

Wszystko to odbywa się jak gdyby powtarzał półgłosem swoją lekcję, albo jak pobożni odmawiają swą modlitwę. Jestto rodzaj monotonnego szemrania, podczas którego wszystkie środki bezpieczeństwa są przedziwnie obmyślane. Sądziłbyś, że dla lepszego spamiętania Chilijczyk potrzebuje świadectwa swoich ust: «A mój arkan, mówi on ścicha sam do siebie, czy dobrze przymocowany? czy nie zawija się na węzeł w swych skrętach? Idźmy! ruszajmy! kończatość noża ostra, wejdzie chłodna do serca. Ho! ho! strzelba, co nigdy mię nie omyliła, nie zawiedzie mnie i tą razą.... Ale otoż, i moje kulki, tak szybkie, o których tylko com nie zapomniał, ja niewdzięczny!»

I przykłada do ust swoje dwie kulki żelazne.

«A ty, Bep, mówi jeszcze do swego uważnego konia, pamiętaj o tym dobrze; jeśli się obrócisz tyłem do jaguara, nie będziesz miał wtedy obrońcy i skończysz jak tchórz. Rób jak ja, patrz nań oko w oko, nastaw mu swą pierś; jeśli się on na cię rzuci, nie trwóż się, mój dzielny towarzyszu: kule moje są ołowiane i idą prosto do celu, kiedy moje oko niemi kieruje.

«Teraz, czekam susów mojego nieprzyjaciela. Bacność! z nami trzema rzecz.»

Jaguar zjawił się w istocie; ale, w obec przeciwnika, który nie ucieka, zatrzymuje się o kilka kroków odległości, przypadłszy brzuchem do ziemi, ażeby się mniej narażać na kule; gdyż on także, jakkolwiek mężny, ma instynkt niebezpieczeństwa jemu grożącego.

Wiész już, jakim sposobem arkan okręciwszy się po nad głową, rzuca się i ściska groźnego jaguara; wiész także, jakim sposobem trafia się niekiedy, że kulki chwytają za nogi wściekłe zwierzę; ale tu Chilijczyk wymyślił nowy sposób walczenia, prawie cudowny, i używa go dla tego, żeby nie zepsuć pięknego futra swojego nieprzyjaciela, które obowiązał się dostawić nienaruszone do *Santjago*, jako zdobycz godną swęj waleczności.

Jak tylko jest pewnym, że niema więcej jak jednego przeciwnika do zwalczenia, Chilijczyk zsiada z konia, któremu mówi śeicha do ucha: «Nie ruszaj się z miejsca, mój przyjacielu; jestem tuż dla bronienia ciebie.» To zrobiwszy, siada najprzód na ziemi przed koniem nieruchomym, mierzy okiem przestrzeń do przebycia; potem kładzie się na grzbiecie, mając arkan z kulkami przy sobie, strzelbę zabójczą w swych rękach, z palcem na cynglu, i czeka jaguara. Ten ciska wzrok płowy na rumaka, o którym sądzi, że jest bez obrońcy; podnosi się powoli, drapie ziemię swemi ostremi pazurami, wstrząsa wściekle wargami, mruży oczy dla osłabienia działania słońca, rażącego jego źrenicę, wydaje ponury ryk, rzuca się jak pocisk..... I wtedy, kiedy przelatuje nad Chilijczykiem, ten strzela do niego, trafia go w brzuch i rozciąga martwym na ziemi.

Jeśli strzał chybił, pugiął robi swoje, i wtedy pozostaje nowa walka do stoczenia. Zwierzę drapieżne ma zęby i pazury ostre, ale Chilijczyk także ma żelazo wyostrzone i ramię silne. Krew jednego i drugiego płynie z niejednej szerokiej rany, i w tém zwawém spotkaniu musi przynajmniej jedna ofiara paść trupem.

Robiąc ostatnie wysilenie, tygrys staje na tylnych łapach i rzuca się na swego zapaśnika.

Ten nie ucieka, ale ze swój strony rzuca się na pierś zakrwawioną srogiego nieprzyjaciela, i nóż, przenikając aż do serca, szuka tam ostatniego uderzenia.

Trup leży na ziemi.

Podczas gdy się odbywa ta ostatnia walka, która niekiedy trwa kilka minut, a nawet często przez pół godziny trzyma w zawieszeniu obu przeciwników, zręcznych w uważaniu siebie, cóż czyni wierny i poświęcający się towarzysz Chilijczyka osłabionego znużeniem? Nic. Pozostaje on na miejscu, które mu naznaczył jego pan, śledząc tylko okiem zapalczywe koleje bitwy, podobnie jak czyni obojętny świadek naszych pojedynków Europejskich.

Zdarza się też niekiedy, że w swych wycieczkach do pustyń, Chilijczyk zdobywa jaką skórę jaguara, nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo. Koń raniony lub chory pozostał leżący na ziemi:

dwa tygrysy zadyszane rzuciły się na ofiarę, i oto, wściekłe, łakome, nie chcąc przypuścić jeden drugiego do udziału w zdobyczy, rozpoczynają pomiędzy sobą straszliwą walkę, która pozostawi zwycięzcy dwa łupy do pożarcia. Jeśli zdrząłeś na obraz walki toczącej się pomiędzy Chilijczykiem i jaguarem, pomyśl jak przerażającym jest dramat wtedy, gdy dwoje wściekłych zwierząt szarpie siebie swojemi zębami i pazurami, wydając głośne ryczenia!

Pierwsza ucztą jest zapomnianą, i żrenice dwóch tygrysów jadłych nie szukają już nieprzyjaciela bezbronnego. Chilijczyk może się wtedy zbliżyć bez bojaźni do dwóch zapaśników, może sądzić o dzielności obrony i napaści, i nie myśli im przeszkadzać; a jeśli obaj walczący, po bitwie, nie są rozeiagnieni na plaцу, zwycięzca będzie łatwą zdobyczą dla Chilijczyka, który pogardza jednak podobnemi zwycięztwy; czego najprzód potrzeba jemu, to niebezpieczeństwa; czego chce potem, to skóry jaguara dobrze zachowanej, którą mógłby sprzedać za kilka piastrow dla zaspokojenia potrzeb swęj rodziny. Widziałem w Santjago jednego z tych niepohamowanych zwiedzaczów pustyni, który z pogardą odrzucił trzy piastry za dwie takie poszarpane skóry tygrysie, i który mi za chwilę potem ofiarował je darmo, gdyż, jak mówił, otrzymał je bez pomocy swych arkanów, swęj strzelby i swego puginau.

«One mię nie kosztują, mówił dalej rzucając mi je pod nogi, oddaję ci je po tężej samęj cenie.»

Oto dwaj przeciwnicy groźni dla Chilijczyka: jaguar i jego samica, cheiwe pokarmu, z otwartemi paszczami, wydające z siebie cuchnący oddech ciał zepsutych, z bokami oblanemi smrodliwym potem, z oczyma ciskającemi płomienie. Spotkanie będzie straszliwe. O! wtedy to Chilijczyk powtarza po cichu i prędko swe rady i swe modlitwy bojowe! Im niebezpieczeństwo jest groźniejsze, tém mniej surowe i mniej cierpliwe słowa wymykają się z ust jego; i dla tego to może mają one w sobie więcej energii.

Dwaj zawzięci zapaśnicy postępują obok siebie jak dwaj wywiezieni żołnierze; strzelba Chilijczyka przychodzi mu w pomoc, równie jak jego arkan, którym pierwiej pogardzał, i koń szlachetny, który

ucieka niekiedy, skoro jego pan bliskim jest przegranej, jak gdyby nęcił jaguara, żeby szedł za nim w pogoń. Ale rzeczy rzadko podobny obrót biorą, gdyż Chilijczyk ma dwa noże, dwa arkany, dwa serca za pomocników, a przed nim są tylko dwa tygrysy krzepkie i silne, pięknie ubarwione czarnymi centkami. Przeciwnicy odlegli są jeden od drugiego nie więcej jak na jakie dwanaście kroków. Potrzeba, żeby pierwsza kula puszczone była śmiertelną, gdyż inaczej życie Chilijczyka zostanie w wielkiem niebezpieczeństwie. Wystrzał dany, jeden z jaguarów wydaje ryk, upada i powstaje. Nie z nim to Chilijczyk będzie miał teraz do czynienia; kula dobrze trafiła, dzikie zwierzę wyda jeszcze kilka głuchych jęków i padnie potem bez życia.

Walka rozpoczyna się między dwoma innymi zapaśnikami; i pojedynk na śmierć kończy się zawsze na korzyść człowieka, gdyż jego przeciwnik jest w połowie zwyciężonym upadkiem swojego towarzysza w konaniu.

Są to dwa epizody dosyć pospolite z życia Chilijczyka. Ale wtedy kiedy trzech lub czterech jaguarów, razem szukających łupu, napadnie na jednego nieprzyjaciela wśród pustyni, wtedy to chwila walki jest straszliwa.

Chilijczyk, który zdała postrzegł zgłodniałą kupę, nie miałby innego świadka swęj ucieczki jak konia jemu posłusznego: a jednak nie może się on zdecydować zwrócić go nazad; pozostaje na miejscu, chociaż przeczuwa los, co go wkrótce spotka. Prawie na los szczęścia daje ognia z swęj morderczęj strzelby, ale kule są często bezsilne przeciwko tygrysowi; ród ich jest pełen żywotności, jak wszystkich zwierząt żarłocznych, i trzeba gęęboko poręć jego wnętrzości, żeby znaleźć tam ostatnie źródło życia. Kula jednak była dobrze wycelowaną, choć Chilijczyk strzelił od niechcenia, tak on jest wprawnym w strzelaniu.

Rzucił on również arkan z kulkami, a razem długi rzemień przywiązany do popręgi siodła. Teraz, ściska swemi skureczonemi palcami rękojęć noża; uderza, dziurawi, uderza jeszcze; pazury i zęby tygrysów szarpia go, on uderza ciągle. Dwaj inni przeciwnicy, rozjątrzeni stratą, którą dopiero co ponieśli i nadzieją łatwego zwycię-

ztwa, skaczą z wściekłością i żądzą mordu, którą nie zaspokoie nie zdoła; latają to po prawej to po lewej stronie jezdca, szarpia boki konia, który pokłada wiarę tylko w swoim opiece. Nóż Chilijczyka przesywa wnętrzości tygrysa, zawieszona na tylniej części konia i który ześlizga się prawie bez życia na ziemię, głęboko pooraną, kiedy tymczasem trzeci jaguar kończy swe dzieło zniszczenia. Chilijczyk i jego przyjaciel tracą krew płynącą z kilkunastu szerokich ran, pochylają się, upadają nie wydawszy ani jednego jęku, i oddają wreszcie ostatnie tchnienie. Okropna uczta rozpoczyna się, a naza jutrz orły i sępy unoszące się w powietrzu, widzą na ziemi szczątki straszliwie zeszpecone i dwóch jaguarów obzartych nurzających się we krwi.

Życie Chilijczyka dopełnionem zostało.

XXIV.

PARAGWAJ. — STEPY. — KORDYLJERY.

Winienes stronnice, któreś dopiero co przeczytał, mojemu niepomiarowanemu zamiłowaniu w niebezpiecznych wycieczkach. Żałuj mię, że niemam siły oparcia się mu.

Wnet po mojem wystąpieniu na ląd, czytelnik widział mię narażonego na różne wypadki, odznaczające życie wędrowca.

Ale jak tylko zaspokoilem moje pierwsze chętki, powróciłem na pokład, i po raz pierwszy, znalazłem Kapitana gotowego do zmiany kierunku drogi. Uwiadomił mię, że nazajutrz ma podnieść kotwicę, udać się na południe, okrążyć przylądek Horn, i zatrzymać się w Valparaiso.

Dla czego tam raczej niżeli gdzieindziej? On sam o tém wiedział, a może nawet i nie wiedział.... Jakkolwiek bądź, moje postanowienie było takż zrobione.

— Opuszczam pana, powiedziałem do niego głosem stanowczym; ale opuszczam tylko na czas krótki, na dwa lub trzy miesiące najwięcej.

— Oceany, to szeroka droga, odpowiedział mi, i jeśli powiemy sobie: *do zobaczenia!* może być, że to słowo będzie pożegnaniem.

— Miejmy nadzieję, że przeciwnie nastąpi.

— Jakiż jest pański zamiar, chciałem powiedzieć, pańskie nowe szaleństwo?

— Szaleństwo, niech i tak będzie ; ale widzisz pan, droga, którą zamysłasz odbyć, nie nauczy mię niczego zgoła. Ta zaś, którą przedsiębiorę, lubo może narazić mię na niebezpieczeństwa nieprzewidziane i nieuniknione, doprowadzi mię do rozstrzygnięcia zdania, którego rozwiązanie odstraszyło wielu odważnych ludzi.

— Jakaż to droga? słucham pana.

— Patagonja jest krainą obszerną; ludzie co ją przebiegają są towarzyscy; wznoszą się tam, na zachód, daleko od Atlantyku, szczyty śnieżne, urwiste, które podnoszą ku niebu swe dumne czoła. Chcę je deptać nogą, jak niegdyś żołnierze Korteza, i znalesz pana w Chili, którego obyczaje są mi znane.

— Ależ to przedsięwzięcie szalone.

— Dotąd wszystkie mi się udały, i od tego nie mię odwieść nie zdoła.

— Ani nawet pustynie? ani rzeki, które możesz napotkać w tych niezmiernych bezludnych stronach?

— Ani te nawet przeszkody, które może nie istnieją gdzieindziej jak w pańskiej wyobraźni.

— Jesteśże pan pewnym, że znajdziesz przewodników?

— Nie potrzeba mi więcej jak jednego, determinowanego jak ja.

— Widzę, że usiłuję napróżno uleczyć chorego przy skonaniu ; idź za swoim przeznaczeniem, i niech Bóg ci towarzyszy.

— Bóg mi towarzyszyć będzie.

— I ja, rzekł do mnie Jan-Jan, który nas podsłuchiwał ukryty za linami. Pan często mię zapewniałeś, że nasza przyjaźń jest nierozłączną; nie zadasz sam sobie kłamstwa, panie Arago, i nie zasmucisz mojego serca.

— Oddalenie zapowiada powrót, mój dzielny chłopcze; rozstanie zwiastuje połączenie się; opuszczam ciebie dla tego tylko, żeby się znowu połączyć.

— To znaczy kara przed wykroczeniem, łzy przed śmiechem. W istocie, panie Arago, pan jesteś bez serca.

— Cenię twoje przywiązanie, mój biedny Jan - Janie ; ale właśnie dla tego, że moje przywiązanie ku tobie jest żywe i nie-

zienne, nie chcę cię narażać na niebezpieczeństwo, na które się puszczam.

— O! brawo! brawo! mówisz pan jak ten nieszczęsny Bavastro.... Czyż ja szemrałem kiedy wśród walki? Czyż nie czyniłem méj powinności w obec dwóch dzikich zwierząt Senegalu? Czyż stehórzyłem, kiedy wulkan Teneryffy kichał tak mocno nad naszymi głowami? Czyż się nie wspinam na maszty jak majtek pierwszego rzędu, za każdym pędem wichru?..... Czyż odrzuciłem choć jeden tuzin pomarańcz Sir Willjama? Tak, powtarzam panu, pan jesteś bez serca, i Bavastro był pańskim stryjecznym, jeśli nie rodzonym bratem.

— Słuchaj, mój przyjacielu, rzekłem do mojego kochanego majtka, ściskając go z uczuciem za rękę, dla własnej to jedynie korzyści odmawiam ci, i ty mi przebaczysz to samolubstwo.

— Jeśli mi pan dowiedziesz, że ta niedorzeczność nie jest niedorzecznością, to się zgadzam na wszystko.

— Widzisz, mój chłopcze, że lud pośród którego teraz się znajdujemy, jest może przychylnym dla nas pod tym tylko warunkiem, żebyśmy się nie targnęli na jego niepodległość.... Jednego człowieka oni się nie lękają, dwóch może im przywieść jaką obawę.

— Prawda, że jestem tak brzydki!

— Nie, nie to ja chcę powiedzieć. Oni także nie są pięknymi; ale mybyśmy rozmawiali często w języku, którego oni nie rozumieją; mogliby więc nam wyplatać figla i zamordować nas przez nieufność.

— Patrz pan; wszak jest w tém nieco słuszności, co pan mówisz, i chciałbym, żebyś pan przebaczył mi moje krzywdzące słowa.

— Przebaczam ci, mój chłopcze. Uściśnijmy się, i niech żyje przyjaźń taka jak nasza!

Oczy Jan-Jana napełniły się łzami, równie jak jego serce; dwa jego smoczki otworzyły się, dwa potoki też z nich się polały, i ja, równie zasmucony jak on, uczułem płynące moje, i pobiegłem połączyć się z moimi Patagończykami na wybrzeżu.

Trzech z pomiędzy nich, dumnych z tego, że mieli mi służyć za eskortę, wsadzili mię na jednego ze swych koni. Uczepiłem się jako

tako za grzywę, i za kilka dni stałem się jeźdźcem dość wprawnym, żeby się ośmielić puścić galopem.

Stopy całkiem jałowe, krzewy nadzwyczajnej wysokości, niekiedy milczące lasy, strumienie nie szerokie, nie szybkie, równina bez żadnej wyniosłości, tysiące koni dzikich, gdzie niegdzie jaguar, mało wprawni, lub niechęć napadać na nas: oto nasza droga aż do podnóża Andów, które się ukazały w końcu na widok z dziwnymi zagięciami ogromnych swych rozmiarów.

Dwadzieścia razy przynajmniej, wyznam to ze wstydem, myślałem o zaniechaniu mego przedsięwzięcia: lękałem się zimna więcej niżeli niebezpieczeństwa; ścieżki, po którychśmy się drapali, były okryte stwardniałym śniegiem, i pomimo skór jaguarowych, któremi przewodnicy okrywali moje ramiona, cierpiałem dużo od surowości temperatury.

We trzydzieści siedm dni dokonaliśmy naszej podróży. Wynagrodziłem cierpliwość i staranność Patagończyków, i skoro ziemie Chilijskie ukazały się przed nami, jak tylko doścignęliśmy małego miasteczka zowiącego się, jak sądzę, Ariatta, wrócili oni nazad, żeby się zagłębić znowu w swe odwieczne pustynie. Ja udałem się w dalszą drogę, żeby odwiedzić jeszcze ów kraj cywilizowany, tę rzeczpospolitą płodną, którą miałem powitać sercem po długim lat przeciągu.

Słuchajcie teraz.... i urońcie kilka łez na obraz wielkiego nieszczęścia, którego bolesną pamięć przechowuję; nadewszystko kiedy cofam me myśli ku dramatowi lodów podbiegunowych, o którym może nie zapomnieliście.

Romans nie będzie nigdy tak zajmującym jak historia. Słuchajcie i przeniescie się do piętnastego wieku, tak płodnego w dramatyczne wypadki, tak pełnego wzruszeń szybko zmieniających się.

GRUPA SKAMIENIAŁA.

Ustęp z czasów zdobycia Peru.

Szczałki trzech bohaterów, albo raczej trzech ofiar, których historję mam wam opowiedzieć, mogą być od was dzisiaj widziane,

nie opuszczając Paryża, tak zimnego i tak jednostajnego.... Chodźcie: oto trzy tułowy są tam w jednej z obszernych sal Ogrodu Botanicznego....

Pochylicie głowy i módlcie się.

Dzieje pomników są dziejami państw ; dzieje jednego człowieka są dziejami ludu, i kiedy księgi mileżą o rewolucjach, które zburzyły państwa, odłamki kolumn, rozsiane tu i owdzie pod kupami piasku, wyjaśniają badaczowi starożytności rzeczy i epoki, pokryte pomroką czasów.

Bezwątpienia wiek piętnasty jest jednym z tych, które odznały z największym blaskiem swój przechód na tej ziemi, pełnej klęsk rozmaitych, i zdobycie obu Ameryk jest najznamienitszym wypadkiem tych dni śmiałości i zbrodni, które nam przekazały tyle imion sławnych i miast podbitych.

Eldorado, które nie było jeszcze zmysleniem, popchnęło część Europy po za Atlantyk ; ale serca stalowe, dla których śmierć była nieuniknionem następstwem życia, szły szukać czego innego jak młodości i bogactw w kraju Kacyków i Inkasów, tak odartych dzisiaj z poezji....

Potrzeba było niebezpieczeństw i chwały Alfonsom Albukierkom, Alvarezom Kabralom, Gamom, Djasom de Solis, a nadewszystko potrzeba ich było Franciszkowi Pizarrowi, temu odważnemu awanturnikowi, któremu sławne imiona Krzysztofa Kolumba i Ameryka Wespucjusza spać niedawały; i wspaniała to, trzeba przyznać, epopeja, w której on grał główną rolę, on, dowódzca kilku setek niekarnych rabusiów, przeciwko ludom niezliczonym i sfanatyzowanym.

Znacie wszyscy tę historję prawie bajeczną, która w kilka miesięcy pożarła to, co Ameryka miała ludzi, gmachów i skarbów nagromadzonych. Nie będę jęj tu wam opisywać; ale kiedy zajmujący następ tej krwawej walki znajdzie się sam pod piórem badawczego pisarza, jego powinnością jest umieścić go i podać do rozmyślenia tym, którzy w swém ręku dzierżą losy państw. Przeszłość jest prorokiem

przyszłości, i nie jest jałowem w nauce dni ubiegłych, albo grodów zużytych długim wieków tarcie.

Kto był ten słynny Pizarro? Wiecie..... Kto byli jego towarzysze broni? Wiecie także..... Inkasy zwyciężone mieczem, szpizem, rumakami i brytanami, opuścili swe bogactwa i swe stolice.

W kilka miesięcy po zdobyciu Peru przez tego nieszczęsnego Pizarra, którego dusza nakazywała morderstwa z zimną krwią, godną czasów barbarzyńskich, wszelka starożytna religia tych dobrych ludów podrównikowych zgasła, i skarby świątyń były strwonione przez żołdaków łupieżcy w rozpustnych biesiadach.....

Ale młode dziewice, które Kurakasy poświęcili słońcu, gdzież się podziały?... Niestety! Żołdactwo Pizarra powiedziało ci to wtedy, i my, którzyśmy się grzebali w krwawych opisach téj wojny bezbożnej, my piszemy, ponieważ to jest prawdą, że mało z nich uniknęło obelg niegodziwych ludzi, którymi był otoczony ich okrutny dowódzca.

Pomiędzy niemi, najpiękniejsza, jeśli damy wiarę rękopismowi uszkodzonemu, który w téj chwili jeszcze mam pod ręką, była Kalida, którą Inkas sam chciał mieć za żonę. W czasie szturm przypuszczonego do świątyni, ukrywającej ją przed wzrokiem niepoświęconym Peruwjańczyków, dostaje się ona w niewolę młodemu Oficerowi Kastylskiemu, którego obyczaje łagodne i uczciwe zostawały w sprzeczności z obyczajami jego towarzyszków nie nie szanujących. Nazywał się on Żuan Torrycho. Kalida rzuca się mu do nóg błagając o litość; ale jak skoro podniosła oczy na swego zwycięzcę, dziękowała i błogosławiła Niebu.....

O! była to jedna z tych miłości czystych i świętych, które uszlachetniają i pocieszają. Kochali się nie mówiąc sobie o tém; brat szanował siostrę, ale siostra pojmowała, że w sereu kobiety mogło się znajdować inne uczucie, niżeli ta święta przyjaźń, która zajmowała jéj życie nie zapełniając go.

Nie zatrzymuję się nigdy przed tą grupą skamieniałą, którą nauka tylko rozważa z uczoną obojętnością, żebym nie czuł oczu moich przepelnionych łzami. Cała epoka rozwija się przed memi oczyma,

epoka krwi i świętokradztwa, w której świat przyjmował większe rozmiary, w której złe namiętności, niesione na skrzydłach wiatrowych, biegły razem z naszymi wędrownymi okrętami, i kiedy dotykam palcem tych dwóch wymownych postaci, szukam dziecka w proch obróconego, które zostawiło na łonie matki tak rozrzewniający odcisk.

Widzę jeszcze na stoku tych śnieżnych Kordyljerów, które przeryniają Amerykę z południa na północ, tych biédaków nieszczęśliwych ściganych, jak oni sami mówią w swój naiwnej mowie, z rozkazu Pizarra i Inkasa, jego więźnia. Piérwszy chciał najprzód Torrycha, którego ramię i zdolności były tak użyteczne w prowadzeniu wojny, zostawując nadal zawładanie samą Kalidą; drugi domagał się głośno młodéj i ślicznój Peruwjanki, której pamięć droższą mu jeszcze była nad wolność.

Niestety! Czytajcie, jak ja, te stronnice wymowne, napiętnowane boleścią i rozpazą, a będziecie mieli wyobrażenie o udrażczeniach i męczarniach dwóch zbiegów z Kwito, po spaleniu téj stolicy.

Kraj nieznan, płaszczyzny jałowe, lasy prawie nieprzebyte, góry obnażone piętrzące się jedne nad drugie, i podnoszące aż do Nieba swe dumne szczyty. Dodajmy do tych niedogodności, i do téj zgubnej płodności gruntu, potoki nieprzebyte, zwierzęta drapieżne, z któremi należało walczyć lub od nich uciekać, gady niezliczone, które podzielały niekiedy łóżę dwojga kochanków, a pojmicie może, dla czego śledziłem z takim zajęciem moich dwóch bohaterów, dziś wyciosanych z kamienia, których praguienie i głód musiały tak często oziębnić odwagę, nie zmniejszając ich miłości.

Kwito, jak wiecie, wznosi się tyle nad poziom morza, ile najwyższe szczyty Pireneów, a jednak ku krainom wyższym jeszcze skierowało swą ucieczkę tych dwóch zbiegów. Dusza oczyszcza się w tych warstwach bliższych nieba, a ponieważ żyły, z których czerpano złoto, znajdowały się u stóp tych gór, zdawało się być rzeczą naturalną wnosić, że żołnierze Pizarra, chciwsi jeszcze bogactw niżeli zemsty, nie wdrapią się na Kordyljery, gdzie ich oczekiwało tyle nie-

bezpieczeństw. Torrycho, niestety! myślał tylko o ludziach, ale żywoły także umieją się gniewać, i przeciwko nim to dopióro przyszło mu walczyć.

Chociaż pod równikiem, Kwito ma swe noce śnieżne, swą wiosnę i swą zimę. Torrycho i Kalida postrzegli to wkrótce, i możecie sobie przedstawić, jakich udręczeń musieli doznawać, kiedy pośród ciemności ujrzeli się ociążniętymi, obwiniętymi siecią śniegu, którego zlodowaciałe szmaty chłostały ich odrętwiałe członki, i których szeroki płaszcz zalegał przepaści, ponad któremi się wspinali.... O! ta część opowiadania dwojga nieszczęśliwych nacechowana jest trwogą najokropniejszą; domyślasz się, że choć ono nosi na sobie charakter hiszpański, musiało być dyktowanem przez kobietę.... Biedna Kalida! może wiedziała już wtedy, że nosi w swém łonie zakład miłości, silniejszy od gniewu Nieba!

Jednakże oto oni, wspierani jeden przez drugiego, gotowi za każdym krokiem zniknąć w bezdennych przepaściach ich otaczających. Wicher huczy u stóp ich, nad ich głowami.... śnieżna zawala posłuży im tylko do przedłużenia konania.

«Zatrzymajmy się tutaj, rzecze Kalida głosem zaledwo dosłyszonym; ostatnie westchnienie człowieka powinno być myślą o Bogu; spoczynek tylko dozwala nam wznieść się aż do Niego..... Oto, mówiła dalej, skała wystająca, gdzie oddamy ostatnie tchnienie... Niech nasze dusze, Torrycho, zmieszają się w jednym i témże samém pożegnaniu!»

Usiedli na odłamie lawy, z której huragan zmiotł śnieg, i tam, samotni, osłonieni jeden przez drugiego, czekali swego oswobodzenia, to jest śmierci.

Wszystko było białe w okolo nich: był to całun pogrzebowy, co się rozciągał w dal nieskończoną, i zdawał się chcieć zagarnąć świat w tę samą klęskę.... Słuchaj, słuchaj, odgłos głuchoy, ponury, złowieszczy, rozlega się jak groźba niebios; rzekłbyś, że to są fale ryczące rozdąsanego morza. Jakaś muzyka szatańska.

Sąż to głosy chrapliwe pumów, tych lwów amerykańskich, co skaczą niekiedy w około wędrownych karawan? Nie, oni się nie zapuszczają w te krainy lodem ścięte. Węże także milkną na wściekły głos sprzysiężonych żywiołów..... Cóż więc znaczy to gruchotanie prawie ciągłe, którego skała, oślanająca wygnańców światła, powtarzała ostatnie odgłosy z pośępném jęczeniem?

Był to lodozwał, co się gotował do swojego dzieła zniszczenia; był to szczyt góry, co miał za ledz dolinę.... Oto on! oto on! podnosi się, huczy, otwiera swe boki, rozciąga ramiona, przeważa się, osuwa, chwije i leci.....

Skała jedna opiera się mu; wszystko zresztą jest uniesione, zgruchotane w jego olbrzymim pędzie: drzewa odwieczne, żyłaste ljanya, bryły smolne, ptaki wędrowne zbłąkane w przestrzeni, kondory olbrzymie, panujące ponad obłokami, trupy zwierząt czworonożnych i gadów, wszystko zmieszane, zmięte w jedną sieć zaguby, wszystko pochłonięte szybkimi obroty ziemskiego zjawiska. Chaos się rozpoczyna, i kiedy góra drży aż do podnóża, Torrycho i Kalida, sami, czekają rozwiązania dramatu z spokojnością naigrawającą się z ogólnej klęski.

Dowiemy się może później, czy ten lodozwał szalony przestał na zapełnieniu szczątkami głębokiego wąwozu; gdzie wściekłość jego skonowała; posłuchamy w tym względzie najprawdopodobniejszych badaczów tych okolic, na które potęga boska rozsiała swe najwspanialsze skarby i swe najokropniejsze nędze.... Śledźmy nateraz naszych kochanków przed ludźmi, naszych małżonków przed Bogiem, i zobaczymy, czy po tylu tułaniach i niebezpieczeństwach, nie odkryją oni mieściny indyjskiej, rodziny koczowniczej, która im użyczyła przytułku, słońca, nieco owoców i pociechy.

«Jak moja miłość jest zgubną dla ciebie, mówił Torrycho do swęj łagodnej i odważnej towarzyszki, której obnażone nogi widział poszarpane szczątkami głazów i cierni; nieprawdaż, że ty ją przeklinasz? o Kalido, duszo duszy mojej!..... Powiedz, aniele pocieszycielu wszelkiego nieszczęścia, powiedz bez bojaźni temu, który nie chce żyć bez ciebie, że ty za wiele liczyłaś na swe siły i na

twą czułość; powiedz mi, że żal wkraść się do twego serca, a w tej chwili moje ciało zranione potoczy się aż do głębi tej bezdennej przepaści.»

Kalida za całą odpowiedź rzuciła na Torrycho jedno z tych spojrzeń przepęnlonych łzami, które są razem wymówką i pociechą; gorący pocałunek był zadatkiem wiecznego pokoju.... Jakoż energja ich odradzała się za każdą przeszkodą, co wznosiła się przed nimi; i taka była bohaterńska wytrwałość zbiegów, że ich życzenia przyzywały często najgroźniejsze przeszkody, ażeby dowieść przeznaczeniu że ich miłość była mocniejszą w miarę tego, jak się przeszkody mnożyły przed nimi....

Ale otoż niebo, co się im uśmiecha, co ich ogrzewa; krajobraz, co im zwiastuje nadzieję; jedna z tych świeżych i wesołych oaz, które ręka Wszechmocnego prawie zawsze rozrzuca w pośród gór urwistych i dzikich, które bojaznią napełniają nawet dzikie zwierzęta, co je opuszczają sztyko.

Jestto rozkoszna dolina, do której się przekrada mruczący strumień i odbija w sobie woniejące drzewa, których miła woń pociesza zbłąkanego wędrowca w tych niezmiernych samotniach; gromadne kupy ptasząt o tysiącu barwach igrają pomiędzy gęstemi warkoczami roślinnych kolosów, napełniając powietrze muzyką głosów, wrzasków i westchnień, które cię wzruszają, zadziwiają i czarują razem.... Tam niemasz tych skręconych pomiędzy kwiatami węzów; niemasz płowych jaguarów, nakrapianych czarnymi centkami, z chropowatym językiem, ostremi pazurami, płomienną źrenicą; ruchami tak szybkimi i zwinnymi, że mógłbyś je nazwać gadami zwierząt; i, jak gdyby Stwórca wszech rzeczy chciał powiedzieć człowiekowi lasów lub miast: Zatrzymaj się tu!.... Pagórki piętrzące się, otaczające to prześliczne Eldorado, nie dozwalały, ażeby szezyty wznioślejsze przesyłały w dolinę szczątki perjodycznych wstrząśnień, któremi straszliwe i wieczne lodozwały zdają się chlubić.

Na widok tego rajy ziemskiego tak niespodziewanego, Torry-

cho i Kalida upadli na kolana i wzniesli aż do tronu Jehowy swe najgorętsze dziękczynienia.

— «Dziękuję twojemu Bogu, rzecze Kalida; on jeden mógł rzucić pod nogi nasze tyle bogactw, i tyle radości do serc naszych.

— Dziękujmy mu za nas oboje, odrzekł jej Torrycho.

— Za nas troje, dodała żywo Kalida, z oczyma też pełnemi.

— Oby On użyczył mu dni szczęśliwych!

— Módlmy się o to, Torrycho; nazwiemy go Żuanem, naszego syna, bo takie jest twoje imię.... bo ty masz ojczyznę, a ja jej już niéмам!

— Możeż to być? zapytał Hiszpan Peruwjanki, której pochwycił znowu rękę z miłością zapamiętałą; o! ale wtedy, moja ojczyzna twoją, moje Niebo twojém, mój Bóg twoim, gdyż On stworzył twójego, to szerokie słońce, co upładnia z jego rozkazu tyle bogactw rozsianych przed nami..... Chodź, Kalido; tu odtąd nasza ojczyzna; tu jest szczęście; tu miejsce dla pierwszej latorostki rodziny Torrycha i Kalidy.»

Pod niebem zawsze błękitném, na ziemi zawsze młodej i czerstwój, czegoż więcej potrzeba człowiekowi, któremu luba towarzyszka samotność umiła i uczucia podziela?... Wody, trochę owoców, zdrowia, spojrzenia, téj wiecznej potęgi, która dodaje odwagi najbojaźliwшему, nadziei skazanemu na śmierć.....

Torrycho więc był szczęśliwym w téj wesołej dolinie, której opisuje bogactwo w wyrażeniach tak poetycznych. Był on podwójnie szczęśliwym, gdyż czytał, po przebudzeniu się, uśmiech pełen pociechy na ustach wpołotwartych Kalidy, która wkrótce miała zostać matką.

«Tak się tworzą osady, mówiła doń piękna Peruwjanka głosem przekonującym: najprzód jeden, potem dwoje, potem troje; potem przypadek sprowadzi w samotną ustron zbłąkanego wędrowca..... Podadzą mu rękę, przyjmą go, pielęgnują i rodzina potrzebuje już obszerniejszego pola, przestronniejszej chatki, szerszego posłania.

— Czyż samotność ci się przykrzy? zapytał jej smutnie Hiszpan.

— Nie, mój przyjacielu; ale przyszłość powinna nas zajmować nieco: zostaniesz wkrótce ojcem, Torrycho; twój syn będzie miał duszę taką jak twoja dusza.... Ja moję dam córce mojej, bo to nieprawda, że nasze myśli są jakoby w głowie.

— Jak ty jesteś szlachetną, o mój aniele pociechy!.... Dobrze! wieszże, czém mię natchnęła twa mądra przezorność?

— Mów, przyjacielu; twoje słowo jest miłém wtedy nawet, gdy karci; założę się, że ty będziesz miał większą słuszność odemnie, która utrzymuję zawsze że ty niesłusznie sądzisz.

— Słuchaj. My tu jesteśmy tak szczęśliwi, zdala od Kurakasów, zdala nadewszystko od Hiszpanów, moich krwawych współziomków, że myśl poszukiwania po za obrębem lawy, która nas otacza, nie przyszła mi jeszcze.... Może jesteśmy niedaleko od jednej z tych wiosek szczęśliwych, o których mówią stare podania naszych krajów; może także żyjemy pośród świata zamieszkałego.... Chceszże żebym się wdrapał na te wierzchołki jałowe, co nad nami panują, i żeby moje oko zbadało głębie dolin je oddzielających?.... Szczęście czyste nie jest zgoła samolubném, i jeśli to prawda, że ludzie lub narody krążą w około nas, sądzę, że będzie zgodném z ludzkością powiedzieć im, że nasz kraj także jest bogatym, że nasze owoce są smaczne, nasze wody zawsze świeże i przezroczyste, i nasze państwo dość obszerne dla cząstki tych, co cierpią.... Chceszże tego, Kalido?....

— Twoja propozycja jest wyrzutem, odpowiedziała młoda Indjanka podając rękę małą i wilgotną swemu niespokojnemu małżonkowi, ale przyjmuję ją bez szemrania; tylko, jeśli ty pójdiesz, jeśli się stąd oddalisz, pójdę i ja z tobą, nie opuszczę cię: twoje trudy powinny być mojami, twe niebezpieczeństwa będą mojami!....

— A twoje dziecko?.... zawołał Torrycho strwożony. Tu mamy kwiaty zawsze pięknie kwitnące, murawę zawsze zieloną, drzewa zawsze silne i opiekuńcze.... Nie potrzeba nam grobu, i ty

wiesz, moja anielska towarzyszko, że twe ostatnie technienie będzie takóž mojm.

Góry okoliczne były jeszcze ocienione zmrokiem, ale wierzchołki ich przyjmowały już na się barwę fioletową od pierwszych promieni słońca; ptaszki przelatywały z gałęzi na gałęź, i motylki różnobarwne wesoło toczyły z niemi walkę o panowanie w powietrzu... Mężczyzna młody i krzepki, kobieta krzepka i młoda jak on, wspinali się po grzbiecie gór tej części Indij Amerykańskich, tak mało zbądaných jeszcze. Nie mówili ani słowa do siebie, a jednak każde z nich miało w swój głowie posepne myśli; rzekłbyś, że to są dwaj winowajcy idący przed swych sędziów... Gdyby wyrzekli byli do siebie, pewnie wróciliby nazad; ale gdy milczenie wskazywało jakąś nadzieję w oczach drugiego, przedłużali dalej swą przykrą podróż po ścieżkach nieudeptanych, które lawa wydrążyła śród gór, i które wskazywały, że tak rzecz można, epokę wybuchów, co ją wyrzuciły.

Wszelako siły niedorównywały odwadze młodej Peruwjanki, której słodki ciężar utrudzał chód; a zatem, zaledwo stanęli u wierzchołka pierwszych pagórków, żądała ona chwili odpoczynku: chwila ta była chwilą rozmyślenia i czułych wyrzutów.

— O! nie powinniśmy byli rzucać szczęśliwego schronienia dla nadziei, która może być nieszczęściem, myślał Torrycho; prawdziwi przyjaciele są rzadcy na tej ziemi odczarowania, a chociaż serce jest obywatelem świata, ustala się ono na jednym miejscu przez samolubstwo lub interes....

— Nieprawdaż, rzecze Kalida, z łokciem opartym na kolanach swego szlachetnego towarzysza, i zagłębiając swój wzrok rzewny w oczach Hiszpana, nieprawdaż, mój przyjacielu, że daleko jeszcze stąd do wielkiej doliny, na którą chcemy się dostać?

— Tak daleko, odpowiedział Torrycho, który pojął znaczenie tego pytania, że gotów jestem wyrzec się mojego zamiaru.

— Ty nie pójdziesz dalej, Żuanie, albo jeśli pójdziesz, to i ja razem z tobą; rozstać się z tobą na godzinę, na chwilę, jest niepodobniństwem dla mnie, i wiem to, że niemam siły tylko przy tobie....

Nienawiści ludzkie gasną: nie nie jest wiecznego na tej ziemi, prócz naszej miłości. Tak, mój Żuanie, będziemy czuwać nad naszym dzieckiem ukochanym, i kiedy przyjdzie dla nas pożegnać się z tym życiem, wskażemy palcem naszemu synowi, naszej córce, drogę, którąśmy się udali dla przybycia z Kwito aż tutaj.... Biedne dziecko postawi krzyż na naszym jedynym grobie; później pokazując go Hiszpanom albo Kurakasom, opowie im nasze nieszczęście z wymową synowską tak przekonywającą, że przebaczą mu jego urodzenie i jego łzy.

— Jakąż smutną przyszłość otworzyłem dla ciebie, moja szlachetna towarzyszko! zawołał Torrycho uderzając się gwałtownie w czoło. Przebacz, przyjaciółko, przebacz mojej miłości, która siebie tylko miała na oku w swém pierwotnym postanowieniu.... Ty mi dałaś poznać, Kalido, że życie tego, który kocha, zawiera się całkiem w kobiecie kochanej.... Jedna myśl twoja waży tyle, co wszystkie te, jakie Niebo wrzuciło w moją głowę, w moje serce, i jeżeli kiedy....

— Cicho, cicho! wyrzekła Peruwjanka podnosząc się w połowie: czyś nie słyszał tu blisko jakiegoś westchnienia, jakiejś skargi?

— Zdaje mi się, lękam się....

— Widzisz więc, że wszelka istota żyjąca jest naszym nieprzyjacielem, kiedy tak się jęć lękamy!

— Ja się lękam tylko o ciebie, moje kochanie.

— Czyż my jesteśmy dwoje, odtąd jak się znamy? mówiła dalej, Kalida, co się czuła być małżonką i matką razem.... Niebezpieczeństwo nam grozi, widzę to; idźmy przeciwko niemu, Torrycho, idźmy razem, jedno obok drugiego. Chodź, chodź....»

Ogromna skała, w rozpadlinach której wily się potężne ljanya, podobne do węzów uspiomych, przedzielała naszych kochanków od miejsca, skąd wnosili że szmér pochodził: z pugnałem w rękę postępują z ostrożnością, powoli, schyleni, z okiem niespokojnym, słuchem natężonym.

Był to jaguar skurczony nad swoją towarzyszką martwą.

Kalida przyklekła na jedno kolano i zbladła... Miała zostać matką: zdziwienie, przestрах, przyspieszyły godzinę jej rozwiązania; ale, odważna gdy szło o nią samą, drżąca o swe dziecko, wytrzymywała boleść, nie wydała żadnego jęku; gdy tymczasem Torrycho, który nie śmiał jej rozpytywać, podtrzymując ją lewą ręką, śledził groźnym wzrokiem błagające spojrzenia jaguara, leżącego obok trupa swjej towarzyszki.

Jeśli tygrys królewski ma swą czułość, jaguar Amerykański ma ją także, i zwierzę żyjące, umierając prawie z głodu, nie chciało iść opodal szukać żywności, której nie mogło już podzielić z wierną towarzyszką swych wypraw. Czekał on śmierci, a przed nim, o kilka kroków, dziecię otrzymywało życie.

Torrycho nie wiedział co ma począć.

Stońce doścignęło już było połowy swego biegu; Kalida, prawie bez sił, zaledwo się utrzymywała na nogach, a jaguar, z instynktem tak krwiożerczym, który prędzej czy później mógł się obudzić, nie dozwalał żadnego wahania się Hiszpanowi.

«Nie ruszaj się z miejsca, rzekł do Peruwjanki, za nadto nas czterech w tej dzikięj pustyni, pozwól mi pozbyć się tego tygrysa; jestem dość silny, żeby zanieść ciebie i twojego syna aż do naszej błogięj chatki; nie ruszaj się....»

I postąpił naprzód z pugińatem w jedném ręku i pistoletem w drugim.

«Zdaje się on błagać przebaczenia, rzecze Kalida głosem zaledwo dosłyszczanym; nie zabijaj go, on cierpi.... A potóm, jeśli ty legniesz, matka i syn umrą bez pogrzebu....»

Torrycho czuł już cuchnący oddech jaguara; cztery kroki zaledwo ich rozdzielało, wymierzył, miał już spuścić kurek.... Dziekie zwierzę kładzie się i czeka.... Hiszpan spuszcza broń, oko jego ujrzało ranę, która zadała śmierć samicy jaguara, ranę jeszcze dymiącą: był to głęboki ślad kuli!.... A więc tylko milczenie i odo-sobnienie mogły ratować Torrycho i Kalidę, i dozwolić im powrótu nazad.

«Odwagi! rzece, odwagi! przyjaciółko! Jaguar nie jest naszym najstraszniejszym nieprzyjacielem w tej chwili. Odwagi, szlachetna córko Inkasów! inaczej upadniemy pod ciosami naszych ciemiężców.»

Trzeba się było oddalić z pola bitwy, które mogło się stać wkrótce polem śmierci. Torrycho wziął młodą Peruwjanę na ręce, i szedł wolnym krokiem ścieżką, którą rano przechodzili; ale siły człowieka mają pewne granice! Nieszczęśliwy widział się zmuszonym zatrzymać się w niewielkiej odległości od jaguara opuszczonego; z swojego płaszcza zrobił postanie dla Kalidy, która osłania syna swemi ramionami i swoją czułością, i czekał nim noc gwiazdzista zwrotnikowa nie osłoni ich, żeby dostać się do pożądaną doliny.

Znużenie skleiło mu powieki; towarzyska jego usnęła obok niego.... Po przebudzeniu ujrzeli się we cztery pod skałą opiekuńczą. Podobny do brytana przyswojonego, wdzięczny jaguar szedł śladami Hiszpana, i rozciągnął się blisko niego.

«Widzisz, rzece Kalida nie zmieszana wcale, skoro się przebudziła; wspaniałomyślność daje nam przyjaciół. Ten tygrys naszych okolic niema ani pazurów, ani zębów przeciwko nam, ma on tylko serce.... Wstańmy, i jeśli on nam towarzyszyć będzie, dobrze się z nim obejdziemy.»

Dwaj biędni wygnańcy udali się w dalszą drogę; jaguar szedł za nimi jak pies powolny. Zaledwo okrążyli bok góry niedaleko swego miejsca spoczynku, gdy zajadłe zwierzę podskoczyło i zaryczało razem.... Szarpie ziemię, bije gwałtownie ogonem, wydaje ponure chrapania, i obraca swym językiem chropowatym i czerwonym po ostrych szczecinach swoich chrap gorączkowie ścisniętych; oczy jego przedtem przygasłe i zimne, ciskają żywe iskry i zdają się żądać nieprzyjaciela do pożarcia. Torrycho przygotował się, żeby położyć go trupem.

— Wstrzymaj się jeszcze, rzece mu Kalida, nie przeciw nam to jaguar chce zwrócić swą wściekłość.... Patrz, patrz, jesteśmy ścigani.

Odgłos głuchy i przeciągły, podobny do głosu wodospadu dalekiego, doszedł aż do dwojga zbiegów. Torrycho, nie myśląc już więcej o gniewie obudzonym jaguara, rzucił się na pagórek, skąd mógł widzieć daleką przestrzeń.

«Oto oni! zawołał, oto oni! Są to Hiszpanie, nasi nieprzyjaciele, rozbiegają się na wszystkie strony.... zobaczyli nas; zobaczyli tygrysa.... pozostawią tygrysa, żeby nas ścigać.... Chodź, Kalido, niech się oni nie radują z naszej śmierci; znam ich, torturą ją poprzedzi.

— W oczach twójgo Boga, równie jak i mojego, samobójstwo jest zbrodnią, rzecze Perawjanka głosem uległym; tortura, to męczeństwo, a męczeństwo daje Niebo.

Dobrze więc, niech i tak będzie, mówił dalej Torrycho, przyspieszając o ile można było kroku swęj nieszczęśliwęj towarzyski.... Szukajmy schronienia, gdzieby nasi nieprzyjaciele doścignąć nas nie mogli; puńjmy się na szczyty urwiste gór nad nami panujących; może nasze bóstwa połączone wyrwą nas z niebezpieczeństwa, co wisi nad nami.»

Kalida postępowała za Torrycho, i jak gdyby Bóg ich usłyszał, odkryli niedaleko pośród gór otwór jaskini, gdzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie przyjdą ich szukać....

Niestety! kto może zgłębić wyroki Przedwiecznego!

Ze swęj strony, uważny jaguar nie opuszczał swojego stanowiska, i śledził swą płową żrenicą ruchy Hiszpanów, którzy przybyli już do zwierzęcia, pierwiej ugódnzonego przez nich. Kula świsnęła i splaszcyła się na skale, służącęj za ścianę nowemu mieszkaniu Torrycha i Kalidy. Wszelki opór stał się niepodobnym; podnoszą oczy ku Niebu i kryją się skuleni w sam kąt jaskini.

Nowe wystrzały dają się słyszcć; nieprzyjaciel już niedaleko, jaguar czeka....

Kiedy oddział jeźdźców szuka w głębi doliny dogodnego przejścia dla koni nieprzywykłych do dróg przepaścistych, kilku lekko uzbrojonych drapie się na skalisty wierzchołek góry, i zbliża się do dzikiego zwierza. Co tygrys nie zrobiłby dla siebie, robi to dla

tych, którym życie winien. Niebaczny na grożące niebezpieczeństwo, nie rachując liczby nieprzyjaciół, których ma do zwalczenia, rzuca się na najśmielszego z Hiszpanów, i toczy się z nim po murawie pełnej cierni..... Otoż jednym przeciwnikiem mniej; jedno zwarcie paszczęki zdruzgotało mu czaszkę, a gdy zapach krwi rozdrażnił wściekłość tygrysa, rzuca się znowu i znajduje się w obec dwóch zapaśników, idących razem do walki; kula wypada..... rani łopatkę jaguara..... myśliwiec powalony także; i kiedy czwarty zapaśnik nadbiega, trzeci nie może już mu być użytecznym: ciało jego leży bez ruchu, i krew płynie z kilkunastu szerokich ran..... Wściekłe zwierzę wpatruje się swą gorejącą źrenicą w Peruwjanina, który był dotąd przewodnikiem dla zwycięzców; daje susa po raz trzeci, ale nowa kula uderza go w szyję i wali o ziemię..... On ryczy, miota się konwulsyjnie, robi ostatnie wysilenia, żeby się zemścić..... muszkuły jego wolnieją, cofa się tyłem, i idzie, wiedziony nie instynktem, ale wdzięcznością, położył się jeszcze, jak warta zgubiona, przed jaskinią Torrycha i Kalidy..... Tam wydaje ostatnie tchnienie!

— Hiszpanie postępują wślad za nim..... Żaden z ich nieprzyjaciół nie może im ująć teraz; stopy dwóch zbiegów pozostawiły ślady na wilgotnym gruncie..... Są oni tam!.... i jeśli dzielna woła zatrzyma ich tam, wieki przejdą może nad nimi, nim kto znajdzie ich kości zbielełe.

«Doścignęliśmy was, woła jeden z żołnierzy swym głosem donośnym; Pizarro wam przebaczy. Wychodźcie, albo nie ujrzycie już światła.»

Milczenie samo odpowiada na groźbę Hiszpana, który ją powtarza raz jeszcze, i wkrótce, gdy się noc zbliżała; gdy szczyty najwyższych gór odbijały zaledwo ukośne promienie zachodzącego słońca; gdy stanowisko, na które się wdrapali, nie mogło być osiągnięciem przez jeźdźców, po zaspokojeniu swój zemsty, Hiszpanie, stosownie do surowych rozkazów swych wodzów, stoczyli do otworu jaskini, z wielkiem wysileniem, kilka ogromnych odłamów skały, których więziom niepodobna było odsunąć.

«Oto wasz grób!» odezwał się głos uroczysty.

— Przyjmujemy nasz grób! » odpowiedział głos posępny.

I wszystko stało się znowu milczącym na górze; stąpania koni, groźby Hiszpanów, żałobny ryk tygrysa, ostatnie westchnienia więźniów ucichły.

Dzisiaj, kiedy człowiek zajmujący się nauką zwiedza te okolice puste, widzi z głębokim podziwem, na grzbietach gór Kapajo, twarde skały, wyciosane jakby dłóttem rzeźbiarza, wyobrażające głowy, ramiona, grzbiety, tułowy, jedne obok drugich; potem, tu i owdzie, kształty ludzkie skurczone i leżące na ziemi, podobne do tych sfinksów samotnych, które nauka odkrywa jeszcze w piaskach, bliżsko ruin Memfis.

A teraz, uzbrój się w odwagę, albo raczej stań się jednym z żołnierzy wojska Pizarra, jeśli chcesz oglądać bez wzruszenia, tu, blisko ciebie, w ciekawym gabinecie antropologicznym Muzeum historii naturalnej, powierzonym staraniom tak światłym P. Laurillard, grupę tak dramatyczną, którą ci palcem ukazuję.

Mężczyzna, kobieta, żółte jak pargamin zbutwiały, pochyleni jedno ku drugiemu, tamten z łokciami opartymi na kolanach, z głową w obu rękach; ta zaś, której bogaty i czarny warkocz spuszcza się aż do ziemi w gęstych kędziorach, wyciąga obie ręce dla przytulenia dziecka, którego delikatne ciało nie oparło się działaniu wieków i pozostawiło tylko ślady na wynędzniałém łonie nieszczęśliwej matki.

Ileż boleści na tych dwóch postaciach bez ruchu!....

To głód, to pragnienie, to męczarnia niemożności przyniesienia ulgi ukochanemu przedmiotowi, przedmiotowi miłości, to rozpacz przytłumiona, to bohaterstwo poświęcenia, to czułość macierzyńska w tém, co ma najświętszego; to męczeństwo w tém, co ma w sobie najbardziej niebiańskiego..... Zęby białe, błyszczące; muszkuły należycie wydatne, wytężone..... Znaczo, że była tam siła i natura przednia.

Przeprowadź palcem po piersi tej córki Inkasów; dotknij się ręką tej szerokiej piersi Hiszpana: były tam, temu lat dwieście, ser-

ca energiczne, których bicia wstrzymać tylko mogły śniegi nagromadzone gór Kapajo.

Pokój tobie, Torrycho! pokój tobie Kalido!....

Puszka blaszana, papier chiński, okresy pełne szczeroty, ucin-kowe, urywane, pisane już to atramentem i piórem, już to pędzikiem i farbą czerwoną.... Oto szacowne dowody, gdzie czerpałem szczegó-ły opisanego przezemnie wypadku.... Trzój bohaterowie dramatu, oto tam! chcieli oni żyć i umierać témże samém życiem, tąż samą śmiercią....

Wola Pizarra spełnioną została!

Szatan był zadowolony tą razą.

Przypisek tłómacza. — Oryginał francuzki niniejszego dzieła, obejmuje je- szcze kilka rozdziałów Podróży przez Saharę, przyswojonej literatu- rze naszej w oddzielném dziełku przez D-ra Tryppliina p. t. „*Podróż przez Saharę*.” Osądziliśmy przeto za właściwe, ciekawych do pomie- nionego dzieła odesłać.

Koniec Podróży Od Bieguna do Bieguna.



SPIS ROZDZIAŁÓW W DZIELE
OD BIEGUNA DO BIEGUNA

Rozdziały.

Stron.

Kilka słów o życiu i pismach Jakóba Arago 1

CZEŚĆ PIERWSZA.

I. Krok nierozważny	3
II. Julja	13
III. Miłość synowska	16
IV. Spotkanie	22
V. Tajemnica	27
VI. Dwa Huragany	33
VII. Potyczka	39
VIII. Powrót.— Rekiny	42
IX. Zuanita.—Wstąpienie na Cypel.—Huragan	50
X. Indje wschodnie.—Wojna z Matpami	70
XI. Polowanie na Tygrysa Królewskiego, Rysia Azjatyckiego i Jaguara Amerykańskiego	86
XII. Woda i Ogień.—Ludożercy	100
XIII. Borneo	122
XIV. Fala i Dramat	144
XV. Chaos	177
XVI. Sir Willams Barkley.—Las Dziewicy	190
XVII. Cisza zupełna	220
XVIII. Święta Helena.—Zachód słońca	224
XIX. Tęsknota	232
XX. Języki.—Jak się zaludniały Archipelagi	240
XXI. Podróznicy	260
Epoki główniejszych odkryć	276
XXII. Patagończyk.—Jaguar	280
XXIII. Polowanie na Jaguara	295
XXIV. Paragwaj.—Stepy.—Kordyljery	304

CZEŚĆ DRUGA.

DWA OCEANY.

Przedmowa	1
Odjazd	3
Topielec	8
Edward.—Potrochę wszystkiego	12
Ja.—Mój wiek dziecienny	21
Portrety. — Curet	25
Ktoby się tego spodziewał?	34
Żale	40
Marzenia	46
Pod żaglami	47
Przejsście przez Równik	53



Kolos	58
My.— Trybunał honorowy	68
Przylądek Horn	78
Przybycie do Chili	86
Teatry	92
Szyngana	99
Serenos	107
Żebracy	111
Umarli i żywi	120
Pojedynek	127
Arkan	130
Temblor	139
Gwiazdy spadające	142
Staranne dziecię	146
Imiona własne	152
Chwile wytchnienia	159
Nakoniec	165
Dzisiaj	173
Odjazd z Chili	179
Markizy	198
Król Mohana	209
Pacoco, (Pakoko)	225
Odwiedzam Mohanę	243
Chlor	248
Tabu. Tatuowania	252
Nukahiwa. Dwa wspomnienia	259
Nowa Kaledonia	262
Nazajutrz	274
Suknie czarne.— Smutek	288
Jestem w szpitalu	292
Wycieczka do Fatahua	295
Hupa—Hupa	301
Taiti.— Uczty.— Muzyka	313
Noe w Taiti	319
Dopełnienie.— Trochę wszystkiego	321
Brezylja	327
Rio—Zanejro	334



190—

14/4 . 65

231.

34476